

Autorka bestsellerów *Korepetytor*, *Prokurator* i *Kontrakt!*

JOANNA BALICKA



*Związani*  
**ZEMSTĄ**

Związani układem #2



**JOANNA BALICKA**

# **ZWIĄZANI ZEMSTĄ**

**ZWIĄZANI UKŁADEM #2**

**OŚWIĘCIM 2023**

Copyright ©  
Joanna Balicka  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2023  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone  
All rights reserved

**Redakcja:**

Alicja Chybińska

**Korekta:**

Sara Szulc

Karolina Piekarska

Maria Klimek

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-784-1

# Spis treści

Ostrzeżenie

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

EPILOG

Przypisy

# Ostrzeżenie

Sceny zawarte w książce są drastyczne, wulgarne i nieprzeznaczone dla osób wrażliwych. Przedstawione uniwersum nie ma odniesienia w rzeczywistości i zostało stworzone jedynie na potrzeby książki. Zaprezentowana w niej największa południowoamerykańska mafia brazylijska nie istnieje. Autorka skupiła się na wykreowaniu własnej mechaniki.

*Dla tych, którzy kazali się p\*\*\*\*\*ć księciu z bajki.*



# PROLOG

## *Asteria*

Nie istnieje na świecie większa siła niż miłość matki. Po Ziemi nie chodził ani jeden nie będący rodzicem człowiek, który siłą przywiązania i oddania dorównałby macierzyńskim uczuciom. Żaden kapitan, żaden generał, żaden gliniarz, kryminalista, gangster czy maniak apokalipsy nie dorówna matce.

A tym bardziej matce, której porwano dziecko.

Osoba, którą byłam, przestała istnieć. Żal, tęsknota i zawiść rozkruszyły ją na kawałki. Nie mogłam jeść, pić, spać, myśleć, funkcjonować. W głowie miałam jedynie moją córeczkę. Moją małą Noelle.

Dokładnie pamiętam dzień, kiedy McCann mi ją odebrał. Chciałam walczyć, wyszarpnąć mu dziecko, uderzyć go, zabić, ale był silniejszy. Cały następny tydzień został mi wyrwany z życia. Podobno to ojciec mnie odnalazł i tylko dzięki jego szybkiej reakcji nie wykrwawiłam się na śmierć. Miałam złamane żebra, zwichniętą rękę, złamaną kość piszczelową i wstrząs mózgu.

Kolejny rok spędziłam na intensywnej rehabilitacji i powrocie do zdrowia. Gdyby do federalnych nie przeciekła informacja, że Nellie była cała i zdrowa, nie miałabym po co żyć. Jednak to myśl o niej dawała mi siły, których tak bardzo potrzebowałam.

Umarłam. Zniszczono mnie do ostatniego atomu. Byłam nikim. Aż do dzisiaj. Dzień, w którym pozbędę się Santa McCanna, będzie datą mojego odrodzenia.

Nadeszła pora na zemstę.



# ROZDZIAŁ 1

## *Asteria*

### **Waszyngton D.C., Stany Zjednoczone**

Noc. Odgłos ciężkich wojskowych butów wprowadził mnie w stan czuwania. Z ostrożnością dzikiej zwierzyny przewróciłam się na plecy. Cisza. Odliczałam, wyężając każdy zmysł.

Z chwilą wyważenia drzwi poderwałam się z łóżka. Dwóch zamaskowanych – sądząc po szybkiej ocenie postury – mężczyzn rzuciło się ku mnie. Szybko wyprowadziłam cios ramieniem, dzięki czemu trafiłam napastnika w nos, po czym mocno szarpnęłam za spiczasty czubek, zanim kolaniem wycelowałam w krocze. Ten drugi był sprytniejszy. Wykonał unik, uciekając o milimetry poza zasięg mojej pięści, a potem uderzył mnie w brzuch i rzucił na podłogę.

Wzięłam głębszy wdech, by uniknąć rozprzestrzeniania bólu. Poczulałam, jak męska dłoń coraz mocniej napiera mi na gardło. Szare oczy błysnęły zwycięstwem, gdy zaczęłam się dusić.

*Walcz, musisz walczyć.*

Zamachnęłam się głową i celnie trafiłam go w nos. Wydał z siebie syk, zwalniając uścisk. Uderzyłam go z pięści w szczękę i z łokcia w tchawicę, po czym zrzuciłam z siebie. Wydobyłam pistolet z kabury, dosiadając mężczyznę okrakiem. Odblokowałam broń, przykładając mu ją do czoła.

Wygrana jednak nie była pewna. Ruch za mną wytrącił mnie z poczucia zwycięstwa. Ten drugi szarpnął za moje ramiona i rzucił na podłogę. Złapałam za nóżkę stołka, po czym energicznym ruchem przypierdoliłam mu w nogę, a później w głowę, gdy padł obok mnie. Taboret rozpadł się w drobny mak.

Kopnięcie w nogę. Upadłam na kolana z sykiem, odczuwając ból w operowanym przed laty miejscu. Zaciśnęłam zęby, próbując

podnieść się z ziemi. Cios w szczękę powalił mnie na podłogę. Wypłułam krew.

Flashbacki z ostatniego dnia, w którym widziałam córkę, zaatakowały mój układ nerwowy. Zanim kopniak napastnika sięgnąłby brzucha, przetoczyłam się i złapałam za odłamaną od siedziska nóżkę. Uderzyłam raz, drugi, trzeci w stylu znanych mi technik walki. Z obrotu trafiłam napastnika w szczękę, skutecznie go powalając.

Rzuciłam drewniany przedmiot na podłogę i opadłam na kolana. Dyszałam, powstrzymując chęć zwymiotowania. Światła rozbłysły nad nami, a szyba dzieląca nas od drugiego pomieszczenia pojaśniała, odsłaniając widok na szefa oddziału. Wyglądał na zadowolonego, choć jego twarz pozostała niewzruszona.

Podniosłam się na nogi, maskując dyskomfort spowodowany bólem łydki. Harrison, mój szef, stał na czele pozostałej grupki: badaczki, dwóch agentów i gościa z wydziału antyterrorystycznego, który wysłał mnie na misję do Brazylii.

– Ja bym posłał tę sukę na krzesło – mruknął koleś w niebieskiej koszuli.

Strzeliłam w niego uważnym spojrzeniem, na zmianę zaciskając i rozluźniając pięści.

– Dobra sugestia. – Dowódca oddziału skrzyżował ramiona na torsie z zimnym wyrazem twarzy. – A więc, Hunter? Co masz na swoją obronę?

– Chcę odzyskać córkę. – Głos mi nawet nie zadrżał.

W snach nawiedzał mnie odgłos jej niemowłęcego łkania. Słyszałam ją, jak mnie woła. Koszmary były pełne okrucieństwa wobec mojej córeczki. Widziałam, jak rozrywają i podpalają drobne ciało, a resztki topią w kwasie. Za każdym razem budziłam się pełna żalu czy paniki. Tęsknota jednak zabijała mnie najbardziej.

– Co sprawia, że myślisz, że ci w tym pomożemy po tym, jak nas zdradziłaś? – Harrison ściągnął brwi w surowym grymasie. – Że rzucimy wszystko dla jednego dzieciaka?

– Zrobiłam to, co chcieliście – oświadczyłam. – Przyciągnęłam McCanna w miejsce aresztowania. Moja misja została zakończona powodzeniem.

– Nie łzyj, kurwo – warknął gość za nim. – Kryłaś go i zwlekałaś z aresztowaniem.

– Zrobiłam to, by chronić dziecko. – Z trudem przełknęłam ślinę.  
– Cięża nie była planowana. Nie miałam możliwości przedłużenia zastrzyku antykoncepcyjnego.

– Trzeba było wyskrobać. – Zmierzył mnie pełnym obrzydzenia spojrzeniem. – Zachciało ci się być mamusią mafijnego dziedzica? Powinni cię odjechać, gdy tylko mieli okazję. Nikt nawet by cię nie wspomniał.

– Noelle ma amerykańskie obywatelstwo. – Skierowałam wzrok na dowódcę. – Obowiązkiem naszego państwa jest odbicie obywatela, gdy...

– Nie negocjujemy z terrorystami – zatamował potok moich słów.  
– To wbrew doktrynie.

– Działają jak kartel, tylko że na większą skalę. Prawnie nie są uznawani za grupę terrorystyczną.

Harrison prychnął.

– Nagle wiesz, co podlega prawu, a co nie?

Opuściłam dłonie, choć nie zamierzałam się poddać. Byłam zbyt zdesperowana, by odzyskać córeczkę.

– To tylko dziecko, Jace. – Celowo użyłam jego imienia. – Czteroletnia dziewczynka, w dłoniach zgrai bezwzględnych morderców. Do niedawna nie wiedziałam, czy żyje. Gdyby nie raport sytuacyjny sprzed roku, nadal bym tak myślała. Zdjęcie z akt to jedyne, co mam.

Broda mi drżała, a oczy zapiekły od łez.

– Sam masz dzieci, prawda? – Zajęło mi chwilę, zanim mogłam wypowiedzieć słowa bez rozplakania się. – Leigh i Ashton. Pomyśl o nich, co byś zrobił, gdyby porwali ich gangsterzy? Z dała od domu, z codziennie przesładującą cię myślą, czy żyją, czy ktoś je skrzywdził?

Popatrzył na mnie protekcyjnie, choć upór w jego spojrzeniu jakby przygasł.

– Nie słuchaj tego pierdolenia, Harrison – wymamrotał gość w niebieskiej koszuli. – Ten bachor wylądował tam z jej powodu.

– To nieprawda. – Pokręciłam energicznie głową. – Zamierzałam zapewnić nam bezpieczeństwo w ramach programu ochrony świadków. Noelle została porwana po tym, jak zaginęły dowody w sprawie aresztowania McCanna. Nie wiem, kto mu, do cholery, pomagał i jakim cudem wyszedł z więzienia. Nie mogłam nic zrobić, nie rozumiecie?

Zgrzytałam zębami, dławiąc szloch w gardle. Jace potarł czoło z namysłem.

– Musimy mieć w tym interes – przemówił po druzgoczącej chwili milczenia. – Odbijemy dziecko, ale co potem? Minimum, czego oczekuję, to to, że zmusisz Brazylijczyka do pozostania naszym informatorem.

– Pomogę wam rozjechać burdel, który zbudował – poprzysięgam. – Byłam tam wystarczająco dużo czasu. Znam hierarchię, szlaki tranzytowe, logistyczne, zostałam obeznana z terenem – wymieniałam uparcie. – Moja wiedza jest bezcenna. Nikt nie wiedział tego, co ja. Oprócz McCanna, chcę zamknąć wszystkich tych skurwysynów, bez wyjątku. Możecie ich nawet rozstrzelać, nie obchodzi mnie to.

Kobieta podała Harrisonowi teczkę. Otworzył ją, zaczytując się w treści. Dodała mu coś szeptem na ucho, a on potaknął.

– Jedyne, czego pragnę, to odzyskać dziecko – niemalże błagałam. – Nic innego nie ma dla mnie znaczenia.

– Jak mamy ci zaufać po tym, co zrobiłaś? – Zerknął na mnie znad akt sprawy. – Skąd mamy wiedzieć, że znów nie przyjdzie ci do głowy romans z tym bandytą?

– Zrobię wszystko, by sprowadzić Noelle do domu. – Pilnowałam, by moja twarz pozostała niewzruszona. – Sprawdź mnie.

Rozłożyłam ramiona na znak, że nie miałam niczego do ukrycia.

– Chyba nie zamierzasz słuchać tej suki? – zakpił drugi facet.

– Zamknij się, Connor – skarcił go sykiem. – To ja tu dowodzę, stul pysk.

– Tak jest, proszę pana.

Przez chwilę konsultował coś z agentką. Spojrzenie jego oczu wreszcie padło na mnie. Miał pochmurną minę, choć czujny wzrok.

– Najpierw dogłębnie sprawdzimy, czy jesteś wiarygodna – przemówił. – A później zdecydujemy, co dalej. To wcale nie znaczy, że wyrażam zgodę. Zrozumiano, Hunter?

Z jakiegoś powodu poczułam ulgę, ramiona mi opadły. Zgodziłabym się na wszystko, jeśli to „wszystko” miało zapewnić mi możliwość odzyskania córki.

– Tak jest, szefie.

# ROZDZIAŁ 2

## *Saint*

### **Rio de Janeiro, Brazylia**

Zimno rozlało się w dół moich pleców.

Zemsta. Tylko to słowo przyszło mi na myśl, gdy spojrziałem w lustro. Nachyliłem się i oparłem ręce po obu stronach podłużnej umywalki. Zasnęta krew snuła się śladami od włosów, przez twarz, szyję, pierś, aż do pasa. Nie należała do mnie, a to dawało mi dodatkową satysfakcję.

*Zgrzyt.* Przywołałem wspomnienie dźwięku skręcanego karku i gruchotania żeber.

Zerknąłem w dół, na dłonie. Lepiły się od mazi i mokrych flaków, które wyszarpnąłem skurwysynowi na wierzch.

Mój oddech się stabilizował. Uniosłem brodę, by ponownie spojrzeć sobie w oczy. Źrenice powoli opuszczało echo adrenaliny. Powracał spokój, wyciszenie, stan względnej normalności.

Powoli wracały mi kolejne zmysły. Nozdrza drażnił zapach benzyny ekstrakcyjnej. W ustach miałem metaliczny posmak. Do uszu docierały stłumione dźwięki piosenki Johna Lennona.

*So this is Christmas... war is over...*

Odkręciłem zawór pod prysznicem. Woda mieszała się z brunatną cieczą, spływając do odpływu pod moimi stopami. Starłem każdy ślad i odczekałem, aż strumień obmyje mnie ze wspomnień minionego dnia.

Do głowy napływały mi wspomnienia z więzienia, chłód betonowych ścian, zapach wilgoci, rdzy i potu. Moja pozycja zagwarantowała mi nietykalność. Nie musiałem niczego udowadniać, nikt nie wchodził ze mną w dyskusję, nikt ze mną nawet nie rozmawiał. Każdy dzień w samotności zbliżał mnie do

zrealizowania najczarniejszego scenariusza, jaki tylko wślizgnął mi się do umysłu.

Pierwszy rok skupiał się wokół zbierania informacji. Drugi dotyczył namierzania. A trzeci? Mój ulubiony. Pozbycie się każdego skurwysyna, który maczał brudne paluchy w sprawie mojego aresztowania. Każda kurwa w tym kraju wiedziała, że moi ludzie dotrą do wszelkiej dziury, by wyrwać z niej każdego, kto znajdował się na liście. A ta była długa.

Jeden agent zginął w wypadku samochodowym. Drugi udusił się przez zakrztuszenie w ulubionej restauracji. Trzeci nieszczęśliwie utonął w wannie po przedawkowaniu leków. Sędzia usmażył się w saunie. Federalny, który zakładał mi kajdanki, był moim ulubionym. I całkiem niedawno z nim skończyłem.

Zatrzymałem strumień. Osuszyłem ciało, a następnie założyłem bokserki i ciemne dresy. Gdy opuszczałem łazienkę, gorąca para zniknęła w ciemnym korytarzu.

Prowadzący w radiu mówił o złych warunkach pogodowych. Skróciłem jego pierdolenie, aż jedynym słyszalnym dźwiękiem w domu był odgłos moich bosych stóp na marmurowej posadzce.

W salonie migotały świąteczne lampki. Molly od rana zaplątywała je, gdzie tylko się dało. Margarida kręciła na to głową, podszeptując mi, że rachunki za prąd przyjdą na kolosalną kwotę, ale miałem to gdzieś tak długo, jak moja dziewczynka była szczęśliwa.

Jedyny promyczek w moim popierdolonym świecie.

Odnalazłem ją skuloną na sofie. Prawa ręka zwisała jej luźno, prawie dotykała nią podłogi. Na dywanie wałała się szklanka i rozciągała się plama po rozlanym mleku. Okruszki ciastek ozdabiały skórzane wykończenie. Na ich widok wykrzywiłem wargi. Lewa dłoń dziewczynki spoczywała na grzbiecie jednego z czarnych diablów. Psiak wyczuł moją obecność. Przyglądał mi się czujnie, jednak ani drgnął, by nie zbudzić dziecka.

Mała musiała zasnąć przez bajki, które wciskała jej opiekunka, na temat Świętego Mikołaja i tego, że to on przynosi prezenty. Doprawdy, gdyby jakikolwiek brodaty dziadek wystawił chociażby czubek nosa na terytorium mojej posiadłości, skończyłby podziurawiony od kul jak szwajcarski ser.



Molly jednak o tym nie wiedziała, a ja pozwoliłem, by tak zostało.

– Wesołych świąt, mały reniferku – wychrypiałem, wsuwając dłonie pod jej wiotkie ciało. – Tatuś już tu jest.

Córka wymamrotała coś sennie. Rozchyliła powieki i zamrugła, zanim utkwiała we mnie spojrzenie zielonych oczu.

– Tatusiu... – wydukała.

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. Pamiętam, gdy odebrałem ją od matki. Przez pierwszą godzinę była zbyt senna, by się zorientować, co działo się wokół niej. Później jeden z moich prywatnych lekarzy podał jej środek, który ułatwił mi zabranie jej do Brazylii. Po tym, jak dawka środka na uspokojenie przestała działać, a mała zorientowała się w zmianach, które zaszły wokół niej, zastało mnie prawdziwe piekło. Molly płakała godzinami, dopóki nie zasypiała ze zmęczenia i absolutnie nikt nie był w stanie tego zmienić. Zostałem zmuszony wynająć kobietę, która zastąpiła rudą. I to działało.

Liczyłem, że z biegiem czasu dozna dziecięcej amnezji i będzie niezdolna do przypomnienia sobie zdarzeń sprzed ukończenia trzeciego roku życia. Wychowałem ją w zupełnie nowej rzeczywistości. Teraz, jako pięciolatka, miała tylko mnie i kobietę, która wspierała mnie w jej wychowaniu.

Carina sztywno trzymała się pewnych wytycznych. Nie podnosiła dziewczynki, gdy płakała. Nie okazywała jej współczucia, kiedy się przewróciła. Choć nieraz przyłapywałem ją na tym, że gdy Molly lgnęła do niej, wyciągając rączki i zanosząc się przy tym szlochem, to kobiecie zdarzało się złamać zasadę i mocno ją przytulić.

Byłem temu przeciwny z dwóch powodów: przywiązanie i poleganie na drugiej osobie. Moja córka musiała wiedzieć, że kiedyś zabraknie kogoś, kto pomoże jej otrzeć łzy.

Jeśli była zdolna упаść, to da radę wstać.

– Zaniosę cię do łóżka – powiedziałem cicho. – Śpij, dziecino.

Dygnęła głową na wpół śpiąco.

Trzymając ją na rękach, ledwie ją czułem. Była krucha, lekka jak porcelanowa laleczka i niewiele się od takowej różniła, nie licząc bujnych, rudych loków. Oparła policzek na moim nagim torsie,

a ledwie przytomnym spojrzeniem skanowała dobrze znany nam korytarz.

– Czy Mikołaj już u nas był? – Ziewnęła.

– Nie przyjdzie, jeśli nie będziesz spać.

– Dlaczego?

– Bo się spieszy stary dziadyga – mruknąłem z cieniem rozbawienia.

Kiedy mówisz dziecku, że przyjdzie do niego w nocy pierdolony potwór, to nawet nie będzie w stanie zmrużyć oka. Zabawnie, że sprawy mają się zupełnie inaczej, gdy opowiadasz, że do domu zakradnie się stary chłop z workiem.

Pchnąłem drzwi do pokoju Molly. Był przestronny, utrzymany w odcieniach szarości i zgaszonej purpury. Minąłem kilka zabawek walających się po podłodze, a następnie położyłem dziewczynkę w łóżku. Naciągnąłem kołdrę aż po szyję rudowłosej, po czym sięgnąłem do lampki, by zgasić światło.

– Zostań. – Słaby głos przeciął ciszę.

– Molly... – Uniosłem uważnie brwi. – Rozmawialiśmy już o tym. Każdy śpi sam.

– Nie boję się – odparła pospiesznie, mnąc w piąstkach pościel. – Po prostu nie widziałam cię cały dzień.

Wygiąłem usta. Przysiadłem na krańcu łóżka, a wzrok wbiłem w moje młodsze odbicie.

– Byłem w pracy.

– Czy ludzie płacą już za cukierki? – Paluszkami pocierała zaspane oczy.

Znów się uśmiechnąłem. *Cukierki* to nasza bezpieczna opcja nazywania towaru.

– Nie wszyscy. – Pokręciłem głową. – Dlatego tata czasem musi się przypominać.

– Jak w Halloween. – Uśmiechnęła się wesoło. – Pieniądze albo psikus.

Zachrypnięty śmiech wydobył się z mojego gardła. Umysł tej pięciolatki był pozbawiony skaz, poczucia zagrożenia, taki dziecięcy i beztroski. Tego też dopilnowałem. Nie bała się krwi, od jakiegoś czasu przestała wzdrygać się na wystrzał z broni, a ja byłem jej

głównym powiernikiem – nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. To znaczy: ona nie miała. Ja trzymałem ją z dala od mrocznego półświatka i podtrzymam to do jej trzynastych urodzin.

– Jak w Halloween – przyznałem, pstrykając ją zaczepnie w nos. – Mała spryčiuła.

Krucha dłoń odnalazła moją. Palcami wyznaczała ścieżki po odznaczających się pod skórą żyłach. Zatrzymała się na bliźnie pozostawionej przez ostrze noża przed laty. Zerknęła na mnie tymi błyszczącymi oczami, spod ciemnych rzęs. Przeczuwałem, że jakieś pytanie pchało się jej na język.

– Śpij.

Wydeła wargę.

– Ale...

Wygiąłem brew. Molly zmrużyła oczy w odpowiedzi. W tej i kilku innych kwestiach cholernie przypominała mi swoją matkę oraz jej wyjątkowo analityczny umysł. Zrobiłem jednak wszystko, by nigdy nie dopuścić do powrotu tej rudej suki do naszego życia. Jej obecność spierdoliłaby to, co udało mi się zbudować, łącznie z zapewnieniem małej bezpieczeństwa.

Dla naszej dwójki była martwa. Molly niczego o niej nie wiedziała. Nie miała pojęcia, jak wyglądała, nie słyszała jej imienia ani nie miała żadnego wspomnienia z nią związanego. Jej dzieciństwo zostało zbudowane na moich zasadach.

– Możesz tu zostać, dopóki nie zasnę? – poprosiła.

– Rozmawialiśmy już o tym – przypomniałem, podnosząc się z łóżka. – Jesteś tu bezpieczna, Molly. Najbezpieczniejsza na całym świecie.

Zza pościeli wystawała już jedynie fikuśna grzywka i para malachitowych oczu.

– Ale ja się nie boję – upierała się.

– A jednak nie chcesz zostać sama. – Wyciągnąłem dłoń, by zapalić lampkę nocną. – Więc w czym rzecz, lisku?

Opuściła kołdrę. Wzrok trzymała wbity w moją rękę, na której zaraz położyła swoją.

– Łóżko jest zbyt zimne, gdy jestem sama. – Z tą chwilą nasze spojrzenia zamknęły się w sobie.

Uchyliłbym jej nieba. Zdobył pierdoloną gwiazdkę. Napadł na bank. Doprowadził do największego w dziejach zamachu, gdyby od tego zależało jej szczęście. Byłem jednak zdania, że od najmłodszych lat powinienem przyzwyczajać ją do samotności, w przeciwnym razie będzie kompletnie zagubiona, gdy mnie zabraknie.

– Chcesz, żebym wpuścił psa?

Aż poderwała się do siadu i pokiwała energicznie głową. Na jej niemą prośbę otworzyłem drzwi.

– Vito! – zawołała Molly.

Kilka sekund później w progu zatrzymał się dog kanaryjski. Z wywieszonym jęzorem gotów był wskoczyć na łóżko dziewczynki, dopóki oczy zwierzęcia nie padły na mnie. Przysiadł, wyczekując komendy.

– Rozpieszczony kundel – wymamrotałem.

Jakby kilka dni temu wcale nie wypatroszył agenta numer cztery. Jemu, tak samo jak mnie, wracały ludzkie uczucia, gdy znajdowaliśmy się w pobliżu mojej córki.

– Vivi, no chodź. – Mała poklepała materac. – Chodź, piesku!

Spojrzenie czarnych ślepi psa znów padło na mnie.

– No idź, Vito – mruknąłem, a ciemny molos niemal wystrzelił do łóżka. – Ale jak się dowiem, że znów wpieprzysz jakieś ciastka, to będziesz spał w budzie.

– Nie będzie – burknęła Molly, otulając psiaka kołdrą.

Patrzyłem na nich jeszcze przez chwilę, dopóki nie zamknąłem drzwi. Zabawne, że czasem sam nie potrafiłem ujarzmić własnych demonów, jednak ta mała cholera miała je w garści. Wszystkie, co do jednego. Nawet krwiożercze psy przy niej stawały się chętnymi do zabawy pupilami. Co za pieprzona ironia.

Jedna osoba jest w stanie kompletnie spierdolić ci życie. Dokładnie jedna osoba jest w stanie je nieco ulepszyć. Wystarczyło pozbyć się dysfunkcyjnego elementu, by całość działała jak należy. I zaprzysięgłem sobie, że zrobię absolutnie wszystko, by to podtrzymać.

Wróciłem do salonu. Carina składała ubrania dziewczynki i układała je w równe kupki. Wyczuła moją obecność, gdy tylko

zmniejszyłem dzielący nas dystans. Podniosła głowę i wyprostowała się jak struna. Nasze oczy odnalazły się w szybie przed nią.

– Klękniij.

Wzięła niespokojny wdech. Odwróciła się ku mnie i osunęła na kolana. Kiedy tylko drżące palce zatańczyły przy gumce moich dresów, poczułem wzbierające z czasem podniecenie.

– Boisz się? – Wygiąłem brew.

– Nie.

– Patrz mi w oczy.

Uniosła wzrok.

– Boisz się? – powtórzyłem.

Przejechała językiem po dolnej wardze.

– Nie.

Wychyliłem się, by sięgnąć za broń, którą wcześniej zostawiłem na komodzie. Odbezpieczyłem ją. Do moich uszu dotarł dźwięk przelykanej śliny. Kocie oczy pozostały wpatrzone w moje. Przesunąłem chłodnym metalem po ciemnych włosach kobiety, zaróżowionym policzku, a następnie przemknąłem czubkiem po pulchnych wargach.

– Otwórz.

Zajęło jej chwilę, by wykonać polecenie. Zauważyłem, jak drgnęły, zanim opuściła dolną wargę. Wsunąłem spluwę do wnętrza, gdy wyrzuciła język na wierzch. Oczy zaszyły jej łzami, a mimo tego nie spuściła spojrzenia z moich.

Pociągnąłem za spust. Wyobrażałem sobie, jak jej śliczna główka rozbryzguje się fontanną krwi na śnieżnobiałą sofę. Mój fiut aż pulsował.

Carina zacisnęła powieki na dźwięk wystrzału.

– Pusty – zauważyłem beznamiętnie.

Brazylijka otworzyła oczy. Mogłem przysiąc, że jej puls dobił dwustu. Na samą myśl wygiąłem ironicznie kącik ust. Zabezpieczyłem broń, odłożyłem ją na swoje miejsce, po czym poderwałem dziewczynę na nogi.

Obróciłem ją tyłem i pchnąłem jej plecy, zmuszając do pochylenia się. Podwinąłem kobiecą sukienkę, odsłaniając przed sobą krągły tyłek. Osunąłem swoje dresy, po czym ująłem penisa w dłoń

i potarłem czubkiem o nabrzmiąłą cipkę. Była tak wilgotna, że pokrywała sokami mojego kutasa. Wbiłem się w nią jednym pchnięciem. Gdyby nie to, że trzymała się oparcia sofy, toby upadła. Wydała z siebie przeciągły jęk.

– Więc jesteś tak samo zepsuta jak ja – wychrypiałem, po czym złapałem ją za kłęb ciemnych włosów. – Dojdiesz mi na fiucie z myślą, że mogłem cię zapierdolić.

Tym razem skomlenie było cichsze. Widziałem, jak z przyjemności przewróciła oczami. Zacząłem ją rznąć. Była tak mokra, że tarcie skór roznosiło się echem po parterze. Opuściła ramiona, osunęła się na sofę i wtuliła w nią twarz, wypinając dla mnie opalony tyłek. Jądra prawie mi wybuchły.

– Na kolana – zarządziłem.

Nieco oszołomiona, wykonała polecenie. Bez zbędnego rozkazu przyssała się do mnie, biorąc kutasa tak głęboko do gardła, aż oczy zaszyły jej łzami. Przytrzymałem ją za włosy, a podtrzymując tył głowy, pieprzyłem jej brudne usta, dopóki nie spuściłem się do ostatniej kropli.

Wysunąłem penisa i poklepałem nim zaczerwieniony policzek kobiety.

– Dobra z ciebie niania. – Uśmiechnąłem się drwiąco. – I całkiem niezła kurwa.

## ROZDZIAŁ 3

### *Saint*

– Dlaczego wyjeżdżamy? – Niewinne zapytanie dotarło do moich uszu.

Z westchnieniem zapiąłem torbę. Osobliwe uczucie wiło się w moich trzewiach. Powolnie przesunąłem spojrzenie na córkę.

– Jedziemy na wakacje.

Poderwała się do siadu z ekscytacją, lecz w drugiej sekundzie zmarszczyła brwi.

– A co to są wakacje?

– Dni wolne od wszystkiego. – Przykucnąłem, by znaleźć się na wysokości wzroku dziewczynki. – Tylko ty i ja.

– Naprawdę? – Niepewność zatańczyła w zielonych tęczęwkach. – Tylko my?

– I nasi przyjaciele – dodałem z myślą o ochroniarzach. – Spędzimy trochę czasu razem.

Chciałem, by myślała, że robiłem to po słowach, które padły wczoraj. Wyjazd miał na celu zapewnienie ochrony Molly, podczas gdy my będziemy zajmować się naprawą pewnych wadliwych elementów. Ale o tym nie musiała wiedzieć.

– Nie cieszysz się? – zapytałem, zaniepokojony jej zakłopotaniem.

Drobne ramiona drgnęły w zawahaniu, jakby nie była świadoma, jakiej odpowiedzi powinna udzielić.

– A co się stanie z pieskami?

Podniosłem się z ostrym westchnieniem. Ona i ten jej dziecięcy umysł.

– Margarida zaopiekuje się nimi – zapewniłem ją. – A my musimy już iść.

– Obiecujesz? – mruknęła, zsuwając się z łóżka.



– Obiecuję. – Choć szczerze, miałem to, kurwa, gdzieś, jak skończą te psy.

Wyglądała na usatysfakcjonowaną odpowiedzią. Wsunęła buty na stopy, a następnie rzuciła się biegiem przez korytarz. Carina unikała mojego wzroku, w przeciwieństwie do Molly. Przez niezamknięte drzwi do sypialni dziewczynki widziałem, jak ją ubierała, jak czesała jej włosy i rozmawiała o sprawach, które zatruwają dzieciom głowy.

I chociaż nie podobało mi się, że okazywała mojej córce tyle czułości, to jakiś pierwiastek mnie wiedział, że Molly tego właśnie potrzebowała – odrobiny kobiecej ręki. Poza tym Carina dbała o to, by mała nie interesowała się tym, czym się zajmowałem. Nie znała innego życia niż to, które dla niej wykreowałem.

– Jedziemy na wakacje! – zaszczebiotała malutka.

Kobiece spojrzenie przyłgnęło do mojej twarzy, jej mina z zaskoczonej przeistoczyła się w przygnębioną. Wiedziała, co to oznacza.

– Ojej – odetchnęła, udając zachwyt. – To cudownie. Baw się dobrze, Molly.

– Czy niania może jechać z nami, tatusiu? – Rudowłosa zwróciła ku mnie błagalny wzrok.

– Nie – odparowałem bez cienia zawahania. – Pospiesz się, Molly, nie mamy całego dnia.

Wymieniły ostatnie spojrzenia. Delikatna dłoń sięgnęła mojej. Z zaskoczeniem zerknąłem w dół, na spotkanie megawatowego uśmiechu dziewczynki. Niewiele mówiąc, poprowadziłem ją za sobą.

Samochód stał zaparkowany na podjeździe. Mój człowiek skinął mi głową i bez słowa otworzył drzwi przed dziewczynką.

– Wsiadaj – ponagliłem ją.

Po tym, jak zapiałem ją pasami, wyciągnąłem rękę do kierowcy.

– Kluczyki.

– Ale...

– Sam pokieruję – doprecyzowałem. – Zajmij się czymś pożyteczniejszym.

– Oczywiście, proszę pana.

Bezpieczniejszą opcją dla mnie było przewiezienie córki do miejsca, które znałem i osobiście sprawdziłem. Przez większość

drogi oboje milczeliśmy. Co jakiś czas zerkałem w lusterko, by obserwować Molly. Wyglądała na zamysloną, jednak cokolwiek dręczyło jej umysł, nie było moim problemem.

Nauczyłem się, że nawet cisza może wiele znaczyć.

Dom Michelle znajdował się na obrzeżach miasta, w zacisznej i uzbrojonej dzielnicy. Ochroniarze patrolowali posiadłość, zapewniając najwyższą formę bezpieczeństwa.

Mój bratanek zrezygnował z kopania piłki, gdy dostrzegł nasz samochód. Usłyszałem niepokieszone westchnienie córki.

– Co? – Odwróciłem głowę ku niej. – Coś ci się nie podoba?

– Myślałam, że będziemy sami. – Posłała mi zawiedzione spojrzenie, zanim odwróciła je do Theo. – Nie lubię go.

– To twoja rodzina, Molly. Musicie trzymać się razem.

– On jest chłopakiem. – Skrzywiła się na samo słowo „chłopak”. – Jest starszy, głośny i chciałby tylko kopać tę głupią piłkę.

Wygiąłem brew. Nie podobało mi się to podejście.

– Masz dziesięć sekund na zmianę podejścia, zanim dam ci prawdziwy powód do niezadowolenia. – Ostrzeżenie z mojej strony padło tylko raz. – Wsiadaj i lepiej się uśmiechaj.

Przewróciła oczami. Nacisnęła klamkę, a gdy miała wysiąść, odezwałem się:

– Wróć i zamknij drzwi.

Posłała mi zaskoczone spojrzenie.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem?

W spowolnionym tempie wróciła na miejsce, po czym wykonała moje polecenie.

– Jeśli jeszcze raz przewrócisz na mnie oczami, nigdy więcej nie opuścisz domu. – Obdarzyłem ją chłodnym uśmiechem, który dosadnie powinien trafić do jej główki. – Czy to jest dla ciebie jasne?

– Nie chciałam...

– Jednego dnia narzekasz, że nie spędzamy razem czasu, ale gdy już cię gdzieś zabieram, ty nawet tego nie doceniasz – skarciłem ją surowym tonem. – Dobrze wiesz, że tata dotrzymuje słowa, więc lepiej nie wystawiaj tego na próbę.

Zwiesiła głowę. W nerwach zaczęła wyginać palce.

– Przepraszam, tatusiu.

– Tak właśnie myślałem – odpowiedziałem, wysiadając z auta. – Nikt nie każe ci się z nim bawić, ale nie zapominaj jednego. – Wytknąłem palec w jej stronę, gdy stanęła przy mnie z oczami wlepionymi w moje buty. – Rodzina to jedyne, co masz.

– Wiem – odetchnęła.

– Nie zwieszaj wzroku, gdy do kogoś mówisz.

Podniosła na mnie załzawione oczy. Z nerwów zacisnąłem szczękę.

– Natychmiast przestań.

Choć zacisnęła wargi, mięśnie brody wciąż drżały. Zmrużyłem oczy.

– Powiedziałem, żebyś przestała – wycodziłem przez niemal zaciśnięte zęby. – Jesteś Molly McCann, wiesz, co to znaczy? – Ująłem jej podbródek, zmuszając ją do spojrzenia na siebie. – Nie okazujesz słabości. Nie płaczesz. Nie spuszczasz wzroku i nie uciekasz. Nie jesteś słaba. Jesteś moją córką, lisku.

Pokiwała powoli głową. Wyciągnąłem do niej dłoń, a ona posłusznie złapała moje palce.

– Witaj, *padrinho*<sup>1</sup>. – Theo wydawał się zadowolony z naszej obecności. – Cześć, Molly.

Chociaż został spłodzony przez skurwysyna, który zaburzył moje sprawy, obiecałem Michelle, że będę go chronił jak własnego syna. I tak właśnie było.

Mała pomachała mu lakonicznie.

– Gdzie twoja matka? – zapytałem.

– W domu. – Kiwnął głową we wspomnianym kierunku.

Molly ścisnęła mocniej moją dłoń na znak, że chciała pójść ze mną. Pozwoliłem jej na to. W mieszkaniu unosił się znajomy zapach *bolo formigueiro*<sup>2</sup> i przywoływał na myśl beztroskie czasy dzieciństwa. Nasza matka piekła je zawsze wtedy, gdy spodziewała się gości.

– Pieczesz – zauważyłem, zwracając się do siostry. – Jest jakiś powód?

– Dzieci to wystarczający powód. – Zerknęła na mnie przez ramię, po czym posłała rozkoszny uśmiech mojej córce. – Coś się stało, perełko? Dlaczego się dąsas?

– Jest kapryśna. – Zwęziłem oczy na dziewczynkę. – Ale za chwilę wszystko będzie dobrze, prawda?

– Tak. – Potaknęła.

Michelle przekrzywiła głowę z westchnieniem, zanim wyciągnęła rękę do małej. Zatrzymałem ją, gdy zamierzała podejść.

– Molly, nie.

Spojrzenie siostry było ostre i przenikliwe.

– O co ci chodzi? – Zmarszczyła brwi. – Dlaczego nie może się przytulić?

– Bo jej na to nie pozwalam.

Kobieta opuściła ramiona, jak gdybym pokonał ją tym jednym zdaniem.

– Tobie do reszty już odważyło? – Powstrzymała się od warknięcia.

– Zabraniasz własnej córce przytulania?

– To moja córka – przypominałem jej. – I to ja o niej decyduję.

– To tylko dziecko, Saint. – Tym razem podniosła głos.

– Nie próbuj mydlić mi oczu. – Pokręciłem powoli głową. – To ja dbam o jej bezpieczeństwo i o to, by nie stała się miernotą w przyszłości.

– Na Boga, nie mów tak przy niej! – Wyrzuciła rękę w powietrze.

Uśmiechnąłem się złośliwie.

– Beze mnie, twój dzieciak...

– Nie waż się mówić o moim synu.

Poczułem zaostzony czubek paznokcia wbity w mój tors. Przeniosłem tam wzrok, zanim powróciłem oczami do twarzy siostry.

– Dobrze radzę, zabierz dłoń.

– Nie bądź bestią, Saint. – Wyczułem cień prośby w kobiecym głosie. – Nie bądź jak ojciec.

– Zamilcz.

Zacisnęła usta w wąską linię. Patrząc na Molly, posłała jej łzawy uśmiech. Miałem ochotę przewrócić oczami. Moja siostra zawsze była miękką kluchą, trzymaną z dala od biznesu i tego, co złe.

Tym razem nie oponowałem, gdy spróbowała przytulić moją córkę. Mała otoczyła ramionami jej szyję, drobne ramiona opadły, a ona sama stała się mniej ostrożna.

To właśnie uczucia robią z ludźmi – usypiają ich czujność, doprowadzając do katastrofy.

– Jesteś taką grzeczną dziewczynką. – Słyszałem, jak szeptała. – Taka śliczna i dzielna. – Pocałowała małą w policzek, po czym ujęła jej twarz w dłonie.

Molly do niej lgnęła, wtulając się w kobiecą pierś. Przez krótką chwilę wyobraziłem sobie, jak ruda przytula naszą córkę, a później omal nie zmiażdżyłem sobie szczęki. Jeśli to słodkie gówno miało się dziać, to nie na moich oczach.

– Muszę wyjechać – obwieściłem. – Potrzebuję kilku dni.

– Powiedziałeś, że będziemy razem. – Dziecięcy głos zwrócił moją uwagę.

– Zmieniłem zdanie – skłamałem. Od początku taki był plan. – Zostaniesz z Michelle i Theo.

– Dokąd jedziesz? – Siostra obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

– Jadę na pogrzeb.

– Pogrzeb? – zdziwiła się. – Czyj?

Jednego, może dwóch, ewentualnie wszystkich gnid z pierdolonego rządu.

– Przedstawiciela rodziny z Brasillii. – Wbiłem w nią wzrok bez cienia zawahania. – Biznes to biznes – powiedziałem, zanim moje spojrzenie padło na córkę. – A pogrzeby nie są dla dzieci.

Wiedziałem, że Michelle mi nie wierzyła, jednak jej wiara nie była mi do niczego potrzebna.

– Zawołaj Theo na ciasto – zwróciła się do Molly. – Nie zapomnijcie umyć rąk, dobrze?

Oboje czekaliśmy, aż drzwi się za nią zamkną. Spojrzenie kobiety zdradzało, że miała coś jeszcze do powiedzenia.

– Jesteś potworem, wiesz?

Przewróciłem oczami, rozczarowany, że nie wpadła na nic lepszego.

– Nie przynudzaj.

– Myślisz, że nie wiem, co się kroi? – Skrzyżowała ramiona pod piersiami. – Cokolwiek zamierzasz, Saint, zastanów się nad konsekwencjami.

– Lekcje pokory zachowaj dla syna – mruknąłem. – Nie jesteś od tego, by mnie pouczać.

– Nie pouczam, durniu! – Pchnęła mnie w tors.

Ani drgnąłem.

– Martwię się, nie widzisz tego? Naprawdę jesteś aż tak zaślepiiony mrokiem?!

– Ckliwe, w twoim typie – wymamrotałem, cofając się o krok. – Zrób nam obojgu przysługę i przestań gadać.

– Jesteś moim bratem. – Wypuściła ciężki oddech. – Mam tylko ciebie. Jeśli coś ci się stanie...

Nawiązałem z nią kontakt wzrokowy, a ona zmniejszyła odległość między nami. Nie cofnąłem się, kiedy przytuliła twarz do mojego torsu.

– Nie chcę znów przez to przechodzić. – Wiedziałem, że miała na myśli śmierć męża. – Nie możesz mnie zostawić z tym samej, Saint. Potrzebuję cię. Potrzebuję cię żywego.

– Jesteśmy ludźmi honoru, Michelle. Nie jesteśmy ulicznym gangiem ani ludźmi bawiącymi się w *Monopoly* – przypomniałem jej. – Jeśli będę musiał umrzeć, umrę. Odejdę wierny swojej rodzinie.

– Jak możesz mówić tak spokojnie o śmierci? – Uniosła na mnie zapłakane oczy. – A co z Molly? Nie ma już matki. Naprawdę chcesz, żeby straciła też ojca?

– Dlatego, do kurwy, nie pozwalałam jej na takie przytulanki. – Pilnowałem, by mój głos pozostał ostry. – Musi się pozbierać po mojej śmierci, żeby...

– Żeby co? – prychnęła. – Przejęła biznes? To chciałeś powiedzieć? – Wygięła brwi w górę. – Naprawdę myślisz, że kilkuletnia dziewczynka poradzi sobie z takim imperium? Nie możesz być poważny.

– Żeby się nie załamała, kiedy mnie zabraknie – poprawiłem ją. – Po mojej śmierci biznes nie będzie miał żadnego znaczenia. Molly będzie miała. – Co do tego nie miałem żadnej wątpliwości. – Większość majątku została przepisana na nią na kilkunastu różnych kontach w kilku krajach na całym świecie. Nie musi przejmować imperium, ale tylko w ten sposób ją ochronię.

Theo wtargnął do kuchni, machając dłońmi, by strząsnąć z nich kropelki wody. Spoważniał pod moim spojrzeniem. Molly zaś snuła się za chłopakiem jak własny cień.

– Pójdę już – powiedziałem. – Wrócę za kilka dni.

Michelle posłała mi wymowne spojrzenie, a córka zaś nieco przygnębiona.

– Molly? – odezwałem się.

– Tak?

Popchnięty własnymi przemyśleniami, nachyliłem się nad nią, a moje usta spoczęły na czubku jej głowy. Była tym na tyle zaskoczona, że jej oczy rozblysnęły czymś, czego dawno nie widziałem.

– Niedługo wrócę – obiecałem.

Rozciągnęła ukośnie kąciki ust i potaknęła energicznie.

W milczeniu opuściłem dom, a mój uważny wzrok zrobił szybkie rozeznanie. Tu byli bezpieczni, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości.

Niemniej jednak mój plan nie cierpiał zwłoki.



# ROZDZIAŁ 4

## *Saint*

### **Brasilia, Brazylia**

Trudno jest kontrolować system, nad którym nie miało się kontroli przez pięć lat. Sytuacja w Brazylii uległa drastycznej zmianie, bo wybory prezydenckie wygrał ten, który poczuł zbyt wielką władzę.

Znałem korupcyjną moc pieniądza. Wiedziałem, co kasa potrafiła robić z ludźmi. W naszym państwie działało *quadrado*<sup>3</sup>. Rząd przymykał oko na działalność rodzin i karteli, sprawując nad nimi kontrolę, by w papierach wszystko pozostało śnieżnobiałe. Pozwalając nam na biznes, otrzymywali część dochodów, trafiającą do skarbu państwa. To dzięki nam ten pierdołnik jeszcze nie sięgnął dna.

Ale nowy prezydent był inny i coś mi podpowiadało, że należało go utemperować, ponieważ stał się zbyt odważny. Doszło do zatrzymań moich żołnierzy. Niszczono budynki mieszkalne i lokale, wobec których wysnuto podejrzenie, że stanowią miejsca produkcji, magazynowania lub handlu towarem, a które należały do mnie. Zamknięto jeden z sześciu głównych szlaków otwierający mi drogę morską na rynek europejski. Okroił własnych obywateli z miejsc pracy. Ci sami ludzie, którzy działali na rzecz mojego biznesu, przychodzili do mnie ze łzami w oczach, prosząc o ratunek i ochronę.

To moja rodzina zmieniła społeczność w bardziej zorganizowaną, a przy tym mniej brutalną. Byliśmy szanowani, bo wprowadziliśmy porządek, czyli to, czego nie potrafił rząd. Byliśmy wybawicielami dla biednych, wszędzie tam, gdzie państwo było nieobecne. Wszyscy przestrzegali naszych zasad.

Moi ludzie są w parlamencie, w wymiarze sprawiedliwości, w największych brazylijskich spółkach. Policjanci, sędziowie, politycy, prokuratura – każdy miał swoją cenę, by działać na twoich usługach.

Treviño Murciélago chciał iść ze mną na wojnę, a ja przyjąłem to zaproszenie.

Postawiłem całą stolicę w gotowości. Brasilia była miejscem ataku. Przedostanie się tu prywatnymi samolotami to wyłącznie kwestia czasu. Moi *os falcões*<sup>4</sup> na bieżąco raportowali sytuację na ulicach. Nasz człowiek z biura prezydenta potwierdził wieczorny przejazd z Palácio do Planalto<sup>5</sup> do Palácio da Alvorada<sup>6</sup>. Podlegające mi kartele zakotwiczyły na trasie.

– Zapowiada się na deszcz. – Głos Rio rozbrzmiał w słuchawce.

Ten skrót myślowy miał oznaczać, że cel opuścił kryjówkę.

– Deszcz krwi – wymamrotał Fábio po mojej prawej. – Skurwysyn się doigrał.

Obaj leżeliśmy na platformie autobusowej, którą przejazd został zablokowany przez lokalny kartel. Obserwowałem ruch przez lunetę mojego McMillana. Karabin był gotowy do wystrzelenia w każdej chwili. Dziewięć minut. Tyle wynosił czas przejazdu z jednego punktu do drugiego. A my mieliśmy tylko trzy, by upolować naszą księżniczkę i jej krasnoludków.

– Widzę autokar. – Kolejny głos wtoczył się do mojego ucha.

– Zrozumiałem. – Porozumiewali się między sobą. – Wjazd na N1 zablokowany. Ciężarówki blokują drogę.

– Zmuscie ich do zatrzymania – rozkazałem.

– Przyjąłem.

Przez celownik obserwowałem, jak moi ludzie przebrani w niebieskie stroje robotników drogowych wymusili zatrzymanie prezydenckiego przejazdu.

– Nasz cel ma przeżyć, reszta mnie nie obchodzi – warknąłem. – Teraz.

Wystrzały sparaliżowały pojazd. Ci, którzy sięgali po broń, zostali unicestwieni. Sam trafiłem dwóch. Trzech członków ze składu uderzeniowego wtargnęło do środka.

– Idziemy – powiedziałem do Fábio.

Zbiegliśmy w dół platformy, by ruszyć pędem w stronę autokaru.

*Sicário*<sup>z</sup> wywlókł zwłoki kierowcy, jak sądziłem po uniformie. Nie miał połowy twarzy, a z pozostałości po nosie i górnej szczęce spływała krew. Mężczyzna wyrzucił trupa na pobocze, a zwłoki stoczyły się do rowu.

Ciała ochroniarzy wały się bezwładnie po siedzeniach i podłodze. Sięgnąłem po broń z kabury i przeładowałem ją.

– Siadaj za kierownicą. – Wskazałem na fotel.

Żołnierz bez wahania wykonał polecenie.

– Jedź na L4. W pobliżu znajdują się puste pola.

Kiwnął głową.

Fábio trzymał ludzi na celowniku. Ismael, drugi *sicário*, odebrał wszystkim elektronikę. Cudownie, chłopcy zachowali dla mnie samych ministrów i prezydenta.

– Głowy na dół. Ktokolwiek podniesie łeb, to mu go podziurawię.

– Mój ton pozostał twardy.

Szloch i odgłosy modlitw niosły się po pokładzie. Jeden głos brzmiał inaczej, jakby rozkazująco. Facet na przedostatnim miejscu kulił się, przyciskając palce do ucha. Odbezpieczyłem gnata, gdy zmniejszyłem dzielący nas dystans.

– A ty myślisz, że co, do kurwy, robisz? – warknąłem.

Poderwał głowę. Zielone oczy wpatrywały się z przerażeniem w moje.

– Ja... ja...

W uchu miał bezprzewodową słuchawkę. Wyciągnąłem po nią dłoń, a on oddał mi ją drżącymi palcami.

– Przepraszam – wydukał.

Zrzuciłem słuchawkę pod nogi i rozdeptałem ją głanem.

– Dzwoniłeś gdzieś?

– Nie. – Zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

– Ale zamierzał. – Ismael wysunął przede mnie telefon z włączonym asystentem, gotowym do wykonania połączenia.

Zerknąłem na smartfona, a potem na ministra. Warga mu drżała, z oczu pociekły łzy.

– Okłamałeś mnie.

Zapowietrzył się. To ostatni raz, gdy wciągnął powietrze przez usta. Pociągnąłem za spust, a ciało mężczyzny osunęło się w fotelu. Krew spływała mu po rozjebanej twarzoczaszce na garnitur, opryskując przy okazji pasażerkę na ostatnim siedzeniu.

Krzyk pełen przerażenia prawie rozszarpał mi bębenki.

– Zamknąć się, kurwa! – wrzasnąłem.

Ucichli. Wrócili do ryczenia pod nosem.

– Ktoś jeszcze zamierza gdzieś zadzwonić? – Rozejrzałem się po twarzach rządowych kurew. Nikt nie podniósł wzroku. – Tak myślałem.

Autokar zatrzymał się pośrodku niczego. Żołnierz otworzył drzwi, a na zewnątrz czekała uzbrojona grupa moich ludzi i kilka ciężarówek.

– Jeśli chcecie przeżyć, musicie być posłuszni jak pierdolone psy. – Przetoczyłem spojrzeniem po pasażerach. – Czy to jest jasne?

Cisza.

Wystrzeliłem w dach, wywołując kolejną falę paniki.

– Czy to jest, kurwa, jasne?!

Potok mamroczących „tak” rozniósł się po autobusie.

– Wysiadać. – Kiwnąłem głową na wyjście.

Ministrowie popatrzyli po sobie. Ociągali się z podniesieniem z miejsc. Poderwałem kolesia za kołnierz, po czym kopnąłem go w kręgosłup.

– Rusz się, sukinsynu, albo wszystkich was zapierdolę!

Z niskim jękiem powlókł się do wyjścia.

– Ty. – Wskazałem bronią na kobietę w okularach. – Pomóż mu.

Poderwała się jak przerażony kot i popędziła do mężczyzny. Zająłem się resztą, dopóki prezydent nie napatoczył się na mojej drodze.

– Ty nie. – Kiwnąłem na niego brodą. – Wracaj na miejsce.

Popatrzył na fotel, na którym wcześniej siedział, zanim jego spojrzenie wróciło do mnie. Zorientowałem się, że to nie siedzenie zwróciło uwagę polityka. Podszedłem bliżej. Drobna brunetka kucała skulona na podłodze, chowając głowę w ramionach.

– Głucha byłaś, gdy kazałem wszystkim wypierdalać? – Gotów byłem wyrwać się w jej stronę.

Starzec stanął mi na drodze.

– Proszę, nie. – Zaparł się, a błagalny wzrok zaczął błądzić po mojej twarzy. – To moja córka. Nie krzywdź jej.

– Twoja córka – powtórzyłem.

– Oddam wszystkie pieniądze – zapewnił. – Oddam też dom i samochód. Nie zgłoszę niczego – prosił słuźalczko. – Błagam, pozwól nam odejść.

Ten skurwysyn nie mógł być poważny. Spojrzałem na niego stanowczo.

– Kpisz sobie ze mnie? – Wygiąłem brew, a na usta pchał mi się demoniczny uśmiech.

– Nie, nie. – Kręcił głową w sprzeczynie. – Zapewnię pieniądze. Wyznacz kwotę. Wykonam telefon i zlecę przelew w kilka minut.

Podtrzymałem uśmiech. Mężczyzna, zamiast go odwzajemnić, przelknął ślinę, zapewne żalując swojej propozycji. Owinąłem palce wokół jego szyi i przyciągnąłem pod swoje lico, aż nasze nosy niemal się zetknęły.

– Przez ciebie, kurwo, dziennie tracę grube miliony – powiedziałem niskim, chrapliwym głosem. – Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę. To, co się tutaj dzieje, to nie pierdolona negocjacja. Myślisz, że dasz mi odrobinę kasy i na tym nasze drogi się rozejdą?

Wyraz jego twarzy uległ diametralnej zmianie. Nie było już w niej nadziei. Prawie posiniał z powodu nacisku, jaki moje palce wywierały mu na gardło.

– Cuchniesz strachem, pierdolona cipo. – Pchnąłem go na podłogę. – Nie wierzę, że ktoś taki jak ty próbował mi zaszkodzić.

– Zrobię, co zechcesz – wykrztusił.

– Tak się składa, że nie masz wyjścia. – Przycisnąłem but do jego jaj i wymierzyłem spluwą w prezydencką mordę. – Nikomu nie wadziłem. Mój biznes jest mój. Rio jest moje. Ten kraj jest mój. Ludzie chcą żyć w spokoju i ja im to, kurwa, zapewniłem. – Zwiększyłem nacisk na jego fiuta, powodując jęki cierpiętnika. – Nie zadzieramy z uczciwymi ludźmi, jeśli oni nie zadzierają z nami.

Jesteśmy ludźmi honoru, Murciélago. Nie porywamy, nie wymuszamy, nie zabijamy niewinnych.

Skręcał się pod moim butem, kwiląc z bólu.

– Twój poprzednik wiedział, że nie należy nam wchodzić w drogę – mówiłem z udawanym politowaniem. – Reguła „srebro albo ołów”<sup>8</sup> była mu doskonale znana. Ale wtedy wparowałeś ty... – stanąłem nad nim okrakiem – ...i zachciało ci się bawić w pierdolonego szeryfa, co?

– Zrobię, co zechcesz – powtarzał zawzięcie.

Odbezpieczyłem broń. Szmaciarz pode mną nakrył się dłońmi. Miałem już położyć palec na spuście, gdy kobieta wyrwała się w stronę starca.

– Nie! – wrzasnęła płaczliwie.

Zmrużyłem oczy. Teraz oboje byli na moim celowniku.

– Zaria – wychrypiał. – Schowaj się, *querida*<sup>9</sup>.

– Tatusiu... – Nachyliła się nad ojcem, czułym ruchem pieszcząc jego policzek. Gdy tylko zwróciła spojrzenie ku mnie, z dziewczęcej twarzy zniknęło zmartwienie, zastąpiło je wkurwienie. – Czego od nas chcesz?! – wrzasnęła, podnosząc się na równe nogi.

Zaimponowało mi, że próbowała ochronić ojca. Słodki zapach niewinności połaskotał mi nozdrza. Miała buźkę laleczki, bez żadnej skazy. Ciemne włosy przypominały sprężynki. Miała najjaśniejsze zielone oczy, jakie kiedykolwiek widziałem, otoczone długimi, gęstymi rzęsami.

Wyciągnąłem wolną dłoń do jej zaróżowionego policzka. Wzdrygnęła się, poczułem dreszcz kobiety na opuszkach palców. Spuściłem wzrok na pulchne usteczka w kształcie ironicznego serca. Drżały. Drżały z przerażenia.

– Chcę jej – powiedziałem, wracając spojrzeniem do Murciélago.

Dziewczyna cofnęła się o krok, omal nie potykając się na tych niebotycznie wysokich szpilkach.

– Tato? – Głos miała nabrzmiały od łez.

Odwróciła głowę do starca, który ostrożnie podniósł się do siadu.

– Nie oddam ci córki – zaryzykował sprzeciwem.

– W takim razie sam ją sobie wezmę.

Szarpnąłem brunetkę za ramię. Zaczęła się wyrywać, wrzeszcząc wniebogłosy.

– Kurwa, jeszcze jedno piśnięcie z twoich ust, a poderżnę ci to twoje śliczne gardelko. – Uciszyłem ją mocnym chwytem za szyję. – Wypróbuj mnie. Zobaczysz, że nie rzucam słów na wiatr.

– Proszę... – Mężczyzna był już na nogach, gdy na nas patrzył. – Na pewno możemy znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

– Myślisz, że twoja dziewczynka wszystko mi wynagrodzi? – prychnąłem w złośliwym uśmiešku, zsuwając dłoń do kobiecej talii. – Uznam ją za nagrodę pocieszenia, dopóki nie zwrócisz tego, co moje.

– To jeszcze dziecko – próbował mnie przekonać. – Ma tylko dwadzieścia trzy lata.

– I mogę ją legalnie rznąć, od kiedy skończyła czternaście – zadrwiłem. – Prezydent nie wie takich rzeczy?

Filigranowe ramiona zadrżały przy moim ciele.

– Nie możesz tego zrobić – mówiła do mojego policzka. – Nie możesz mnie traktować, jakbym była zastawem!

Zwróciłem ku niej twarz. Nasze nosy prawie się stykały.

– Dziecinko, ja mogę wszystko.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Nie jesteś bezkarny. – Zadarła dumnie brodę. – Nasi ochroniarze zorientują się, że nas nie ma. Za chwilę wszyscy zostaniecie rozstrzelani, pieprzone diabły. – Splunęła mi gniewnie pod stopy.

Uniosłem brew, a na usta wypłynął mi szeroki uśmiech.

– Teraz mam pewność, że cię zabiorę.

Próbowała się wyrwać. Szarpała się jak zwierzyna zbyt łatwo złapana w myśliwską sieć. Chwyciłem ją za dłoń i zgmiotłem ją w pięści. Dziewczyna zapłakała z bólu, słaniając się na nogach.

– Zabieram ze sobą twoją córkę – oświadczyłem Murciélago. – W ten sposób ocalisz siebie, ją, swoich ludzi i władzę.

– Tato, nie zgadzaj się na to! – zaszlochała.

Przytknąłem spluwę do skroni dziewczyny.

– Nie jest zabezpieczona – ostrzegłem. – Jedna zła decyzja, a jej piękna buźka pozostanie już tylko wspomnieniem.



– Idź do diabła! – ryknął na mnie, prawie rwąc kępki siwych włosów z głowy.

Uśmiechnąłem się mrocznie.

– Ja jestem diabłem.

Odkąd tylko ten sukinsyn objął urząd, pojawiały się plotki o jego skorumpowaniu. Zamieszki na ulicach z każdym dniem przybierały na sile, co skutkowało krwawym stłumieniem, by wprowadzić rzekomy porządek.

Już w kampanii wyborczej zapowiadał, że jest nieustraszony. Chodził zbyt śmiało po brazylijskich ulicach, prawiąc, jak to żadne groźby członków karteli, mafii czy syndykatów nie robią na nim wrażenia, uważając ich członków za podludzi niewartych życia w kraju. Przywoływał masakry między gangami, obarczając ich winą za przemoc, nękanie i werbowanie do przestępczego świata.

Zapach pieniędzy musiał zamaskować ciągnący się za nim smród handlu ludźmi. Sprzedawanie przed laty dziewczynek z faweli<sup>10</sup> było tylko wierzchołkiem góry lodowej, którą starał się za wszelką cenę roztopić. I jakoś dziwnym trafem kompletnie puścił to w niepamięć.

Więszym zaufaniem wciąż cieszyła się moja rodzina niż rząd. Nie wierono w zmiany na lepsze, obawiając się, że jeśli odetną się od naszych wpływów, władza wypnie się na nich, gdy tylko osiągnie swój cel.

A wtedy ludzie tracą przywileje, które im oferowaliśmy. I cóż, nie pomyliby się.

– Weź mnie, zamiast niej – zaoferował polityk. – Ona nie jest niczemu winna.

– Nie mam z ciebie żadnego pożytku – mruknąłem ze wzdrgą. – A ona otworzy mi wiele drzwi i zapewne dobrze obciągnie fiuta.

Przesunąłem chłodnym metalem po dziewczęcej buźce. Panna wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Proszę...

– Miałeś szansę, by się zrehabilitować – przerwałem mu. – Na zlecenie twoich popychadeł zamknięto lokale, które mi podlegały. Odebrałeś moim ludziom pracę. Zamknąłeś szlaki, które miałem na wyłączność, i nakazałeś aresztowania tych, którzy pracowali dla

mnie. Codziennie tracę grube miliony. – Mój głos był przepełniony nienawiścią, choć brzmiał beznamietnie. – Dałem ci szansę, nie skorzystałeś z niej. Moja cierpliwość się skończyła.

– Co chcesz, żebym zrobił? – dopytywał. – Mogę wszystko cofnąć.

– Masz mnie za durnia? – Zachrypnięty śmiech wydostał się z mojego gardła. – Myślisz, że pozwolę ci odejść i uwierzę, że tak łatwo spełnisz moje żądania? Gdyby tak było, dawno mielibyśmy wszystko załatwione.

– Jakie są twoje żądania?

Och, co za wzruszająca scena. Tak bardzo starał się walczyć!

– Odblokujesz drogi przepływu, które mi podlegały. Ogłosisz amnestię wobec moich ludzi. Lokale mają zostać odbudowane, co do jednego.

– Zrobię wszystko.

– Nie skończyłem – prychnąłem arogancko. – Twoi żołnierze będą pracować dla mnie, by wypławić z Brazylii meksykańskie ścierwa, które za bardzo rozgościły się na moim terenie.

– Co ja powiem ludziom? – pytał zrozpaczony. – Oskarżą mnie o współpracę z... – ugryzł się w język, jakby dbał o poprawność polityczną – ...grupami waszego pokroju.

– Więc zrobimy tak... – Moje słowa zawisły między nami. –

Będziesz wypełniał moje rozkazy pod przykrywką działalności antykartelowej i antynarkotykowej. W mediach będziesz mówił, że likwidujesz zagrożenie, podczas gdy twoi ludzie będą zarzynać te psy z Meksyku. Ty zostaniesz bohaterem, a ja...

Kątem oka zarejestrowałem ruch. Podczas gdy byłem zajęty negocjacją, dziewczyna powoli sięgała ręką po broń zamordowanego ochroniarza. Aż uśmiechnąłem się na jej spryt. Szarpnąłem ją za włosy, aż zawyla z bólu.

– Nie krzywdź jej! – wrzasnął prezydent.

– Chciałaś sobie postrzelać, suko? – warknąłem, wciskając lufę do jej ust. – Postrzelajmy. Chcesz posmakować ołowiu?

Zacisnęła powieki, sparaliżowana przerażeniem. Rzęsiste łyzy popłynęły po twarzy. Ledwie zaprzeczała ruchem głowy, jakby bała się, że sprowokuje wystrzał. Ten skurwiel coś krzyczał, doprowadzając mnie do szewskiej pasji.

– Koniec negocjacji, kurwa! – ryknąłem podminowany. – Warunki mają zostać spełnione albo będziesz zdrapywał mózg córeczki z podłogi.

– Dobrze! Już, dobrze! – zawył. – Zrobię wszystko, na Boga! Wszystko!

Cisza. Metal opuścił kobiece usta, a drobnym ciałem wstrząsnęły torsje. Poderwałem tę sukę z podłogi. Szloch nie pozwalał jej na złapanie oddechu.

– Przestań wyc – warknąłem wymagającym tonem. – Albo przez resztę życia będziesz wpierdalać papkę przez rurkę.

Jak na zawołanie łzy ustały. Pociągnęła nosem. Czułem, jak drżała, ledwie mogła ustać na nogach.

– Chciałaś postrzelać? – Stałem tuż za nią, złapałem za dłoń i wcisnąłem w nią pistolet. – No dalej, spróbuj.

Ledwie mogła utrzymać kolbę. To żelastwo ciążyło jej w ręce i niewątpliwie było to skutkiem wieloletniego wpajania przez ojca do jej niewinnego mózgu, że to mordercza broń. Przeładowałem drugą splotkę i przystawiłem jej do skroni.

– Strzel mu w ramię.

Pokręciła energicznie głową w sprzecznię. Ojciec patrzył na nią oczami pełnymi przerażenia, aż ledwie powstrzymałem śmiech.

– Strzelaj albo pierwszy pociągnę za spust – mruknąłem jej do ucha. – Albo ja strzelę ci w łeb, albo ty mu w ramię.

– Nie – wydusiła jęk. – Proszę, nie.

– Racja – wychrypiałem głosem zabarwionym rozbawieniem. – Twoja śliczna główka jeszcze mi się przyda, ale twój stary nie jest niezastąpiony. – Po tych słowach sam wycelowałem w stronę polityka. – Albo ty strzelisz mu w ramię, albo ja rozpierdolę mu łeb. – Nie powstrzymałem się przed muśnięciem jej karku. – Obiecuję, że nie będę delikatny.

– Proszę, nie – błagała. – Proszę, nie rób tego.

– Pociągnij, kurwa, za spust.

– Proszę...

– Przestań mnie błagać, bo zaczyna mi się to podobać. – Kącik moich ust powędrował w górę.

– Zaria, popatrz na mnie – przekonywał ją. – To tylko ramię. Wyjdę z tego.

– Tato... – zapłakała, kręcąc głową. – Nie mogę.

– Bądź silna, *querida*. Po prostu to zrób.

– Tatusiu...

Zaraz się, kurwa, zrzygam.

– W porządku, nie płacz, moja śliczna. Zrób to dla naszego państwa.

Palec drżał jej przy spuście. Przeczulem, że próbowała wycelować w samą krawędź jego ramienia, by ucierpieć jak najmniej. Im bardziej naciskała, tym trudniej przyszło jej zwolnić pocisk.

– Do kurwy nędzy, strzelaj!

Pchnąłem jej palec, prowokując do wystrzału.

Huk był tak głośny, że drgnęła w oszołomieniu. Bolesny wrzask starucha rozrywał uszy, a młoda opadła przy nim na kolana, doszukując się rany postrzałowej. Krew zaczęła znaczyć materiał na lewym ramieniu.

– Tatusiu... – zapłakała, ujmując jego twarz w dłonie. – Przepraszam. Tak bardzo przepraszam. Ja... ja nie chciałam.

Nie był w stanie niczego z siebie wykrztusić, zwijając się z bóleści.

– Uroczą scenką – zanuciłem kpiąco. – Fajnie jest machać bronią na lewo i prawo, co? Gorzej jest przyjąć tego konsekwencje.

Odwróciła się ku mnie. Cała złość, jaka w niej wezbrała, zaczynała kipieć pod skórą. Czułem to z daleka. Zerwała się na równe nogi, wymierzając broń i oddała strzał.

Pusty.

Nawet przez chwilę nie przyszło mi przez myśl, by drgnąć. Naprawdę myślała, że dam jej do ręki w pełni załadowaną spluwę? Patrzyłem na nią jak na naiwne dziecko, a złośliwy uśmiezek rozciągał mi wargi.

Zamachnęła się pistoletem, by mnie uderzyć. Zdążyłem zablokować ruch i wybiłem jej nadgarstek. Syknęła z dyskomfortu. Wbiła mi paznokcie w skórę, jakby próbowała ją rozerwać.

– Zapłacisz za to! – wrzeszczała. – Zapłacisz!

Złapałem ją za oba nadgarstki i podciągnąłem do góry tak, że zawisała nad podłogą.

– Twój ojciec zapłaci. – Musnąłem ustami powietrze przed jej wargami, zanim zwróciłem oczy na polityka. – Jeśli jest dziewicą, więcej za nią dostanę.

Kopnęła mnie w pizczel, ledwie to poczułem. Mocniej ścisnąłem jej kończyny, aż wydała z siebie bolesny okrzyk.

– Charakterna – przyznałem z fascynacją. – Mam pieprzony fetysz na takie kobiety, jak ty.

# ROZDZIAŁ 5

## *Saint*

### **Rio de Janeiro, Brazylia**

Ta płacziwa suka nie dawała za wygraną. „Dlaczego to robisz? Czego od nas chcesz?”. Poprzysięgłem sobie, że jeśli te zdania jeszcze raz padną z jej ust, odetnę jej język i wyślę staremu w kopercie.

Mój człowiek wstrzyknął jej środek nasenny, by mogli ją bezproblemowo przetransportować między miastami. Przebudziła się piętnaście godzin później i choć była zdezorientowana, nie przestawała drzeć mordy.

Fábio wepchnął dziewczynę do osobnego pokoju. Upadła bezsilnie na kolana, niezdolna do złapania równowagi. Bolesny jęk towarzyszył kolejnej fali szłochu. Przewróciłem oczami.

– Ucisz ją.

*Sicário* złapał za wąż przeciwpożarowy. Na widok uśmiechu mojego egzekutora i zabawki, którą trzymał, prezydencka zdzira zadrzała w przerażeniu.

– Nie, proszę, nie. – Kręciła desperacko głową. – Proszę...

Lodowaty strumień wody wystrzelił w stronę panny, powalając ją na plecy. Próbowwała z nim walczyć, jednak nie znalazła w sobie wystarczająco dużo sił. Doceniłem ciszę. Nie byłem pewien, czy minęła minuta, czy może więcej.

Uniosłem dłoń, a na ten znak mężczyzna odciął wodę. Dziewczyna z trudem przewróciła się na brzuch. Nie wydobyła z siebie nawet jęku. Jej drobne ciało drżało, gdy leżała w lodowatej kałuży. Słyszałem, że szczękała zębami.

Zmniejszyłem dzielący nas dystans i przykucnąłem przed nią. Patrzyła na moje buty i nie podnosiła wzroku.

– A teraz? – Brew powędrowała mi do góry. – Będiesz grzeczna czy mamy powtórzyć zimny prysznic?

Jej spojrzenie odnalazło moje, było pełne nienawiści i pogardy. Z kpina wygiąłem kącik ust. Złapałem ją za kłęb mokrych włosów i poderwałem jej głowę.

– Nie słyszę odpowiedzi.

Wydała z siebie osłabiony jęk.

– To wam się nie uda – wystękała. – Mój ojciec zrobi wszystko, by mnie z tego wyciągnąć. Za kilka godzin będzie tu całe wojsko. Wybija was jak zarazę.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Od zawsze kręciły mnie takie zadziorne suki. Zamachnąłem się jej głową i przypierdoliłem nią w beton. Straciła przytomność.

– Naiwne dziewczę. – Przesunąłem opuszkami palców po odsłoniętym karku brunetki. – Twój tatuś działa na moich zasadach. Odwróciłem głowę do Fábio. Przyglądał się naszej laleczce z wyjątkową uwagą.

– Podoba ci się?

Jego oczy nawiązały kontakt z moimi. Zmarszczył brwi.

– Nie kłam. – Wyciągnąłem nóż z kieszeni. – Podoba ci się?

– Jeszcze pytasz – prychnął, podchodząc bliżej. – Zwalałem sobie do takich jak ona, gdy byłem nastolatkiem.

Potaknąłem. Rzeczywiście, ta piękna buźka była godna niejednego flagowego pornosa.

Przeciągnąłem ostrzem po materiale sukienki, od samej góry do dołu, aż rozciąłem ją wpół. Młoda Murciélago miała równie pokazowe ciało, co buźkę. Młode piersi były skryte pod białym stanikiem z ledwie okrywającą sutki koronką. *Prowokatorka*. Przeciąłem pasek, który łączył miseczki, a te odstrzeliły na boki. Różowe sutki sterczały.

– Powinienem zrobić sobie z nią zdjęcie i wysłać do jej staruszka, by wiedział, że nie rzucamy słów na wiatr.

Zerknąłem na niego. To nie był głupi pomysł.

– Zrób to.

Rozciąłem białe stringi, po czym rzuciłem je w kąt. Upokorzenie jej to jedno. Kiedy się ocknie, nie będzie miała absolutnie niczego do

zakrycia. Gdy tylko złamię jej niewinną i nieskalaną psychikę, przestanie szczebrać jak rozjuszona suka. Upokorzenie Murciélago to odrębna kwestia. To dowód na to, że zawiódł jako ojciec i prezydent. Będzie pieprzoną kukielką w moich rękach.

– Wsadzę jej fiuta do mordy. – Rozpiął pasek, rozporek, a zaraz potem obniżył spodnie.

– Mam gdzieś, co z nią zrobisz. – Zakręciłem nożem między palcami, gdy wstałem. – Ma być zdolna do mówienia.

Wyszczrzył zęby w chytrym uśmiešku. Widziałem, jak przesuwiał ręką po sterczącym kutasie. Zamiast patrzeć, jak obezwładnia córkę skurwysyna, zamierzałem zająć się własną.

Ciemność powoli mnie opuszczała, gdy wyszedłem z podziemi. Parter skąpała cisza, nie licząc odgłosów dochodzących z salonu. Molly siedziała na puchowym dywanie przed telewizorem. Rozsypane wokół zabawki nie robiły na niej wrażenia. Zajmowała się dwiema lalkami – męską i żeńską postacią. Kiedy tylko wyczuła, że na nią patrzę, podniosła głowę. Na delikatnej twarzyczce rozciągnął się uśmiech.

– Dzień dobry, tatusiu.

Zbliżyłem się.

– Gdzie Carina?

– Eee... – Zamyśliła się. – Zmienia mi pościel.

– Co było nie tak z poprzednią?

– Vito ją pobrudził. Miał brudne od błota łapy.

– Mówiłem, żebyś nie wpuszczała go do łóżka. – Przykucnąłem przy niej, a wierzchem ręki odgarnąłem rude loki z jej twarzy. – Dlaczego mnie nie słuchasz?

Wzruszyła ramionami, posyłając mi przy tym puste spojrzenie.

– Nie wiem.

– To nie jest odpowiedź. – Powtórzyłem muśnięcie palcem na skórze.

Spuściła głowę. W milczeniu wpatrywała się w męską lalkę. Potrzebowała chwili, zanim jej oczy odnalazły moje.

– Bo do mnie nie przyszedłeś.

– Od tego jest niania, ma spędzać z tobą czas. – Przesunąłem wzrok po jej twarzy, by dosadnie mnie zrozumiała. – Wiesz, że



pracuję wieczorami.

– Nie chcę jej. – Opuściła figurkę i poderwała się na równe nogi. – Dlaczego tak jest?

– Ludzie pracują, Molly.

Zmarszczyła gniewnie brwi. Podgryzała nerwowo policzek, a w zielonych oczach zakwitły łzy. Wiedziałem, co to oznacza.

– Natychmiast przestań. – Powstrzymałem się od warknięcia.

Zacisnęła usta, które zaczęły drżeć. Zawsze gdy podnosiłem głos, była bliska zanoszenia się szlochem.

– Nie płacz.

Przyłgnęła do mnie, zarzucając mi ramiona na szyję. Do tej pory w takich sytuacjach podrywałem się i stwarzałem dystans. Tym razem dziwne przecucie kazało mi pozwolić na zbliżenie. Wydawało się, że nawet ona była tym zaskoczona, bo przytuliła mnie jeszcze mocniej. Przez cztery lata ani razu nie okazałem jej takiej czułości.

Otoczyłem ją ramionami, gdy łkała mi w koszulkę.

– Nie płacz – powtórzyłem z sykiem. – Bo odejdę.

Jak na zawołanie nastąpiła cisza. Słyszałem, że jej oddech powoli wracał do normy. Schowała twarz w zagłębieniu mojej szyi, chłonąc ciepło naszej bliskości. Potrzebowała mnie, bo przecież mieliśmy tylko siebie. Ja i ona kontra cały pierdolony świat.

– Molly... – Złapałem ją w tali. – Wystarczy.

– Jeszcze nie. – Kurczowo ścisnęła moją szyję.

Zaczynałem podawać w wątpliwość to, że Carina trzymała się zakazu przytulania mojej córki. Albo to te głupie bajki pokazują jej świat, który dla niej nigdy nie będzie dostępny.

Odczekałem jeszcze chwilę. Mała odsunęła się o krok, zerkając mi w oczy z delikatnym uśmiechem.

– Niania też cię przytula?

Jej wargi opadły do cienkiej linii. Potrząsnęła głową z opóźnieniem.

Zacmokałem z dezaprobatą, a kciukiem musnąłem jej zarumieniony policzek.

– Nie okłamuj mnie. To nie skończy się dla ciebie dobrze.

Spuściła wzrok na ręce. Wyginała palce z namysłem, zanim jej oczy odszukały moje.

– Kiedy zaczynam płakać – zdradziła. – Wtedy mnie przytula.

– Więc wymuszasz płacz?

Wzruszyła ramieniem.

– Tak czy nie?

Pokiwała głową. Zacisnąłem zęby, podnosząc się na równe nogi.

– Wiesz, kto tak robi? – zapytałem ironicznie. – Słabi ludzie. Niestabilni. Życiowe sieroty, które nie radzą sobie z najprostszymi rzeczami – mówiłem podniesionym głosem. – Ty nie jesteś słaba, Molly.

Milczała. Nie spodziewałem się, że cokolwiek powie. Chociaż była tylko dzieckiem, musiałem wpoić jej to do głowy od najmłodszych lat, w przeciwnym razie skończy martwa, gdy dorośnie.

Musiałem znaleźć Carinę. Pokierowany wskazówką dziewczynki, ruszyłem do pokoju na piętrze. Złapałem ją za ramię, gdy zamierzała wyjść z pokoju, i pchnąłem na najbliższą ścianę.

– Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? – warknąłem wkurwiony. – Przytulasz moją córkę po tym, jak ci wyraźnie tego zabroniłem?

Podniosła na mnie oczy wypełnione przerażeniem.

– Ona tego potrzebowała.

– To ja, do kurwy, decyduję o tym, czego ona potrzebuje! – Wbiłem palce w jej szczękę, przyprawiając ją o bolesny dyskomfort. – Jesteś jedyną kobietą, którą do niej bezpośrednio dopuszczam. Nie jesteś jej pierdoloną matką, więc tak się nie zachowuj.

Próbowała uciec od mojego uścisku. Zgniotłem jej zuchwę do tego stopnia, że jęknęła z bólu i zgięła kolana.

– Zrób to jeszcze raz – rzuciłem wyzwanie. – Spróbuj zrobić coś wbrew mojej woli, to cię zapierdolę.

Molly była zbyt mała, by zrozumieć nasz styl życia. W jej oczach byłem tym złym smokiem, który więził ją w wieży, a w oczach naszych wrogów byłem ruchomym celem z wyjątkowo wrażliwym punktem. Właśnie ją.

Puściłem opiekunkę. Złapała się za brodę, pocierając ją z cichym pojękiwaniem.

– Ona po prostu chce być jak inne dzieciaki.

– Nie obchodzi mnie, czego ona chce – mruknąłem chłodno. – To tylko pięcioletnie dziecko. Sam doskonale wiem, co jest dla niej

najlepsze.

– Zamykasz ją na cały świat – mówiła do moich pleców, gdy podszedłem do okien. – Nie możesz jej tu wiecznie przetrzymywać.

– Dopóki biznes nie wróci na odpowiednie tory, nie poluzuję zabezpieczeń nawet na pół minuty.

A wiedziałem, że sytuacja z Meksykiem była napięta, podobnie jak z kartelami, które próbują mi zagrozić.

– Molly jest więźniem we własnym domu.

Mięsień mojej szczęki drgnął. A więc taki był jej plan... balansowanie na cienkiej linii mojej cierpliwości.

– Molly! – zawołałem.

Odgłos kroków małych stóp niósł się wśród ciszy. Zwróciłem oczy na uchylone drzwi, w których stanęła dziewczynka.

– Wejdz.

Popatrzyła to na kobietę, to na mnie, zanim niepewnie przekroczyła próg pokoju.

– Nigdy więcej mnie nie okłamiesz. – Wbiłem spojrzenie w córkę, upewniając się, że wzięła sobie moją uwagę do serca. – W przeciwnym razie stanie się to.

Moja dłoń wystrzeliła w policzek kobiety w siarczystym uderzeniu. Carina opadła na kolana, gdy głuche tchnienie padło spomiędzy jej warg. Molly rozchyliła oczy. Po raz pierwszy dostrzegłem w nich prawdziwe oblicze strachu.

– Za każdym razem, kiedy zrobisz coś wbrew mojej woli, tak, jak przytulenie Cariny, ona... – wystawiłem palec w stronę Brazylijki – ...będzie płacić za twój błąd.

Zielone oczy pokryła tafla łez. Dostrzegłem drżenie jej brody. Z westchnieniem przykucnąłem naprzeciwko rudowłosej, by w następnej kolejności musnąć wierzchem ręki jej policzek.

– Chcesz, żeby przez ciebie cierpiała? – zapytałem cichym, pozbawionym emocji głosem.

Uciekła spojrzeniem do kobiety, z nerwów przygryzała wnętrze policzka.

– Nie patrz na nią – zwróciłem jej uwagę. – Patrz na mnie. Chcesz, żeby cierpiała przez twój egoizm, Molly?

Dziewczynka nawiązała ze mną kontakt wzrokowy.

– Odpowiedz mi.

Pokręciła energicznie głową, a z gardła wyrwał jej się cichy szloch.

– Nie płacz. – Musnąłem kciukiem zaróżowiony policzek. – Gdybyś była grzeczna, nie zrobiłbym tego.

– Prze-przepra...

– Nie przepraszaaj. – Wykonałem ostry ruch głową. – To dla ciebie lekcja. Nigdy więcej mnie nie okłamuj, lisku.

Brała przerywane wdechy, ostatkami samokontroli powstrzymując się od rozpłakania. Mogłem wyczytać z jej dziecięcej twarzy, jak bardzo z tym walczyła.

No proszę, jednak potrafiła kontrolować emocje.

Zawsze marzyłem o tym, by mieć syna. Przekazać mu całą wiedzę, trenować umiejętności czy wprowadzić go w świat pełny toksycznego syfu, w który sam byłem wplątany.

Kobiety są bardziej zawistne i wyrachowane od mężczyzn. W dodatku, gdy dziedziczny charakter po rudej kurwie, staje się cholernym wrzodem na dupie. Życie, któremu się oddałem, zostało niemal zaburzone przez jeden wadliwy element – moją pieprzoną żonę.

Niektóre frakcje poczuły się na moim terenie zbyt swobodnie. Najwyraźniej zapomnieli o tym, że jeśli zamierzają warczyć, to muszą nauczyć się gryźć. Wiedziałem, że zapowiedź wojny wisiała w powietrzu.

# ROZDZIAŁ 6

## *Asteria*

### **Waszyngton D.C., Stany Zjednoczone**

Minione pół roku przypominało życie w akwarium. Każdy mój dzień był dogłębnie infiltrowany. Kamery w domu, podsłuch, obserwacja, śledzenie moich połączeń. Do kogo dzwoniłam? O czym rozmawiałam? Czy informacje, które wymieniałam, nie były ukrytym szyfrem? Czy działałam dla państwa, czy na jego szkodę? Czy można było mi ufać? Czy wykorzystuję FBI do powrotu do McCanna?

Ale byłam czysta. Przezroczysta. Jedyne, na czym mi zależało, to odzyskanie córki. Zniszczenie brazylijskiej mafii stanowiło cenę. Przywódca miał być martwy lub żywy, jednak jego los nie znaczył dla mnie zupełnie nic.

Brazylia od lat była napędzana narkotykami, przemocą i korupcją. To kraj stanowiący permanentne pole wojny dla karteli i raj dla oszustów finansowych. To miało się zmienić po wygranych wyborach i objęcia rządu przez Treviño Murciélago.

Batalion Policyjnych Operacji Specjalnych<sup>11</sup> został wysłany przez rząd do walki przeciwko organizacjom przestępczym na dużą skalę, począwszy od Rio de Janeiro. Ich zadaniem było aresztowanie podejrzanych, przejęcie broni, brudnych pieniędzy i narkotyków, by następnie dostarczyć je do bazy wojskowej i poddać zniszczeniu. Jeden syndykat oskarżał drugi o zdradę. Niegdyś zaprzyjaźnieni gangsterzy przeszli w stan wojny.

To oznaczało, że nawet potężny McCann stał się osłabiony, a to dawało nam szansę na powodzenie akcji. Najważniejsze dla mnie było jednak odzyskanie córki i to za wszelką cenę.

– Przechwyciliśmy nagranie z kamery przemysłowej. – Głos agenta zwrócił moją uwagę. – System rozpoznawania twarzy

potwierdził tożsamość, to Saint McCann, obecny przywódca brazylijskiej mafii z siedzibą w Rio.

Na nagraniu odtworzył się zapis sprzed kilku dni. Od razu go rozpoznałam. Był ogromny, barczysty i niósł za sobą zapowiedź śmierci. Oczy miał ciemne, rozjuszony jak u dzikiego zwierzęcia. Krótko ścięte włosy, szczeka jak u pitbulla, uśmiech wygłodniałego rekina i cała seria tatuaży. Wspomnienia sprzed lat zaatakowały każdy mój nerw.

*– Nigdy więcej jej nie zobaczysz – warknął. – Nigdy więcej z nią nie porozmawiasz. Zabieram ją do domu, tam, gdzie jej miejsce.*

Szedł zdecydowanym, niezwykle pewnym siebie krokiem w grupie swoich ludzi. Bezkarnie poruszał się po brazylijskich ulicach, otwarcie plując w twarz swoim ofiarom i rodzinom, które skrzywdził.

Serce przestało mi bić. Powietrze wypadło mi z ust, aż niemal się nim zakrztusiłam. Podbiegłam do komputera i wcisnęłam się przed operatora. Cofnęłam nagranie o kilka sekund. Czy... czy to możliwe?

– Co ty robisz? – zapytał Jace.

Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Zza postury gangstera na trzy sekundy wyłoniła się postać małej dziewczynki. Była taka drobniutka. Powiew wiatru musnął rude loki, odsłaniając piegowałą buźkę. Uniosła spojrzenie na ojca, a na jej usteczka wypłynął nieśmiały uśmieszek.

– Nellie...

Zniknęła. Cofnęłam nagranie.

Moja córeczka. Mój cudowny aniołek. Trzy sekundy. Znów się uśmiechnęła, zanim ramię mężczyzny ją przysłoniło.

Po raz kolejny wcisnęłam przycisk „wstecz”, po czym zatrzymałam wideo. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że płacze, dopóki płuca nie zaczęły domagać się tlenu. Wciągnęłam raptownie powietrze, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Coś zakłuło mnie w piersi, wyczuwało tęsknotę.

– Moja maleńka – zaszlochałam, przesuwając opuszką palca po policzku dziewczynki. – Moja córeczka...

– Jesteś pewna, że to ona? – zapytał operator.

Pokiwałam energicznie głową. Wytarłam nos i łzy w rękaw koszuli, po czym sięgnęłam po telefon z tylnej kieszeni spodni. Wyszukałam

zdjęcie sprzed dwóch lat, które znalazło się w raporcie ze sprawy i podstawiałam telefon pod ekran dla porównania.

– Hmm... są podobne – mruknął Jace.

– To ona – potwierdziłam.

– Skąd wiesz?

– Matka czuje takie rzeczy. – Pociągnęłam nosem. – Moja kruszynka. Jest taka piękna.

Nie mogłam przestać patrzeć na fragment nagrania. Na usta wkradł mi się drżący uśmiech, a powieki powstrzymywałam od mrugania, by nie utracić ani sekundy z tej chwili.

– Porównamy twarze w systemie – oświadczył operator.

Wyłączył nagranie. W przyciemnionym ekranie odbiło się moje własne odbicie.

– Włącz je jeszcze raz – nalegałam.

– Hunter...

– Jeszcze raz. – Ścisnęłam mężczyznę za ramię. – Natychmiast je włącz!

Popatrzył na mnie krzywo. Szarpnęłam nim w desperacji.

– Włącz to nagranie albo cię, kurwa, zabiję. – Przystawiłam mu glocka do skroni.

W pokoju zawrzało. Próbowałam walczyć, ale w kilka chwil zostałam obezwładniona. Ktoś przycisnął mnie do stołu, wytrącił mi broń z ręki i rozstawił nogi. Nie wiedziałam, co się, do cholery, dzieje.

– Zostawcie ją. – Usłyszałam głos szefa.

Nawet gdy dłonie opuściły moje ciało, zastygłam w tej samej pozycji. W oczach wezbrały mi łzy. Ostatni raz czułam się tak bezradna, gdy odebrano mi Noelle. Ale miałam pewność, że nic jej nie jest i że żyła.

Jace pociągnął mnie za ramię. Nawet nie wiem, kiedy znalazłam się w jego objęciach. Przytulił mnie, szepcząc coś na uspokojenie.

Mój mózg przetworzył tylko: „Obiecuję, że ją znajdziemy” i „Dopadniemy tego skurwysyna”.

Wyłam mu w koszulę, zaciskając palce na materiale. Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa.

– Musisz odpocząć, Asterio – powiedział. – Jesteś wyczerpana.

– Ja tylko chcę ją odzyskać – załkałam bezradnie. – Ona jest taka malutka, bezbronna. Nie ma pojęcia, że jest w rękach mordercy.

– Jeśli chcesz pomóc córce, musisz najpierw zadbać o siebie.

Wiedziałam, że agentura, nie wliczając mojej inwigilacji, zajmowała się także tropieniem McCanna i jego ludzi. Sytuacja była o tyle napięta, że nawet my wyczuwaliśmy zapach wojny w powietrzu. Jeśli w grę wchodził biznes, Saint był w stanie poświęcić wiele, by pokazać pozostałym rodzinom, że walka z nim nie miała żadnego sensu. Najwyraźniej utrata przez niego kontroli na dwa lata pozwoliła innym na rozwinięcie podziemia.

Na ekranie głównym wyświetliła się mapa ze strategicznymi dla McCanna punktami, również jego potencjalną siedzibą, zbrojownią, portami i magazynem, w którym nasi informatorzy potwierdzili składowanie części towaru.

– Akcja zostanie przeprowadzona w nocy z czwartku na piątek – oświadczył Tommy, szef operacji. – Nasz wydział współpracuje z brazylijskimi służbami. Mamy pozwolenie na wjazd, przeprowadzenie akcji i odbicie dziecka. – Wzrok mężczyzny przesunął się po naszych twarzach. – Jest tylko jeden problem.

– Jaki? – zapytał Jace.

– Dostaliśmy cynk, że w poniedziałek po godzinie osiemnastej czasu lokalnego dokonano zamachu na autokar, którym przewożono ministrów i głowę państwa. – Rozsunął palcami obraz satelitarny na drogę w Brasili. – Sześć ofiar, kilku rannych, w tym sam prezydent. Żaden kartel nie przyznał się do odpowiedzialności, ale sądząc po rozmiarze i poczuciu bezkarności, uważa się, że to brazylijska mafia z McCannem na czele.

– Dlaczego miałyby atakować samego prezydenta? – dobiegł mnie kobiecy głos.

– Murciélago wprowadził nowe porządki. Polityka prowadzona twardą ręką godziła w interesy organizacji przestępczych. Od dwóch tygodni dochodzi do solidnych zamieszek. Ludzie przeczuwają, że coś wisi w powietrzu.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Wiedziałam doskonale, co to oznacza. Rzeź miała dopiero nadejść.



– Żaden z ministrów nie chce wypowiedzieć się w tej sprawie. – Jace przesunął ręką po twarzy z westchnieniem. – Zmowa milczenia będzie trwała jeszcze przez długi czas, a to znaczy, że musimy zachować wyjątkową ostrożność.

– Przeczuję, że McCann będzie próbował ukryć dziecko.

*Ukryć dziecko...*

– Nie zrobi tego – wtrąciłam bez cienia obłudy. – W takiej sytuacji on nikomu nie zaufa. Nie powierzy opieki nad dzieckiem komuś innemu.

– Nie sądzę, zważywszy na to, że będzie brał udział w krwawych zamieszkach. – Tommy strzelił we mnie uważnym spojrzeniem. – Nie odpuści sobie zemsty za to, co należy do niego.

– Znam go lepiej niż ktokolwiek w tym budynku. – Co do tego nie miałam żadnej wątpliwości. – Będzie chronił Noelle do samego końca, nie powierzy tego nikomu innemu. Tego jestem bardziej niż pewna.

– Hunter ma rację – poparł mnie Jace. – Dziewczynka to jedyna dziedziczka rodzinnej spuścizny, zaraz po ojcu. Jeśli nie dorobi się syna, to cała fortuna i biznes zostaną przeniesione na Noelle. Widzieliśmy, jak działo się to w przypadku śmierci Xaviera McCanna.

– Koniec pogadanki. – Tommy wyświetlił na ekranie mapę i wypunktowany plan działania. – Zostaliśmy podzieleni na zespoły. Zespół Alfa zajmie się patrolem ulic w Rio. Beta skupi się na wywiadzie ludzi McCanna. Gamma ma za zadanie sprawdzenie strategicznych dla mafii punktów, być może w którymś z nich przygotowano specjalną kryjówkę dla dziecka na wypadek wybuchu wojny narkotykowej. A Delta... – oczy mężczyzny padły na nas – ... wy zajmiecie się odbiciem dziewczynki.

Pokiwałam energicznie głową. Byłam gotowa. Lata starań i treningów nie mogłyby pójść na marne. Zrobię absolutnie wszystko, by odzyskać moją córeczkę i sprowadzić ją do domu.

# ROZDZIAŁ 7

## *Saint*

### **Rio de Janeiro, Brazylia**

Molly nie przestawała płakać. Jej szloch grzmiał mi w uszach, chociaż Éder zabrał ją do domu dobre kilka minut temu. To ona odnalazła zwłoki Vito. Ulubiony pies mojej córki leżał rozczłonkowany na kamiennym podjeździe, z sierścią oblepioną własną krwią.

Wiedziałem, że cierpiał. Poprzysiągłem sobie, że ktokolwiek to zrobił, skończy w identyczny sposób.

– To musi być wiadomość. – Ponury głos Fábio dotarł do mnie zza ramienia. – I wygląda mi na propozycję nie do odrzucenia.

Przykucnąłem przy dogu kanaryjskim, a raczej odrąbanej głowie i tułowiu bez łap. Zaskoczyło mnie, że dał się złapać. Jego szczęki miały żelazny nacisk, miażdżyły niejedną kość. Dlaczego tak łatwo pozwolił się zabić?

Chwyciłem za jutowy wór z resztkami piasku, którym wczoraj uzupełniano piaskownicę dziewczynki. Chwyciłem za łeb, a krew, która nie zdążyła spłynąć, kapiała na kamienie. Ukryłem to, co niegdyś było psem, po czym przewiązałem konopne sznury. Musiałem go zakopać.

– Sprawdziliście monitoring?

– Zleciłem to chłopakom, już przy tym siedzą – odpowiedział.

– Dlaczego dał się złapać? – Zwróciłem głowę do przyjaciela. – I jakim cudem nikt tego nie widział i nie słyszał?

– Ja pilnowałem dziewczyny, chłopaki zajmowali się biznesem, wy byliście u Michelle. Monitoring pokaże, czym zajmowali się pozostali.

Wyprostowałem się. Przetoczyłem spojrzeniem po okolicy, jednak nic niepokojącego nie wzbudziło mojej uwagi. Mimo tego nie mogłem pozwolić sobie na utratę czujności.

Ktoś ewidentnie próbował mi zagrozić i ktokolwiek to był, nie wiedział, że jego dni właśnie zostały policzone. Moja mała Molly nie będzie płakać przez żadnego skurwysyna.

– Dowiedzcie się, kto to zrobił – mruknąłem, po czym sięgnąłem po łopatę. – Zakopię psa.

Fábio skinął głową. Wbiłem wzrok w jego plecy, gdy odchodził. A co, jeśli Vito nie uciekał, bo zrobił to ktoś z ludzi, których znał? Czy to możliwe, by któryś z moich sukinsynów dopuścił się takiego czynu?

Myśli mi wrzały, gdy co rusz zagłębiałem szpadel w ziemi. Nie mogłem już nikomu ufać. Odkąd wróciłem z więzienia, wszystko się zmieniło. Moja pozycja, biznes, sytuacja w państwie, a nawet ludzie. Ktoś próbował wbić mi nóż w plecy i wiedziałem, że muszę ochronić przed tym Molly.

Gdy tylko posprzątam na swoim terenie, wyjedziemy do miejsca, w którym mała będzie bezpieczna. Mała chatka na obrzeżach miasta, u podnóży gór. Tam zabrałem rudą, tam zabiorę naszą córkę.

Wrzuciłem wór ze zwłokami do wykopanego dołu. Przykucnąłem, rzuciłem garstkę ziemi na psiaka, po czym otrzepałem dłonie.

– Obyś zginął dla konkretnego powodu.

Po wyrównaniu kopca odstawiłem szpadel na miejsce. Umyłem ręce w pobliskiej beczce z deszczówką, a następnie wróciłem do domu.

– Gdzie ona jest? – zapytałem Margaridę.

Podniosła na mnie oczy znad kuchennego blatu. Te natychmiast uciekły w stronę schodów.

– Biedactwo – wycharczała. – Tak bardzo to przeżywa.

Przewróciłem oczami. Jakbym, kurwa, nie wiedział.

Pokierowany wskazówką wszedłem na piętro. Ciche łkanie dobiegało zza uchylonych drzwi. Wtargnąłem do środka, zerkając to na Carinę, to na rudowłosą z twarzą zagłębioną w poduszce.

– Wyjdz – rzuciłem do kobiety.

Bez wymiany chociażby spojrzenia, podniosła się i czym prędzej opuściła pokój. Zmniejszyłem dystans, który dzielił mnie od łóżka, i przysiadłem na materacu.

– Molly – zacząłem spokojnym głosem. – To, co zobaczyłaś...

Zdałem sobie sprawę, że nie potrafiłem zebrać słów mogących podnieść ją na duchu.

– Kto mu to zrobił? – Poderwała głowę z wyrzutem w głosie. – Kto, tatusiu?!

Zacisnąłem wargi. Wewnętrzna złość spowodowana niewiedzą właśnie zaczynała się piętrzyć.

– Jeszcze tego nie wiem.

– Mój Vito. – Zaniosła się głośnym, nieopanowanym szlochem. – Mój piesku...

– Obiecuję, że to naprawię – zapewniłem ją. – Ukażę tego, kto to zrobił.

Molly nawiązała ze mną kontakt wzrokowy. Rudawe kosmyki przylepiły się do jej twarzy, a napuchnięte od płaczu oczy patrzyły na mnie z nadzieją. Nawet nie wiem, kiedy rzuciła się na mnie z uściskiem, szukając ukojenia w moich ramionach.

– Tatusiu – płakała mi w koszulę.

Chrząknąłem. Jeśli rozpacza tak po kundlu, co będzie, gdy rzeczywiście mnie zabraknie? Ta myśl dodatkowo mnie obciążała, aż zgarbiłem ramiona.

– No już, dziecino. – Lekkim ruchem ręki pogłaskałem ją po włosach. – Znajdę ci nowego psa.

– Nie chcę nowego. – Kręciła głową w zaprzeczeniu. – Chcę mojego Vito.

– Vito nie żyje, Molly – westchnąłem, gładząc palcami jej kruche ramię. – I nie wróci. Coś przychodzi, coś odchodzi. Taka jest kolej rzeczy.

Patrzyła na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, mnąc w zębach dolną wargę. Pociągnęła nosem i bezwładną ręką przetarła twarz.

– Zrób mu to samo.

Wygiąłem brwi w zaskoczeniu.

– Mówiłeś, że jeśli ktoś mnie uderzy, mam zrobić to samo. – Starła się brzmieć na pewną siebie, choć jej głos pękał od smutku. – Oko za oko, tak?

– Tak – zgodziłem się. – Tak mówiłem.

– Vito na to nie zasłużył – wymamrotała mi w pierś. – Ale on tak. Z jakiegoś powodu kącik moich ust powędrował w górę.

– Nie martw się, lisku. – Po raz ostatni pogłaskałem jej ramię, zanim podniosłem się z miejsca. – Załatwię to.

Rzuciła się na poduszkę, a natłok kolejnych łez wprawił jej drobne ciało w drzenie. Obiecałem sobie, że to ostatni raz, gdy moja córka płacze z powodu brudnego skurwysyna.

Chłopcy robili swoje przez resztę dnia. Znalezienie mordercy nie było dla nich trudne, jednak sprowadzenie go na nasz teren podobno niosło za sobą pewne komplikacje. I cokolwiek te „komplikacje” oznaczały, nie zapowiadały niczego dobrego.

Dlaczego Vito dał się zabić? Nie wiedziałem.

Jak morderca wszedł na teren posiadłości? Nie wiedziałem.

Kim był? Tego zamierzałem się dowiedzieć.

Gdy tylko ekran mojego telefonu podświetlił się wiadomością *Mamy go* od Fábio, czułem, jak adrenalina wypełniła mi żyły.

W powietrzu unosił się zapach zgnilizny. Słodki, choć mdły. Mieszał się z tak dobrze znaną mi wonią krwi. Stary budynek fabryki benzyny służył nam za magazyn, chociaż innym za ostatnią stację w drodze do grobu.

– Proszę, proszę, proszę. – Rozłożyłem ramiona z wyostrzonym rozbawieniem. – Przyszła kurwa do alfonsa.

Matteo pieprzony Santiago jakimś cudem był odpowiedzialny za łzy mojej córki. Syn przywódcy zachodniego kartelu. Rok temu doszły do mnie słuchy, że tamten został aresztowany w izolatce, bez dostępu do telefonu, co wyraźnie utrudniło prowadzenie działalności. Myślałem, że Guzman okaże się wystarczająco rozsądny, by nie posyłać do mnie swoich kundli, jednak nikt nie jest nieomylny.

Gość wisiał głową w dół, z nogami zakleszczonymi w łańcuchach. Był czerwony na górnej części ciała, co świadczyło o tym, że trochę

czasu spędził w tej pozycji. Złapałem go za włosy, przyciągając twarz ku swojej.

– Mózg zdążył ci wrócić na miejsce z dupy czy potrzebujesz jeszcze trochę czasu, skurwysynie?

Obdarzył mnie ironicznym uśmiechem.

– Ależ jestem przerażony.

Uniosłem brew na jego śmiałość. Zacmokałem z dezaprobatą, kręcąc przy tym głową.

– Synku, na twoim miejscu potakiwałbym jak posłuszny piesek.

– Na twoim miejscu nie byłbym taki odważny – warknął. – Twoja władza dobiega końca. Lepiej zmów zdrowaśkę, bo zanim nadejdzie wschód, wszyscy twoi bliscy będą martwi – mówił z goryczą. – Pies to tylko początek.

Wyprostowałem się tak powoli, jak tylko było to możliwe. Przechyliłem głowę z kpiącym wyrazem twarzy.

– Ty mi grozisz? – Nawet mój głos nie krył zaskoczenia.

Przesunąłem spojrzenie na chłopców, sekundę później gwarny śmiech rozległ się echem wśród wypalonych ścian.

– To obietnica – wysyczał wściekle. – Rodrigo wie, że mnie nie ma. Nawet jeśli zginę, wiem, że on pomści swoich braci.

– Niech przyjdą wszyscy. Bracia, siostry, dzieci, wszystkie kurwy, które trzęsą się na samo brzmienie mojego imienia – wychrypiałem, nie kryjąc uśmieszku. – Odeślę Rodrigo tyle ciał, ile mi dostarczy. Zaproszenie przyjęte.

Zakręciłem palcem w powietrzu. Gdy tylko zwolniono uścisk kajdan, Matteo przypierdolił łbem o beton. Przeciągły jęk wyrwał się z jego gardła.

– A ty, chłopaczku, staniesz się przykładem, by nie grozić mojej rodzinie. – Przycisnąłem jego policzek butem do ziemi. – Ja też znam twoją. Czteroletni synek Felipe i pięcioletnia córeczka Miriam.

– Zaczął wierzgać mi pod podeszwą jak pierdolony robal. – Yovanna, twoja żona. Całkiem ładna. Myślisz, że da radę wsadzić między wybotksowane usta flaki waszych dzieci? Bo każę jej wpierdolić wszystko do ostatniego kawałka mięsa.

– Skurwysynu! – wrzasnął na całe gardło.

– Ja tej dziwki nie tknąłbym palcem, ale moi chłopcy z przyjemnością zanurzają fiuty w jej sztucznej dupie. – Wyszczерzyłem się, czerpiąc z tego najwyższą formę satysfakcji. – A twoje martwe oczy będą się wszystkiemu przyglądały.

– Twoja władza się skończyła – wycedził, rozgoryczony. – Nadeszły nowe czasy, pogódź się z tym.

Z całą nagromadzoną siłą uderzyłem podeszwą w jego głowę. Raz. Jeden. Drugi. Jego ciało wiło się na podłodze, dłonie wykręcały się we wszystkie strony, a nogi ślizgały się jak glisty. Krew wypłynęła mu nosem. Popatrzyłem mu w oczy. Wiedziałem, że jeszcze tam jest, choć doprowadziłem do uszkodzenia jego mózgu.

Fábio miał już pochylić się z nożem, jednak zdecydowałem, że zrobię to sam od początku do końca. Szturchnąłem ciało Matteo, by przewrócić go na brzuch. Złapałem go za włosy, gdy stanąłem nad nim rozkrokiem i stanowczym pociągnięciem podciąłem mu gardło. Nie potrafiłem przestać. Ostrze przecinało ścięgna jak masło. Każdy mięsień, tętnicę, kręgi i skórę, aż łeb przeklętego skurwysyna zwisał mi z dłoni.

– Widzisz, Matteo? Gdybyś nie zagroził mojej rodzinie, upierdoliłbym ci same ręce.

Rzuciłem łbem o ścianę, a ten przetoczył się po brudnej podłodze i zatrzymał przy kupce piachu.

– Pierdolony skurwysyn. – Splunąłem, porzucając nóż. – Jestem cały we krwi tego brudnego psa.

– Co zrobić z resztą? – zapytał Fábio.

– Wpuść psy. – Wytarłem ubrudzone dłonie w materiał czarnej koszuli. Wtem uświadomiłem sobie, że jeden z nich nie żyje. – Resztę wyślij żonce na prezent.

Uśmiechnął się diabelsko. Odwróciłem się do reszty. Chociaż do tej pory uważałem ich za najbliższych sobie, przeczuwałem, że nie mogłem nikomu w pełni zaufać. Nawet samemu przyjacielowi. Każdy stał się podejrzany i pozostanie nim, dopóki nie wyplewie z mojej ziemi każdego wroga.

– Jeśli komukolwiek przyjdzie do głowy mnie zdradzić – zaznaczyłem, wyrzucając palec w stronę zwłok. – To najłagodniejsze, co z wami zrobię.

Zamarli, wytrzymując twarde spojrzenia. Tylko jeden parsknął pod nosem. Wbiłem w niego wzrok z uwagą.

– Co jest takiego, kurwa, zabawnego? – warknąłem.

Spowaźniał w sekundę. Zbliżyłem się, wyszarpując broń z kabury, po czym wycelowałem lufę w jego łeb.

– Co cię tak bawi, co? – Zmrużyłem oczy, odbezpieczając spluwę.

– Pośmiejemy się, gdy twój mózg rozbryzga się na ścianie za tobą. Wtedy nam wszystkim będzie do śmiechu.

Pokręcił ostrożnie głową, a oczy błysnęły mu strachem. Wpatrywałem się w nie tak długo, że niemal poczułem jego emocje.

– Masz dzieci, Cisco? – zapytałem.

Oczywiście, że miał. Wiedziałem o tym, niemniej jednak on wydawał się o tym zapomnieć.

Potaknął.

– Odpowiedz.

– Tak, szefie.

– Ile mają lat? – Wygiąłem brew.

– Córka dwa lata, syn osiem – wykrztusił drżącym głosem.

Zabezpieczyłem broń, a następnie schowałem ją na swoje miejsce.

– Tylko ze względu na nich cię nie zajebię. – Poklepałem go po policzku. – Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

– Tak jest.

Powędrowałem wzrokiem po twarzach pozostałych. Im już nie było do śmiechu. Tak, kurwa, myślałem. Jakbym za mało gówna miał na głowie. Zostawiłem ich samych, musiałem wracać do domu.

– Nie chcę wzniecać niepokoju – Fábio zawiesił głos – ale czy zabicie go było konieczne?

– Tylko mi nie mów, że zamierzasz za nim płakać. – Obrzuciłem go badawczym spojrzeniem.

– To syn Guzmana. – Skrzywił się na samo brzmienie tego imienia. – Kiedy cię tu nie było, robiliśmy wszystko, by utrzymać dominację w naszych strefach wpływów, jednak jego kartel rozrósł się w szybkim tempie. Przyjmują do struktur byłych więźniów.

– Zapomniałeś, kim jesteś? – wycodziłem, zirytowany. – Kim my, do kurwy, jesteśmy? Naprawdę zamierzasz chylić czoła przed jakimś kartelem?



– Tego nie powiedziałem.

– Więc przestań trząść portkami jak pierdolona pizda. – Pchnąłem go w ramię. – Brazylia należy do nas, człowieku.

– Po prostu myślę, że zabicie jego syna może przysporzyć sporych kłopotów.

Moja dłoń zamarła na klamce samochodu. Zerknąłem na przyjaciela z uniesioną brwią.

– Mogli pomyśleć, zanim zajebali mojej córce psa – powiedziałem, wsiadając do auta. – Niech Santiago potraktuje to jako *vice versa*.

# ROZDZIAŁ 8

## *Saint*

Chłód spływał mi po plecach, centymetr po centymetrze. Od rana schodziło za mnie poczucie niepokoju. Nawet widziałem kruka, zaglądał ciekawsko przez okno, jakby podświadomie jarało go oglądanie egzekucji. A przecież to tylko głupi ptak.

– Obiecuję, przysięgam na Boga, jutro oddam wszystko. – Błagalny skowyt przypominał teraz modlitwę małego chłopca.

Podrzuciłem zapalniczkę, skupiając się na tym, by znów ją złapać. Spojrzenie utkwiłem w czarnym ptaszysku. On patrzył na mnie, a ja na niego.

– Czy my ci wyglądamy na pierdolony bank? – parsknął Fábio. – Bierzesz towar, zostawiasz hajs. Nie zostawiasz hajsu, zostawiasz... – przerwał z namysłem – ...nerkę... a może serce... albo oczy.

Mężczyzna, który nie spłacił długu, siedział wbity w krzesło ostrym spojrzeniem mojego człowieka. Huk rozbrzmiał wśród ścian, gdy egzekutor przypierdolił w krzesło. Dłużnik z łoskotem padł plecami na podłogę, prosto w kałużę własnych szczyń. Dłonie mu drżały, widziałem to w odbiciu okien. Wyciągnął ręce przed siebie, jakby myślał, że to ochroni go przed Fábio.

Kącik moich ust drgnął. Naiwniak.

– Błagam, zwrócę wszystko, przysięgam, proszę! – Desperacja wyzierała mu z gardła. – Proszę, jeszcze jeden dzień. Jeszcze jeden, panie McCann!

Zerknąłem na niego przez ramię, palce splotłem za plecami.

– Jeśli do jutra jesteś w stanie załatwić dwadzieścia tysięcy dolarów, dlaczego nie przyniosłeś ich do tej pory?

Ciemne oczy rozszerzyły się na moje słowa.

– Do-dolarów? – wydusił. – Miały być reale.

– Prowizja. – Wzruszyłem ramionami. – Zmieniłem zdanie.

Wydawało się, że czarne oczy poszarzały na brzmienie mojego głosu. Ramiona mu opadły, uciekał wzrokiem ode mnie do egzekutora.

– Nie mam tylu pieniędzy – wydobył szeptem. – Ale... zdobędę je. Potrzebuję miesiąca.

– Miesiąca? – Uniosłem brwi, pozwalając sobie na uśmiech. – Ależ oczywiście. Dobrze, damy ci miesiąc.

Wypuścił oddech pełen ulgi, a w oczach błysnęła mu nadzieja.

– Dziękuję – prawie zapłakał. – Dziękuję, bardzo dziękuję. Obiecuję, że je oddam, co do centa.

– Ależ nie ma za co. – Zmniejszyłem dzielący nas dystans, aż znalazłem się u jego stóp. – Wypełnij jedynie formularz i oddaj go do naszego działu księgowości. – Poklepałem go po kolanie. – Nie zapomnij o ankiecie, dzięki której będziesz miał szansę na wygraną w konkursie na wakacje w ekskluzywnym hotelu na Hawajach.

Zarejestrowałem sposób, w jaki przełknął ślinę. Do oczu powrócił przejaw panicznego przerażenia.

– Zrobię wszystko – wychrypiał. – Błagam.

– Więc oddaj pieniądze.

– Nie mam ich. – Potrząsnął lakonicznie głową. – Nie mam.

– Więc rozwiązanie jest jasne. – Zerknąłem na Fábio. – Fajna ta jego żona?

– Już posłałem do niej chłopaków. – Obnażył zęby w szaleńczym uśmiechu. – Jeśli jeszcze nie odrąbali jej rąk, to pewnie cała czwórka ostro jebie ją w dupę.

Drżący oddech leżącego ścierwa zakołysał się w pomieszczeniu niczym skomlenie zranionej zwierzyny.

– Wiesz, że twoja kobieta im nie wystarczy. – Przechyliłem głowę do boku, zerkając na dłużnika. – Nie ruszą dzieci. Upewnię się, że je ogłuszą, zanim roztopią ich ciała w beczkach z kwasem.

Odchylił łeb do tyłu, zanosząc się głośnym szlochem.

– Zamknij się, kurwo! – Fábio wyrwał krzesło spod mężczyzny i rzucił nim w przeciwną ścianę.

Nachylił się nad nim, po czym złapał go za szczękę i niemal zgniótł ją pod naciskiem palców.

– Trzeba było uruchomić mózgownicę, zanim wpierdoliłeś się w to bagno.

Cofnąłem się o krok i założyłem ramiona na torsie. Coś zaszeleściło mi za plecami. Odwróciłem głowę w stronę ściany, za którą kryły się schody, jednak żaden cień nie rzucił mi się w oczy.

– No to teraz mnie posłuchasz. – Metalowa broń błysnęła w dłoni *sicário*. – Marnujesz nasz czas. Nalicza się kolejna godzina, mogę ci pokazać, ile to dla mnie znaczy.

Odblokował broń. Ktoś wciągnął powietrze i zdałem sobie sprawę, że to żaden z nas. Znów zerknąłem za siebie, a oczy dziewczyny przeskoczyły na mnie. Gdy tylko postawiłem krok, zaczęła uciekać. Dobięgam do niej, złapałem za kark i przyciągnąłem do siebie.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

Patrzyła na mnie, sparaliżowana strachem. Przeskakiwała spojrzeniem po mojej twarzy.

– Jeśli zaraz nie wrócisz na swoje miejsce, najpierw zapierdolę gościa, który pozwolił ci wyjść, a później ciebie.

– Zostaw go w spokoju. – Uciekła spojrzeniem do skulonego na ziemi mężczyzny. – Przestańcie to robić.

Parsknąłem.

– Bo?

Nie znalazła odpowiedzi. Proszę, trafiła mi się pierdolona altruistka.

– Oddasz za niego pieniądze? – drążyłem. – Zrobiłabyś to dla tego skurwysyna? – Kiwnąłem głową w stronę dłużnika. – On nie zrobiłby tego dla ciebie, to zwykły szczur.

– Porwaliście mnie. Mój ojciec robi to, czego chcieliście.

Wyczułem drzenie w jej głosie, choć tak usilnie próbowała brzmieć na niewzruszoną.

– Przestańcie zabijać ludzi, to niehumanitarne.

– Och, tak... – Przystawiłem dłoń do piersi. – Tak, to rzeczywiście niehumanitarne. Masz rację, już nie będę.

Zmarszczyła brwi. Najwyraźniej potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że to, co powiedziałem, to nic więcej niż podszyte sarkazmem słowa.

– A teraz grzecznie pójdiesz na górę, zamkniesz za sobą drzwi i jeśli nie zobaczą cię w pokoju, w którym zostawiłem cię po raz ostatni, upewnię się, że twoje zgrabne nóżki już nigdzie cię nie poniosą. – Przesunąłem knykciami po jej policzku.

Nie zerwała kontaktu wzrokowego, twardo go podtrzymując, choć czułem, że oddech jej drżał.

– Pozwól mu żyć.

Wysunąłem broń z za pasa, po czym skierowałem ją w dłużnika.

– Na górę albo go zabiję.

Zamrugła. Czy ta głupia suka nie rozumiała tego, co powiedziałem?

– Proszę...

Z krzykiem upadła na kolana, kuląc się jak małe dziecko, gdy oddałem strzał. Nie odrywałem od niej oczu. Chciałem, by wiedziała, że nie jestem odpowiednim typem do negocjacji. Kątem oka widziałem, jak krew wypłynęła z głowy mężczyzny albo raczej z tego, co po niej zostało.

Drobne ciało drżało pode mną. Osłoniła się ramionami, jakby to miało sprawić, że stałaby się niewidoczna.

– Naucz się, że ze mną nie wchodzi się w dyskusję. Nie robię wyjątków, nawet dla prezydenckiej kurwy.

Poderwałem ją do góry za włosy. Ostatkiem samokontroli powstrzymywała się od płaczu. Mięśnie brody jej drżały jeszcze chwilę, zanim wypuściła z siebie gorzki szloch.

– Przestań wyć. – Wszczepiłem palce w jej zuchwę. – Natychmiast.

Potrząsnąłem jej głowę, gdy nie przestawała.

– Przestań, kurwa!

Ucichła, zdławiając jęk. Ostatnia łza zdążyła spłynąć jej po policzku, gdy wpatrywała się we mnie jak sroka w gnat. Znów na mnie spojrzała, przeskakiwała oczami po mojej twarzy. Wtedy zdecydowałem się ją puścić. Zaciekłość w brązowych tęczęwkach była imponująca.

– Ch-chcę wrócić do... do domu. – Emocjonalny ciężar miażdżył jej klatkę piersiową, zabraniając płucom wydobyć jakikolwiek inny dźwięk niż ciche skomlenie. – Proszę, wypuście mnie stąd.

Popatrzyłem na nią beznamiętnie, choć kącik ust mi drgnął.

– Jeśli chcesz wrócić w jednym kawałku, lepiej bądź pokorna.

Z przyjemnością popatrzyłbym na obraz rozpacz, którym była, gdyby nie to, że miałem już plany.

Spojrzałem na Fábio. Stał oparty o ścianę z dłońmi wciśniętymi w kieszenie spodni. Wpatrywał się w dziewczynę z błyskiem czegoś nieodgadnionego w oku. Cóż, nie dało się ukryć, że miał na nią ochotę. I chyba nawet kręcił go fakt, że ona go nienawdziła. Musiałem przyznać, że sposób, w jaki wyrażała przerażenie mieszające się z obrzydzeniem, był podniecający.

– Zajmij się nią – rzuciłem.

Mężczyzna kiwnął głową. Och, oczywiście, że to zrobi.

Po dotarciu na piętro, dotarły do mnie odgłosy z pokoju córki. Z każdym kolejnym krokiem stawały się wyraźniejsze.

– Nie chcesz jechać z nami? – dopytywała mała.

– Nie mogę. Pracuję. – Opiekunka brzmiała na przygnębioną.

Nikt nie może wiedzieć, dokąd zamierzałem zabrać Molly. Stałem w przejściu. Dziewczynka poruszona odgłosem moich kroków, zwróciła ku mnie głowę. Zanim zdążyłaby cokolwiek powiedzieć, spojrzałem na Carinę.

– Możesz już iść.

Potaknęła. Odczekałem do chwili, w której opuściła pokój.

– Gdzie byłeś, tatusiu? – zapytała.

– Tu i tam. – Przykucnąłem, by pomóc jej z zapięciem walizki. – Zbieraj się, musimy jechać.

Złapała za pluszaka i rzuciła się biegiem do wyjścia. W drodze na dół zastanawiałem się, jak długo potrwa pokój. Gdybym nie miał dziecka, zapewne sam bez wahania rzuciłbym się w wojenny wir. I chociaż od egzekucji Matteo minęły trzy dni, moi ludzie uznali, że to dobry moment, by na trochę odsunąć się w cień.

Rozlew krwi był jednak nieunikniony.

Wrzuciłem ostatnią torbę do bagażnika, Molly siedziała już w samochodzie. Od rana zadawała mnóstwo pytań, które przyprawiały mnie o ból głowy, i nawet odrobina rozrywki w podziemiach nie zmieniła tego stanu.

Muśnięcie kwietniowego wiatru na karku przyprawiło mnie o nieprzyjemny dreszcz. Wzniosłem oczy ku niebu. Czarne chmury zawisły nad miastem i odnosiłem wrażenie, że to, co zapowiadały, nie tyczyło się wyłącznie deszczu.

Wiedziałem, że muszę wyjechać. Jakkolwiek brutalnych działań bym się nie podjął, bezpieczeństwo córki było dla mnie kwestią priorytetową. Zamknąłem bagażnik i po raz ostatni rozejrzałem się po okolicy.

Uczucie ciężkości na żołądku nie opuszczało mnie ani na krok. Mroczna zapowiedź zemsty wczepiła mi się pod skórę, przedarła do żył i penetrowała je w rytmie tłoczącego krew serca, by zaatakować każdą komórkę w ciele.

Wiedziałem, że to nadejdzie. Nie wiedziałem jednak kiedy.

Chłopcy dostarczyli głowę Matteo wprost pod drzwi jego żony w dużym, wiklinowym koszyku z białym, wytrawnym winem i karteczką z najlepszymi życzeniami na nowej drodze życia. Jeśli moja córka płakała przez niego, mała przysługa w drugą stronę nie powinna wiele zmienić.

Zająłem miejsce za kierownicą. W odbiciu lusterka odnalazłem spojrzenie Molly.

– Dokąd jedziemy?

– W góry. – Odpaliłem silnik, a następnie wyruszyłem w trasę. – Tym razem to ja potrzebuję spokoju.

– Nikt nie jedzie z nami? – Zaskoczenie wygięło jej brwi.

– Nie cieszysz się? Myślałem, że lubisz, gdy jesteśmy we dwoje.

Drobne ramiona opadły, pozbywając się spięcia. Ucieszyło mnie, że przestała płakać za psem, chociaż widziałem po niej, że była przygaszona.

– Nie mogę się doczekać.

Nie podzielałem jej zadowolenia, jednak zostałem przy opcji niezdradzania swoich uczuć. Maską troskliwego ojca, którą przybrałem, powinna wystarczyć.

Radio wygrywało rytmy popowej piosenki. Natężenie na drodze nie było duże. Wymijałem wlekęce się przed nami auta, dopóki nie zjechałem pokierowany drogowym zjazdem. Trasę przez las pokonywaliśmy bez towarzystwa samochodów.

Musiałem wykombinować, co zrobić. Czy ludzie, którym do tej pory ufałem, wciąż byli warci mojego zaufania? Czy sojusze jeszcze cokolwiek znaczyły? Czy porwanie córki prezydenta rzeczywiście da mi przewagę nad innymi frakcjami? I czy znajdzie się ktoś, kto próbowałby mi zagrozić?

Najwyraźniej. Przeczuwałem, że pies nie był przypadkową ofiarą. Nie mógł zdechnąć na marne. Ta śmierć miała znaczenie, przywodziła na myśl widmo ukrytej wiadomości.

I jakkolwiek by ona nie brzmiała, wiedziałem, że nikomu nie mogłem już zaufać.

Kiedy dotarliśmy do domku ukrytego u podnóży gór, Molly nie fatygowała się zachwycaniem okolicą. Po tym, jak pchnąłem drzwi, dziewczynka w milczeniu powiodła oczami po wnętrzu, dopóki nie zdecydowała się podejść do okien.

– Zostaniemy tu na jakiś czas.

Zleciłem dobudowanie dodatkowej przestrzeni, która miała służyć za pokój córki. Ostatni raz, gdy przyjechałem tu z rudą, oboje byliśmy bezpieczni. Przed naszym przybyciem moi ludzie sprawdzili to miejsce pod kątem bezpieczeństwa i jak się okazuje, wciąż trwało nienaruszone.

– Nic nie powiesz? – Zaskoczyło mnie ciągle milczenie.

Molly zerknęła na mnie, wzruszając przy tym ramionami.

– Co mam tu robić?

Odstawiłem torby pod szafę, a z ust wypadło mi westchnienie.

– Siedzieć – odparowałem.

– Ale dlaczego tutaj?

W każdym momencie mogłoby wydarzyć się coś, nad czym nie miałbym kontroli. Musiałem sprawdzić zabezpieczenia i stan broni, a jak na razie miałem na głowie ciekawską kilkulatkę.

– Usiądź. – Kiwnąłem brodą na sofę. – Porozmawiamy.

Cała zwróciła się ku mnie. Niepewne kroki poprowadziły ją do wskazanego miejsca. Gdy tylko usiadła, wlepiała we mnie zielone oczy.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że nie możesz wychodzić z domu, ponieważ dopadną cię źli ludzie?



Wydawało się, że wstrzymała oddech. Mogłem się jedynie domyślić, że do jej umysłu dotarło wspomnienie, jak niemal zdarłem na nią gardło, kiedy bez mojej wiedzy wyszła pobawić się w ogrodzie. Chociaż była za mała, bym mógł wprowadzić ją w mafijny świat, musiała wiedzieć, że mieliśmy zarówno swoich sprzymierzeńców, jak i wrogów. Ci drudzy łaknęli naszej śmierci.

– Pamiętam. – Wygięła palce z napięcia. – To przez nich?

Mądra dziewczynka.

– Tak. – Potaknąłem, kucając przed nią. – Ale tym razem są gorsi.

Wyprostowała się tak, jakby ktoś przyłożył jej nóż do pleców.

Dostrzegłem, że podgryzła wnętrze policzka.

– Czego od nas chcą? – wydobyła szeptem.

To zapytanie sprawiło, że poczułem się nieswojo.

– Chcą nas skrzywdzić. – To najłagodniejsze określenie, jakim mogłem się posłużyć. – Chcą, żeby... chcą, żeby nas bolało. Bardzo bolało.

Ściągnęła ku sobie brwi, choć z jej ust nie padło żadne pytanie.

– Nie martw się, Molly. – Wyprzedziłem jej obawy. – Tatuś jest tutaj, by cię ochronić.

Podniosłem się, po czym nachyliłem nad nią i musnąłem ustami czubek głowy córki.

– I zrobię wszystko, żebyś była bezpieczna.

# ROZDZIAŁ 9

## *Asteria*

Dotarliśmy do obrzeży Rio pod osłoną nocy. Moje myśli skupione były na powodzeniu misji i tego, do czego byłabym gotowa, by odzyskać Noelle. Nie wierzyłam, że to mogło się nie udać. Wizja, że moja córka znajdowała się w rękach bestii, popychała mnie do czynów, których normalnie bym nawet nie rozważyła.

Przeczyściłam gardło cichym chrząknięciem. Próbowałam zaaklimatyzować się w pokoju, który przydzieliła mi agencja, ale nie potrafiłam wysiedzieć z nerwów. Byłam przecież tak blisko!

Rozległo się pukanie do drzwi. Gdy tylko pociągnęłam za klamkę, w przejściu ujrzałam Jace'a. Nie skrywał zaskoczenia na mój widok.

– Nie śpisz?

– Właśnie otworzyłam ci drzwi, jak mogłabym spać? – Skrzywiłam się.

– Lot był wyczerpujący – skomentował. – Powinnaś przynajmniej się zdrzemnąć, jeśli zamierzasz dać powodzenie tej misji.

– Nie ma innego wyjścia niż powodzenie. – Posłałam mu surowe spojrzenie. – Do rzeczy, szefie.

Popatrzył to na mnie, to na pokój i znów na mnie.

– Mogę chociaż wejść?

Z westchnieniem cofnęłam się w głąb pomieszczenia. Podczas gdy Harrison rozgaszczał się na włościach, ja otworzyłam puszkę z gazowanym napojem i pociągnęłam łyk.

– Zamierzamy ruszyć z samego ranka – oświadczył. – Agenci z tutejszego biura na przestrzeni ostatnich miesięcy zajmowali się monitorowaniem sytuacji na ulicach. Chodzą plotki, że coraz częściej dochodzi do starć między frakcjami.

- Te pieprzone hieny walczą o dominację na narkotykowym rynku.
- Przebiegłam palcami po włosach.

Były nieco tłustawe. Zdałam sobie sprawę, że nie myłam ich od czterech dni przez natłok pracy i stresu.

– Alfa i Gamma potwierdziły, że McCann zamierza przetransportować dziecko do bezpiecznego miejsca.

– To oczywiste – zauważyłam. – Kiedy miał problem z Meksykanami, zabrał mnie do odludnego miejsca w górach. Podobno nie było szans na namierzenie ze względu na sprzęt zakłócający fale radiowe.

Jace nic nie mówił. Przechadzał się po pokoju, łapał coś, przyglądał się temu i odstawiał. Właśnie zrobił tak z figurką Jezusa Odkupiciela, słynnego posągu z Rio.

– Wyjaśnisz wreszcie, po co tu jesteś? – Warknięcie samo wyrwało mi się z gardła.

Z opóźnieniem uniósł na mnie wzrok, jakby nie spodziewał się ataku z mojej strony.

– Dalej coś do niego czujesz?

To jedno pytanie wprowadziło mnie w osłupienie. Mieszanina emocji w moim wnętrzu była nie do opisanego. Parsknęłam.

– Oszalałaś?

Uniósł dłonie w obronnym geście.

– Tylko pytam.

– O coś takiego? – Ściągnęłam ku sobie brwi. – Poważnie, kurwa? Ty myślisz, że po tym, co mi zrobił, rzucę mu się w objęcia i co? – Wyrzuciłam ręce w powietrze. – Stworzymy superkochającą się rodzinę? Czy może uciekniemy w siną dal w poszukiwaniu garnuszka złota?

Potrząsnął głową, wykrzywiając twarz w grymasie czegoś nieodgadzonego.

– Musiałem się upewnić. – Wyglądał tak, jakby wciąż szukał drugiego dna w tym, co mówiłam. – Ta misja jest ważna dla nas wszystkich.

– Ja pierdołę, Jace! – Poderwałam się na równe nogi. – Pół roku! – wrzeszczałam. – Pół roku mnie skanowaliście, przesłuchiowaliście, byłam przezroczyta. Wiedzieliście, kiedy sikam, jem, śpię, biegam,

a nawet którą ręką podcieram tyłek! Naprawdę myślisz, że zaprzepaściłabym wasze zaufanie po to, by wrócić do tego diabła?!

Mogłam dostrzec, jak jabłko Adama drgnęło mu pod skórą.

– Nie miałem tego na myśli.

– Gównu mnie obchodzi, co miałeś na myśli – splunęłam ostro. – Kurwa, nie wierzę, że w ogóle byłeś skłonny tak pomyśleć.

– Ruda... – zaczął.

Drgnęłam na to określenie.

– Nie waż się mnie tak nazywać. – Podkreśliłam to przeczącym ruchem głowy. – Nigdy więcej.

– Przepraszam, dobra? – Wstrzymał na moment oddech, jakby badał, czy wybuchnę. – Mnie też zależy na powodzeniu tej misji, na udupieniu McCanna i całej zgrai gangsterów. Odzyskanie twojej córki to już tylko formalność.

Miałam nadzieję, że wiedział, co mówił. Czułam, jak serce zabiło mi w piersi z natłoku emocji, których nie zdążyłam przepracować. Z wrażenia usiadłam w fotelu.

*Nawet jeśli będziesz na drugim końcu świata, wyrwę diabła z piekła i zniszczę całe niebo, żeby cię odnaleźć.* Słowa tego diabła wciąż pozostawały żywe i tym razem miały zupełnie inne brzmienie niż w dniu, w którym przypieczętował tę brudną obietnicę.

– Nabawiłam się przez niego traumy, omal mnie nie zabił – zaczęłam, wlepiając spojrzenie w podłogę. – Żeby wrócić do normalności, uczęszczałam na terapię, na rehabilitację.

Podniosłam wzrok na mężczyznę, ale on już na mnie patrzył. Coś zmieniło się w wyrazie jego twarzy i chociaż zapewne słyszał tę opowieść kilka razy, to nigdy nie z moich ust.

– Nawet nie wiesz, ile razy chciałam się poddać. – Przełknęłam ślinę, a ta wydawała się ważyć tonę, gdy brnęła w dół mojego gardła.

– Ile razy myślałam o tym, by ze sobą skończyć. Wiesz, co powstrzymywało mnie przed tym za każdym razem, gdy dopadała mnie chwila słabości?

Nie wiedział. Podtrzymywał milczenie.

– Myśl, że moja córeczka gdzieś tam jest, że mnie potrzebuje – wydusiłam głosem nabrzmiętym od łez. – Ona nieświadomie obraca się w świecie brutalni. A najgorsze jest to...

Urwałam, gdy szloch próbował przedrzeć mi się do gardła. Z westchnieniem wetknęłam kosmyk włosów za ucho.

– Najgorsze jest to, że tak bardzo boję się, że ona może mnie nie pamiętać. – Kręciłam głową na własne słowa. – Kiedy wreszcie ją spotkam, najbardziej boję się tego przerażenia w jej oczach, nieświadomości i że będzie miała mnie za obcą.

Jace opuścił ramiona. Coś pchnęło go w moją stronę i nie wiedziałam, czy to współczucie, czy zwykłe człowieczeństwo. Przykucnął naprzeciwko mnie. Wzrokiem prześledził moją twarz. Oddech sam wypadł mi z ust, gdy poczułam muśnięcie palców mężczyzny na dłoni.

– Jesteś niesamowicie silna.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem.

– Staram się być.

– Wiem, jak bardzo zależy ci na odzyskaniu córki. – Na moment wstrzymał oddech. – I przysięgam, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by tak właśnie się stało.

Niekontrolowana łza spłynęła mi po policzku, a mięśnie brody zadrżały, gdy opuściłam gardę.

– Dziękuję – wydobyłam z siebie szeptem.

Podniósł się na równe nogi, po czym rozejrzał się dookoła. Przebiegł palcami po włosach, a później po brodzie, jakby rozmyślał. Jego wzrok znów padł na mnie.

– A teraz odpocznij.

Wyczułam w jego głosie mieszankę troski z rozkazem.

– Musisz być wypoczęta. Jutro odzyskasz córkę.

Ta myśl była wręcz abstrakcyjna, a jednak napawała mnie niesamowitym ładunkiem nadziei. Już jutro będę miała ją w swoich ramionach, moją małą Nellie.

# ROZDZIAŁ 10

## *Saint*

Molly miała problem z zaśnięciem. Chociaż zasypianie w samotności rzadko kiedy sprawiało jej kłopoty, to od dnia morderstwa Vito, zasypianie przychodziło jej z trudem. Przedłużała moje wyjście z pokoju, prosząc i wymuszając, żebym nie odchodził.

Niczego się nie nauczyła. Była dokładnie taka sama jak jej matka.

Pozwoliłem jej zasnąć w swoim łóżku, bo w przeciwnym razie musiałbym wysłuchiwać płaczu, płacąc za to własnym niewyspaniem.

Jakiś dźwięk przedarł się do moich uszu. Rozchyliłem powieki, a każdy mój zmysł wyteżył się jak u dzikiej zwierzyny. Zerknąłem na córkę, spała obok zupełnie niewzruszona. Rude kosmyki plątały się po poduszce, kontrastując z jej bielą. Oddychała spokojnie, miarowo. Jednak to nie ona wydała ten dźwięk.

Podniosłem się z łóżka, chwyciłem za spodnie i założyłem je, przez cały czas nasłuchując otoczenia. Naciągnąłem koszulkę na ciało, jej chłód musnął skórę.

Przesunąłem stół, pod którym kryła się kłapa ze schowkiem. Pchnąłem drewniany panel, by wymusić otwarcie skrytki. W metalowej skrzyni znajdowało się kilka rodzajów broni. Wysunąłem palce po TMP<sup>12</sup>. Był łatwy do przenoszenia, co jednocześnie dawało możliwość szybkiego otwarcia ognia i bezproblemowego celowania. I być może mogłem potrzebować go właśnie teraz.

Zabezpieczyłem kłapę, a mebel wrócił na swoje miejsce. Odłożyłem pistolet maszynowy na komodę, po czym nachyliłem się nad córką.

– Molly, pora wstać.

Mruknęła coś sennie, wiercąc się pod pościelą.

– Molly. – Potrząsnąłem jej ramieniem. – Obudź się.

Rozchyliła powieki, trzepocząc rzęsami, i mrugnęła kilka razy. Poderwała się ostrożnie do siadu.

– He?

– Ubieraj się.

Rzuciłem jej rzeczy, które zdjęła przed snem. Nie miałem czasu na szukanie nowych, a piżama mogła okazać się niewystarczająca, gdyby przyszło nam teraz uciekać.

– Co się stało? – wymamrotała, leniwie zsuwając pościel z ciała.

– Pospiesz się. – Powstrzymałem się od warknięcia. – Nie mamy czasu.

Jedno spojrzenie na moją twarz musiało jej wystarczyć. Ześlizgnęła się z łóżka i pozbyła się piżamy. Sam zająłem się pakowaniem torby. Molly musiała dostrzec, że schowałem pistolet, bo usłyszałem jej zaniepokojone westchnienie.

– Tato?

Zerknąłem na nią. Była zdezorientowana, oczy zasnuwał cień przerażenia. Nie chciałem, żeby krzyczała ani żeby zaczęła płakać. Jeśli natychmiast bym jej nie uspokoił, mogłoby dojść do tragedii.

– To nic takiego. – Przykucnąłem przed kilkulatką. – Wiesz, że to dla bezpieczeństwa.

Skinęła powoli głową, choć jej wzrok uciekał do torby. Docierało do mnie więcej dźwięków z zewnątrz. Kurwa, ucieczka właśnie została wykluczona.

– Źli ludzie nas znaleźli? – Dziecięcy głos był nabrzmiały od strachu.

Pogłaskałem ją po ramieniu. Wyczułem drobne kropki pod opuszkami palców. Musiała dostać gęsiej skórki.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłem. – Po prostu się z nimi pobawimy.

– Pobawimy? – Przetarła ręką jeszcze ospałą twarz. – Jak?

– W chowanego. Co ty na to?

Pokręciła energicznie głową.

– Nie – wydukała. – Nie chcę.

Zbytnio nie miała wyjścia. Pchnąłem stół pod samą ścianę, a później powtórzyłem czynność z otwarciem skrytki. Nie miałem zbyt wiele czasu na pozbycie się karabinu czy zwiększenie przestrzeni, ale Molly była na tyle drobna, że zmieściłaby się bez problemu w metalowej skrzyni.

– Chodź do mnie. – Wyciągnąłem dłoń do córki.

Popatrzyła to na mnie, to na dziurę w podłodze.

– Tatusiu... – wyrzęziła.

– Molly, nie mamy na to czasu.

Zmusiłem ją, by się zbliżyła. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, płynęły z nich rześiste łzy. Jej przerażone spojrzenie... wiedziałem, że długo nie wymarzę go z pamięci.

– Połóż się tutaj. – Wskazałem na skrzynię.

– Nie. – Pokręciła energicznie głową, panika skutecznie pozbawiła ją możliwości swobodnego oddychania.

– Natychmiast. – Tym razem warknąłem.

– Tatusiu, proszę – zapłakała, szloch szarpnął jej kruchymi ramionami.

– Posłuchaj mnie. – Ująłem w dłonie zarumienione policzki dziewczynki, a kciukami przetarłem łzy. – Wszystko będzie dobrze. Po prostu się połóż, nie ruszaj i nie wydawaj z siebie żadnego dźwięku.

– Chcę być z tobą – bąknęła zachrypniętym od płaczu głosem. – Tatusiu, nie zostawiaj mnie tam.

– Ciii... – Złączyłem razem nasze czoła. – Musisz być cicho. Wrócę po ciebie, obiecuję.

– Tato...

Słyszałem, że byli coraz bliżej. Nie miałem zbyt wiele czasu.

– Zaufaj mi – szepnąłem.

– Proszę...

Zakręciło mi się w głowie od nadmiaru myśli. Była tylko dzieckiem. Miała prawo się bać, ale w chwilach takich jak ta jej strach najmniej mnie obchodził. Musiała pozostać żywa, nawet jeśli kosztowałoby ją to połamanie rąk.

– Jeśli tego nie zrobisz, zabiją nas oboje. – Nie miałem czasu na przystosowanie prawdy do norm jej dziecięcości. – Połóż się, teraz.



Cała drżała. Twarz miała czerwoną od łez, oddech jej szeleścił. A jednak zrobiła to. Z moją pomocą ułożyła się w pozycji embrionalnej, podkulając nogi do piersi.

– Leż grzecznie. Cokolwiek by się nie działo, nie wydawaj żadnego dźwięku. Nie wychodź, dopóki po ciebie nie wrócę.

Potaknęła. Poglaskałem ją po ramieniu, a jej drobne palce zatańczyły mi na dłoni.

– Obiecujesz? – wyrzęziła.

Popatrzyłem w te dzikie zielone oczy i po raz pierwszy poczułem wątpliwość.

– Obiecuję.

Cofnęła dłoń. Do końca patrzyła mi w oczy, dopóki nie zamknąłem klapy. Postawiłem na skrytce coś lżejszego, jakiś puf, zaś stół miał posłużyć mi za tarczę. Zdążyłem złapać za broń, gdy usłyszałem charakterystyczne pikanie.

Moje myśli wyparowały, gdy drzwi, albo raczej pozostałości po nich, rozprysnęły się po pokoju. Nie czekając na szturm, zacząłem strzelać. Moja pozycja nie była najlepsza, w końcu znajdowałem się pod ścianą, w sytuacji bez wyjścia.

Zabiłem dwóch. Skryłem się za stołem, z myślami wirującymi z prędkością światła.

– McCann. – Południowowschodni akcent dotarł do moich uszu. – Miej jaja i wyjdź do nas, zamiast ukrywać się jak szczur.

Kurwa, to brat Matteo, Christian.

– Pierdol się – parsknąłem.

Nie poddam się bez walki. Nie zginę, nie próbując. Byłem tylko ja i broń.

Usłyszałem przeładowanie czegoś grubszego niż zwyczajny karabin. Wystrzał w stół ocucił mnie w sekundę, kawałki drewna drasnęły mnie w skórę.

– Rzuć broń albo zginiesz.

Kurwa, kurwa, kurwa!

Musiałem oswoić się z myślą, że mogłem zginąć, jednak Molly musiała pozostać żywa. Nie wiedziałem, czy ktokolwiek ją tu odkryje. Nie wiedziałem też, czy sama zdoła uciec, gdy będzie już po wszystkim.

Zatem walka to ostatnie, co miałem.

Przyparłem palec do spustu, celując w linię ognia przeciwnika, zupełnie na oślep. Strzał z drugiej strony przeleciał tuż obok mojej głowy. Poczulem, jak niemal rozrywa mi ucho. Przywarłem plecami do stołu, biorąc szybkie wdechy.

– Będziesz tego żałować, Christian – warknąłem. – Dobrze o tym wiesz. Moi ludzie was wytępią.

– Tak? – Roześmiał się w głos. – To gdzie są teraz?

Jak, do cholery, mogłem nie zdawać sobie sprawy z bycia śledzonym? Uświadomiłem sobie, że kontrola, którą dotychczas miałem, właśnie wymusnęła mi się z rąk.

– Daję ci ostatnią szansę. – Słyszałem go być może metr od siebie. – Rzuć broń.

Poderwałem się na nogi, jednak nie zamierzałem spuszczać tego skurwysyna z celownika.

– Chcesz walczyć z honorem? Pierwszy złóż broń.

Wygiął brew z chłodnym uśmiechem. Nie odrywając ode mnie spojrzenia, odłożył karabin i wyprostował się.

– Twoja kolej.

To byłoby głupotą. Wykorzystałem okazję, oddając strzał. Głuchy dźwięk zamka przeładowującego zaśmiał mi się w twarz. Żółć rosła mi w gardle. Christian to zauważył. Wyszczrzył zęby w wygłodniałym uśmiechu i ruszył w moją stronę.

Szybkość jego ruchów i sposób, w jaki wytoczył pierwszy cios, dał mi do zrozumienia, że był zwinniejszy od brata. Uniknąłem jego pięści, sam wyprowadzając uderzenie wprost w jego szczękę, później w głowę, a następnie kopnąłem go w brzuch.

Część jego ludzi zniknęła, inni padli trupem. Nie wiedziałem, co z tą pierwszą połową. Wezwą posiłki? Będzie ich więcej?

Miałem już podnieść nogę i zgnieść pod glaniem głowę skurwysyna, jednak zdążył jedynie otrzeć się o podeszwę, kiedy się przetoczył. Poczulem kopnięcie w łydkę, a zaraz potem w tył pleców. Opadłem z łoskotem na podłogę. Promieniujący ból wędrował w dół ciała.

Obróciłem się. Christian już wisiał nade mną z nożem. Złapałem jego nadgarstki w dłonie, siłując się z nim. Ostrze zawisło

centymetry nad moim okiem.

– Obedrę cię ze skóry, sukinsynu – warknął mi w twarz.

W chwili, w której próbowałem go zepchnąć, dłoń mu drgnęła. Ostre zakończenie noża przesunęło się w dół policzka, rozcinając skórę. Wydałem z siebie przeciągły syk. Odnalazłem siłę, by zepchnąć go z siebie.

Ciężki oddech kołatał mi się w płucach, jego był bardziej agresywny. Wytrąciłem mu ostrze, a ono zabębniło w parkiet. Przypierdoliłem Christianowi w pysk, aż zapiekły mnie knykcie. Jeszcze jeden cios, kolejny. Zablokował ostatni, przytrzymując mi rękę w powietrzu, i pchnął mnie na stół.

– Nie skończę na tobie. Znajdę twoją córkę, twoją żonę też. – Wyrósł nade mną jak pierdolone drzewo. – Ich łby nabiję na pal, pomszczę brata.

Pod opuszkami palców wymacałem drewnianą nóżkę. Owinąłem wokół niej dłoń, po czym poderwałem się na nogi i zamachnąłem się kijem, celując w żebra, a następnie w potylicę przeciwnika.

Kurwa, zamierzałem go zabić, gdy tylko padł mi u stóp. Dyszałem jak wściekłe zwierzę. Krew spływała mi w dół ucha i policzka, czułem jej gorący strumień na skórze. Uniosłem drewnianą broń. Nagły strzał wytrącił mi ją z rąk.

– Stój – warknął ktoś za mną.

Nie byłem w stanie rozpoznać głosu. Zamierzałem się odwrócić, jednak dźwięk przeładowanej broni powstrzymał mnie przed tym.

– Rusz się, a rozpierdolę ci łeb.

– Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz – wycodziłem przez zęby. – Zapłacicie za to, każdy z was. Brazylia należy do mnie.

Słyszałem kroki. Odgłos butów był coraz bliżej, aż poczułem chłód lufy na potylicy.

– Czasy się zmieniły – mruknął. – Umarł król, niech żyje król.

Cios w tył głowy zamroczył mnie na kilka sekund. Z hukiem opadłem na podłogę, dusząc się uczuciem odbitych płuc. Wizja dwoiła i troiła mi się przed oczami, aż dostrzegłem mordę Christiana. Dosiadł mnie, wymierzając mi cios za ciosem. Głowa drgała mi od uderzeń.

– Ja cię, kurwo, zabiję – syczał mi w twarz.

Splunąłem krwią, którą chwilę temu się dławilem.

– Nic ci to nie da. Możesz mnie zabić, ale nic nie zmieni faktu, że twój brat i ty to pierdolone cipy.

Zamachnął się z okrzykiem i przypierdolił mi w nos. Gruchnięcie kości wyrwało mi jęk z gardła. Nie wiedziałem, co zamierzał. Niepewnie wciągałem powietrze. Ledwie widziałem na oczy. Im bardziej próbowałem wypluć krew, tym więcej się jej zbierało. Czulem, jak spływała mi w dół gardła, więc zmuszałem się do połknięcia.

– A to co? – Ten drugi głos przedostał się do moich uszu.

Ktoś coś pchnął, a później nastąpił zgrzyt. Nie, Molly...

– Tu leży jakiś bachor – parsknął nieznajomy.

Kątem oka widziałem, jak szarpnął kruchym ramieniem mojej córki, podrywając ją do góry. Dziecięcy pisk rozrywał mi uszy. Ze wszystkich sił, które udało mi się zebrać, obróciłem się na brzuch.

– Nie dotykaj jej.

Oboje patrzyli na mnie. Ciemne oczy z wyrazem zwycięstwa i przewagi, ale zielone... te patrzyły na mnie z przerażeniem, z zawodem, że nie zdążyłem jej uratować.

– To twoja córka, McCann? – Christian rozstawił stopy po obu stronach mojego ciała. – Interesujące. Jej śmierć może być dla mnie bardziej wartościowa niż twoja.

– Nie – wycedziłem.

Podparłem się na dłoniach, próbując wstać. Gdy tylko udało mi się ledwie oderwać od podłogi, ciężki but przycisnął mnie do niej z powrotem. Patrzyłem na Molly. Była zbyt przerażona, by mówić, a nawet by zapłakać.

– Zostaw ją. – Tym razem prosiłem. – Weź mnie. To ja jestem problemem.

Powiedzenie tego praktycznie wysssało ze mnie resztki sił.

Ten drugi owinał ramiona wokół dziewczynki. Piśnięcie, które z siebie wydobyła, rozdarło mi serce.

– Nie – wyrzeźbiłem, słowa ledwie wychodziły mi z ust.

Christian mocniej przycisnął mnie do parkietu, stając mi na kręgosłupie. Nie mogłem oddychać.

– Tatusiu! – zawołała. – Tato! Tato, nie!

Walczyłem do końca, by wodzić spojrzeniem za córką.

– Molly...

Ciemność.

# ROZDZIAŁ 11

## *Asteria*

Mój żołądek buntował się na samą myśl o jedzeniu. Od chwili przebudzenia czułam przedziwne wrażenie, które zakotwiczyło się w dole mojego brzucha.

Poranek nie zwiastował dobrej pogody. Stojąc przy oknie z kubkiem gorącej kawy, przyglądałam się szarym kłębowi, które zawisły nad Rio niczym demony tego spętanego krwią i przestępstwem miasta.

Jedna myśl towarzyszyła mi nieustannie, błakając się po umyśle. To dziś. Dziś przytulę moją córeczkę. Żaden inny scenariusz nie wchodził w grę. Musieliśmy odbić ją tym bestialskim skurwysynom.

– Gotowa? – Głęboki tembr dotarł do mnie zza pleców.

Aż wzdrygnęłam się na jego brzmienie.

– Nawet nie wiesz jak bardzo. – Wypuściłam powietrze. – Od kilku dni żyję tylko tym.

Jace wygiął kącik ust w przyjaznym uśmiechu. Poczułam dłoń mężczyzny na ramieniu i to, jak potarł je z czułością.

– Wpadniemy tam, zabierzemy małą i zamkniemy tych sukinsynów w pierdłu.

Popatrzyłam mu w oczy, próbując przekazać wszystko, czego nie byłam w stanie wykrztusić przez usta. W całkowitej ciszy ścisnęłam jego dłoń na znak wdzięczności i tego, że dał mi drugą szansę, bym mogła odzyskać córkę.

– Gamma właśnie wyrusza. – Głos agenta rozdzielił nas od siebie. – My także musimy się zbierać.

Nie wiedziałam, co czułam. Strach mieszał się z adrenaliną, ukłucie w sercu intensywnie dawało o sobie znać. Tak długo

czekałam, aż ten dzień nastąpi, że zaatakowały mnie obawy, czy aby na pewno dam radę.

Musiałam, dla mojej Nellie.

Wróciłam do pokoju hotelowego, by przygotować się do misji. Założyłam kamizelkę kuloodporną, czułam jej ciężar, ciasność pasów, gdy dopasowywałam je do ciała, i chłód klamry.

Rzuciłam ostatnie spojrzenie na odbicie w lustrze.

Dziś... dziś jest ten dzień.

\*\*\*

Dom... ten sam, do którego niegdyś McCann mnie zabrał. Rozpoznałam go. Wspomnienia, które wiązałam z tym miejscem, a które przez lata próbowałam wyprzeć, nagle stały się żywe.

Grupa uderzeniowa ruszyła naprzód. Kropelki potu spływały mi po twarzy i chociaż dzień był gorący, to wina leżała po stronie adrenaliny. Mężczyźni ustawili się pod linią okien i wysyłali do siebie sygnały na migi.

– Otoczyć budynek z każdej strony. – Głos dowódcy rozbrzmiał mi w słuchawce. – Wchodzić na mój znak.

Wyłapałam spojrzenie Harrisona, skinął mi głową. Odpowiedziałam mu tym samym.

– Delta, wchodźcie.

Cała grupa wyrwała się naprzód, ja tuż za nimi. Ściskałam pistolet w dłoni, w pełni gotowa do ataku. Dom nie miał drzwi i nie byłam pewna, czy to sprawka chłopców, czy już ich tu nie było. Wewnątrz mieszkania unosiły się głośnie rozkazy.

Stół, albo raczej to, co z niego zostało, został przewrócony. Ślady po kulach przechodziły na wylot przez jego powłokę. Wszędzie rozsypane było szkło, kawałki drewna i pozostałości po czymś, czego nie potrafiłam rozpoznać. W powietrzu niósł się dziwny zapach metalu. Było spokojnie, zbyt spokojnie.

Wtedy go zobaczyłam. McCann leżał na ziemi w kałuży krwi. Na pierwszy rzut oka nie byłam pewna, czy należała do niego. Ktoś badał mu puls. Wyrwałam się w jego stronę, pistolet wysunął się z mojej dłoni w natłoku emocji. Padłam przed nim na kolana, a moja

pięć wyrwała się w stronę tego skurwysyna. Uderzałam na oślep, raz za razem, dopóki nie odciągnęły mnie silne dłonie.

– Ty skończony chuju! – wrzeszczałam na całe gardło.

– Hunter, dość! – warknął Jace.

– Zabijcie go! – krzyczałam zdesperowana. – Albo ja go zapierdołę!

Palce miałam skąpane we krwi. Potrzebowałam chwili, by sobie uświadomić, że Saint był nieprzytomny. Boże...

– Nie... – wydusiłam szeptem.

Wyrwałam się z męskich ramion. Przeszukiwałam każdy kąt, pomieszczenie, skrytkę i drzwiczki.

– Nellie? – zawołałam. – Nellie, gdzie jesteś?!

Grupa agentów kontynuowała poszukiwania. Część z nich widziałam także za oknem, badali teren wokół domu.

A jeśli Noelle nie pamiętała swojego imienia? Cholera, jak Saint ją nazwał, zanim wyszedł?

Narkotyk... MDMA. Małe, kolorowe tabletki. Molly.

– Molly?! – Mój krzyk przedzierał się przez ściśnięte gardło. – Molly, kochanie, możesz już wyjść!

– Nie ma jej tu. – Dłonie Jace'a owinięły się wokół moich ramion. – Dom wygląda tak, jakby doszło do ostrzału.

– Nie. – Potrząsnęłam energicznie głową. – Ona musi gdzieś tu być.

Widziałam jego spojrzenie, pełne współczucia i żalu.

– Hunter...

– Ona gdzieś tu jest, Harrison. – Staralam się go przepchać na bok. – Molly!

Serce boleśnie uderzało mi o żebra, oddech łomotał w płucach, a myśli wirowały i żadna z nich nie brzmiała optymistycznie.

I wtedy dotarła do mnie jedna z nich: przyszliśmy za późno.

Wróciłam do pokoju, w którym leżał McCann. Przecisnęłam się przez pozostałych agentów, padłam na kolana i złapałam go za materiał koszulki.

– Ocknij się! – Potrząsałam nim z całych nagromadzonych sił. – Gdzie jest dziecko?!

Wypuścił z siebie niski jęk.



– Odpowiadaj! – Uderzyłam go w twarz. – Gdzie jest dziecko, skurwysynie?!

Pokój spowity był przeciągłą ciszą, nie licząc mojego przyspieszonego oddechu. Mężczyzna rozchylił powieki, odnalazł mnie wzrokiem i zamrugał, a z jego ust nie przedarło się żadne słowo.

– Dziecko – powtórzyłam. – Gdzie jest dziecko?

Patrzył na mnie zamroczony, podtrzymując milczenie.

– Odpowiedz mi! – Uderzałam go w tors. – Odpowiadaj! Mów!

Zakasłał, łapiąc się za obolałe miejsca gdzieś w okolicy żeber. Splunął krwią, a ta skapnęła mu na brodę, koszulkę i spłynęła po szyi.

– Ruda... – wyrzęził.

Do oczu napłynęły mi łzy, z gardła wyrwał się zbolący szloch. Znow uderzyłam go w pierś.

– Gdzie jest dziecko? – domagałam się. – Powiedz mi...

Szarpanie za ubrania, bicie, potrząsanie, nic nie było w stanie wydusić z niego odpowiedzi. Głowa z bezsilności opadła mi na jego tors. Rozrywający płuca szloch nie pozwolił mi oddychać. Ramiona trzęsły się w każdej próbie odzyskania stabilności, jednak wszystko na nic.

– Hunter... – Jace złapał mnie za ramiona. – On jest nieprzytomny. Muszą go zabrać do szpitala, by go wybudzić i zebrać potrzebne informacje.

– Nellie – wykrztusiłam spazmatycznie. – Moje dziecko...

– Wiem – wyszeptał kojąco. – Odzyskamy ją, obiecuję.

Potrząsnęłam energicznie głową, próbując wyprzeć z głowy myśl, że jej nie odzyskałam.

– Chodź.

Harrison złapał mnie pod ramiona. Moje nogi były zbyt wiotkie, bym mogła złapać pion. Oparłam się o niego, wyjąc mu w kamizelkę.

– Porwali ją – wydusiłam. – Zabrali moją córeczkę...

Nie pamiętałam niczego z transportu do szpitala. Ktoś coś do mnie mówił. Pielęgniarka włożyła mi tabletkę pod język. Byłam otumaniona, głowę miałam ciężką od płaczu, a mimo tego nie opuszczałam sali, w której leżał McCann. Poza mną było tu dwóch

antyterrorystów, a na korytarzu czekała kolejna dwójka. Reszta agentów wróciła do bazy.

Żadnych nowych wieści. Nikt nic nie mówił. Mój telefon nie zabrzączał pomimo upływu wielu godzin. W środku nocy zmusiłam się do zjedzenia chociażby pieprzonego rogalika, ale z obrzydzenia rósł mi w ustach.

Przebudziłam się nad ranem podczas zmiany warty antyterrorystów. McCann wciąż się nie przebudzał. Tego było za wiele...

Poderwałam się z fotela z zamiarem potrząśnięcia tym draniem. Jeden z mundurowych złapał mnie za ramię.

– Nie wolno ruszać więźniów.

Wyszarpałam odznakę z kieszeni, niemalże wypychając ją przed twarz mężczyzny.

– Mnie wolno.

Uniósł dłonie w obronnym geście. Mądrze.

Podeszłam do łóżka, po czym poruszyłam ramieniem nieprzytomnego gangstera.

– Budzimy się! – zawołałam. – Otwieraj oczy!

Uderzyłam go w twarz, gdy nie reagował. Głowa opadła mu na bok, a on sam rozchylił powieki. Zamrugął, zmuszając się do wyłączenia wzroku. Spojrzał na mnie skołowany, zanim przesunął spojrzeniem po pomieszczeniu.

Zaczął zszarpywać z siebie elektrody, ostatnia doczepiona do jego piersi wykazywała nagły wzrost ciśnienia. Próbował poderwać się do siadu, ale przycisnęłam go do materaca. Szeroko otwarte oczy patrzyły na mnie z nieopisanym szalem.

– Nie waż się ruszyć – warknęłam. – Albo cię, kurwa, zabiję, rozumiesz?

Jeszcze chwilę ze mną walczył, dopóki gość z wydziału antyterrorystycznego nie skierował karabinu w jego stronę. McCann musiał się zorientować, że był w sytuacji bez wyjścia.

– Durnie – warknął zniecierpliwiony. – Wypuście mnie!

Złapałam go za szczękę i zmusiłam go do spojrzenia na siebie.

– Gdzie jest Noelle? – Akcentowałam wyraźnie każde słowo.

Oplótł palce wokół mojego nadgarstka i zgniótł go w pięści z całej nagromadzonej siły. Jęknęłam, odruchowo uderzając go z wolnego łokcia w twarz. Wydał z siebie syk, sięgając palcami do złamanego nosa.

– Jebana suka – wypluł z obrzydzeniem. – Wypierdalaj stąd!

Nie wytrzymałam. Złapałam za wazon z chęcią rozpierdolenia go na głowie tego skurwysyna. Powstrzymał mnie jeden z mężczyzn. Wyrwał mi naczynie z dłoni, a następnie objął w pasie, uniemożliwiając ruch.

– Co, myślałeś, że cię nie znajdę? – parsknęłam. – Wszędzie bym cię znalazła!

– Zabierzcie stąd tę psychopatkę – zażądał, obrzucając mnie pogardliwym spojrzeniem. – Ona jest pierdolnięta.

– Nie pozbędziesz się mnie. – Wystawiłam palec w jego stronę. – Gadaj, gdzie jest Noelle!

– Myślisz, że cokolwiek ci powiem? – Znów poderwał się do siadu.

– W twoich pierdolonych snach. – Zwrócił spojrzenie do mężczyzn.

– Jeśli myślicie, że będę z wami współpracować, to po prostu mnie odjebcie.

– Nie kuś – odmruknął antyterrorysta. – Stawka jednak jest za wysoka. Wszystko będziesz robił z nami, wliczając w to sranie i prysznic. Będę wiedział nawet to, kiedy podrapałeś się po dupie.

McCann wybuchnął ostrym śmiechem.

– Nie mam czasu na wasze chore zabawy. – Przerzucił nogi przez ramę łóżka, po czym wyrwał wenflon ze zgięcia w łokciu i zatamował krwawienie kawałkiem waty, która była częścią opatrunku.

– Nie wyjdiesz stąd.

Nic sobie z tego nie robił. Wciąż miał na sobie ubrania, w których go odnalazłam. Śmierdział wilgotnym powietrzem, krwią i potem. Kiedy zamierzał ruszyć naprzód, obaj mężczyźni przeładowali broń.

– Zejdz mi z drogi. – Z gardła McCanna wytoczyło się gardłowe warknięcie.

– Zejdiesz z mojej, kiedy pociągnę za spust.

Sama nie próżnowałam. Wysunęłam splotkę z kabury i przystawiłam lufę do skroni mafioso. Jego spojrzenie odnalazło moje. Trwaliśmy w głuchej, nieprzerwanej ciszy. W pierwszej chwili

wyglądał na zaskoczonego, lecz w drugiej przybrał surowy wyraz twarzy.

– Pomyśl, ruda, jak wielki błąd popełniasz.

– Nie waż się mnie tak nazywać. – Zaprzeczyłam ostrym ruchem głowy.

Podtrzymywaliśmy walkę na spojrzenia i żadne z nas nie było skore, by przestać. A on nic nie robił sobie z wycelowanej w niego broni. Szarpnął mną niespodziewanie, obrócił tyłem i odebrał mi splotkę. Wydawało się, że wszystko trwało dwie sekundy. Przystawił gnata do mojej głowy. Nie zdążyłam zaczerpnąć tchu.

– Nie chcę jej zabijać, ale zrobię to, jeśli mnie zmusicie.

Próbowałam się wyrwać. Męskie ramię mocniej docisnęło się do mojego gardła, pozbawiając mnie tlenu.

– Rzuć broń – warknął gość w czarnej kamizelce. – Albo rozwalę ci łeb. Mam rozkaz rozstrzelania cię, jeśli wykazesz jakiegokolwiek oznaki zagrożenia.

– Nie – udało mi się wyrzucić. – Nie strzelajcie!

Ramię mężczyzny nieco poluźniło uścisk.

– Opuśćcie broń i pozwólcie mi wyjść – zażądał McCann.

– Nie masz żadnego pola manewru. – Mundurowy z wymierzoną w nas bronią wyglądał na nieustraszonego.

Szkoda, że tylko wyglądał.

– Tylko ja wiem, kto porwał Molly.

Czułam jego gorący oddech przy uchu.

– Jeśli będziecie mnie tu beczynn timer trzymać, już nigdy nie zobaczycie dziecka. Te skurwysyny będą próbowały się zemścić za to, co zrobiłem – mówił, a w pokoju nie słyhać było innego dźwięku. – A ja jestem wam potrzebny.

Lufa przy mojej skroni była zimna jak lód. Chłód stali przyprawiał mnie o dreszcze i ciąg najgorszych wspomnień, a jednak to myśl o prawdopodobnej utracie córki sprawiała, że do gardła podchodził mi szloch.

– Opuść broń – tym razem poprosiłam. Wiedziałam, że nie miał żadnych skrupułów, by nie pociągnąć za spust. – Opuść ją. Myślmy rozsądnie.

– Kiedy stąd wyjdę, macie mnie nie śledzić, inaczej wszystko spierdolicie – warknął podsyconym gniewem tonem. – Nie mam wiele czasu. Nie wiem, czy w ogóle go mam.

– Nie pozwolę ci wyjść. – Przyparłam dłoń do jego tricepsu. – Ja też chcę ją odzyskać, Saint.

– Na zewnątrz czekają nasi. – Mężczyzna z oddziału antyterrorystycznego przypomniał o swoim istnieniu. – Jeśli my pozwolimy ci odejść, oni już tego nie zrobią.

– Więc lepiej spraw, żeby to, kurwa, zrobili – wycedził McCann, jego ramię ponownie odebrało mi oddech. – Każda sekunda zbliża Molly do śmierci. Chcecie mieć dziecko na sumieniu?!

– Nasi już jej szukają – powiedział. – Znajdą ją prędzej czy później.

Saint prychnął. Cofnął broń, zabezpieczył ją, po czym schował za pasem.

– Wy pierdolone durnie – splunął z pogardą. – Ruda, oni muszą mnie puścić. Tylko ja wiem, gdzie jej szukać.

Popatrzyłam na niego. Wstrzymałam oddech, w głowie miałam kompletną pustkę. Nic poza myślą, żeby odzyskać córkę.

– Idę z tobą – powiedziałam.

Wiedziałam, że wiele tym ryzykowałam. Kolejny raz mogłam nagiąć zaufanie federalnych.

– Wykluczone. – Pokręcił głową w sprzecznię. – Od zabawy w harcerzyka mam swoich ludzi. Wracaj polować na kartele w Stanach, Marchewo.

– Nie będziemy się targować, do cholery! – Wyrzuciłam dłonie w powietrze. – Albo idę z tobą, albo nigdzie nie pójdziesz.

Westchnął. Przyparł palce do opatrunku na nosie, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Będziesz naszym informatorem – postawiłam warunek. – Albo cię aresztujemy.

Popatrzył na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa.

– Chyba robisz sobie pierdolone jaja. – Piekielna wściekłość właśnie zakwitła mu w żyłach. – Za kogo ty mnie masz, co?

– Nie potrzebujemy cię. – Pokręciłam głową. – Dotrzemy do Noelle z tobą czy bez ciebie. Nas jest wielu, ty tylko jeden.

– Nigdy nie byłem sam. – Głos miał niski, podsycony nienawiścią.  
– Nikogo z tobą nie ma, Saint. – Rozłożyłam ramiona, dając mu znać, że w pokoju poza nami nie było nikogo innego. – Nikt nawet nie wie, że doszło do porwania. Dostatecznie zająłeś swoich ludzi, by nie interesowali się twoimi planami.

Jedno spojrzenie jego oczu i wiedziałam, że miałam rację. Sunął językiem po wnętrzu ust, zanim zacisnął poruszające się szczęki.

Serce biło mi nierówno na myśl o decyzji, którą zamierzał podjąć.

– W zamian zapewnimy ci ochronę – próbowałam go przekonać.

Parsknął śmiechem.

– W chuju mam waszą ochronę. – Śmielej postawił krok w stronę wyjścia. – Jeszcze przyjdziecie do mnie na kolanach, błagając, bym to ja ratował was przed innymi rodzinami na Południu.

Spojrzałam na chłopaków, jednomyślnie skinęliśmy głowami.

– W takim razie trochę tu sobie posiedzisz. – Posłałam mu pogardliwy wzrok. – Może wreszcie zeżrą cię wyrzuty sumienia i zrozumiesz, że nie powinieneś z tym walczyć.

Nie mogłam poświęcić mu więcej uwagi. Teraz najważniejsza była Nellie i to ją musiałam odnaleźć, zanim będzie za późno.

Dłoń zamarła mi na kłamce, gdy usłyszałam jego głos.

– Zaczekaj – wycedził, najwyraźniej wiele go to kosztowało.

Zerknęłam na niego przez ramię. Widziałam, że usiadł na krześle, pochylił się nad kolanami i przesunął palcami po krótkich włosach na głowie.

– Pomyśl, co jest dla ciebie ważniejsze, Saint. – Powolnym krokiem zmniejszyłam dystans, który nas dzielił. – Nasza córka czy twoja pozycja. Jeśli to drugie, to po prostu nie utrudniaj nam śledztwa i wracaj bawić się w policjantów i złodziei.

Naparł zębami na dolną wargę. Skrzywił się, gdy górne zęby zahaczyły o ranę.

– Gdyby nie ty, nic takiego by się nie wydarzyło.

Brwi wystrzeliły mi do góry. *Że co?* Zerknęłam przez ramię na chłopaków. Być może bez ich obecności powie mi coś więcej.

– Dajcie nam chwilę – zarządziłam.

– Nie możemy spuścić go z oczu – odpowiedział niższy brunet. – Rozkaz z góry.

– Gdybym chciał ją zabić, już dawno bym to zrobił. – Warknięcie za moimi plecami wprawiło mój żołądek w nieprzyjemny stan. – I czasem żałuję, że jeszcze do tego nie doszło.

Obróciłam się ku niemu tak szybko, że omal nie zakręciło mi się w głowie.

– To ja powinnam zapierdolić ciebie, ty... – Złapałam za stojak z kropłówką. W chwili zamachnięcia, ktoś przytrzymał mnie za ramiona. – To twoja wina! – wrzasnęłam. – To zawsze była twoja wina!

Saint zbliżył się na tyle, że dzieliło nas jedynie kilkanaście centymetrów.

– Gdybyś mnie nie zdradziła, wszystko byłoby na swoim miejscu. – Zlustrował moją twarz pogardliwym spojrzeniem. – Ale kurwa pozostanie kurwą.

Treść żołądkowa podeszła mi do gardła. Z trudem udało mi się ją przełknąć.

– Zawsze winiłeś innych. – Odnalazłam w sobie siłę, by odpowiedzieć. – Za śmierć Bianci, chociaż to twoja wina. Za zdradę ojca, chociaż to twoja wina. Za moją decyzję i być może cię zaskoczę. – Chociaż trzymano mnie za ramiona, wychyliłam twarz ku niemu. – To też była twoja wina.

Splunął mi w twarz. Poczułam maź na czole i to, jak spływała mi po nosie.

– Dziwka – warknął.

Moja noga sama wystrzeliła w jego stronę. Trafiłam go między nogi, a kiedy zgiął się wpół, przypierdoliłam mu w szczękę. Opadł na kolana, jęcząc w wyłożoną linoleum podłogę.

– Och, puszczajcie! – Wyrwałam się z męskich uścisków. – Jesteście do niczego!

Żaden z nich nic nie mówił. Zerkali pobłaźliwie na leżącego mężczyznę.

Odkręciłam kran, po czym przemyłam twarz wodą. Zerknęłam w lustro, obserwując, jak kropelki spływały mi po skórze. Osuszyłam się przy użyciu papierowego ręcznika.

Poczułam wibracje. To mój telefon. Wysunęłam go z kieszeni i odebrałam połączenie.

– Hunter – zaczęłam.

– I co? – zaczął Jace. – Macie już coś?

– Skurwiel nie chce gadać, ale nie martw się – mruknęłam, obserwując, jak McCann powoli się podnosił. – Sprawię, by wszystko nam wyśpiewał. Zorganizuj transport, zabieram go na przesłuchanie.

– Jego stan jest na tyle dobry?

– Wystarczająco, by syczeć do nas jak rozjuszony kociak. – Przewróciłam oczami. – A wy? Znaleźliście Noelle?

– Jeszcze nie. Nasi wciąż przeczesują okolicę. Rozporządziłem ustawienie naszych na przejściach granicznych i na lotniskach.

Czyli nie mieli nic. Ta myśl działała przygnębiająco, a jednak wiedziałam, że nie mogę się poddać. Musiałam przycisnąć McCanna i zmusić go do gadania.

– Wyślę po was wozy. Jest twój, możesz go przesłuchać – zapewnił. – I, Hunter?

– Tak, szefie?

– Zgnój go jak pierdolonego robaka. – Wyczułam nutę satysfakcji w jego głosie. – Nie obchodzi mnie, w jakim stanie z tego wyjdzie.

Och, zemsta będzie słodka. Przesłodka.



# ROZDZIAŁ 12

## *Asteria*

Prowizoryczny pokój przesłuchań, który udostępniono nam w budynku biura wywiadowczego, wyglądem przypominał piwnicę. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i trutek na szczury. Zgadywałam, że niejeden zdążył tu zdechnąć.

McCanna wyprowadzono siłą ze szpitala. Zanim jednak do tego doszło, pięciu mężczyzn zostało zmuszonych do powalenia go na podłogę i zakucia go w kajdany. Upór gangstera osłabł po tym, jak potraktowali go paralizatorem. Być może to także ocuciło jego myślenie.

Obserwowałam, jak rzucono go na stół. Musiał opaść z sił, bo nie wyglądał, jakby zamierzał walczyć. Trzymali go za ramiona, nadgarstki związali mu skórzanymi pasami, to samo czyniąc z nogami. Jeden z agentów zarzucił mu szmatę na twarz, a drugi zaczął polewać ją wodą z wiadra.

Znałam tę metodę. Ten sposób dawał złudne uczucie tonięcia, które potrafiło zabić. W tym jednak przypadku miało pchnąć McCanna na granice wytrzymałości i wymusić na nim zeznania.

Obserwowałam wszystko z boku z założonymi na piersiach rękoma.

*Dalej*, warknęłam w myślach. *Złam się, gnojku.*

Zbliżyłam się, gdy tylko mężczyzna podniósł ścierkę. Saint zakasłał, wypluwając wodę z ust. Zaciągnął się powietrzem, jakby nagle stało się towarem luksusowym.

– Kto zabrał Noelle? – zapytałam.

Spojrzenie znajomych oczu padło na mnie. W kilka sekund aż zawrzał ze złości, szarpiąc wszystkimi kończynami.

– Ja cię, kurwo, zabiję! – wrzasnął na całe gardło.

Kącki moich ust powędrowały ku górze. Z nieskrywaną satysfakcją przyglądałam się temu, jak nisko upadł.

– Doprawdy? – Wygięłam usta w dzióbek. – Zobacz, jaki jesteś bezbronny. Zostałeś sam, McCann. Żaden z twoich sługusów nawet nie wie, że tu jesteś.

Oddychał wściekle, jakby wpadł w amok. Szczeka mu drgała, rozszerzone źrenice zdradzały nienawiść, jaką mnie darzył. Upewniłam się, że będzie cierpiał tak samo jak ja.

– Marnujecie czas. – Tym razem zwrócił się do agenta. – Teraz mogą szatkować moją córkę na kawałki, a wy za to odpowiecie! – Warknięcie, które wytoczyło się z jego gardła, było podsycone wkurwieniem.

– Kto ją porwał? – naciskałam. – Kim byli ludzie, którzy cię zaatakowali?

Agresja, która niemal rozrywała go od środka, przeszkadzała mu w zdrowym myśleniu.

– Niczego nie rozumiesz?! – Poderwał głowę, by na mnie spojrzeć. – Tylko ja mogę ją uratować!

Zerknęłam na agentów i kiwnęłam głową. Jeden z nich ponownie zarzucił mu szmatę na głowę, a drugi wylewał wodę, dopóki McCann nie zaczął się nią dławić.

Do mojego umysłu napływało wiele mrocznych myśli. Nie wiedziałam jeszcze, od realizacji której powinnam zacząć. Czy chciałabym wyrwać mu paznokcie albo zęby? Czy może raczej pociąć jego pyską buźkę? Cóż, wizja przypalania go, dopóki moje pełne imię nie odciśnie się na zawsze na jego cholernym ciele, także była niczego sobie.

Gangster poderwał głowę, gdy tylko tamta dwójka zaprzestała metodycznego sposobu przesłuchania. Kasłał, dyszał. Wyglądał na osłabionego.

– Gdzie jest dziecko? – Nachyliłam się nad jego uchem. – Kto je porwał?

Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy. Tym razem się nie awanturował. Walka na spojrzenia trwała w zaparte. Jego oczy mówiły mi więcej, niż chciałabym wiedzieć. Nienawidził mnie całym sobą i jakby tylko mógł, udusiłby mnie gołymi rękoma. Tym razem to

ja miałam przewagę, a on w tej strukturze znalazł się na przegranej pozycji.

– No dalej – wychrypiał. – Pozwól im mnie zabić. Z pewnością znajdziecie dziecko albo rozczłonkowane, albo roztopione w kwasie. Zwlekajmy z tym dłużej, śmiało.

Jego słowa trafiły wprost do mojego umysłu. Z ust wypadło mi mimowolne sapnięcie na samo wyobrażenie, że ten scenariusz mógł stać się rzeczywistością. Inna część mnie krzyczała, by uciszyć tego sukinsyna kolejnym litrem lodowatej wody.

– Współpracuj z nami – naciskałam.

– Nie krępuj się – mówił do agenta. – Uduś mnie tą szmatą. Oszczędź mi patrzenia na tę sukę, to wystarczająca tortura.

Wyrwałam mężczyźnie ścierkę, zwinęłam ją w rulon, po czym owinęłam nią szyję McCanna.

– Myślisz, że to jest, kurwa, zabawne? – warknęłam mu przy uchu.

– To też twoja córka. Naprawdę nie masz w sobie tyle człowieczeństwa, by spróbować wszystkiego, by ją uratować?

– Pierdol... się... – wycharczał.

– Ty skurwysynu! – Moja pięść wystrzeliła w jego cwaniacką mordę.

Saint splunął krwią. Wyszczерzył się, jego oczy pociemniały. Patrzył na mnie z wyrazem zwycięstwa wymalowanym na twarzy. I choć chwilę temu byłam pewna, że miałam go w garści, ten jakimś cudem się z niej wymknął.

– Potrzebujesz mnie, ruda – mruknął zbyt pewny siebie. – Wiesz, że beze mnie jej nie znajdziecie.

Kropelki potu spłynęły mi po kręgosłupie. Czułam, jak sunęły w dół, by za moment zamienić się w lód pod wpływem brzmienia jego głosu. Znalazłam się twarzą w twarz z mężczyzną, który niegdyś mnie zniszczył, i czułam, że teraz wysysał ze mnie całą kontrolę.

– Nie zależy ci na niej? – Dbałam o to, by mój ton pozostał twardy.

– A tobie? – prychnął, podrywając głowę. – Przetrzymujesz mnie i bawisz się w pierdolonych sowietów, zamiast pozwolić mi, do kurwy, działać?! – Tym razem powstrzymał się od wrzasków, choć jego głos pozostał uniesiony. – Myślałaś, że jeśli mnie pošlesz na

tortury, to wyleczysz swoją złamaną duszyczkę? – parsknął szorstko.  
– To tak nie działa. Jesteś na to za słaba.

Z jednej strony miałam nieskrywaną ochotę złapać go za ramiona i potrząsnąć nim, by otrzeźwiał ze swojej dumy, a z drugiej byłam gotowa zdradzić własne morale i błagać go, by jak najszybciej zdradził mi, kto stoi za porwaniem Nellie.

– To nasza córka, Saint – wyszeptałam. – Na pewno jest teraz przerażona, zapłakana i roztrzęsiona. Nie wiemy, do czego zdolni są ci ludzie.

– Gratulacje dla ciebie, że w końcu dotarło to do twojej małej główki. – Powstrzymał warknięcie. – Nawet nie wiem, czy wciąż żyje. Oni nie mają niczego do stracenia. Nie będą negocjować. Zależy im na zemście.

Do wyobraźni przedostały mi się obrazy płaczącej córeczki. Serce drżało mi boleśnie w piersi, ledwie mogłam zaczerpnąć tchu.

– Dlaczego? – Przetarłam spływającą po policzku łzę, zanim mężczyzna zdążyłby ją dostrzec. – Co im zrobiłeś?

McCann szarpnął dłońmi, jakby badał, czy wciąż był skrupowany.

– Najpierw mnie uwolnij – zażądał.

– Pod warunkiem, że pomożesz nam w dotarciu do dziecka.

Głowa opadła mu na stół. Zamknął oczy, dogłębnie coś analizując – być może segregował wszystkie „za” i „przeciw”.

– Zajmę się dotarciem do Molly – powiedział, znów na mnie patrząc. – Kiedy zdecyduję, że możecie wkroczyć, zrobicie to.

– Nie. – Pokręciłam głową w sprzecznie. – Pójdę z tobą. Chcę ją odzyskać.

– Ruda...

– To też moja córka, Saint. – Przyparłam dłoń do piersi. – To moje dziecko. Chcę być przy niej, gdy uwolnimy ją z rąk porywaczy.

– Nie bądź naiwna. – Głos miał niski, podsycony kpina. – Ona nawet nie wie, kim jesteś. Myślisz, że rzuci ci się w ramiona? Pierwszą osobą, do której pobiegnie, będę ja.

Chociaż próbowałam pozostać silna, oczy napęłniły mi się łzami, ponieważ wiedziałam, że to, co mówił, było prawdą. Odwróciłam się do niego plecami, by nie dać mu satysfakcji z ujrzenia mnie rozbrojonej.

Powinnam pozwolić mu spłonąć w piekle, a jednak utrzymywałam się przy myśli, że jego pomoc może przyspieszyć poszukiwania. Nikt poza nim w tym kraju nie miał takiej władzy, by przeciwstawić się równie silnej organizacji. A jeśli miałam chwytać się brzytwy, zrobiłabym to, nawet jeśli kosztowałoby mnie to głęboką ranę.

Zacisnęłam zęby, wzięłam szorstki wdech, po czym odwróciłam się ku niemu. Moje palce same manewrowały przy skórzanych pasach.

– Co ty robisz, Hunter? – syknął jeden z agentów.

– Ratuję córkę. – Obrzuciłam go sekundowym spojrzeniem. – Nie możemy zwlekać, to trwa zbyt długo.

– Harrison cię zabije, jeśli się o tym dowie.

Uwolniłam jeden nadgarstek, zabrałam się za drugi. Gdy pasy puściły, Saint sam zabrał się za odpięcie skrępowanych nóg. Wstał ze stołu, wyglądając na obolałego. Koszulkę miał poplamioną krwią i mokrą od wody. Posłał mi twarde spojrzenie.

– Pójdę na ugodę – powiedział, uciekając wzrokiem do pozostałych, zanim powrócił oczami do mnie. – Będę współpracował, ale tylko z tobą. Nie chcę nikogo innego. To jedyne wyjście i żadnego innego nie biorę pod uwagę.

– Agenci mogą pomóc w odnalezieniu Nellie.

– Tak, a co później? – prychnął szorstko. – Aresztują nas tak, jak ostatnim razem?

Co on sobie, do cholery, wyobrażał? Że po wszystkim pozwolę mu dumnie kroczyć po świecie? Nie mógł być aż tak głupi.

– Dobrze – odetchnęłam. – Tylko ja.

– Moi ludzie zajmą się poszukiwaniami. Twój niech nie wychylają się z nory, inaczej wszystko spierdolą. – Strzelił spojrzeniem w pozostałych mężczyzn. – Jeśli tamci się dowiedzą, że federalni są zaangażowani w sprawę, dziecko zginie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– Jak chcesz ją odnaleźć? – zapytałam. – Od czego mamy zacząć?

Jego ciemne oczy przesunęły się do moich. Jego dominujący sposób bycia najwyraźniej próbował mnie stłamsić. Wiedziałam, że mi nie ufał, i vice versa. Nie nastawiałam się, że cokolwiek miałyby się zmienić w najbliższym czasie. Jedyne, co nas łączyło, to chęć odzyskania córki i zemsta, którą byliśmy niefortunnie związani.

– Jeśli jeszcze nie zauważyłaś, wyczerpaliście mnie do granic możliwości po tym, jak dostałem wpierdol od spierdoleńca z jakiegoś marnego kartelu, więc w pierwszej kolejności udałbym się na odpoczynek – rzucił z pretensją, która mnie dobiła.

– Teraz będziesz odpoczywać? – prychnęłam z niedowierzaniem.

– Nasza córka została porwana, a ty idziesz spać?!

– Myślisz, że jej pomogę, jeśli będę wyczerpany? – W jego oczach znów zagościła furia. – Oczywiście, że muszę odpocząć. Pomyśl trochę, ruda.

– Nie pozwolę ci wrócić samemu.

Przesunął wzrokiem po moim ciele, a w jego oczach kłębiła się irytacja.

– Że niby jedziesz ze mną?

– Albo ja, albo federalni eskortują cię do samego domu. – Skrzyżowałam ramiona na piersiach i uniosłam brew. – Wybieraj.

– I tak musimy go eskortować. – Głos Jace’a rozbrzmiał w pomieszczeniu, gdy tylko stanął w przejściu. – Zgadzam się na warunek współpracy z agentką Hunter, ale pod warunkiem bycia w stałym kontakcie z nami – powiedział, wlepiając we mnie spojrzenie. – Lepiej znajdźcie sobie miejsce, które na czas śledztwa posłuży wam za bazę. A ty... – wystawił palec w stronę McCanna – ... nie próbuj żadnych sztuczek. Jedna próba wykiwania nas i kończymy z tobą.

Saint cały się napiął na brzmienie męskiego tonu.

– Bo co? – Pokonał śmieiej kilka kroków. – Zabijesz mnie? Ustaw się w kolejce.

– Po prostu cię ostrzegam – skwitował nieufnie, zanim jego oczy odnalazły moje. – Jesteś pewna tego, co robisz?

Pokiwałam głową.

– Jeśli to jedyne wyjście, to tak.

Potaknął. Napaął zębami na wargę, po czym otulił mnie ramionami. To było niespodziewane. Mój żołądek niemal wykręcił się z nerwów na myśl o tym, że mógłby stracić do mnie zaufanie i ponownie wyrzucić za burtę, skazując na utonięcie.

– Uważaj na siebie, Hunter.

Wyczułam w tym prośbę.

– Bądź z nami w stałym kontakcie. Gdyby coś było nie tak...

– Poradzę sobie. – Ścisnęłam jego ramię. – Zajmiemy lokum w bazie. Nie będę miała problemu z waszym stałym nadzorem.

Wykrzywił kącik ust w delikatnym uśmiechu, zanim jego spojrzenie skierowało się na McCanna. Zrobiłam to samo. Ten przyglądał nam się spod opuszczonych powiek, lecz z tego mrocznego oblicza nie byłam w stanie niczego odczytać. Wreszcie przewrócił oczami i skierował się do wyjścia.

– Dalej, żonko – mruknął głosem podszyconym kpina. – Pobawmy się w dom.

# ROZDZIAŁ 13

## *Asteria*

Apartament był przestronny i dzielił się na dwa skrzydła: sypialnię przeznaczoną dla mnie i tę przeznaczoną dla Santa. Chociaż byłam przekonana, że załatwią mu pokój wielkości pomieszczenia na miotły z dziurą w podłodze zamiast wychodka, to Amerykanie, ta ich poprawność polityczna i głoszenie humanitarności zapewniły mu pokój na równie wysokim poziomie, co mój.

McCann został tu przetransportowany przez federalnych, w specjalnie przyciemnianym wozie, by nikomu z tutejszych nie wpadła do łba chęć odbicia głowy brazylijskiej mafii. I nie skłamałabym, mówiąc, że ujrzenie go skutego w kajdany na rękach i nogach było przyjemnym widokiem. Pożałowałam jednak tego, że zdjęli mu je zaraz po wejściu.

Kamery były ustawione w każdym kącie, choć technologia umożliwiła sprawienie, że były niemal niewidoczne. Czułam się bezpieczniejsza, wiedząc, że nie zostałam tu z tym diabłem sam na sam. Piętro niżej znajdowała się baza operacyjna mojej agencji, lecz żeby nie wzbudzać podejrzeń pozostałych mieszkańców, zostaliśmy zmuszeni do chodzenia w cywilnych ubraniach.

To miejsce stanowiło więzienie dla Santa. Okna były rozchylane jedynie na kilka centymetrów, winda uruchamiana na odcisk palca, z wyjątkiem jego, podobnie jak dostęp do schodów ewakuacyjnych, a wszystkie ostre narzędzia czy sztucce zostały zastąpione bambusowymi lub z gumowym wykończeniem.

Byliśmy tylko we dwoje, skazani na siebie nawzajem, walcząc z myślą, by nie zamordować tego drugiego. Cóż, w końcu mieliśmy jeden cel: odnaleźć Nellie.



Podczas gdy McCann spał, ja do późna analizowałam nagrania z kamer w obrębie domku w górach. Materiałów nie było jednak zbyt wiele, ponieważ chata, która stanowiła przystań bezpieczeństwa dla gangstera, znajdowała się na odludziu, pośrodku pieprzonego lasu, dlatego też każdy podejrzany samochód musiał zostać przez nas sprawdzony.

Nic się nie kleiło. Psy tropiące zgubiły trop przy śladach opon, a te wkrótce rozmył potężny deszcz. Jedyne, co udało się odnaleźć technikom, to różowa kokardka na spince. Ściszałam ją w dłoni, wpatrując się w nią z tęsknotą i głębokim żalem.

Musiałam odzyskać córkę, choćbym miała przeczesać każde źdźbło trawy w Brazylii.

Promienie słońca zakradły się przez okno do apartamentu, oślepiając mnie, gdy próbowałam rozchylić powieki. Z jękiem poderwałam się do siadu, czując dyskomfort spowodowany niewygodną pozycją do spania. Musiałam zasnąć przy biurku.

Przetarłam ręką twarz, po czym ziewnęłam podczas przeciągania się. Moje ubrania były przesiąknięte stęchlizną i wilgocią. Nie zdążyłam wziąć prysznic, odczuwałam dyskomfort z powodu smrodu.

Moje rzeczy zostały mi dostarczone w walizce. Wyjęłam z niej świeży komplet bielizny, ciemne spodnie i czarną koszulę. W łazience napełniłam wannę niemal po brzegi, by móc chociaż na chwilę pozwolić mięśniom na relaks. Jednak nawet wtedy, gdy zanurzałam głowę pod powierzchnią wody, spokój nie nadchodził. Gnębiły mnie wyrzuty sumienia, a myśli że byliśmy bezczynni, zamiast szukać dziecka, prześladowały.

Wynurzyłam się, łapiąc głębszy wdech, lecz zamiast ukojenia, ból rozszedł się z serca do pozostałych zakątków ciała. Słone łzy mieszały się z wodą, a cichy szloch rozdzierał mnie od środka. Nie chciałam, by McCann słyszał, jak płaczę, ta myśl mnie dobijała.

Pół godziny później stałam w kuchni oddzielonej aneksem jadalnianym od części dziennej. Rozpakowałam zafoliowane pudełka cateringowe. Jedno stało puste, co świadczyło o tym, że mężczyzna już nie spał.

Podgrzałam kurczaka teriyaki z ryżem w kuchence mikrofalowej. Sam zapach doprowadzał mój żołądek do koziółków. Chwyciłam za pudełko, po czym skierowałam się do salonu. McCann siedział z laptopem na kolanach. Potrzebowałam chwili, by zrozumieć, że komputer należał do mnie.

– Co ty, do cholery, robisz? – zapytałam, odstawiając jedzenie na stolik. – Nie miałeś prawa dotykać moich rzeczy!

Obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem, zanim powrócił do przeglądania zawartości. Podeszłam do niego prężnym krokiem.

– Mówię coś do ciebie! – Wyrwałam mu laptopa z rąk. – Głuchy jesteś?

Obdarzył mnie kamiennym wyrazem twarzy, choć oczy pozostawały wypełnione gniewem. Zerknęłam na ekran prywatnego komputera. Strona przeglądarki była wyświetlana w języku portugalskim. Wpisany piętnastocyfrowy numer wskazywał pewną lokalizację na mapie. Mały czerwony punkt pulsował.

– Co to jest? – zapytałam. – Co to za numer?

Nic nie powiedział. Z westchnieniem podniósł się z miejsca. Krew mi zawrzała, gdy zaczął się oddalać.

– Co to za numer?! – Podniosłam głos.

Odstawiłam komputer, nie mogłam znieść uczucia bycia ignorowaną przez tego drania i miałam ochotę rozwalić mu tę cwaniacką gębę po raz drugi!

– Odpowiedz mi. – Złapałam go za dłoń i zmusiłam, by został. – Czy to ma związek z Noelle?

Popatrzył na mnie, jakbym go brzydziła. Nachylił się nade mną, aż zapach jego żelu pod prysznic zaatakował moje nozdrza.

– Nie ufam ci, ruda. – Przeskakiwał oczami po mojej twarzy. – Nie myśl sobie, że cokolwiek ci powiem.

– To nasza córka. Nasza, Saint – przypominałam. – Czy to o nią chodzi?

Zmrużył pełne pogardy oczy.

– Wiesz, że będę musiał cię zabić, jeśli ktokolwiek się o tym dowie? – Nie to, żeby miał z tym jakikolwiek problem.

– To dotyczy Nellie, tak?

– Ona nazywa się Molly. – Poczuł się w obowiązku poprawienia mnie.

– Nieprawda. – Pokręciłam głową. – To od urodzenia była, jest i będzie Noelle. To, że zacząłeś inaczej ją nazywać po porwaniu, niczego nie zmienia – warknęłam, wbijając mu palec w tors. – Zapamiętaj to sobie.

– Ty pierwsza mi ją odebrałaś.

– Miałam pozwolić, byś ją wychowywał? – Oczy omal wyszły mi z orbit. – Nie potrafisz zaopiekować się psem, a co dopiero dzieckiem! Poza tym, kto by się nią zajmował, gdy trafiłeś do więzienia?

– Trafiłem tam z twojego pieprzonego powodu, głupia, więc nie udawaj zaskoczonej – warknął rozdrażniony. – Gdyby nie ty, wszystko byłoby na swoim miejscu. Dałem ci szansę, a ty postanowiłaś mnie zdradzić.

Nie mogłam uwierzyć w to, co mówił. Nie mógł być poważny!

– Ty durniu! – Uderzyłam go w pierś, choć on ani drgnął. – Tak wyprałeś mi mózg, że byłam gotowa odejść od agencji. Powiedziałeś, że nasz układ mógłby zakończyć się na rzecz prawdziwego małżeństwa! – Pchnęłam go kolejny raz. – A później podczas seksu powiedziałeś mi, że nawet kiedy to ja leżę pod tobą, wciąż myślałeś o innej. – Na samo wspomnienie tamtej nocy czułam, jak gardło ścisnęło mi się z emocji.

– Byłem gotów oddać ci wiele – powiedział wyjątkowo spokojnie. – A ty to zaprzepaściłaś. Zdradziłaś mnie, jak wszyscy.

– Gdybym nie odeszła, byłabym następną – wydusiłam. – Zabiłbyś mnie w obłędzie, w który wpadłeś. – Przesunęłam wzrokiem po jego twarzy. – Cóż, i tak prawie to zrobiłeś, gdy mnie znalazłeś.

– Czasem żałuję, że tego nie zrobiłem.

Prychnęłam, a on zmarszczył brwi.

– Nie udawaj, że niczego nie poczułeś. – Zwęziłam czujnie powieki. – Twoje uczucia były prawdziwe.

Podtrzymywaliśmy walkę na spojrzenia w całkowitym milczeniu. Parsknął, potrząsnął głową i trącił mnie ramieniem, gdy ruszył przed siebie.

– A teraz odpowiedz. – Nie dawałam za wygraną. – Czy ten numer dotyczy naszej córki?

Jak gdyby nigdy nic złapał za laptopa i rozsiadł się na sofie. Wystukał coś na klawiaturze, po czym uniósł na mnie spojrzenie znad ekranu.

– Wiesz, co to jest biochip?

Potaknęłam.

– Wszczepiłem taki Molly zaraz po tym, jak przywiozłem ją do Brazylii – powiedział, wracając oczami do komputera.

– Że co? – Brwi wystrzeliły mi do góry jak fajerwerki czwartego lipca. – Jakim cholernym prawem?!

– Dla bezpieczeństwa, a jak ci się, kurwa, wydaje? – warknął rozjuszony. – Wszczepia się takie migrującym zwierzętom, więźniom czy osobom chorym na alzheimera, dzięki czemu można wyśledzić ich lokalizację.

O matko. To znaczy, że nawet jeśli odebrałabym mu córkę, odnalazłby ją bez problemu. Najważniejszym problemem było jednak odnalezienie jej i sprowadzenie do domu.

– Więc na co czekasz? – Wyrzuciłam dłonie w powietrze, sfrustrowana. – Zbieraj się, jedziemy to sprawdzić.

– My? – prychnął. – Jakie „my”? Nie ma „nas”. Zabiorę tam moich ludzi, a ty potulnie czekaj, aż wrócę, w przeciwnym razie wszystko spierdolisz.

– Mieliszmy współpracować – przypomniałam mu.

– Współpracuj z moją dupą. – Ostentacyjnie zrzucił laptopa na miejsce obok, po czym podniósł się z kanapy. – Sam ją odnajdę.

– Beze mnie nigdzie nie pójdziesz.

– Och, poważnie? – zakpił, zakładając buty. – A chcesz zobaczyć?

– Saint! – Pociągnęłam go za materiał koszuli. – Nie wyjdiesz stąd sam, nikt cię nie wypuści. Twoja gra się skończyła, okej? Teraz gramy na moich zasadach – odparłam z naciskiem na „moich”.

– Nie będę robił niczego pod dyktando kobiety.

– Zbyt przerażony faktem, że mój plan by się powiódł? – Podparłam pięści na biodrach.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, wiedziałam, że mam rację.

– Myślisz, że jest mi na rękę to, że tu jesteś? – Obrzuciłam go pogardliwym spojrzeniem. – Z przyjemnością bym zamordowała cię z zimną krwią, ale jedyne, co mnie powstrzymuje, to chęć odzyskania naszej córki.

– To ty potrzebujesz mnie. – Strzelił we mnie chłodnymi oczami.  
– Nie myśl sobie, że jest inaczej.

– Tylko do momentu odbicia jej z rąk porywaczy. Po wszystkim mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę. – Powstrzymałam się od warknięcia. – Nienawidzę cię jak psa. Nie, gorzej niż psa. Nawet kundel ma więcej uczuć niż ty.

Naginałam jego cierpliwość, mogłam dostrzec to przez sposób, w jaki zaciskał szczęki. Pchnął drzwi do łazienki i stanął w jej głębi.

– Przestań pierdolić, zanim cię, kurwa, uciszę.

– Sam przestań pierdolić! – wrzasnęłam, idąc jego śladem. – I weź się, kurwa, w garść! Taki z ciebie wielki mafioso, a zachowujesz się jak pięciolatek, nawet jeśli chodzi o bezpieczeństwo twojej córki!

– Bo ci, kurwa, nie ufam! – ryknął, a swoim zbliżeniem zmusił mnie do cofnięcia pod samą ścianę. – Wbij to sobie do pierdolonego łba! – Popchnął palcem moje czoło. – Nie ufam ci, nie ufam nikomu z twojego otoczenia. Wolałbym zginąć, niż podać ci jej lokalizację i pozwolić, żebyś znów mi ją odebrała.

– Nie waż się mnie doty...

Urwałam, gdy zacisnął palce wokół mojej szyi do tego stopnia, że odciął mi tlen.

– Nie panosz się, rudzielcu. Nie jesteś u siebie. – Gorący oddech owiewał mi policzek, gdy Saint mówił. – Jesteśmy w łazience, tu nie ma żadnych kamer, osobiście to sprawdziłem. Jeszcze raz chociaż spróbujesz unieść na mnie dłoń, skręcę ci kark i nikt nawet nie zauważy. Wypróbuj mnie, suko.

Zdławiłam jęk. Próbowałam unieść kolano, by wymierzyć cios, ale stał zbyt blisko, ograniczając moje ruchy. W odwecie mocniej ścisnął moją krtań.

– Nie pozwolę ci jej zabrać, jeszcze tego nie rozumiesz? Myślałaś, że tak po prostu wpadniesz tu z bandą swoich ludzi i odbierzesz mi córkę? – Uniósł brwi w drwiącym wyrazie twarzy. – Nie możesz być aż tak głupia.

Puścił mnie, cofając się o krok. Padłam na kolana, krztusząc się w próbie zaczerpnięcia tchu. Byłam bliska omdlenia, mój oddech szeleścił.

– Ja chcę ją tylko odzyskać – wydusiłam. – Chcę, żeby była bezpieczna... niczego więcej nie pragnę.

– Więc pozwól mi działać.

Podniosłam na niego oczy, wciąż klęcząc.

– Musimy połączyć siły – powiedziałam, gdy udało mi się podnieść. – Razem mamy większe możliwości.

– Nie ufam ci – powtórzył.

– Myślisz, że ja ufam tobie? – Zmarszczyłam brwi. – Prawie mnie udusiłeś, a jednak wciąż tu stoisz, chociaż powinnam pozwolić federalnym, by wzięli cię na kolejne tortury.

Wziął głęboki wdech i wyprostował się, choć wciąż wyglądał tak, jakby go zemdliło na myśl o współpracy.

– Dobra – wycedził niemal przez zaciśnięte zęby. – Jeden odchyłek od normy... – Wystawił palec w moją stronę. – ... spróbujesz tylko mnie wyruchać, a wtedy upewnię się, że nie oddychasz.

– Nawet nie chcesz wiedzieć, co się stanie, jeśli to ty zagrasz nieczysto. – Obrzuciłam go oschłym spojrzeniem, gdy zawiązywałam włosy w grubą kitę. – Jedziemy tam, razem. Sprawdzimy teren, który pokazuje lokalizacja. Musisz jednak wiedzieć, że mam obowiązek powiadomić o tym federalnych.

– Nie mów im o biochipie, inaczej wykorzystają to przeciwko nam. – Jego ton pozostał chłodny. – Powiedz, że mam pewne podejrzenia, które musisz sprawdzić.

Proszę, to już coś.

– Tak zrobię.

– Ja powiem moim ludziom o zaginięciu.

– Chyba żartujesz – parsknęłam. – A co, jeśli masz kreta wśród swoich? Co jeśli ktoś ostrzeże porywaczy, że ich szukamy? To da im czas na ucieczkę.

– Nie mam żadnego kreta, w przeciwnym razie byłby martwy.

– Tak? – Założyłam ramiona na piersiach. – To jak wytłumaczysz to, że zlokalizowali cię w domku ukrytym pośrodku niczego?

Zmrużył oczy, jakby moja odpowiedź go uderzyła. Wyprostował się, mięśnie napięły mu się pod koszulą, mogłam dostrzec ich wyraźny zarys. Palcami prawej ręki przeczesał włosy, jakby nad czymś rozmyślał.

– Carina – wydusił.

– Kto?

– Ta suka wszystko słyszała – warknął wściekle. – Kurwa, jak mogłem się nie domyślić? To dlatego pies nie czekał. Rozpoznał ją, gdy wpuściła Matteo. – Pewne części układanki w jego głowie wskakiwały na swoje miejsca. – Kurwa! Zapiardolę tę sukę!

– O kim ty mówisz? – Niczego już nie rozumiałam.

– Opiekunka Molly – mówił podminowany. – Może wciąż jest w moim domu. Jadę tam.

Gotów był wyrwać się w stronę wyjścia, jednak udało mi się go powstrzymać.

– Nie. – Stałam między nim a drzwiami. – Najpierw jedziemy zbadać lokalizację, którą pokazuje biochip. – Starłam się, by mój głos brzmiał spokojnie. – Później się z nią policzymy, obiecuję.

Popatrzył na mnie. Zassał powietrze, po czym skinął głową.

– Razem – powiedział. – Zajebimy ich.

Potaknęłam na jego słowa.

– Razem – zgodziłam się.

# ROZDZIAŁ 14

## *Asteria*

Pozwoliłam, by to Saint prowadził samochód. Wciąż nie darzyłam go zaufaniem, o czym świadczył gnat ukryty w moich spodniach w stylu cargo.

Oprócz tego, że wóz był pancerny, to miał przyciemniane szyby, dzięki czemu nikt nie rozpoznałby twarzy McCanna. O mnie zapewne zdążyli zapomnieć, nie licząc faktu, że ostatnim razem, kiedy byłam w Brazylii, zostałam zmuszona do przefarbowania włosów na ciemny kolor.

Zerknęłam na mężczyznę. Przed wyjściem zdjął opatrunek z nosa. Pozwolił mi się opatrzyć i założyć nowy, co odrobinę wpłynęło na jego zamaskowanie.

– Jaka ona jest? – przerwałam ciągnącą się ciszę.

Westchnął znudzony, jakbym wybudziła go z transu, i obrzucił mnie sekundowym spojrzeniem.

– Co?

– Nellie – powtórzyłam. – Jaka ona jest?

Byłam jej tak bardzo ciekawa. Chciałam poznać każdy szczegół z jej życia, wysłuchać tego, co mnie ominęło, gdy nie mogłam być obok, dowiedzieć się, co lubi jeść, jaki jest jej ulubiony kolor, jakie bajki oglądała, czym się bawiła, jakie było jej pierwsze słowo, kiedy stanęła na nogi... te wszystkie momenty zostały mi bestialsko odebrane.

Saint wykrzywił wargi. Nie wydawał się typem sentymentalnego ojca.

– Ruda...

– Jesteś mi to winien. Kiedy mi ją odebrałeś, miała tylko jedenaście miesięcy – naciskałam. – Chcę wiedzieć, opowiedz mi.



Brew mu drgnęła. Potarł kark z namysłem.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Jakie było jej pierwsze słowo? – Na samo wyobrażenie o usłyszeniu tego, czułam, jak wilgotne stały się moje oczy.

– *Papá*<sup>13</sup> – odpowiedział bez radości w głosie. – Szybko pochłonęła portugalski.

Mimowolnie wygięłam kącik ust, lzy kłuły mnie pod powiekami.

– Kiedy postawiła pierwszy krok? – zapytałam.

– Nie wiem. – Pokręcił głową, nieco rozdrażniony. – Nie mam do tego głowy.

– Na pewno wiesz – wydobyłam z siebie ciszej. – Proszę, to dla mnie ważne.

Rio o tej porze dnia tętniło życiem. Droga przed nami była pełna samochodów, jednak McCannowi udawało się czasem wyprzedzić te, które ciągnęły się mozolnie. Słońce świeciło wysoko na niebie, przyjemnie ogrzewając skórę, nawet jeśli dopiero zaczynał się maj. W Nowym Jorku pewnie padał śnieg.

– Nie jestem pewien – przyznał po chwili. – Chyba miesiąc po tym, jak zabrałem ją do siebie. Z początku robiła to ślamazarnie i nieraz wyła na całe gardło, gdy upadała.

Nie spodziewałam się, że jego opowieść będzie podkoloryzowana czułymi określeniami.

– Co wtedy robiłeś? – Wygięłam brwi z zapytaniem.

– Nic. – Wzruszył obojętnie ramionami. – A co niby miałem robić?

Wyprostowałam się w sekundę.

– Żartujesz? – niemalże warknęłam.

Zerknął na mnie z uniesioną brwią. Kurwa, nie żartował!

– Chcesz mi powiedzieć, że nie przytulałeś jej, gdy płakała po upadku? – Krew żywiej popłynęła mi w żyłach w chwili wypowiedzenia tych słów.

Wziął głęboki wdech, jeszcze bardziej poirytowany.

– Nie, nie przytulałem.

– Jak możesz być tak bezduszny? – Szturchnęłam go w ramię. – Co wtedy robiłeś? Brałeś ją na ręce? Mówiłeś do niej? Cokolwiek?!

– Nie – odwarknął. – Nie robiłem żadnego z tych czułych gówien.

– Dziecko potrzebuje tych czułych gówien! – Cholera, aż ręka mnie świerzbiła, by ponownie przetrącić mu nos. – Ale taki potwór jak ty nigdy tego nie zrozumie.

– Poważnie, ruda? – Zerknął na mnie spod byka. – Nie zamierzałem wychować płaczliwej pizdy. Molly musiała być samodzielna od najmłodszych lat.

– Boże. – Nachyliłam się nad kolanami i schowałam twarz w dłoniach. – Coś ty jej zrobił?

– Wynająłem dla niej opiekunkę, okej? – mruknął od niechcienia. – Ona w jakimś stopniu dawała jej to coś, o czym mówisz.

– Czułość? To chciałeś powiedzieć?

Oparł lewy łokieć na drzwiach, a ręką sięgnął do krótko ściętych włosów. Najwyraźniej nie tylko mnie podskoczyło ciśnienie.

– Musisz zrozumieć, że chciałem wychować ją tak, by...

– By co? By stała się maszyną do zabijania? Jak ty? – Prychnięcie wypadło mi z ust. – Wiedziałam, że nie masz serca, ale żeby własną córkę traktować jak gówno? Jak mogłeś być tak podły?

– Nigdy nie traktowałem jej jak gówno – wycedził wkurwiony. – Zawsze dbałem o jej bezpieczeństwo. To, że nie klepałem jej po głowce i nie dawałem buzi na dobranoc, niczego nie zmienia.

– Niczego nie zmienia?! – Puściły mi nerwy. – Spała przy mnie od urodzenia. Podnosiłam ją za każdym razem, gdy płakała. Zasypiała mi na piersi. Głaskałam ją po głowie, całowałam, kołysałam, śpiewałam kołysanki, a ty... – zacisnęłam wargi, gdy głos mi zadrzał – ...ty jej to wszystko odebrałeś.

Nic nie powiedział. Mocno zaciśnięte zęby podkreśliły linię jego żuchwy. Obiecałam sobie, że gdy tylko odnajdziemy córkę, porządnie skopię tyłek temu sukinsynowi.

Wydobyłam z siebie sfrustrowane warknięcie. Gdyby nie złamał mi wtedy nogi i żeber, szybciej byłabym w stanie wyruszyć na misję poszukiwawczą. Nie doszłoby do porwania, a Noelle byłaby już w moich ramionach. A teraz musiałam działać w komitywie z jej porąbanym ojcem tylko po to, by znalazła się w bezpiecznym miejscu.

Byłam tak pogrążona w myślach i pochłonięta nienawiścią wobec tego mężczyzny, że nie zauważyłam, kiedy Saint zatrzymał

samochód.

– To tutaj – odpowiedział, kiwając głową na dom, albo raczej drewnianą szopę, znajdującą się kilkanaście metrów wyżej. – Mogliby usłyszeć silnik, dlatego dalej musimy iść pieszo.

Potaknęłam. Dane przesłane z biochipa wyświetlały się na nawigacji, wskazując punkt przed nami.

Wychyliłam się do tylnych siedzeń po torbę na raketę od tenisa, po czym wyjęłam z niej pistolet maszynowy. Był poręczny, niezwykle celny, miał przyzwoitą szybkostrzelność i niski odrzut, a jego dodatkową zaletę stanowiło to, że nie był ciężki.

– Masz. – Podałam mężczyźnie broń. – Tylko nie zrób sobie krzywdy.

Prychnął. Powinien być mi wdzięczny, że w ogóle mu pomagam. Zawsze mógł się rzucić na kartel z kijem jak jakiś jaskiniowiec.

– Dajesz mi to, żebym chronił twój cholerny tyłek? – Obrzucił mnie kpiącym spojrzeniem.

– Dbaj o swój, chłopcze z ferajny – zadrwiłam, wyciągając drugi pistolet.

Wysiedliśmy z wozu. Moje nozdrza zostały zaatakowane przez zapachy wywodzące się z natury. Emocjonalny dreszcz adrenaliny połaskotał mi kręgosłup.

– Idź pierwszy, osłaniam cię – zapewniłam go.

Skinął głową. Oboje ruszyliśmy w górę, do miejsca, które wskazywała nam lokalizacja. Kiedy on zajmował się oczyszczaniem drogi przed nami, moje oczy bacznie obserwowały okolicę.

Dziecięcy płacz przedarł się przez ciszę. Moje serce drgnęło, a nogi zapragnęły gnać, by ratować córeczkę. Saint wyważył drzwi jednym kopnięciem i z wymierzoną lufą przeczesywał pomieszczenie. Zrobiłam to samo.

Oboje opuściliśmy broń, gdy zorientowaliśmy się, że szopa była opustoszała. Wycie jednak nie ustępowało. Opadłam na kolana tuż przed małym dyktafonem. Nagranie zakończyło się, po czym automatycznie odtworzyło od początku. Szloch dziecka odtwarzał się w zapętleniu.

Poderwałam się na równe nogi i zmiażdżyłam dyktafon pod twardą podeszwą trapeza. Kawałki sprzętu odpryskiwały na boki,

dopóki płacz nie ustał.

Z gardła wyrwał mi się głośny, zbolący okrzyk kolejnej przegranej. Ramiona drgnęły mi z żalu, który mnie opętał. Nic nie widziałam przez łzy.

– Nie... – usłyszałam za plecami.

Obróciłam się na pięcie. McCann trzymał coś między zakrwawionymi palcami, coś, co przypominało małą, metalową kapsułkę.

– Co? – Pociągnęłam nosem. – Co to jest?

– Biochip – wychrypiął zduszonym głosem. – Musieli go u niej wykryć.

Między jego wojskowymi glanami dostrzegłam nóż, on także był we krwi. Chryste, wykroili jej go na żywca.

– Nie... – wydusiłam. – To... nie.

Zgniół kapsułkę w dłoni, zanim cisnął nią o podłogę. Uderzył pięściami w drewnianą ścianę, aż cała szopa drgnęła pod wpływem ciosu. Krzyk, który wyrwał mu się z gardła, był rozrywający. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie, jakby godził się z przegraną.

Wiedziałam, że to nie koniec.

– Saint? – Przetarłam mokrą od łez twarz. – Musimy iść. Wiedzieli, że tu przyjdziemy. Nie wiemy, czy na nas nie czekali.

– Niech przyjdą – warknął wściekle. – Zamorduję, kurwa, każdego, kto się zbliży.

Z trudem przełknęłam ślinę, ciężar porażki napierał na tył gardła. Wyciągnęłam dłoń w jego stronę. Moje palce zawisły centymetry nad jego ramieniem, jednak cofnęłam je kilka sekund przed tym, zanim zwrócił się ku mnie.

– Sprowadzam oddział uderzeniowy i wszystkich egzekutorów – zagrmiał. – Cała Brazylia będzie wiedziała, kogo szukam. Utopię tę kurwę w morzu jego własnej krwi – warczał, wplatając palce we włosy.

– Musimy iść – naciskałam. – Nie możemy tu zostać.

Nic nie powiedział. Złapał za broń, więc zrobiłam to samo. Wydawało się, że jego czujność się wyteżyła, gdy wyszliśmy na zewnątrz. Maszerował w dół, dopóki nie zdecydował się zsunąć bokiem po skarpie. Powtórzyłam ten ruch.

– Najpierw zapierdolę tę sukę. – Spojrzenie, które mi posłał, było wypełnione żądzą mordy.

Zapakowaliśmy pistolety na tylne siedzenia. Saint nie marnował czasu, wyjeżdżając szarżując z terenu leśnego wprost na ulicę.

Z głębokiej kieszeni wysunęłam różową kokardę na spince. Nie wiedzieć czemu, przystawiłam ją pod nos, lecz teraz, zamiast delikatnego zapachu szamponu do włosów, czułam zapach ziemi pokrywającej moje palce. Zdławiłam jęk, gdy wtuliłam policzek w aksamitny materiał.

Moja córeczka. Ten okropny, rozdzierający uszy płacz musiał należeć do niej. Ze wszystkich sił przygryzałam wargę, by się nie rozkleić, co skutkowało posmakiem krwi na języku. Serce bolało mnie tak bardzo, że ledwie mogłam zaczerpnąć tchu.

W tamtej chwili było mi już wszystko jedno, czy sprawca zostanie za to ukarany legalnie, czy też nie, choć miałam nadzieję na to drugie. Chciałam, by cierpiał, tak, jak ja cierpiałam, jak cierpiało moje dziecko.

Samochód stanął. Zorientowałam się, że byliśmy na znajomym dziedzińcu. Saint wyskoczył z wozu, mnie przyszło to z lekkim opóźnieniem. Schowałam spinkę do kieszeni, gdy podążyłam za mężczyzną.

McCann krzyknął coś po portugalsku tak donośnie, że wibracje jego głosu zagrzmiały mi w płucach.

Mój wzrok przesuwiał się od ściany do ściany, od mebla do mebla, od okna do okna, przywołując wspomnienia związane z tym domem. To tu rozgrywała się nasza przeszłość. Tu zapewne wychowywał nasze dziecko.

Część mężczyzn wyszła z podziemi, inni z różnych skrzydeł posiadłości. Rozpoznałam Édera, jemu zajęło dłuższą chwilę, by przypomnieć sobie, kim byłam. Musiał być zaskoczony, widząc mnie u boku swojego szefa.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony.

Saint odczekał, aż wszyscy zbiorą się w sercu domu. Był podminowany, stale zaciskał pięści, a jednak bijący od niego chłód nie zniknął nawet na sekundę.

– Christian Santiago – warknął, a brzmienie jego tonu ponownie zadudniło w moim wnętrzu. – Kartel z południowego wschodu porwał Molly.

Cisza pochłoneła wszystkich, twarze im pobladły i wykrzywiły się w grymasie niedowierzania.

– Co, do kurwy? – Fábio, którego także znałam z przeszłości, wysunął się przed szereg. – Christian, pierdolony, Santiago? Brat Matteo?

– A znasz innego, kurwa?! – wrzasnął McCann.

Nastąpiła cisza. Éder potarł policzek ręką, wyglądał na szczerze podłamanego.

– Jak to się stało? – zapytał.

– Zaatakowali nas, gdy byliśmy sami w domu pod Pedra da Gávea – zobrazował Saint. – Obezwładnili mnie, a gdy się ocknąłem, już ich nie było. Zabrali ją. Próbowaliśmy ją zlokalizować, ale zrobili nas w chuja.

– Na miejscu znaleźliśmy dyktafon z nagraniem płaczem Nellie – odważyłam się odezwać.

– Kogo? – Fábio zmarszczył brwi.

– Naszej córki. – Surowy głos McCanna przeciął powietrze, gdy jego oczy nawiązały kontakt z moimi.

Po raz pierwszy z jego ust nie padło „mojej”, „twojej”, a „naszej”. To z jakiegoś powodu sprawiło, że poczułam, że rzeczywiście nie trwałam w tym sama. Podzielał moje cierpienia, nawet jeśli był oziębłą bestią.

– Podajcie rozkaz dalej – kontynuował. – Wszyscy *sicários* mają być w gotowości. Zabijać każdego, kto podlega Santiago. Macie wybić ich jak świnie w ubojni – głosił, przesuwając chłodnym spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej. – Jego żonę i dzieci zostawcie mnie. Chcę torturować ich na oczach Christiana.

Wszyscy skinęli zgodnie głowami. Jedyne egzekutor od strony McCanna wyglądał na niezadowolonego, przyglądając mi się zniesmaczony.

– A ona co tu robi? – zapytał, odwracając spojrzenie do szefa.

– Ona nie jest twoim problemem. – W jego głosie usłyszałam gniew. – Zwróć się do rodzin, z którymi mamy sojusz, i do tych,

które mają u nas dług. Wszyscy mają szukać Molly.

– Jasne. – Zawahał się, zanim przyjął mężczyznę w braterskim uścisku. – Znajdziemy ją, *irmão*<sup>14</sup>.

Saint go uściskał. To wydawało się dla niego podbudowujące. Ktoś z jego władzą mógł śmiało stawiać żądania, ale także wystosować prośby, które nie zostaną zignorowane, tym bardziej jeśli chodziło o dziecko jednego z najpotężniejszych ludzi na Południu.

Po tym, jak wszyscy się rozeszli, napotkałam spojrzenie ojca mojego dziecka. Chociaż dopiero wybiła czternasta, czułam wyczerpanie przez targające mną uczucia.

– Muszę zawiadomić...

Przyparł mi palec do ust i powoli pokręcił głową.

– Nie – syknął szeptem. – Nie tu.

A więc wciąż miałam się ukrywać ze swoją tożsamością. Powoli skinęłam głową na znak zrozumienia. Opuścił dłoń.

– Wracaj do siebie.

– Nie mogę pozwolić ci...

– Powiedziałem: „wracaj do siebie” – podkreślił to surowo.

– Nie. – Zaparłam się w sprzecznię. – Siedzimy w tym razem, nie pamiętasz? – Zmrużyłam oczy, patrząc na niego.

– Pamiętam – odburknął.

Zbliżył się do dębowych komód ustawionych w szeregu, po czym wysunął jedną z szuflad. Sięgnął po ostrze, a metal błysnął w blasku południowych promieni słońca.

– Ale zamierzam zarżnąć kreta – zaakcentował szyderczo. – Niania musi zniknąć.

# ROZDZIAŁ 15

## *Saint*

Tak dawno tego nie czułem. Uczucie, które przedarło się pod moją skórę, było porównywalne do odkrycia, że to, o co tak długo walczyłeś, wcale nie istniało. Rozczarowanie, złość, gniew, poczucie zostania oszukanym.

Ostrze noża mieniło się w blasku dnia, gdy obracałem je w dłoni, pokonując schody prowadzące na piętro. Miałem nadzieję, że tam znajdę tę zdradliwą sukę.

Kazałem rudej zostać na dole, ale nie posłuchała. Nie wiedziałem, czy była zbyt ciekawa mojego małego przedstawienia, czy chciała twarzą w twarz poznać osobę zamieszaną w zaginięcie Molly.

– Najpierw ją przepytaj. – Jej napięty głos dotarł do mnie zza pleców. – Ona może być ważnym świadkiem.

– To zwykła kurwa.

– Saint... – Złapała mnie za dłoń, a mimo tego brnąłem na przód.

– Zaczekaj!

Zwróciłem się ku niej. Różnica naszych wzrostów dała o sobie znać, gdy nad nią zawisłem.

– Co? – mruknąłem niezadowolony.

– Nie możesz jej tak po prostu zamordować – przekonywała, przeskakując wzrokiem po mojej twarzy. – Najpierw pozwól mi ją przesłuchać. Jeśli będzie podejrzana, każę ją aresztować.

– Aresztować? – Brwi wystrzeliły mi do góry. – Mowy, kurwa, nie ma. Wyrwę jej flaki przez gardło, a jeśli chcesz, możesz popatrzeć.

Normalna osoba przewróciłaby oczami, ale nie ona. Ruda wiedziała, że nie żartowałem.

Odgłos moich ciężkich butów niósł się echem wśród ścian. Były zapowiedzią mojego nadejścia. Klamka pod moimi palcami była



zimna, pchnąłem ją, powodując zgrzyt zamka.

– Proszę, proszę, proszę... – cmokałem, wlepiając spojrzenie w ciemnowłosą.

Carina odwróciła się gwałtownie na brzmienie mojego głosu. Brązowe oczy przeskakiwały ode mnie do kobiety. Zanim zdążyłbym rozchylić usta, Hunter dotknęła mojego ramienia. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy. Niewerbalnie dała mi znać, że zajmie się tą sprawą. Gestem ręki zaprosiłem ją do środka, po czym zamknąłem za nami drzwi.

– Powiedz nam, co wiesz o zaginięciu Noelle? – zaczęła.

– Molly – poprawiłem ją.

– Molly... co wiesz o zaginięciu Molly?

Brazylijka ściągnęła brwi w niezrozumieniu. Popatrzyła na mnie oczami wypełnionymi przerażeniem. Zagoniliśmy ją w ślepy zaułek jak małego bezbronnego jelenka bez matki na horyzoncie.

– Nie rozumiem. – Pokręciła głową, zerkając na mnie.

– Nie łzyj. Znasz angielski.

– Molly – powtórzyła agentka. – Dziewczynka, którą się opiekowałeś. Gdzie teraz jest?

Znów to spojrzenie, puste i zbłąkane. Popatrzyła na mnie, jakby oczekiwała pozwolenia na odpowiedź.

– No? – ponagliłem ją. – Gadaj albo mój nóż cię zmotywuje.

Zawiesiła wzrok na ostrzu. Mogłem dostrzec, z jakim trudem przełknęła ślinę. Wiedziałem, że ona coś wie.

– Ja... – Słaby głos brzmiał jak westchnienie. – Ja... – Kręciła głową na boki. – Nie wiem.

Nawiązaliśmy z rudą spojrzenie. Skinęła głową na zgodę. Jakbym jej, kurwa, potrzebował.

Zbliżałem się krok po kroku, pogłos glanów niósł się od podłogi. Nie odrywałem spojrzenia od Cariny. Niemal słyszałem bicie jej serca i to, z jaką werwą płynęła jej krew. Smród strachu dotarł do moich nozdrzy, a ja zaciągnąłem się nim, jakbym przyjmował kreskę grubszego towaru.

– Siadaj. – Kiwnąłem brodą na stojące za nią krzesło.

– Panie McCann... – Cała drżała.

Owinałem palce wokół jej gardła i z impetem pchnąłem ją na siedzenie. Przywarła plecami do oparcia, dysząc w desperackiej potrzebie ucieczki. Pod opuszkami palców wyczuwałem bębniący puls.

Przyciągnąłem biurko stojące pod ścianą pod sam nos kobiety. Zrzuciłem z niego wszystko, co na nim leżało, robiąc przy tym niemały bałagan. Wyciągnąłem dłoń opiekunki. Popatrzyła na mnie z paniką, starając się cofnąć ramię. Szarpnąłem nim i przytrzymałem siłą na drewnianym blacie.

– Odpowiadaj na pytania. – Mój głos wbrew pozorom był wyjątkowo spokojny. – Jeśli odpowiedź mi się nie spodoba, wbiję ci nóż w rękę. A potem kolejny raz i kolejny, i jeszcze jeden, dopóki nie dostanę tego, czego chcę. – Utrzymywałem z nią kontakt wzrokowy, a jej oczy były pełne łez. – Zrozumiałaś?

– Proszę... – Zachłysnęła się własnym szlochem.

Wbiłem nóż idealnie między palce kobiety. Wydała z siebie histeryczny pisk, przygotowując się na ból, który nie nadszedł.

– Zaczynaj, ruda.

– Pracujesz dla kogoś jeszcze poza McCannem? – zapytała agentka, zbliżając się do frontowej strony biurka.

– Nie. – Pokręciła energicznie głową.

Łzy. Piękne, czyste łzy.

Wycelowałem ostrzem w dłoń kobiety, idealnie pod środkowym palcem. Ryk, który rozniósł się wśród ścian, przyprowadził mnie o rozkoszny uśmiezek.

– Jezuu, Saint, do cholery! – jęknęła ruda. – Mogłeś mnie uprzedzić!

– Myślałaś, że żartowałem? – prychnąłem. – Nie podoba mi się ta odpowiedź.

Carina złapała się za nadgarstek. Próbowwała sięgnąć do drewnianej rączki, by wyswobodzić dłoń spod noża, ale odtrąciłem ją.

– Proszę – zapłakała, wpatrując się w matkę mojej córki. – Proszę, ja... ja...

– Ja, ja – naśladowałem kpiąco. – Ruda, to strata czasu. Powinienem upierdolić jej obie ręce przy samym korpusie.

– Siedź cicho – burknęła. – Tylko przeszkadzasz. I wyjmij ten cholerny nóż z jej ręki!

Wygiąłem brwi w górę. A to beczelna suka.

Powróciłem spojrzeniem do kobiety i nie odrywając go od jej oczu, wyszarpałem nóż. Zapłakała jeszcze głośniejsze, kuląc się nad biurkiem. Oplotła palcami nadgarstek, ubolewając nad dziurą w ręce.

– Następny cios idzie w kolano – zapowiedziałem. – Uwaga, ruda, ostrzegalem.

Moja żona posłała mi karcące spojrzenie. Z westchnieniem płasko oparła dłonie na drewnianym blacie i pochyliła się ostrożnie.

– Powiedz, dokąd zabrano Nellie.

– Molly – poprawiłem ją z sykiem.

Wywróciła oczami.

– Molly. Dokąd zabrano Molly?

Carina nie odpowiadała. Szlochała nad raną i spowodowanym przeze mnie bólem.

– Zaufaj mi – zacząłem, pochylając się nad kobietą. – To jeszcze nic. Rzeczy, które zamierzam z tobą zrobić, gdy nie zdradzisz nam prawdy, są dużo gorsze. Doskonale wiesz, do czego jestem zdolny. – Poglaskałem ją knykciami po policzku.

Drgnęła.

– A teraz mów.

Popatrzyła na mnie. Makijaż był kompletnie zrujnowany od łez. Pociągnęła nosem, a głowa znów wykonała wkurwiający mnie ruch.

– Musiałam... – mamrotała niezrozumiale.

– Co powiedziałaś?

Przez chwilę poruszała wargami jak ryba wyjęta z wody, zanim znów usłyszałem skrzek.

– Musiałam to zrobić – powiedziała, znów patrząc na agentkę.

– Co zrobić? – dopytywała.

Z jękiem zsunęła rękę z biurka, po czym owinęła wokół niej kawałek bluzki. Krew przesiąkała przez nią w kilka sekund.

– Odpowiadaj – warknąłem.

Carina podskoczyła w miejscu. Nie podnosiła na mnie spojrzenia, zamiast tego patrzyła na rudą.

– Oni...

– Jacy oni?

– Ten gang... czy kartel – bąkała niepewnie. – Nie wiem, jak się nazywają.

– Zmusili cię do czegoś? – drążyła Hunter.

Wypuściła bezradne westchnienie, zanim potaknęła. Z ust wyrwał jej się kolejny szloch.

– Do czego?

Pociągnęła nosem, zawieszając wzrok na zranionej ręce. Im dłużej milczała, tym bardziej wkurwiony byłem.

– Do czego?! – Uderzyłem pięścią w blat.

Podskoczyła z piskiem. Ciało jej drżało, jakby temperatura w pokoju spadła poniżej zera. Popatrzyłem na rudą, a ona na mnie. To kompletna strata czasu.

– Słuchaj, kurwa. – Złapałem Carinę za gardło i poderwałem ją z krzesła. – Co to ma być, do chuja?! Grasz na zwłokę?

– Saint, przestań! – Kobięce ramię oddzieliło mnie od przeklętej dziwki. – Im bardziej ją przestraszysz, tym bardziej się zablokuje.

Dotychczas starałem się być chłodny i wyrachowany, ale w obliczu tak ciapowatej pizdy nie potrafiłem zapanować nad nerwami. Cofnąłem się o dwa, może trzy kroki, gestem ręki dając Hunter znać, by przejęła ster. Ta obdarzyła mnie karcącym spojrzeniem.

– Proszę, zastanów się – zaczęła, trzymając kobietę za ramiona. – Tu chodzi o dziecko, małą dziewczynkę. Jesteś jej nianią, prawda?

Carina pokiwała energicznie głową, jakby ten ruch miał dać jej gwarancję przeżycia.

– Dobrze wiesz, jaka ona jest – postanowiła kontynuować. – Malutka, drobna, krucha i taka niewinna. Nie obroni się sama.

Przewróciłem oczami z westchnieniem. Oparłem się plecami o ścianę i skrzyżowałem ramiona na torsie.

– Jestem jej mamą. – Ruda przycisnęła sobie dłoń do piersi. – Ona wiele dla mnie znaczy, wiesz? Nie widziałam jej przez tyle lat. Nie przytulałam jej, nie całowałam... – Głos jej zadrżał, a wraz z nim broda. – Kocham ją. Jeśli coś jej się stanie, ja...

– Zabiją mojego brata, jeśli wam pomogę.

Wygiąłem brew. To było zastanawiające.

– Gdzie teraz jest twój brat? – zapytałem.

Carina nie podnosiła głowy, unikając mojego spojrzenia.

– W Bangu.

Hunter posłała mi pytające spojrzenie.

– Więzienie o zaostrozonym rygorze – doprecyzowałem. – Twój brat ma czego się obawiać?

Potaknęła, unosząc przy tym brodę. W jej oczach pojawił się wyraz przegranej. Najwyraźniej pogodziła się już ze swoim losem.

– Pracował dla podlegającej panu rodziny. – Urwała, robiąc przerwę na głębszy wdech. – Dostał piętnaście lat za przemyt, gdy wpadł na granicy. – Napała zębami na wargę, zanim odwróciła spojrzenie do kobiety. – Jakimś cudem o tym wiedzieli, kiedy tu przyszli.

– Kto?

– Ci ludzie z kartelu – bąkała niepewnie. – Dali mi zdjęcie.

Zdrową ręką zanurkowała w kieszeni spodni, krzywiąc się nieco. Sam wsunąłem dłoń do swojej, by trzymać nóż w pogotowiu.

– To... to Kylian – wydukała łamiącym się głosem, przyglądając się fotografii. – Pobili go i połamali mu wszystkie palce. Powiedzieli mi, że jeśli nie będę działać na ich zasadach, spalą go żywcem... – Zgarbiła ramiona, a z jej gardła wyrwał się histeryczny szloch. – Ja... ja musiałam... powiedziałam im, dokąd pan zabiera Molly.

Ruda sięgnęła po zdjęcie, ten widok przyprawił ją o zmarszczenie brwi. Obróciła dowód ku mnie.

– Tu jest coś napisane – powiedziała. – *Abraços<sup>15</sup>. Comando Escuridão.*

Prychnąłem. Pierdolone żartownisie.

– Skurwysyny... – warknąłem. – To dowództwo mroku. Działali na południowym wschodzie Brazylii, jednak po moim aresztowaniu rozszerzyli działalność, a teraz wypowiedzieli nam wojnę i skazali się na śmierć.

– Dowództwo mroku? – powtórzyła kpiąco. – Brzmi jak nazwa dziecięcego klanu. A wy jak się nazywacie? – Kiwnęła na mnie brodą. – Mroczni kowboje czy dzikie węże?

– Jeśli powiedziałbym ci, że odcinają głowy, wycinają serca czy rozczłonkują ludzi, śmiałybyś się baranym głosem. – Wybiłem jej

żartobliwe docinki ze łba.

– A ile serc wyrwały twoje dłonie? – Wygięła brew w odpowiedzi.

Zmrużyłem oczy. Wystarczająco dużo, by uleczyć problemy kardiologiczne populacji w Rio, jednak moje myśli nie zagłębiały się w rejony moich dokonań.

– Jeśli zdradzisz nam, dokąd zabrano Molly, obejmę cię gwarancją bezpieczeństwa, a moi ludzie zaopiekują się twoim bratem – zapewniłem Carinę. – Nikt nie położy na nim ręki.

Popatrzyła na mnie. Coś zgasło w jej oczach w przeciągu sekundy. Zamrugła tępo.

– Nie wiem, dokąd ją zabrali – przyznała.

Nie miałem do niej zaufania. Przytknąłem kciuk do jej ust, mknąc nim od kącika do kącika.

– Powiedz prawdę – wychrypiałem. – Albo to moi ludzie zabiją go pierwsi.

Przełknęła ślinę tak ostrożnie, jakbym tymi słowami zaimplantował w niej detonator.

– Naprawdę nie wiem – wyszeptała, a gdy zamierzałem się wyprostować, chwyciła mnie za dłoń. – Zawsze byłam ci lojalna. Zawsze.

Wstrzymałem oddech, gdy chłód jej palców musnął mi skórę. Ogarnęło mnie obrzydzenie.

– Gdybyś była lojalna, nie zdradziłabyś mojej rodziny.

Oczy w kilka chwil zaszyły jej łzami. Zamierzała rozchylić usta, jednak przerwałem jej mocnym chwytem za szczękę.

– A teraz moja córka jest w niebezpieczeństwie i ją też mogą zabić, ale byłaś zbyt samolubna, by o tym pomyśleć.

Wydobyła z siebie jęk, a ten zmienił się w pisk, gdy omal nie złamałem jej żuchwy.

– Zapamiętaj sobie jedną rzecz. – Puściłem ją, po czym się wyprostowałem. – To miasto należy do mnie, cały ten kraj, nie licząc pełzających kurew, jest mi lojalny. Jeśli moja córka umrze, nikt ci nie pomoże. Będą na ciebie polować, dopóki nie rozerwą cię na kawałki jak wygłodniałe psy – mówiłem ściszym głosem. – A teraz wstań.

Zdrową ręką rozmasowała obolały policzek. Ślamazarnie wykonała polecenie, omal nie potykając się o nóżki krzesła. Pchnąłem je w tył

kopniakiem, by w niczym nie przeszkadzało.

– Wciąż jesteś mi lojalna? – zapytałem, patrząc jej w oczy.

Wytrwale podtrzymała spojrzenie. Potulnie pokiwała głową, a spomiędzy kobiecych warg wytoczyło się drżące:

– Tak.

Wygiąłem kącik ust w zimnym uśmiechu. Wydawało się, że krew, która wypełniała jej żyły, właśnie zamarzła, kropla po kropli.

– Dobrze.

Mogłem sobie wyobrazić, z jaką werwą biło jej naiwne serce. W chwili, w której wydawała się uspokoić, pchnąłem ją do ramy okna. Drobne palce nieudolnie prześlizgnęły się po krawędziach, lecz zanim z ust wypadłby jej pisk, dołożyłem kopnięcie, którym skutecznie wypchnąłem ją z drugiego piętra.

– Saint!

Ruda doskoczyła do mnie. Zmuszony pchnięciem, cofnąłem się od okna. Hunter wychyliła głowę, a widok, który napotkała, natychmiast ją cofnął. Kolory odpłynęły jej z twarzy.

– Suka była bezużyteczna.

– Mogła być ważnym świadkiem! – Pchnęła mnie w tors. – Ty... ty...!

Chwyciłem ją za nadgarstki i wykonałem ostry ruch głowy.

– Zmarnowaliśmy czas, ruda – warknąłem. – Twoje pierdolone przesłuchanie jest do niczego.

– A twoje jest skuteczne?! – Wyrzuciła dłoń w stronę okna. – Nadziałeś żywą kobietę na metalowe pręty!

– Ups... – Z drwiną wygiąłem brew. – Celowałem w beton.

Ramiona jej opadły, potrząsnęła bezradnie głową.

– Jak możesz być taki... – błędziła oczami po mojej twarzy w poszukiwaniu odpowiednich słów – ...taki bezduszny?

– Otrzyj łzy. – Owinąłem dłoń wokół jej nadgarstka, po czym szarpnąłem ją za sobą. – I lepiej się przyzwyczaj, od teraz działamy na moich zasadach.

– Mieliliśmy działać wspólnie! – Szarpała się ze mną, aż udało jej się wyswobodzić. – Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Wyprostowałem się na zarzut w jej słowach.

– To nie jest twój świat, jeszcze tego nie rozumiesz? – Przyglądałem się jej spod byka. – Na co ty, kurwa, czekałaś? Aż weźmie cię na litość? A może jeszcze chciałaś załatwić jej adwokata? – Ostatkiem opanowania powstrzymałem się od warknięcia. – Zabij albo zostań zabity. Trzymaj się tej zasady.

– Boże... – Schowała twarz w dłoniach, zanim wplotła palce we włosy i za nie pociągnęła.

– Ruda, czas ucieka – przypomniałem ostro.

Popatrzyła na mnie, zimna i wyjątkowo obojętna, jakby w pośpiechu zdążyła przybrać maskę. Prawie byłem pod wrażeniem.

– Nie myśl sobie, że będę wobec ciebie litościwa – odpowiedziała sucho. – Gdy tylko odzyskam Nellie, zamknę cię w pierdlu i osobiście będę nadzorować to, jak całe twoje imperium upada.

Och, tym razem byłem pod wrażeniem.

– Imponująca przemowa, lisku. – Próbowałem pogłaskać ją po policzku, jednak trzepnęła mnie w dłoń. – Tylko najpierw upewnij się, że nie będę sprytniejszy od ciebie.

Zacisnęła gniewnie szczęki i zerwała się do wyjścia. Sięgnęła po telefon, wybrała połączenie i pokonywała stopień po stopniu. Dotrzymywałem jej kroku.

Dom był pusty, wszyscy wykonywali moje polecenie. Oprócz jednej osoby...

Uciekłem oczami do zejścia do podziemi. Ona wciąż tam była. Musiała być. I być może jako jedyna zdołała coś usłyszeć. Zerknąłem na Hunter. Była pogrążona w rozmowie, więc wykorzystałem chwilę jej roztargnienia, by przejść na dolną kondygnację.

Ostatnie drzwi zaskrzypiały, a zanim zdążyłem dopchnąć je do ściany, spojrzenie błękitnych oczu już było wlepione we mnie.

– Zila? – spróbowałem.

– Zaria – poprawiła mnie, cofając się pod samą ścianę. – Czego chcesz?

Rozejrzałem się po pomieszczeniu, w którym uwięził ją Fábio. Tym razem się postarał. Miała tu całkiem przyzwoite warunki, bo dziewczyna nie stanowiła zagrożenia, jak pozostali. Była posłuszna, współpracowała, nie pluć jadem... a do tego wpadła mojemu egzekutorowi w oko.



Zbliżyłem się o kilka kroków. Przynajmniej nie czułem od niej smrodu. Fábio musiał pozwolić jej się wykąpać i założyć komplet świeżych ubrań.

– Chcesz odzyskać wolność? – zapytałem.

Zamrugła, jakbym oferował jej coś pokroju wycieczki na Księżyc.

– Za jaką cenę?

Bystra dziewczyna. Nie mogłem jednak zdradzić swoich planów, w przeciwnym razie zorientowałyby się, ile to dla mnie znaczy. Zdałem sobie sprawę z tego, w jakiej popieprzonej sytuacji się znalazłem. Odebrałem ją od ojca tak, jak mnie odebrano Molly.

– Za przysługę. – Ostrożnie dobieierałem słowa. – Pewna osoba będzie miała do ciebie kilka pytań. Jeśli twoje informacje będą przydatne, pozwolę ci odejść, a ty wrócisz do swojego staruszka.

Przytrzymała mój wzrok, gdy unosiła brodę z całą dumą, jaką miała w sobie.

– Pod warunkiem, że wybiorę do tego miejsce.

Mój śmiech rozległ się wśród ścian. Pokręciłem głową, szczerze rozbawiony.

– Koteczku – wciąż się śmiałem – nie masz tu żadnego pola do negocjacji.

# ROZDZIAŁ 16

## *Saint*

Zaria posłusznie dotrzymywała mi kroku. Pokładałem nadzieję w jej inteligencji i tym, że nie pokusi się o popełnienie błędu, jakim byłoby działanie na moją szkodę.

Wciąż intrygowała mnie jej typowo brazylijska uroda. Grube, kręcone włosy, które sprężyste spływały jej aż do piersi, hipnotyzujące zielone oczy, porcelanowa twarzyczka, figura, której mogłaby pozazdrościć jej niejedna kobieta, a jednak pozycja, z którą się obnosiła, najbardziej zwracała uwagę.

W końcu była córką prezydenta, dla Fábio pełniła rolę zabawki, a dla mnie stanowiła kartę przetargową. Dopóki miałem ją po swojej stronie, jej staruszek działał na ustalonych przeze mnie zasadach – wypuścił moich ludzi, cofnął zakaz handlu i zrezygnował z blokady portów, które były istotne dla mojego interesu.

Tym razem miałem wobec niej inne plany.

Ruda zauważyła nas już z daleka. Spojrzenie jej zielonych oczu przesunęło się po kobiecej sylwetce. Zmarszczyła z uwagą brwi, zanim wbiła we mnie wzrok.

– Kto to? – Wskazała brodą na dziewczynę.

– Zaria – przedstawiłem. – A to jest ruda.

Brazylijka posłała mi pytające spojrzenie, jednak nie otwierała ust.

– Należy do waszej szajki?

Przewróciłem oczami ze znużeniem.

– Zadajesz za dużo pytań, lepiej przejdźmy do konkretów.

– Kim ona jest? – Portugalski akcent doprowadził mnie do kolejnego westchnienia.

Nie ma to jak pracować z babami.

– Ona nie jest zagrożeniem. – Strzeliłem spojrzeniem w szatynkę.  
– Poza tym nie odzywaj się niepytana.

Chociaż wydawałoby się, że dostałem już to, czego chciałem od jej ojca, to nie zamierzałem jej tak łatwo oddawać. Przeczuwałem, że mogła przydać mi się do czegoś jeszcze i się nie pomyliłem.

– Usiądź. – Wskazałem na sofę.

Zaria odwróciła głowę do tapicerowanego mebla. Wydawało się, że odczuła ulgę, gdy jej ciało wreszcie mogło poczuć coś miękkiego, nie licząc piankowego materaca sprezentowanego jej przez Fábio.

– Ona też pracowała przy Nellie? – Ruda wygięła brwi z pretensją.  
– Czy ty w ogóle robiłeś cokolwiek przy swoim dziecku?

Spojrzałem na nią ostro. Pewnie, dlaczego od razu nie wyśpiewa mojej zakładniczce całego naszego planu?

– Nie – warknąłem. – I lepiej się ucisz.

Hunter przewróciła oczami. Nie wiedzieć czemu zajęła miejsce po drugiej stronie sofy. Wówczas obie kobiety nawiązały kontakt wzrokowy, zanim ich spojrzenia padły na mnie.

Mogłoby się wydawać, że jedyne, co je łączyło, to fakt posiadania cycków i cipki. Poza tym były kompletnie różne. Od kiedy tylko sięgałem pamięcią, rudowłosa była pyskata i przebiegła. Ta druga zaś waleczna, lecz ugodowa i posłuszna.

– Byłaś w domu, kiedy zabito psa – zacząłem. – Słyszałaś coś?

Zmarszczyła brwi, wlepiając spojrzenie w swoje dłonie, jakby rzeczywiście przeszukiwała wspomnienia.

– Nie – powiedziała. – Spałam.

– Spałaś?

Zaczesała pukiel włosów za ucho, zanim potaknęła. Czarna koszula Fábio była na nią zbyt duża. Osunęła się niefortunnie w dół ramienia, eksponując przy tym kawałek piersi.

Malinki... kiedy ją tu przywlokłem, była czysta jak pierdolona łąza, tymczasem jej ciało było ostemplowane łapczywymi ustami mojego egzekutora.

– Fábio cię przeleciał?

Napięła ramiona na samo brzmienie oskarżenia. Zerknęła na mnie lękliwie i pokręciła głową.

– Kłamiesz. – Zmrużyłem surowo oczy. – Mnie się nie okłamuje.

Zza ściany dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Pogłos rozmów moich ludzi był coraz wyraźniejszy. Oczy kobiety zamarły w jednym punkcie. To tam odwróciłem wzrok, napotykając nikogo innego, jak Fábio. Ostrożnie przesunął spojrzeniem po naszej trójce.

– Co się dzieje? – zapytał zaalarmowany.

– Ruchasz ją? – Wystawiłem palec w stronę ciemnowłosej.

Przekrzywił głowę, zaskoczony tym pytaniem.

– Czasami – odpowiedział, podtrzymując twarde spojrzenie. – Powiedziałeś, że mogę robić z nią, co chcę.

Rzeczywiście tak było, ale nie to stanowiło problem. Znowś spojrzałem na Zarię.

– To by oznaczało, że mnie okłamałaś. – Sięgnąłem do kieszeni i wyłowiłem nóż.

Cofnęła się pod samo oparcie. Ciche westchnienie wymknęło się spomiędzy jej warg.

– Proszę, nie – wydukała łamiącym się głosem.

*Proszę, nie, proszę...* kurwa, słyszałem to tyle razy, że nawet mój mózg wywróciłby oczami, gdyby je miał.

Poczułem dłoń na ramieniu. Silne palce owinęły się wokół niego, zmuszając mnie do odwrócenia głowy.

– Nie rób tego. – W oczach Fábio odnalazłem przejaw buntu. – Ona jest pod moją opieką.

Prychnąłem. Pchnąłem go, tworząc dystans między nami. Z uwagą zmrużył oczy, gdy mi się przyglądał.

– Jeśli się dowiem, że ludzie z *Comando Escuridão* byli tu, gdy pierdoliłeś tę kurwę... – Wycelowałem ostrze noża w jego stronę. – Nie chciałbym się znaleźć w twojej skórze.

Chociaż był moim najlepszym przyjacielem w obliczu sytuacji, w której się znajdowałem, nikogo nie darzyłem zaufaniem. Nawet człowieka, który zabijał dla mnie bez drgnięcia powieki.

– W noc zamordowania Vito byłem w terenie – zapewnił bez cienia zawahania. – Éder był ze mną, może to potwierdzić.

Éder nigdy by mnie nie okłamał, był prawdziwym człowiekiem honoru z krwi i kości. Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Odwróciłem głowę do przejścia. Doradca już tam stał. Kiwnął głową, co miało oznaczać potwierdzenie.

– Mówi prawdę – skwitował. – Negocjowaliśmy warunki z Kalabryjczykami.

Oczy Fábio pozostały uważne, lecz tym razem nie patrzył na mnie. Patrzył na Zarię, jakby była jedyną owieczką w jego piekle. Ona podtrzymywała to spojrzenie, ale nie wykryłem strachu czy obrzydzenia, którym byłem przez nią obdarzany.

– Więc dlaczego po prostu się nie przyznałaś?

Moje pytanie wprowadziło dziewczynę w wyraźne zakłopotanie. Policzki skąpane czerwienią przypominały ślad po siarczystym uderzeniu. Czyli nawet jej nie zmusił, sama chciała mu się oddać.

– Daj jej spokój, Saint – mruknął za mną Fábio. – Ona nie jest taka jak my. Wciąż rumieni się na widok fiuta, chociaż dochodziła na nim, jakby miała wessać mnie do środka.

– Kurwa, poważnie? – Ruda poderwała się z sofy, wyrzucając dłonie w powietrze. – Co to ma wspólnego z naszym dzieckiem?!

Popatrzyłem na nią, przypominając sobie chwilę, w których ona dochodziła na moim, i ledwie stłumiłem błakający się na ustach uśmiezek.

– Jeśli chodzi o Molly... – Éder zwrócił uwagę wszystkich. – Nasze oddziały przeczesały Rio i okolice, nakazano przeszukać każdy dom i każdą piwnicę. Nie ma tu ani jednego człowieka, który pracowałby dla Christiana, ani tym bardziej śladów po dziewczynce.

– Czyli... porwali twoje dziecko? – Wspomnienie głosu Zarii jeszcze przez chwilę unosiło się w salonie.

– A co? Masz z tym coś wspólnego? – warknąłem wystarczająco poirytowany. – A może to twój ojciec mści się za to, co zrobiłem?

Niemalże widziałem, jak żołądek podchodzi jej do gardła, a ona z trudem przełknęła napierającą treść i pospiesznie pokręciła głową.

– Nie – wydukała. – To znaczy... nie wiem.

Ta odpowiedź sprawiła, że mięśnie każdego obecnego w pokoju się napięły, łącznie z moimi.

– Jak to nie wiesz?

Mała dziwka uciekła wzrokiem do Fábio. Jeśli tym razem będzie próbował mnie zatrzymać, rozwałę mu łeb o marmur, a jej każę wylizać każdą kroplę krwi.

– Nie mam z nim kontaktu, od kiedy tu jestem – wyznała popękany głosem. – Nie mogłam nawet zadzwonić czy napisać listu.

– Gdyby twój staruszek się pospieszył, nie tkwiłabyś tu przez tyle miesięcy – zakpiłem pogardliwie. – A może po prostu pomogliśmy mu w pozbyciu się problemu?

Poderwała się na równe nogi. Oczy miała pełne łez, a usta nadgryzione od powstrzymujących szloch zębów.

– To nieprawda – udało jej się wydusić.

– Och, czyżby? – Wydałem wargę z udawanym rozżaleniem. – Ciekawe, co zrobi, gdy dowie się, że jego córeczka kurwi się z mordercą, huh?

Znów próbowała szukać pomocy u Fábio, jednak ten był wystarczająco mądry, by stać z boku i nawet nie drgnąć. Zwróciłem ku niemu wzrok, on zrobił to z opóźnieniem.

– Niewiarygodne, że rozkochałeś w sobie naszą przynętę.

Milczał. I słusznie.

– Ciekawie byłoby obserwować, jak pęka jej małe niewinne serduszko, gdyby się dowiedziała, że chciałeś ją zgwałcić.

Oczy mu drgnęły. Za sobą usłyszałem cichy świst powietrza. *Bingo*. Kącik moich ust wygiął się szyderczo.

– Nie zrobiłem tego. – Nie spuszczał ze mnie spojrzenia, choć widziałem po nim, jak bardzo walczył z pokusą zerknięcia na dziewczynę. – Zrezygnowałem z tego, gdy wyszedłeś.

– A więc po prostu zrobiło ci się jej żal? – Moja brew sama powędrowała w górę. – Proszę, zabójca na zlecenie jednak ma serce.

– Ludzki odruch nie jest niczym złym – odpowiedział beznamiętnym tonem. – Kiedy mam kogoś do ochrony, czuję, że mam powód, by nie dać się zabić. – Zerknął na moment na dziewczynę, zanim wrócił spojrzeniem do mnie. – To twoje słowa.

Jeszcze przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, dopóki nie poklepałem go w tors.

– Masz ważniejsze sprawy na głowie, to gównu nie jest ci teraz potrzebne.

Potaknął. Mądrze z jego strony.

– Skończyliście swoje babskie pogawędki? – Ruda stanęła przy nas, obdarzając mnie spojrzeniem pełnym poirytowania. – Weźcie się wreszcie do roboty. A ty... – poczułem jej palec na torsie – ... zabierz parę rzeczy, jedziemy na wschód.

Uniosłem brwi, lekko rozbawiony.

– Od kiedy wydajesz mi rozkazy?

– Od kiedy jesteś moim więźniem – oświadczyła, mierząc mnie pogardliwym wzrokiem. – Rusz się, McCann.

Podczas gdy ja próbowałem wyciągnąć informacje od dziewczyny, ruda zdążyła ułożyć inny plan. Może tym razem jednak do czegoś się przyda.

Pozostali posłali mi zagadkowe spojrzenia. Sam nie miałem pojęcia, dlaczego nie wytargałem jej za włosy i nie rzuciłem na podłogę, jakby była nic nie warta. Może po prostu wciąż kręcił mnie jej pyskaty język.

Hunter ruszyła na górę, pokonując stopnie. Wyciągnęła telefon z kieszeni i ostatnie, co widziałem, zanim zniknęła za ścianą to to, jak przykłada go do ucha. Panoszyła się w moim domu jak pieprzona gospodyni.

– O co tu chodzi? – zapytał Fábio. – Co ona tu robi?

Odnalazłem rozkojarzone spojrzenie egzekutora. Nie zamierzałem pisnąć słowa przy jego nowej zabawce.

– Martw się własną kurwą – odpowiedziałem chłodno, po raz ostatni zerkając na Zarię, zanim skierowałem się śladami żony.

Z każdym pokonywanym krokiem na piętro wyraźniej słyszałem pogłos rozmowy telefonicznej. Myślałem, że znajdę ją w swojej sypialni, ale przez uchylone drzwi widziałem, że ruda stała pośrodku pokoiku Molly. Trzymała w ręku dziecięcą zabawkę, przyglądając się jej bez mrugnięcia.

– Musimy zrobić to jak najszybciej. – Słyszałem, jak mówiła. – Będziemy potrzebować wsparcia, jeśli zamierzamy uderzyć w ich tereny. McCann jest po naszej stronie. Osobiście tego dopilnuję, by doprowadzić tę sprawę do końca.

Ściągnąłem brwi. Naprawdę myślała, że zamierzałem współpracować z ludźmi, którzy niemal doprowadzili mnie do upadku? To, co nazywała „współpracą”, zaczynało i kończyło się na

Molly. Jeśli sądziła, że wydam swoich ludzi, była w potwornym błędzie.

Oparłem się bokiem o futrynę i skrzyżowałem ramiona na torsie.

– Dopilnujesz? – Kpina wyczierała z mojego głosu. – Jak?

Odwróciła się. Uważne spojrzenie napotkało moje, analizując każdy ruch, który mógłbym wykonać.

– Muszę kończyć – odezwała się. – Wracamy do bazy.

– Czyżby? – Wygiąłem brew. – Więc teraz to ty pociągasz za sznurki?

Wystukała coś na ekranie, zanim schowała telefon do kieszeni.

– Taki był plan i lepiej się go trzymaj.

– Plan był taki, żeby znaleźć i odbić Molly, a ty bawisz się w pierdolone przesłuchania, jakby to w czymkolwiek mogło nam pomóc – mruknąłem, wyczerpując ostatnie uncje opanowania. – Chcesz uratować dziecko czy być poklepana po główce przez typa, który cię pierdoli?

Zaskoczenie w jej spojrzeniu nabrało natężenia. Przekrzywiła głowę, a z jej ust padło parsknięcie.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Gość, który cię obmacywał. – Nie odrywałem od niej wzroku, moja twarz pozostała beznamiętna. – To dla niego to robisz? Molly ma być tylko pretekstem?

Zaśmiała się, tym razem bardziej wyniośle. Zmniejszyła dzielący nas dystans, stawiając śmiało krok za krokiem. Rude loki falowały w rytm jej ruchów, dopóki nie spoczęła. Skrzyżowała ramiona pod piersiami, a spojrzenie, które mi posłała, było pełne wywyższenia.

– A co cię obchodzi to, kto mnie pierdoli?

Sposób, w jaki wypowiedziała te słowa, doprowadził moją krew do wrzenia.

– Naprawdę myślisz, że to gówno zrobiłoby na mnie wrażenie? – Zmrużyłem oczy, a na usta wypłynął mi pogardliwy uśmiezek. – Wiem tylko, że nie można ci ufać.

– Twoje zaufanie lata mi koło dupy. – Przewróciła oczami i trąciła mnie z bara, gdy przeszła obok. – Otrzyj łzy i rusz się, mamy robotę do wykonania.

Zacisnąłem szczęki, aż zazgrzytały mi zęby. Ruszyłem jej krokiem.



– Mam własny plan – powiedziałem.

– Gównu mnie on obchodzi.

– To niech lepiej zacznij, o ile nie zależy ci wyłącznie na awansie.

Obróciła się na pięcie. Coś pokroju wkurwienia przemknęło w jej oczach.

– Myślisz, że jestem tu, bo zależy mi na jakimś pieprzonym awansie? – Wygięła brwi w łuki i potrząsnęła głową. – Boże, jak możesz być tak... głupi?

– Chcesz aresztować ludzi, zamiast ratować Molly. Wniosek nasuwa się sam. – Obrzuciłem ją pogardliwym spojrzeniem. – Od zawsze byłaś rządową kurwą.

Kobieca dłoń wystrzeliła w moją stronę. Odtrąciłem ją, po czym zablokowałem jej ruchy i przyparłem do ściany. Szarpała się z wściekłością w oczach.

– Gdyby nie ty, nic by jej się nie stało! – wrzeszczała mi w twarz. – To wszystko przez ciebie!

Szarpała się i miotała, niespodziewanie wrywając nadgarstek z uścisku. Uderzyła mnie w twarz, a następnie zadała cios w brzuch, skutecznie odpychając mnie od siebie.

Wciągnąłem z sykiem powietrze przez zęby.

– Co zrobisz? – Z kpiną uniosłem kącik ust. – Aresztujesz mnie?

Potarła rękę w miejscu, w którym odznaczał się uścisk mojej dłoni. Zerknęła na mnie ostro.

– Słuchaj no, gnojku. – Jej amerykański akcent podsycił warknięcie. – Za minutę budynek otoczą federalni, jeśli posłusznie nie wyjdiesz stąd u mojego boku. – Zbliżyła się, podtrzymując surowy wyraz twarzy. – Lepiej nie podskakuj, bo nie zawaham się przed skazaniem cię na śmierć, gdy dojdzie do aresztowania. – Wbiła mi palec w tors. – Lepiej zacznij myśleć nad ostatnimi słowami.

Wygiąłem brew. Z jakiegoś powodu podobala mi się ta odpowiedź. Zamiast na mnie patrzeć, ruszyła przed siebie, a ja tuż za nią.

– Wielu próbowało, lisku. – Pozwoliłem, by moje ramię oplotło jej talię. – Ale wszyscy zapominacie o tym, z kim macie do czynienia.

Odtrąciła moją rękę. Otoczyła się ramionami w drodze na parter. Na dole czekał na nas Fábio i dziewczyna, którą się zadowalał.

– Wiemy, kto może wam pomóc – powiedział.

– Kto? – zapytała ruda, zanim sam zdążyłbym to zrobić.

Brunetka najpierw spojrzała na egzekutora, a później na mnie. Wydawało się, że nawet przełknięcie śliny pod moim baczny  spojrzaniem sprawiało jej trudność.

– Ja.

# ROZDZIAŁ 17

## *Asteria*

Nie odrywałam oczu od dziewczyny. Była ode mnie młodsza, a może nawet ledwie ukończyła dwadzieścia lat. Nie wiedziałam, co w tym domu robiła inna kobieta niż gospoia i Carina. Czy mogłam jej ufać? Co wiedziała o mojej córce? I jak niby miałyby nam pomóc?

– Kto to jest? – zapytałam.

– Nie twój interes. – McCann ostudził zapał mojej ciekawości.

– Muszę wiedzieć, z kim współpracuję. – Posłałam mu surowe spojrzenie, nim powróciłam do kobiety. – Kim jesteś?

– Mam na imię Zaria.

Czekałam, aż coś doda, ale nie pałała chęcią rozmowy.

– Coś więcej? – Zachęcałam ją ruchem ręki. – Twoje imię niczego mi nie mówi.

Popatrzyła na Fábía, a on na nią. Wyglądała tak, jakby potrzebowała chociażby niemej zgody na otworzenie ust. Zmarszczyłam brwi.

– Porwaliście ją?

Błękitne oczy padły na mnie. Rozchyliła wargi, dolna jej drgnęła.

– Ona jest ze mną. – Facet stojący obok otoczył ją ramieniem.

– Nie o to pytałam. – Przesunęłam wzrok na McCanna. – Porwaliście ją?

Przewrócił oczami z westchnieniem.

– Nie mogę uwierzyć, że oskarżasz mnie o coś tak podłego – powiedział zimno.

Co, do cholery? Jego to bawiło?

– Myślisz, że to jest zabawne? – Wskazałam dłonią w stronę dziewczyny. – Pytam ostatni raz. Kim ona jest?

Pokręcił głową, prychnąwszy w nieskrywanym rozbawieniu. Aż mnie świerbiło, by zedrzeć mu z ust ten cwaniacki uśmiezek.

– Znów marnujemy czas, ruda. A ty... – Wystawił palec w stronę brunetki. – Wracaj, kurwa, do roboty. I lepiej ją przypilnuj, Fábio, bo będziesz następny.

– Do roboty?

Spojrzenie samego diabła padło na mnie. Wyglądał na wystarczająco zdenerwowanego.

– To pieprzona sprzątaczką. – Odwrócił głowę w stronę pary, zanim znów usłyszałam jego głos. – Jakimś cudem uwiodła mojego egzekutora i jeśli spróbuje to wykorzystać, powieszę ją na słupie.

Kątem oka dostrzegłam, jak dziewczyna drgnęła. Zerknęłam na nią.

– To prawda? – zapytałam. – Pracujesz tu?

Fábio otoczył ją ramieniem.

– Niedługo przestanie.

– Nie ciebie pytałam – zrugłam go ostro, nie odrywając oczu od kobiety. – Odpowiedz.

– Tak. – Potaknęła energicznie głową, po czym przesunęła ręką po swoich ubraniach. – Pracuję.

Zwężłam powieki. Podtrzymywała kontakt wzrokowy do samego końca. Nie wierzyłam żadnemu z nich, ale nie to było dla mnie najważniejsze.

– Jak możesz nam pomóc?

Poczułam uścisk na nadgarstku.

– Nie może nam pomóc. – McCann pociągnął mnie za sobą do wyjścia.

Zaparłam się całym ciałem, jednak mimo tego nie byłam wystarczająco silna, by go powstrzymać.

– Ale... przecież... powiedziała... ach, puszczaj mnie, do cholery!

Mocniej zgniótł mój nadgarstek, niemal sprowadzając mnie tym na kolana.

– Ach, to boli! – Trafiłam go butem w pizczel, aż syknął. – Puszczaj mnie!

Przez naprężenie mojej ręki, upadłam, kiedy mnie puścił. Z cichym jękiem potarłam obolałe miejsce. Posłałam mężczyźnie

spojrzenie pełne pogardy, a on uśmiechnął się kpiąco.

– Zrobiłem przecież to, co chciałaś.

Przecież ja go zaraz...

Prawdopodobnie wyczuł moje zamiary, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wiedział, że wyprowadzi mnie tym z równowagi.

– Trzymaj ręczki przy sobie, Hunter – mówił, popychając drzwi wyjściowe. – Nie zapominaj, że jesteś na moim terenie, a moi snajperzy mają cię na celowniku.

Wygięłam usta, podnosząc się z podłogi. Pomaszerowałam za nim, utrzymując bezpieczną odległość.

– Czym sobie zasłużyłam na tak szczególne traktowanie? – Teatralnie przystawiłam dłoń do piersi.

– Sezon polowania na lisy, słyszałaś coś o tym?

Zacisnęłam zęby, powstrzymując warknięcie. Aż prosił się o powtórkę z przesłuchania. Przeklęty drań...

Emocje opadły w chwili, w której wilgotne powietrze musnęło nasze ciała. Oślepiające promienie słońca ograniczały widoczność. Przycisnęłam dłoń do czoła, by móc rozejrzeć się po okolicy. McCann nie kłamał. Jego posiadłość była pilnie strzeżona przez zamaskowanych ludzi z karabinami przyciśniętymi do twardych piersi. Nawet na dachach sąsiednich budynków mogłam dostrzec ustawionych w gotowości snajperów.

Ale nie byli tu sami. Trzy nieoznakowane wozy federalnych stały zaparkowane przed bramą, jeden za drugim. Mój szef stał przy jednym z nich, równie uzbrojony, co reszta śmiałków. Otaczała go grupa zaufanych pracowników.

– Wow, naprawdę musi zależeć im na twoim bezpieczeństwie – zakpił Saint.

Nie dało się ukryć. Naprawdę wysłali tylko trzy wozy? Równie dobrze mogli się wcale nie fatygować. To takie upokarzające.

– Nie jestem żadną celebrytką, żeby musieli mnie chronić. – Staralam się brzmieć na pewną siebie. – Sama się obronię. Zresztą nie stanowisz dla mnie żadnego zagrożenia.

– Czyżby? – Kącik ust śmielej powędrował mu w górę, gdy kroczyliśmy w stronę bramy.

– Żadnych sztuczek. – Skarciłam go surowym spojrzeniem. – Albo znów przypomnę ci chłód kajdanek na rękach i nogach.

Wystawił przed siebie dłonie z rozbawieniem wymalowanym na twarzy. Zmrużyłam oczy.

– Przestań, nie pogrywaj ze mną.

– Z tobą? Ależ skąd.

Nawet nie zauważyłam, kiedy jego dłoń zawisła przy mojej twarzy. Zaskoczona zaczerpnęłam tchu, mając w zamiarze wymierzyć mu cios, jednak zamarłam, gdy wetknął mi kosmyk włosów za ucho. Nachylił się, górując nade mną siłą i wzrostem.

– Ale zamierzam zabić kilku ludzi i albo mi w tym pomożesz, albo...

– Albo co? – Odtrąciłam jego dłoń. – Zabijesz mnie?

Przesunął chłodnym spojrzeniem po mojej twarzy. Oblizął wargę, zanim znów się uśmiechnął.

– Zaskakuje mnie twoja dedukcja.

Prychnęłam. Wyminęłam go w przejściu, a po przekroczeniu bram kiwnęłam głową do szefa.

– Zabieramy go do bazy – powiedziałam. – Przesłuchaliśmy podejrzaną. Miała związek z porwaniem. To ona zdradziła kartelowi miejsce pobytu McCanna i mojej córki.

– Naszej – poprawił mnie surowym tonem.

Przewróciłam oczami z westchnieniem.

– Powiedziała coś jeszcze? Jakies żądania porywaczy? – dopytywał Jace.

– Mówiła, że zrobiła to, by ochronić brata. Grożono jej, że go zabiją, gdyby nie wyjawiała lokalizacji dziecka.

– Więc miała motyw... – mruknął, sunąc spojrzeniem po posiadłości, zanim jego oczy odnalazły moje. – Gdzie ona teraz jest?

Z westchnieniem potarłam kark. Był wilgotny od niezwiązanych włosów i wysokiej temperatury.

– No właśnie tu pojawia się problem.

– Jaki problem? – Popatrzył na mnie rozkojarzony.

– Popęłniła samobójstwo. – Zza pleców dotarł do mnie zachrypnięty głos McCanna. – Najwyraźniej presja popchnęła ją... – urwał na moment – ...do takiego czynu.

Jace wbił w niego pogardliwy wzrok. Zmrużył z powagą oczy, gdy znów na mnie zerknął.

– To prawda?

Cóż, suka przyczyniła się do porwania mojego dziecka. Jeśli McCann by jej nie zabił, zrobiłabym to na przesłuchaniu poza zasięgiem kamery.

– Tak. Wyskoczyła z okna – powiedziałam obojętnie. – Wezwijcie kogoś, by zabezpieczyli zwłoki.

– To nie będzie konieczne.

Poczułam muśnięcie na udzie, gdy męskie palce przemknęły po materiale spodni.

McCann stanął u mojego boku. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy.

– Moi ludzie powiadomili już jej matkę. Pozwolą jej godnie pochować córkę.

Poczułam gorycz na brzmienie tego, z jaką lekkością o tym mówił.

– Nie ty będziesz o tym decydował – mruknął Harrison.

Oczy Santa uśmiechały się, zanim jeszcze przesunął spojrzenie na mojego szefa. Po chwili do oczu dołączyły usta.

– Już zdecydowałem.

Walka na spojrzenia trwała. Nie tylko drwiący wyraz twarzy Santa dawał mu przewagę, ale fakt, że arsenał jego ludzi był gotowy do wystrzału. Wystarczył tylko jeden znak pozwolenia z jego strony, by pozbyć się pozostałych, ze mną na czele.

Jace pierwszy odwrócił wzrok, kierując go na mnie. Zbliżył się, a jego dłoń spoczęła na moim ramieniu.

– Jesteś cała?

Wyraz troski ze strony mężczyzny przyprawił mnie o delikatny uśmiech. Potaknęłam.

– Jest w porządku.

– Jaki jest plan? – Z uwagą uniósł brew, gdy otwierał przede mną drzwi do pancernego samochodu.

Miałam już wsiąść, jednak skierowałam zaskoczone spojrzenie na McCanna.

– A on...

– Pojedzie z obstawą – odparował cierpko. – To więzień i tak będzie traktowany.

– Więzień? – Niezrozumienie wygięło mi brwi. – Nie, to nasz informator. Takie były warunki.

– To ja wydaję rozkazy. – Skarcił mnie surowym wyrazem twarzy. – Wsiadaj, Hunter.

Ostatni raz spojrzałam na Santa. Wygiął kącik ust, jednak oczy znów miał chłodne. Patrzył na mnie tak, jak wtedy, gdy zdradziłam go na rzecz wolności.

Nie mogłam jednak niczego powiedzieć w obecności szefa. Zająłam miejsce na tylnym siedzeniu z nadzieją, że Brazylijczykowi nie wpadnie do głowy głupi pomysł stawiania się agentom.

W odbiciu lusterka widziałam, że dyskutował z federalnymi. Jeden z nich trzymał kajdanki w dłoni, zapewne próbując przekonać McCanna do przestrzegania procedur. Nie zapowiadało się na to, że miałyby im ulec. Odwrócił głowę, śledząc wzrokiem podległych mu żołnierzy, jakby próbował ostrzec agenta przed konsekwencjami. Minęła chwila, zanim we trójkę wpakowali go do samochodu. Reszty nie widziałam, wóz ruszył.

– Nie skrzywdził cię? – Tembr głosu Harrisona sprowadził mnie do przyziemnych spraw.

Co prawda doszło do rękoczynów, ale nie musiał o tym wiedzieć.

– Nie. – Zgarnęłam włosy, by zapleść warkocz. – O dziwo, pozwolił mi przeprowadzić przesłuchanie, a czasem sam zadawał konkretne pytania.

– Hmm... – Brzmiał na zaskoczonego. – Czyli rzeczywiście chce współpracować.

– A dziwi cię to? – Zerknęłam na niego pełna żalu. – To także jego córka, Jace.

Wykrzywił usta w grymasie irytacji, zanim te wróciły do linii prostej. Wtulił plecy w oparcie fotela, zanim sięgnął po krótkofalówkę.

– Skierujcie go na granicę. Tam przejmą go nasi z jednostki specjalnej.

Niemal czułam, jak krew odpłynęła mi z twarzy, a lodowaty sopel wędrował mi w dół kręgosłupa. Bezwładnie opuściłam splecione włosy. Pałacym spojrzeniem zerknęłam na mężczyznę.

– Że co? – Ledwie wydobyłam z siebie zapytanie.



– Przykro mi, Hunter. On stanowi zbyt duże zagrożenie.

Pokręciłam niezrozumiale głową, zbyt oszołomiona tym, co właśnie usłyszałam.

– Co? O czym ty mówisz? – Poderwałabym się, gdyby nie to, że byliśmy zamknięci w metalowej puszcze. – Jest naszym informatorem, pomaga nam!

– Jak na razie patrzycie na własne korzyści, a nam w żaden sposób to nie pomaga – skomentował surowym tonem.

Łzy zapiekły mnie pod powiekami. Miałam wrażenie, jakby tymi słowami uderzył mnie w twarz.

– Ale Noelle... – wydusiłam. – Nellie... musimy odnaleźć Nellie, Jace.

– Mieliśmy aresztować McCanna. – Wydawało się, że z trudem przyszło mu patrzeć na mnie. – Spójrz prawdzie w oczy. Jeśli kartel porwał waszą córkę, prawdopodobnie od kilku dni jest już martwa.

Treść żołądkowa podeszła mi do gardła, a żal boleśnie ścisnął mi serce z nadzieją, że ono pęknie. Chyba wołałabym, by pękło, być może wtedy bolałoby mniej.

– Obiecałeś mi... – Szept, który wypadł mi z ust, był zapowiedzią bezradnego szloch.

– Obiecałem, że odbijemy ją z rąk McCanna, okoliczności się zmieniły. – Odwrócił ku mnie głowę, a jego twarz miała ostry wyraz. – Aresztowaliśmy go, misja zakończona. Tym razem nam się nie wywinie.

Oddech uciekł mi gdzieś w drodze do płuc. Czułam, jak każdy centymetr mojego ciała drżał.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – wydusiłam przez ściśniętą krtań. – Zaufałam ci, a ty mnie wykorzystałeś.

– Nie mogłem ryzykować, by znów zwiął nam przed nosa, nie rozumiesz? – warknął stanowczym głosem. – Widziałaś jego twarz? Gardził nami i kpił sobie z nas, za nic mając moje słowa.

– On miał mi pomóc w dojściu do naszej córki! – Nerwy mi puściły, gdy chwyciłam Harrisona za materiał koszuli. – To tylko dziecko!

– Weź się w garść, do kurwy! – ryknął na mnie, odtrącając moje dłonie. – Myślisz, że kartel będzie się z wami targował? McCann zabił brata gościa, który porwał dziecko. Pogódź się z tym, że już jej nie odzyskasz.

Nie mogłam uwierzyć w to, co mówił. Łzy nieubłagalnie zalewały mi oczy, a z mojej piersi wyrwał się tak głośny szloch, że przeraziłam samą siebie. Skuliłam się nad kolanami, wplatając palce we włosy. Byłam zrujnowana.

Obojętność, którą emanował Harrison, bolała mnie najbardziej. Od miesiący żyłam nadzieją, a on wbił mi nóż w plecy i patrzył, jak krwawię.

To koniec. Nie mogłam pozwolić sobie na to, by znów mnie wykorzystano do ich brudnych zagrywek. Przetarłam łzy, wzięłam głębszy wdech i wypuściłam go, by znaleźć w sobie choć cząstkę spokoju.

– Zatrzymajcie samochód – zarządziłam.

– Nie rób scen, Hunter.

– Powiedziałam: zatrzymajcie samochód – warknęłam.

Jace powtórzył moje polecenie, wóz stanął. Oczy mężczyzny przesunęły się na mnie. Byłam pełna podziwu, że miał w sobie tyle śmiałości, by móc spojrzeć mi w twarz. Był chodzącym kłamstwem, przez cały czas dążył do zrealizowania swoich głupich ambicji, wykorzystując moją miłość do córki. A ja przez cały czas byłam tylko pieprzonym pionkiem...

Nie sądziłam, że słowa McCanna o zaufaniu do federalnych mogły okazać się prawdą, ale teraz? Nie wytrzymałabym ani chwili dłużej w jednym miejscu z tymi zdrajcami.

– Jeżeli wy mi nie pomożecie, odnajdę ją sama. – Odpięłam pas, a moja dłoń zastygła na klamce, gdy usłyszałam głos szefa.

– Jeśli teraz wysiądziesz, nie wrócimy po ciebie – strofował mnie.

– Lepiej dobrze się zastanów, czy chcesz ryzykować własne życie tylko po to, by odnaleźć zwłoki.

Mięłam wargę między zębami. Gdyby nie to, że nie byliśmy teraz sami, strzeliłabym mu w mordę. Nawet gdyby zagroziłby mi bronią wycelowaną w twarz, nie zrezygnowałabym. Prędzej umarłabym z wyrzutów sumienia, niż pozwoliła sobie odpuścić.

– Nie fatyguj się.

Trzasnęłam wściekle drzwiami. Przez chwilę obserwowałam oddalający się samochód. Czas nie działał na moją korzyść. Musiałam znaleźć sposób, by jak najszybciej dotrzeć na południe, zanim będzie za późno.

Wyciągnęłam telefon z kieszeni, jednak schowałam go równie szybko, gdy zorientowałam się, że nie mogłam liczyć na niczyją pomoc. Federalnym od początku nie zależało na Noelle. Byłam jedynie przynętą, by złapać McCanna, ale bez jego pomocy nie byłam w stanie dotrzeć do córki i jakimś cudem wyjść z tego bez szwanku.

Zatem było tylko jedno rozwiązanie – wrócić do domu, w którym stacjonowali mężczyźni siejący największy postrach w Rio.

Biegłam, ile sił w nogach. Słońce w samo południe niczego nie ułatwiało. Pot, gorzki posmak na języku i serce tkwiące w gardle nie pozwalało mi na przywołanie choć odrobiny spokoju.

Dziedziniec posiadłości był obleżony przez uzbrojonych ludzi. Gdy tylko dostrzegli mnie na horyzoncie, stałam się łatwym celem.

Facet z wycelowaną we mnie bronią krzyknął coś niezrozumiale. Natychmiast uniosłam dłonie w obronnym geście.

– Nie rozumiem portugalskiego – wydyszałam, w próbie zapanowania nad oddechem. – Fábio, Éder... muszę porozmawiać z nimi.

Odbezpieczył karabin, warcząc ciąg słów, których znaczenia nie rozumiałam.

– Molly – mówiłam spokojnie. – Molly McCann.

Brew mu drgnęła. Obniżył spluwę, choć uważny wzrok nie opuszczał mnie nawet na ułamek sekundy. Powiedział coś do mężczyzny stojącego obok. Ten skinął głową i oddalił się w stronę budynku.

Napływ odrobiny ulgi pozwolił mi wziąć głębszy wdech. W tym świecie mogłabym spodziewać się wszystkiego, ale na pewno nie tego, że będę współpracować z brazylijskim półświatkiem, by uwolnić ich szefa od ekstradycji.

Fábio wystąpił na zewnątrz w towarzystwie rodzinnego sekretarza. I choć z tej dwójki dużo bardziej wołałam Édera, to

wiedziała jednak, że niewątpliwie to egzekutor był najbliższym człowiekiem Sainta, choć równie narwanym, co on. Rzucił coś do strażnika, zanim otworzył przede mną bramę.

Popatrzyłam to na nich, to na mężczyznę z bronią i znów na nich. Choć dzień był wyjątkowo słoneczny, poczułam muśnięcie chłodnego powietrza na karku. Z kłębem myśli w głowie przekroczyłam strefę wpływów diabła.

– Co tu robisz? – zapytał Fábio, ściągając gniewnie brwi. – Gdzie jest Saint?

– Aresztowali go – ledwie byłam w stanie wykrztusić te słowa przez ściśnięte ze strachu gardło. – Oszukali nas.

– Co?! – Wzburzyli się równocześnie.

Fábio był szybszy od moich zmysłów. Zanim zdążyłabym wyłapać jego ruch, szarpnął mnie za kark i przyciągnął pod swoje oblicze.

– Kurwa, wiedziałem, że nie można ci ufać – warczał mi w twarz. – Coś ty narobiła?!

Odepchnęłam go z warknięciem.

– Trzymaj łapy przy sobie, dobra?! – krzyknęłam wystarczająco wyprowadzona z równowagi. – Wcale nie musiałam tu przychodzić. Powinniście być mi wdzięczni za to, że chcę wam pomóc!

Egzekutor gotów był do kolejnego ataku, jednak Éder go wyprzedził. Odgrodził go ode mnie ramieniem, posyłając mu znaczące spojrzenie.

– Pomóc? – powtórzył sekretarz.

– Mielśmy wrócić z McCannem do bazy, by w nocy wyruszyć na południowy wschód, aby odnaleźć Molly. Moi ludzie mieli nam pomóc, ale od początku chodziło im jedynie o aresztowanie Sainta. – Potarłam ręką nieco obolały kark. – Wykorzystali mnie. Wiedzieli, jak bardzo zależy mi na odzyskaniu dziecka. Miel nadzieję, że uspię jego czujność.

– Ty głupia...

– Dość – syknął z goryczą Éder. – Dokąd go zabrali?

– Na granicę, przygotowują go do deportacji – powiedziałam, przesuwając spojrzeniem do Fábio. – Nie mogę do tego dopuścić. Bez niego... – urwałam z namysłem – ...bez was nie odzyskam córki.

– Niby dlaczego mamy ci zaufać, co? – Egzekutor wyrwał się ku mnie, aż stanęliśmy twarzą w twarz. – Skąd mamy wiedzieć, że nie załatwisz nas wszystkich?

Wytrwale patrzyłam mu w oczy, tocząc walkę na spojrzenia.

– Fábio ma rację – poparł go ten drugi. – McCann nie chciał, byśmy go ratowali, gdyby doszło do takiej sytuacji. To by oznaczało utratę honoru.

– Myślicie, że nie wiem, jak wielkie są wasze wpływy? – Pragnienie krzyku buzowało mi w gardle. – Rio jest dla was jak prywatne miasto. Nikt, poza wami, nie ma tu takiej władzy. – Odwróciłam wzrok do sekretarza. – Nie każę wam rozpierdolić więzienia, a sprawić, by nie doszło do deportacji.

Fábio zacisnął zęby, niemalże miażdżąc mnie gniewnym spojrzeniem. Nie wiedziałam, ile czasu minęło, zanim odwrócił wzrok do współpracownika. Wydawało się, że rozumieli się bez słów, bo gdy tylko Éder skinął mu głową, ten mniej przyjemny dupek znów wbił we mnie chłodne spojrzenie.

– Jest coś, co możemy zrobić – mówił, a pogardliwy wyraz jego twarzy pozostawał niezmienny. – Ale bez ciebie.

– Jak to beze mnie? – Nawet mój ton nie krył zaskoczenia.

– Niewyraźnie powiedziałem? – odpowiedział krnąbrnie. – Nie ufam ci.

– Tylko ja wiem, dokąd go zabierają.

– Spodziewam się, że nam powiesz, zostaniesz tu i nie przyjdzie ci do głowy żadne głupstwo – zdołał mruknąć z opanowaniem. – A wtedy wszystko odbędzie się bezboleśnie.

Jakim prawem śmiał mi grozić?

– Słuchaj no, egoistyczny patafianie...

Gotowa byłam do ponownego zmierzenia się z nim twarzą w twarz, jednak Éder mnie w tym ubiegł. Odgrodził mnie ramieniem, stając pomiędzy mną a egzekutorem.

– Marnujemy czas – zauważył słusznie. – Podaj miejsce, my zajmiemy się resztą.

Zmrużyłam oczy, patrząc na niego z chęcią zaprzeczenia, i gdybym nie ugryzła się w język, dyskusja trwałaby w nieskończoność.

– Zabierają go na prywatne lotnisko. Zanim jednak dojdzie do ekstradycji, federalni muszą uzyskać zgodę od strony brazylijskiej, a ta procedura może potrwać nawet do czterdziestu ośmiu godzin.

– Zdążymy – mruknął Fábio.

Poczułam ucisk na ramieniu. Poderwawszy głowę, dostrzegłam masywnego mężczyznę z chytrym uśmieszkiem.

– Co ty... – zachnęłam się, gdy pociągnął mnie w stronę posiadłości. – Ach, puszczaj mnie!

Nie puścił pary z ust, gdy przerzucił mnie sobie przez bark. Okładałam go pięściami, ale masa mięśniowa wydawała się chronić go przed każdym ciosem. Wzięłam wdech pełen zaskoczenia, gdy zrzucił mnie na kanapę, tuż obok nieznajomej dziewczyny.

Miałam już wstać, gdy lufa broni została wycelowana wprost w moje czoło. Czując chłód metalu, przełknęłam ślinę.

– Nie waż się, kurwa, drgnąć. – Ton Fábio był wyjątkowo spokojny jak na kogoś, kto zabijał bez mrugnięcia okiem.

Potaknęłam. Nie miałam innego wyjścia.

Szatynka podciągnęła nogi do piersi, zerkając na mnie ukradkiem. Nie miała czasu mi się przyjrzeć, bo głos mężczyzny odwrócił jej uwagę. Nie miałam pojęcia, o czym rozmawiali, ale to, co padło z ust egzekutora, sprawiło, że w dziewczęcych oczach odżyło szczęście. Pokiwała głową, a gdy podał jej dłoń, nie zawahała się przed przyjęciem jej.

Wyszli. Nie miałam pojęcia dokąd. Zostałam sam na sam z gorylem, którego irytujący uśmiech przyprawiał mnie o potężne wkurwienie.

# ROZDZIAŁ 18

## *Saint*

Nie miałem pojęcia, dokąd mnie wieźli. Lniany worek na głowie niczego nie ułatwiał, jednak zabawnie było doświadczać dysonansu dotąd zawsze prawych i przykładnych Amerykanów.

Nie bałem się, nie miałem ku temu żadnych powodów. Jedyne, co czułem, to złość. Te kurwy jedynie przedłużały okres przetrzymywania Molly, a czas działał na moją niekorzyść.

Poczułem, że wóz stanął.

– Wysiadka, panie gangster – zakpił ktoś po mojej prawej.

Niczego nie widziałem. Poczułem szarpnięcie, a potem poderwanie w górę. Wystawiłem nogi za próg, a mimo tego siła pchnięcia sprawiła, że niemal się potknąłem.

Słyszałem śmiechy. *Śmiejcie się, dopóki jeszcze macie struny głosowe. To długo nie potrwa.*

Coś metalowego zacisnęło się wokół jednej, a potem wokół drugiej kostki u nogi. Szybko dotarło do mnie, że to kajdany. Z uśmiechem na ustach doceniłem fakt, że nie ukrywali tego, że trzęśli przede mną portkami.

Prowadzili mnie we dwóch. Każdy mój krok był ograniczony brakiem swobody ruchów. Metalowy brzdęk, grzechot kluczy, otwarcie bram.

– Macie go? – zapytał ktoś.

– Mamy. Skurwiel już nam nie ucieknie. – Uderzenie w plecy pchnęło mnie naprzód. – Dalej, księżniczko, rusz się!

Ta sytuacja nie była dla mnie nowa. Nic nie robiło na mnie wrażenia, nawet jeśli próbowali być oryginalni rzucaniem uszczypliwych uwag, bo te latały mi koło dupy.

Przez lniany materiał mogłem dostrzec jedynie zmianę światła w otoczeniu. Z jasnego – jak podejrzewałem – dziedzińca poprowadzono mnie do budynku, a następnie przeprowadzono przez korytarz.

Jedne drzwi, drugie, a trzecie miały być tymi ostatnimi. Ktoś mnie obrócił, a następnie zmusił do zajęcia miejsca. To krzesło, drewniane i twarde.

Nie wiem, ile godzin zdążyło upłynąć, gdy byłem w samotności.

Nie jadłem.

Nie piłem.

Wciąż byłem zakuty w kajdany. Obecność jeszcze kogoś była frustrująca. To musiał być jakiś gliniarz lub ochroniarz. Mlaskał, ziewał, stukał palcami. Gdyby nie to, że miałem skrępowane ręce, przypierdoliłbym mu nawet na oślep.

Ułga przyszła w momencie, w której zdjęto mi z głowy worek. Ujrzałem przed sobą twarz skurwysyna, dla którego pracowała ruda, i od razu pożałowałem, że zdjęli mi tę szmatę.

A więc taki był plan. Molly była jedynie przykrywką.

Wpatrywałem się w tę zdradziecką mordę i zdałem sobie sprawę, jak uczucie wkurwienia zwinnie penetrowało mi żyły. Ale ten czynnik nie był jednak osamotniony. W powietrzu ciągnął się smród zdrady, jednak tym razem nie niósł za sobą rozczarowania. Nie skłamałbym, mówiąc, że się tego spodziewałem.

– Wszystkie drogi zawsze prowadzą do mnie, McCann – zadrwił, klepiąc mnie w policzek. – Szkoda tylko, że tą sprawą musiałem zająć się osobiście.

Nie zerwałem z nim kontaktu wzrokowego, chociaż plułem sobie w brodę, że nie zdążyłem odgryźć mu chociażby pierdolonego palca.

– Wow, co to za hollywoodzka gadka? – parsknąłem. – Chyba musisz powtórzyć, bo nie zdążyła zrobić na mnie wrażenia.

Kącik ust mu drgnął, jakby na siłę próbował się uśmiechać.

– Poczucie humoru cię nie opuszcza, co? – Klapnął na krzesło naprzeciwko mnie. – Może w czasie, kiedy sobie tutaj posiedzimy, opowiem ci o rzeczach, za które zostałeś oskarżony.

Przewróciłem oczami.



– Może po prostu mi przypierdol – mruknąłem bez wigoru. – Nie chcę po raz kolejny słuchać twojego pierdolenia.

Popatrzył na mnie z uwagą, a na ustach zakwitł mu kolejny uśmiech. Podniósł się, powolnym krokiem okrążył krzesło, na którym siedziałem, aż ponownie znalazł się naprzeciwko mnie. Jego pięść wystrzeliła w moją twarz.

– Już, kurwa? – Złapał mnie za włosy, odciągając głowę. – Dotarło do ciebie, że nie jesteś taki wielki i potężny? Czy mam zajebać ci jeszcze raz?

Kącik ust sam powędrował mi ku górze.

– Wiesz, co jeszcze jest wielkie i potężne? – wychrypiałem, sunąc oczami po jego twarzy. – Mój fiut. Chcesz zobaczyć? – Kiwnąłem brodą na swoje spodnie.

Cofnął się o krok z niskim warknięciem.

– Co? – rzuciłem z kpina. – Już ci stanął?

Znow wymierzył cios, tym razem mocniejszy i bardziej ogłuszający. Zmarszczyłem brwi.

– Wiesz, kto się będzie, kurwa, śmiał? – W głosie agenta wybrzmiała nuta desperacji. – Ja, gdy wpierdola cię do Guantánamo<sup>16</sup>.

– O ile się nie mylę, panie władzo, to więzienie dla terrorystów – zauważyłem, posyłając mu rozbawione spojrzenie. – A ja jestem tylko przykładowym obywatelem.

– Twoje działania niczym nie różnią się od pieprzonych ortodoksyjnych morderców – odburknął. – Tylko że ty zabijasz dla pieniędzy, a oni dla uwagi i w imię wiary.

– Ależ co pan mówi, panie władzo? – Wciągnąłem powietrze z zaskoczeniem. – Ja? Ja takich rzeczy nie robię.

Niemalże rozszarpał akta leżące do tej pory na stole. Otworzył teczkę, po czym rzucił je z impetem na blat przede mną.

– A to? – Postukał palcem w kartki. – Co to, kurwa, jest?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – parsknął. – Pomogę ci się lepiej przyjrzeć.

Złapał mnie za kark i próbował wbić moją głowę w stół, jednak zdążyłem zaprzeć się z całych sił. Odepchnął, kiedy zdał sobie sprawę,

że tym razem nie wygra.

– To ja ci powiem, co to jest. – Próbował brzmieć na obojętnego. – Morderstwa, zlecenia morderstw, paserstwo, ściąganie haraczu, przemyty, handel narkotykami, bronią, ludźmi, oszustwa podatkowe, a do tego stanowicie państwo w państwie. – Zatrzymał na mnie chłodne spojrzenie. – Myślisz, że prawo cię nie dosięga?

Prawo kończyło się tam, gdzie sięgają granice Brazylii. Nie żyliśmy według narzuconych nam reguł, to my je tworzyliśmy.

– Nie mam pojęcia, co to jest.

W jego oczach zatańczyła pogarda. Ledwo powstrzymałem się od prychnięcia.

– Jeśli ty się nie przyznasz, któryś z twoich ludzi cię wyda. – Popatrzył na mnie surowo. – Myślisz, że wszyscy będą ci wierni? Zawsze znajdzie się ktoś, kto zrobi wszystko dla wolności.

– Tak? – Wygiąłem brwi.

– Nie ma siły na tym świecie, która zwolniłaby cię od odbycia kary. – Kręcił głową ze zwycięskim uśmiechem. – Już jesteś nasz.

– Jesteś tylko gnidą, agenciku – syknąłem. – My przynajmniej mamy honor. A wy? – Przerwałem, chłonąc wyraz jego twarzy. – Obiecałeś nam pomoc w dotarciu do córki. Ruda się uparła, ale ja wiedziałem, że nie można wam ufać – splunąłem z pogardą. – Pierdolone sukinsyny.

– Nie współpracuję z bandziorami – odwarknął, uderzając dłonią w stół. – To twoja organizacja kontroluje dwadzieścia trzy z dwudziestu sześciu stanów Brazylii?

– Jeśli moja córka zginie, będziecie za to odpowiedzialni – poprzysięgłem.

– Werbujecie młodych ludzi, by dla was pracowali? – drążył bez końca.

– Inwestujemy w ten kraj. – Wytrzymałem jego twarde spojrzenie. – Pomagamy ludziom. Tworzymy nowe miejsca pracy, szkoły, zapewniamy ludziom bezpieczeństwo, wprowadzamy pokój tam, gdzie wcześniej go nie było. Dzięki nam zapanował porządek.

– Wzruszające – rzucił z kpiną i przekartkował akta. – To dla was jest pierdolonym bezpieczeństwem?!

Wyrzucił rękę w stronę zdjęć rozczłonkowanego mężczyzny. Stłumiłem chęć przewrócenia oczami. Nawet go nie znałem. Nie pamiętam, co zrobił i dlaczego nasłano na niego egzekutora.

– Nie znam go.

– To wasza sprawka? – Poczułem jego gorący oddech, gdy dyszał mi wściekle przy uchu.

Powoli odwróciłem głowę, a nasze spojrzenia znów się spotkały.

– Naprawdę zacznam wierzyć, że cholernie cię kręcę.

Złapał mnie za szczękę.

– Słuchaj, kutasie... – cedził mi w twarz. – Przestań zgrywać jebanego Robin Hooda. Albo teraz wyśpiewasz mi wszystko i załatwimy to bezboleśnie, albo zabiorę cię do pewnego ciemnego miejsca, z którego nie wyjdiesz w pełni sprawny – mówił powoli, akcentując sylaby. – Ja cię, kurwa, urządzę tak, jak ty wszystkich tych ludzi, aż skończysz jak pierdolone warzywo.

Uśmiechnąłem się.

– Pomidor czy sałata?

Uderzył mnie w twarz, a wtedy mój uśmiech się poszerzył. Splunąłem krwią między stopy, zanim uniosłem oczy na agenta. Tak łatwo było wyprowadzić go z równowagi.

– Co? Czujesz władzę, robiąc mi te wszystkie rzeczy? – Brew sama powędrowała mi w górę. – Obyś był tysiące kilometrów stąd, gdy zdejmą mi te kajdany. Ciesz się, dopóki jeszcze możesz.

– To groźba? – Aż wyprostował się ze strachu.

Pokręciłem powoli głową.

– To gwarancja.

Coś zadziało się w jego oczach. Gość myślał, że zdobył rolę życia, by móc mi przypierdolić, a później zapisać to sobie w kurewskim CV. A jednak pizda zawsze pozostanie pizdą.

– Ty naprawdę niczego nie rozumiesz? – Roześmiał się, zadowolony z siebie. – Siedzisz tu w oczekiwaniu na ekstradycję. Nie wywiniesz się stąd, już ja tego dopilnuję. – Skrzyżował ramiona na torsie i oparł się bokiem o ścianę. – Twój łeb zawiśnie nad moim kominkiem jak pierdolone trofeum.

Wygiąłem usta w chłodnym uśmiechu. *Nie, jeśli pierwszy dorwę się do twojego łba.*

Ktoś otworzył drzwi. Drugi agent przekazał dręczącemu mnie skurwysynowi plik papierów.

– Ha! – Szarpnął nimi, wymachując dokumentami z drwiną. – To twój koniec, McCann. Zabieramy cię ze sobą.

Zacisnąłem zęby. Chłodny powiew świadomości przebiegł mi po kręgosłupie.

– Cóż... niekoniecznie.

Wyraz twarzy Harrisona zmienił się w przeciągu kilku sekund. Nie wiem, który z nas szybciej zwrócił spojrzenie na agenta.

– Jak to „niekoniecznie”? – warknął poirytowany.

– To... – Przesunął oczami ode mnie, do tego drugiego. – To udzielone ulaskawienie od prezydenta.

– Co, do kurwy?!

Z satysfakcją przyglądałem się temu, z jaką desperacją przeglądał kartki. Czerwień podbiegła mu od szyi aż do linii włosów.

– Jak? – grzmiał wściekle. – Jakim pieprzonym cudem?!

– Powołano się na artykuł osiemdziesiąty czwarty punkt dwunasty Konstytucji Federacyjnej Republiki Brazylii – wyjaśnił knypek, wbijając we mnie spojrzenie. – Prezydent Murciélago skorzystał ze swoich uprawnień i wystosował akt łaski. To oznacza, że wniosek o ekstradycję został unieważniony.

Nie okazywałem przesadnych emocji, wolałem pozostać w roli obojętnego obserwatora.

– Mogą to zrobić? – Harrison zamaszystym ruchem rzucił papiery na stół.

Ten drugi przełknął ślinę, jakby bał się reakcji szefa.

– Już to zrobili.

Przybrałem chłodny wyraz twarzy, choć kącik ust aż rwał się ku górze. A jednak mój as w rękawie przydał się szybciej, niż mógłbym się tego spodziewać. Kajdany zagrzechotały, gdy potrząsałem dłońmi.

– To by oznaczało, że jestem wolny, panie władzo.

Agent wciąż zmagał się z gonitwą myśli. Gość z ich psiarskiej załogi zbliżył się do mnie na tyle ostrożnie, że zabawnie było obserwować, jak trzęsą mu się dłonie. Ledwie wsunął klucz do

zamka. Zatrask puścił. Powtórzył ten ruch z uwolnieniem moich kostek.

– Mówiłem, że to strata czasu. – Posłałem Jace'owi pełen ironii uśmiech.

Podniosłem się na równe nogi, przewyższając naiwnego agenta o głowę. Każdy mój krok niósł za sobą odgłos wojskowych butów.

Gość był skołowany, a mimo to próbował zachować twarde spojrzenie.

– Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale dobrze ci radzę: nie ciesz się zbyt szybko.

Przesunąłem knykciami po jego policzku, jakbym ścierał mu łzy.

– Lepiej zacznij uciekać – wyszeptalem. – Tutejsze drapiezniki są żądne krwi.

Przełknął ślinę, lecz nie spuszczał ze mnie oczu. Aż mnie świerbiło, by mu przypierdolić za to, że w ogóle próbował podnieść na mnie rękę. Nie teraz... jeszcze go dorwę.

Musiałem wrócić do gry.

Byłem prowadzony przez ciemny korytarz w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Odgłos stawianych przeze mnie kroków był jedynym słyszalnym dźwiękiem wśród więziennych murów. Tym razem okazałem się nieostrożny, jednak obiecałem sobie, że to ostatni raz, kiedy pozwolę sobie na to, by ktokolwiek założył kajdany na moje nadgarstki. To się więcej, kurwa, nie zdarzy.

Promienie słońca padły na moją twarz, gdy żelazne drzwi zostały otwarte. Trzy podstawione samochody i grupa moich ludzi. To moja rodzina. Prawdziwa rodzina. Bracia nigdy nie zostawili mnie samego, nawet wtedy, gdy aresztowano mnie po raz pierwszy.

Choć nie łączyły nas więzy krwi, wiedziałem, że nie rozłączy nas nic w tym pieprzonym świecie. Wiązało nas coś więcej. To nie była miłość, przyjaźń. Żadnego czystego uczucia nie dało się z tym porównać. Lojalność. Lojalności nie można było kupić za żadną cenę. W mafii tak już to działało. Jeżeli wchodzisz wśród braci, nie zostawiasz braci. Wierność za wierność. Krew za krew. Brat za brata. Do końca naszego pieprzonego życia.

– Co tak długo? – Udawałem rozczerowanie.

Fábio przewrócił oczami. To on pierwszy poklepał mnie po plecach.

– To gównu trochę się ciągnie – mruknął. – Jestem od brudnej roboty, a biurokracja nie jest moją mocną stroną.

– Od tego masz mnie i Victora – skwitował Éder. – Ale prawda jest taka, że to ruda dotarła do nas z informacją o tym, dokąd cię zabierają.

Przyjrzałem mu się uważnie. Na wspomnienie o niej każdy miesiąc przeszył pierdolony prąd. Zawiesiłem wzrok na egzekutorze.

– Gdzie teraz jest?

– Kazałem jej zostać w domu. Nasi ludzie jej pilnują.

Lisek sam w zagrodzie. Warunek dość korzystny dla mnie. Wyraz twarzy sekretarza zdradzał, że nie był zadowolony z planów, które układałem od chwili, w której założono mi pierdolony worek na głowę, ale miałem to gdzieś.

– Zabierzcie mnie tam.

– Nie myśl sobie, że jesteś wolny. – Warknięcie za moimi plecami wywołało natychmiastową reakcję.

Moi ludzie wylali się z wozów. Dźwięk przeładowanych broni stanowił muzykę dla moich uszu. Odwróciłem się powoli. Byłem odsłonięty, bezbronny i wystawiony na celownik Harrisona. Kilkoro agentów poszło w jego ślady, celując we mnie gnatami, jednak widok moich żołnierzy musiał dać im do myślenia, czy naprawdę było warto.

Uśmiechnąłem się chłodno, gdy tylko dostrzegłem odcień niepewności w oczach tego skurwysyna.

– Nawet najgorszemu wrogowi nie celuje się w plecy – powiedziałem bezbarwnym tonem.

– Jestem agentem, robię to, co do mnie należy.

– Jesteś pizdą – parsknąłem. – Dlaczego wy ciągle zapominacie, że nie jesteście u siebie?

Harrison przeszedł oczami moich ludzi. Przewaga liczebna po mojej stronie musiała podziałać otrzeźwiająco. Zabezpieczył broń i schował ją do kabury.

– To nie koniec, McCann.

Zmrużyłem oczy na jego słowa.

– Żebyś wiedział, że nie.

Pozostali agenci mierzyli do nas z broni, dopóki ich marny knypek nie zniknął za drzwiami. Gdy tak się stało, sam wypuściłem oddech.

– Niczego się, kurwa, nie nauczyli...

W trakcie drogi do domu skupiłem myśli wokół południowowschodniego kartelu. Fábio prowadził samochód, podczas jazdy nie odezwał się słowem. Oparłem łokieć na drzwiach i potarłem szczękę z niskim westchnieniem. Zwróciłem tym jego uwagę.

– Co jest?

– Wiadomo coś w sprawie kartelu? – zapytałem.

Rozluźnił dotąd zaciśnięte szczęki.

– Żołnierze z Santa Catariny na bieżąco raportowali nam sytuację na ulicach i granicach stanów. – Wzmocnił nacisk palców owiniętych wokół kierownicy. – W całym stanie Rio Grande do Sul sytuacja jest napięta. *Comando Escuridão* zwiększyło liczebność swoich ludzi na ulicach.

– Jakież wieści o Molly?

Wyłapałem jego spojrzenie - chłodne, choć z nutą współczucia.

– Żadnych.

Uderzyłem pięścią w drzwi, a wgniecenie dało znać o sile mojego wkurwienia.

– Kurwa – syknąłem. – Zajebię ich. Zajebię ich, kurwa, wszystkich.

Milczał przez kilka chwil. Kurwa, nie mogłem uwierzyć, że bawili się ze mną w pierdolonego kotka i myszkę. Dlaczego do tej pory nie dostałem żadnej informacji? Jeśli *Comando* chcieliby czegoś w zamian, już dawno bym o tym wiedział.

Jeśli zamierzali wybrać najgorszą z opcji, musieli być skończonymi durniami.

– Ale... – zaczął, unosząc przy tym palec. – Namierzyliśmy żonę Christiana.

Moje ciało zdrętwiało na wydźwięk tej informacji. Żona. Żona była dobrym materiałem do prowadzenia negocjacji.

– Chcę znać jej lokalizację i jak najszybciej wyjechać w teren.

Fábio przytrzymał kierownicę kolanami. Sięgnął ręką do schowka i wyjął z niego paczkę papierosów z zapalniczką.

– Jesteśmy w stanie otwartej wojny – powiedział, zanim wsunął szluga między wargi. – Jeśli zamierzamy iść na ich teren, musimy nastawić się na rozlew krwi.

– Nie bierzemy jeńców. – Te słowa z moich ust padły jako rozkaz.  
– Będę podcinać im gardła, dopóki nie zwrócą mi córki.

Posłał mi mroczny uśmiech. Musiała mu się spodobać ta wizja.

– Więc wyjeżdżamy w teren – zanucił zadowolony z siebie i wypuścił dym z ust. – Pora naostrzyć noże i wypolerować gnaty.

Potaknąłem. Zapach śmierci niósł się w powietrzu i nie zapowiadało się, że miałyby zbyt szybko opaść.

– Ale najpierw zamierzam zapolować – wymamrotałem, gdy dotarliśmy na teren posiadłości.

– Zapolować? Na kogo?

Zerknęliśmy po sobie, a ja prychnąłem.

– Na zbyt cwane liska.



# ROZDZIAŁ 19

## *Asteria*

Trzaśnięcie drzwi postawiło moje ciało w gotowości. To pierwszy moment od kilku godzin, kiedy poderwałam się na równe nogi. Do tej pory siedziałam na kanapie pod czujnym okiem człowieka McCanna.

Plątanina głosów niosła się z korytarza, rozbrzmiewając echem w pozostałej części domu. Rozpoznałam ton Santa i chociaż rozmawiał po portugalsku, z jakiegoś powodu poczułam ulgę, że udało się go wyciągnąć, zanim doszłoby do ekstradycji.

Wraz z Fábio stanęli w salonie. Chłodny wzrok przesunął się do mnie. Krew w moich żyłach nagle przestała się toczyć, zamarzając pod wpływem lodowatego spojrzenia mężczyzny. Próbowałam nie przełykać śliny, ale nacisk na gardło spowodowany stresem okazał się zbyt silny.

McCann powiedział coś do ochroniarza, na co ten skinął głową i niczym posłuszny dzieciak oddalił się do swoich zajęć.

Moje oczy nie opuszczały Santa, jednak jemu zajęło chwilę, by znów na mnie spojrzeć. Gdy tak się stało, wstrzymałam oddech.

– Piętnaście minut – wydobył z siebie niskim głosem.

Zamrugałam niezrozumiale. Byłam skołowana.

– Co?

– Tyle czasu ci daję, żeby zabrać swoją dupę w troki i wyjechać – oświadczył. – W przeciwnym razie moi ludzie nafaszerują cię łożem i odeślą tatusiowi to, co z ciebie zostanie.

Uciekłam wzrokiem do Fábio z nadzieją, że coś powie, jednak jego mina pozostała niewzruszona. Czego mogłam oczekiwać po egzekutorze? Był równie bezduszny co jego szef.

– Nie powiedział ci? – spróbowałam uderzyć z innej strony. – To ja powiedziałam im o tym, że cię aresztują.

Saint zerknął na zegarek owinięty wokół nadgarstka, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju.

– Czternaście minut – brzmiał, jakby odliczał.

Cała się spięłam. Nie, nie mogłam odpuścić. Do cholery, byliśmy przecież tak blisko!

– Słuchaj, nie miałam pojęcia, dobrze? – Powędrowałam za nim niczym zabłąkane dziecko. – Mnie też oszukali.

Nie odzywał się, tylko w milczeniu pokonywał schody prowadzące na piętro.

– Zanim w ogóle przyjechałam do Brazylii, Harrison obiecał mi, że pomogą mi odzyskać córkę – starałam się wyjaśnić. – Zależało mi na Noelle. Wiedzieli, że podejmę się wszystkiego, wykorzystali mnie.

Lekkim ruchem pchnął drzwi do sypialni. Jego sypialni. Wystrój nie zmienił się od czasu, gdy byłam tu po raz ostatni. Zerknęłam na łóżko, a związane z nim wspomnienia powoli zawładnęły moim umysłem. Podobnie było z komodą, barkiem i kontuarem. Wszystko tutaj było tak znajome, a jednak przebywanie w tej części domu wydawało się zakazane i nieodpowiednie.

Bo przecież, do cholery, takie właśnie było.

– Zanim doszło do aresztowania, myślałam, że zabiorą nas do bazy – drążyłam. – Nie spodziewałam się tego, że Jace zmienił plany. Powiedział mi... – Poczułam, jak emocje ścisnęły mi gardło. – Powiedział, że Molly zapewne jest już martwa i że nie odzyskamy jej z rąk kartelu, a on nie zamierzał zmarnować okazji.

Saint wrzucił kostki lodu do pustej literatki, a te zagrzecgotały o dno. Uzupełnił szkło złocistym napojem i w nieustającym milczeniu pociągnął kilka głębszych łyków.

– Ale ja wiem, że to nieprawda – wychrypiałam boleśnie. – Ona żyje, wiem to. Matka czuje takie rzeczy.

– Dziesięć minut – skomentował.

Zdałam sobie sprawę, że nawet mnie nie słuchał. Uczucie zmęczenia i chęć poddania się były tak silne, że ledwie potrafiłam ustać na nogach. Łzy zapiekły mnie pod powiekami. Walczyłam

przecież tak długo, że wizja niepowodzenia stała się praktycznie niemożliwa do przyjęcia.

A jednak czułam się zdradzona, osamotniona i taka bezsilna.

– Dobrze. – Mój szept zadrżał w powietrzu. – Chcesz mnie zabić? Dobrze. Zrób to.

Nie odpowiedział. Zamachał szklanką, a trunek zawirował wśród szklanych ścian. Milczenie utrzymywało się niczym zapach stęchlizny, którego za nic w świecie nie byłam w stanie zniwelować. Był cichy, a ja wolałabym, żeby krzyczał. Być może wtedy mniej bym się go bała.

– Na co czekasz?

Cisza. Karał mnie milczeniem. Im dłużej to trwało, tym bardziej wściekła się stawałam.

– No dalej! – Pchnęłam go w plecy, a on ani drgnął. – Zrób coś, do cholery! Cokolwiek!

Nieprzejęty moim wywodem, podniósł szklankę pod usta i pociągnął łyk.

– To twoja wina, że ją porwali – wycedziłam wściekle. – Gdyby nie twoje zapędy imperialne, Nellie już dawno byłaby ze mną!

Odstawił literatkę na barek, jednak żadne słowo nie padło z jego ust. Odwrócił się ku mnie i posłał mi spojrzenie pełne chłodu i pogardy. Moja dłoń sama wystrzeliła w jego stronę. Siła uderzenia rezonowała mi w dłoni, czułam mrowienie.

Saint pozostał niewzruszony. Choć przekrzywił głowę, a na policzku jarzył mu się ślad mojej ręki, jedyne, co zrobił, to zacisnął szczęki.

– Nienawidzę cię! – ryknęłam przepelniona emocjami. – Tak bardzo cię, do cholery, nienawidzę!

Jak dotąd uśpiony gniew wychodził na światło dzienne. Moje pięści wyprowadzały cios za ciosem, aż wreszcie uderzenia stały się niechlujne i pozbawione sił. Ze zduszonym szlochem przywarłam do męskiego torsu.

W powietrzu unosiła się napięta energia. Nie wiem, na co liczyłam z jego strony. Na łaskę? Na okazanie mi choć odrobiny zrozumienia? Przecież dzieliliśmy tę samą tragedię. Byłam matką. Matką dziecka, które bestialsko mi odebrał.

Zaczerpnęłam tchu w zaskoczeniu, gdy poczułam dotyk palców na potylicy. Wydawało się, że mnie pogłaskał, choć ten ruch był do niego niezwykle niepodobny. Zbyt wiele emocji przelewało się przez moje ciało, bym mogła zrozumieć, czy rzeczywiście miał dobre zamiary.

– Ja tylko chcę ją odzyskać – wychrypiałam mu w tors. – To moja mała dziewczynka.

Odchyliłam głowę, by móc na niego spojrzeć. Niezrozumiały błysk w jego spojrzeniu natychmiast zastąpił twardy wyraz. Zmarszczył brwi.

Nienawiść. To ona była jedynym szczerym uczuciem, którym się darzyliśmy. A jednak to zemsta ponownie połączyła nasze drogi.

– Nie ufam ci w sprawach dotyczących jej.

Poczułam napięcie w ramionach. Z trudem przełknęłam ślinę.

– Potrzebujesz czasu, by zrozumieć, że tylko ją krzywdziłeś. – Wiedziałam, że mogłam pożałować tych słów. – Przy mnie, w Nowym Jorku, zaznałaby spokoju. Bez mafii, bez ludzi, którzy będą próbować ją skrzywdzić, bez...

– Beze mnie – dopowiedział, sunąc pustym wzrokiem po mojej twarzy. – To chciałaś powiedzieć?

Chciałabym skłamać, ale to nie przeszłoby mi przez usta. Nie chciałam go w pobliżu Noelle, nawet jeśli udałoby się nam ją odzyskać. Miałam nadzieję, że odpuści i wróci do swojej mrocznej, brudnej codzienności.

– Bez ciebie – odpowiedziałam po chwili milczenia.

Potaknął. Ciężar spadł mi na żołądek, gdy mnie minął. Nie wiedziałam, dlaczego tak się czułam. Być może kochał córkę, ale sposób, w jaki to okazywał, nawet nie stał obok miłości.

– Nie pozwolę ci z nią odejść.

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Jego oczy zatrzymały się na moich. Znów przybrał typowy dla siebie mroczny wyraz twarzy.

– Nie chcę się teraz o to kłócić, Saint.

Miałam nadzieję, że zrozumie, że musieliśmy działać tak szybko, jak tylko było nam to dane. Możliwości miały granice, a jednak McCann i jego ludzie posiadali wpływy w wielu strefach tego przekłętego kraju. To właśnie dzięki temu uniknął ekstradycji.

– Nie zamierzam z tobą współpracować. – Stanowczość w jego głosie zdradzała, że łatwo nie zmieniłby zdania.

– Co? – Opuściłam bezwiednie ramiona. – Powiedziałeś...

– To było, zanim wpierdoliłaś mnie w ręce federalnych – odciął mnie surowo. – Po raz drugi.

– Mnie też oszukali! – Przyparłam dłonie do piersi. – Wykorzystali fakt, że byłam w stanie zrobić wszystko, by odzyskać córkę.

– Zastanówmy się, ruda. – Przysiadł na krawędzi łóżka. – Federalni obiecują ci pomoc w odzyskaniu córki – mówił, posyłając mi spojrzenie, którego niefortunnie nie potrafiłam rozczytać. – Musiałaś wiedzieć od początku, czego chcieli w zamian, i byłabyś głupia, mówiąc, że nie chodziło tu o mnie czy o moich ludzi.

Cóż, miał rację, ale nie mogłam dać mu po sobie tego poznać.

– Nie wiedziałam.

– Pierdolenie – warknął. – Od początku taki był twój plan.

Schowałam twarz w dłoniach z jękiem, zanim wyrzuciłam ramiona w powietrze.

– Dziwi cię to? Po tym, co mi zrobiłeś? Po tym, jak niemal mnie zabiłeś? Jak porwałeś moją córkę?

– Ty... – Wyrzucił palec w moją stronę. – Ty pierwsza mnie, kurwa, niemal zabiłaś. Ty zabrałaś ją pierwsza. Ty to spierdoliłaś.

– Tak? – Cmoknęłam językiem. – To gdzie ona teraz jest, co? Gdzie jest nasza córka, Saint?

Podszedł do mnie tak prężnym krokiem, jakby zamierzał skrócić mi kark. Zamiast tego, w złości uderzył w drzwi tuż za mną, zostawiając wgłębienie, a może nawet i dziurę. Obwiniął się. Zauważyłam to w jego spojrzeniu. Posmak porażki był dla niego zbyt trudny do przełknięcia, a jednak... przegrał. Nie ochronił Noelle.

– Uważaj na słowa – ostrzegł niskim głosem.

– To przez ciebie – wycedziłam przez zęby. – Jeśli coś jej się stanie, mam nadzieję, że wpierdolą cię wyrzuty sumienia.

Uderzyłam głową w drzwi, gdy mnie do nich przyparł. Mroczki przed oczami kolidowały z promieniującym bólem. Silny nacisk palców na gardle odciął mi tlen.

– Powiedziałem, uważaj.

Poderwałam nogę, trafiając go celnie w podbrzusze, a następnie w głowę, gdy się pochylił. Wymknęłam się spod jego zasięgu, nabierając sił do walki. On także nie marnował czasu na uzalanie się nad sobą.

Wymierzył cios. Odskokczyłam, by za moment zadać mu uderzenie z półobrotu w tył głowy. Z sykiem rzucił się ku mnie i popchnął na regał wypełniony książkami. Kilka półek załamało się pod ciężarem mojego ciała, a drewno obtarło mi skórę. Nim zdążyłabym się podnieść, szarpnął mnie za bluzkę i przyciągnął przed swoje lico.

– Schowaj pazurki, lisku. – Jego chrapliwy głos prześlizgnął się przez moje uszy. – Bo zrobisz sobie krzywdę.

Kopnęłam go. Chociaż pod wpływem uderzenia cofnął się o krok, to usta rozszerzyły mu się w diabelskim uśmiechu. Żadne z nas nie zamierzało wykonać prowokującego ruchu.

Chryste, jak ja go nienawidziłam!

Rzuciłam się na niego. Cios, jeden, drugi, kopniak, kolejny cios... blokował każdy mój ruch. Krew spłynęła po języku, gdy w wyniku odparcia mojego uderzenia zostałam pchnięta na drewniany stół, który pode mną pękł. Chociaż oczy płonęły mu nieokiełznanym gniewem, nic nie zmazało jego skurwysyńskiego uśmieszku.

Adrenalina tętniąca w moich żyłach uśmierzała ból. Tylko dzięki temu byłam w stanie przypościć kolejny atak. Powtórzyłam serię ciosów, lecz tym razem zmyliłam go unikiem, wspięciem się stopą po jego biodrze i założeniem dźwigni na szyję mężczyzny, dopóki z łoskotem nie padł na podłogę. Dosiadłam go okrakiem, wyszarpałam nóż z kabury, po czym przystawiłam go do napiętego gardła McCanna.

Oboje dyszeliśmy. Gorący oddech Sainta muskał mi usta i twarz. Ciemne oczy rozszerzyły się, gdy na mnie patrzył, ale nie dostrzegłam w nich strachu.

– Zabiję cię – wysapałam.

– Śmiało.

Przycisnęłam ostrze do skóry. Krew błysnęła pod ostrzem. Spodziewałam się syku czy poruszenia, ale on nawet nie drgnął. Zamiast tego wyrzucił biodra w górę i nim zdołałam się zorientować, co planował, uderzyłam plecami o podłogę.

Mężczyzna zawisł nade mną, przyciskając moje ciało do paneli. Strużka rubinowej cieczy spłynęła mu po szyi i zniknęła pod koszulką. Nie mogłam się ruszyć. Nawet jeśli podjęłam próbę wyrwania się spod niego, był silniejszy. Przewaga jego masy mięśniowej stanowiła czynnik, którego nie zdołałam pokonać.

Przez kilka uderzeń serca żadne z nas niczego nie mówiło. Być może to sprawiało, że chwila, w której nasze ciała znalazły się zdecydowanie zbyt blisko, stawała się bardziej intymna.

Gniew. Rozgoryczenie. Nienawiść. Przygnębienie. Cała gama przytłaczających emocji.

Pokój nie przypominał już elegancko wystrojonej sypialni, a raczej miejsce dotknięte tornadem, którym byliśmy. To właśnie przynosiło za sobą połączenie naszych charakterów – chaos i zniszczenie.

– Saint... – Mój głos był słaby, cichy.

Mężczyzna zamrugał. Nie wiedzieć czemu, po prostu na mnie patrzył. Zsunął wzrok do moich ust, zanim znów sięgnął oczu.

Bardzo powoli wysunęłam palce ku niemu. Mięsień w jego policzku drgnął, gdy przesunęłam opuszkami po linii nacięcia na szyi. Nie wiedziałam, co robić. Odchodziłam od zmysłów.

Nasze wargi dzieliły już centymetry, niemalże czułam ich ciepło na swoich. Dawno nie byłam tak zagubiona, niepodobna do stanu, który przyjąłam wcześniej.

Zamarłam, gdy przywarł ustami do moich. Wydobył z siebie niski, przeciągły jęk, na którego brzmienie coś w moim ciele zatrzepotało. Przeniosłam dłoń na jego kark, przyciągając go bliżej. Popchnięty tym niemym zaproszeniem rozwarł mi usta językiem i wdarł się na spotkanie mojego.

Ciekawskie, spragnione palce maszerowały po krawędziach tej drugiej osoby. Pozbył się mojej koszuli, a szorstki dotyk jego opuszków wyznaczał drogę po skórze. Próbowałam dołożyć drugą dłoń, jednak unieruchomił mi ją przyciskając do twardej podłogi.

Przełknęłam soczyste przekleństwo, gdy złapał mnie za włosy i zmusił do odchylenia głowy. Łapczywe wargi badały napięte ścięgno, aż dotarły do zagłębienia. Przewróciłam oczami z przyjemności, a niekontrolowany jęk wymsknął mi się z gardła, choć tak bardzo starałam się go zatrzymać.

Pozbył się moich spodni, a ja nie pozostałam mu dłużna, choć palce drżały mi przy jego skórzanym pasie. Nasze nogi się splątały, ale złapał za moje i oplótł się nimi w pasie. Pociągnął za miseczki stanika, eksponując moje piersi. Pochylił się, otaczając ustami jeden sutek, a drugi uszczypnął palcami.

Uniosłam biodra, przyciskając cipkę do męskiego uda. Przesunęłam ostrym zakończeniem paznokci po jego głowie, przyciągając go bliżej, gdy pieścił napiętą brodawkę. Wydał z siebie gardłowy pomruk.

Sprawy nabrały tempa, gdy zerwał ze mnie majtki. Osunął bokserki w dół, ukazując grubego kutasa. Moje gardło ścisnęło się z niewiadomej przyczyny, gdy przez moment ważył go w dłoni. Przesunął nabrzmiałą główką między wargami, zanim wypełnił mnie jednym mocnym pchnięciem.

Głowa opadła mi na podłogę, a ciało naprężyło się niczym cięciwa w łuku. Ramiona bezwładnie opadły mi na panele, prawdopodobnie wyryłam w nich ślady paznokciami. Każdy mój mięsień drgał, pragnąc więcej i więcej.

– Kurwa... – Chrapliwy oddech muskał mi szyję.

Sięgnęłam jego pleców, wbijając ostre zakończenia manicure w męskie ciało i żłobiąc nimi krwiste ślady. Poruszał się dziko, wściekle, za każdym razem uderzając we mnie mocniej i mocniej. Z każdym ruchem prowokował mnie do kolejnych jęków. Z całego tego szaleństwa zapomniałam o obecności innych w domu.

– Saint... – stęknęłam. – Ja... ja...

Przycisnął mi dłoń do ust, jakby nie chciał mnie teraz słyszeć. Jednak ja słyszałam go dokładnie, każdy jęk, sapnięcie czy warknięcie wybrzmiewało cholernie wyraźnie. Był nieposkromiony, niezaspokojony, jakby od wieków nie zabawiał się w towarzystwie kobiety.

Nienawidziłam go i swojego zdradzieckiego ciała za to, że mi się to podobało, za to, że potrafił doprowadzać mnie do takiego stanu.

Niespodziewanie poderwał mnie z podłogi. Owinęłam nogi wokół jego pasa, wciąż czując go w sobie. Przysiadł na małżeńskim łóżku, wciągając mnie na siebie. To wtedy porzuciłam stanik.



Wbiłam kolana po obu jego stronach, poruszając się na nim to w przód, to w tył. Odrzuciłam włosy za plecy, a kosmyki łaskotały moją odkrytą skórę. Piersi mi podskakiwały w rytmie, który przybraliśmy. Zarzuciłam ramiona na kark mężczyzny, nasze usta znów były blisko.

Ale nie chciałam go całować. W tym nie było miłości, nie było romantyzmu. My się nie kochaliśmy, jedynie rznęliśmy, a to wszystko było efektem nienawiści.

Rodzący się w podbrzuszu orgazm piętrzył się i wzbierał na sile. Zaciskałam na nim mięśnie, a ciało przeszywała przyjemna zapowiedź spełnienia. Dla Santa jednak było to za mało. Zrzucił mnie na materac, po czym przewrócił na brzuch. Wsparałam się na łokciach, gdy złapał mnie za biodra. Wdarł się we mnie z taką siłą, że zatopiłam się w poduszkach. Silne palce ścisnęły moje uda, a on nie przestawał we mnie brnąć.

Miałam wrażenie, że ta bezwzględność wobec mnie podniecała go jeszcze bardziej. Zacisnęłam materiał pościeli w zębach i miałam go palcami. Napięcie dominowało w moim ciele w poszukiwaniu ujęcia.

Wiedziałam, że on także tracił kontrolę z mojego powodu. Podczas gdy z jego gardła wytoczyło się głębokie warknięcie, z mojego wydobył się rozkoszny jęk. Poczulałam w sobie wytrysk mężczyzny i ostatnie podrygi. Wsparał się na silnych ramionach, rozstawiając je po obu stronach mojego ciała. Czułam jego ciężar na sobie.

Mgła orgazmu wciąż przyćmiewała mi umysł, jednak z każdą kolejną sekundą wracała mi świadomość. Wsłuchiwałam się w ciężki oddech Santa, bicie jego serca emanowało mi na plecy.

Wysunął się ze mnie, po czym wstał z łóżka. Słyszałam tylko jego kroki i to, że czegoś szukał. Nie spodziewałam się kwiatów i czekoladek ani nawet jakiegokolwiek sympatycznego słowa.

Przekręciłam głowę, by na niego spojrzeć. Zniknął za drzwiami łazienki. Brak znajomego ciepła i muśnięcie chłodu pokusiły mnie o zakrycie się czarną pościelą. Nie chciałam brać z nim prysznicu, to byłoby przekroczeniem kolejnej granicy. Fakt, że pieprzyłam się z nim po tylu latach, był wystarczający, a i tak wydawał się nieodpowiedni i zakazany, jakbym zdradziła samą siebie. Musiałam zapamiętać, by po tej jednorazowej akcji wziąć tabletkę.

Wsluchiwałam się w dźwięk strumieni wody, dopóki nie wrócił do sypialni. Nie fatygował się ręcznikiem. Podszedł do komody, a z jej szuflady wyciągnął bokserki, które za moment wsunął na tyłek. W następnej kolejności były spodnie, skarpetki i czarna koszulka. Po wszystkim obrzucił mnie spojrzeniem.

– Zamierzasz tak leżeć? – Wyraz jego twarzy pozostał chłodny.

– Potrzebuję chwili.

Nic nie powiedział. Podszedł do drzwi i zawahał się w momencie, w którym jego ręka zetknęła się z klamką. Spojrzał na mnie przez ramię.

– Chcę, żebyś wiedziała jedno – zaczął, wbijając we mnie chłodny wzrok. – Zamierzam wyjechać w nocy.

Poderwałam się do siadu, przyciskając do siebie pościel.

– Dokąd?

Przyglądał mi się, jakby rozmyślał, czy wciąż może mi ufać. Oczy mu drgnęły.

– Mam coś do załatwienia.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – naciskałam, czując wzrastający niepokój. – Dokąd wyjeżdżasz?

Rozdymał nozdrza, jednak utrzymał panowanie nad sobą. Zamiast odpowiedzieć, bezceremonialnie opuścił pokój. Zamierzałam za nim wyskoczyć, jednak powstrzymała mnie przed tym nagość i brak odświeżenia po seksie.

– Cholera – syknęłam do siebie.

Wygrzebałam koszulkę z jego rzeczy, a po drodze do łazienki zgarnęłam swoje ubrania. Prysznic pozwolił mi zmyć echo łóżkowej walki, jednak nic nie poradził na ukojenie niepokoju.

Miał plany i przeczuwałam, że dotyczyły one naszej córki... a ja musiałam poznać je za wszelką cenę.

## ROZDZIAŁ 20

### *Asteria*

Ta noc była niemal bezsenna. Co rusz nasłuchiwałam dźwięków niosących się wewnątrz posiadłości. Ktoś wchodził, wychodził. Głębokie portugalskie tony niosły się wśród ścian, by następnie umilknąć na kilka godzin.

Przebudziłam się trzy minuty przed budzikiem. Wyłączyłam alarm, po czym przysiadłam nieco zgarbiona na łóżku. Prześledziłam wzrokiem sypialnię, która stanowiła moje skrzydło w pierwszych miesiącach naszego małżeństwa. Nic nie zmieniło swojego położenia, a jedynie osiadł na wszystkim kurz. To, co uległo zmianie, to pościel.

Czułam ulgę, że McCann pozwolił mi tu zostać, choć nie pozostawiał mnie bez swoich goryli, co potwierdzał cień za drzwiami. Przewróciłam oczami z westchnieniem.

Miałam już założyć dwudniowe spodnie, jednak moje oczy uciekły do drzwi, za którymi niegdyś kryła się moja garderoba. A co, jeśli tego także nikt nie ruszył? Z załazki nadziei podeszłam do zasłoniętej wnęki, po czym rozsunęłam skrzydła. Nic. Nic nie zostało wyrzucone. Chociaż te ubrania pierwotnie nie należały do mnie, a do córki gangstera, którą zamordowano, to czułam powiew nostalgii.

I jedno zastanawiało mnie najbardziej: dlaczego nie kazał tego spalić?

Zdjęłam z wieszaka ciemne jeansy i nasunęłam je na tyłek, nieco rozciągając w biodrach. Na szczęście nie były zbyt ciasne, inaczej ograniczyłyby moje ruchy. Zrzuciłam koszulkę McCanna na rzecz koszuli w kolorze khaki, a na stopy wsunęłam trapery.

Pociągnęłam energicznie za klamkę, a na widok postawnego mężczyzny poczułam nutę niepewności w trzewiach.

– Tak, eee... cześć.

Zmarszczył krzaczaste brwi. Cóż, nie powinien być problemem. Wyminęłam go, a kiedy próbował owinać dłoń wokół mojego ramienia, wymusknęłam się zwinnie spod jego dotyku i pobiegłam do schodów. Zatrzymałam się w połowie, gdy zobaczyłam salon wypełniony ludźmi.

McCann stał po środku z założonymi na torsie ramionami. Jakiś mężczyzna pokazywał mu coś na mapie wyłożonej na okrągłym stole. Inny zarysowywał punkty i szlaki. Musieli rozmawiać o lokalizacji kartelu z południowego wschodu.

Zeszłam po schodach, w międzyczasie wiążąc włosy w wysoki kok, i sama skrzyżowałam ramiona pod piersiami.

– Co tu się dzieje? – zapytałam.

Chłodne spojrzenie przetoczyło się na mnie, omal nie zmuszając mnie do cofnięcia.

– Nie pokazuj mi się na oczy.

Zignorowałam jego słowa i gdy zamierzałam zbliżyć się do mapy, Fábio owinał palce wokół mojego ramienia.

– Nie tym razem. – Obniżył ostrzegawczo głos. – Nie wiemy, po której stronie jesteś.

Ściągnęłam ku sobie brwi. Na usta cisnęło mi się, że trzymam z nimi, jednak to byłoby kłamstwo. Po odzyskaniu Noelle zamierzałam wrócić do Stanów, zamiast bawić się w wojnę.

– Saint – powiedziałam bardziej stanowczo.

Zerknął na mnie przez ramię z uniesioną brwią.

– Ja też chcę pomóc. Chcę ją odzyskać – walczyłam o jego uwagę.  
– Na pewno się przydam.

– Prędeż znów wszystko spierdolisz – warknął Fábio.

Wyszarpałam ramię z jego uścisku i posłałam mu złowrogie spojrzenie.

– Nie pojedziesz z nami. – Tym razem McCann na mnie nie patrzył. – Wracaj na górę albo zajmij się... – zamachał ręką w powietrzu – ...czymś.

– Teraz przeszkadza ci moje towarzystwo? – odparłam z przekąsem.

Nie odpowiedział, zamiast tego wrócił do omawiania spraw z mężczyznami. Im dłużej mnie ignorował, tym bardziej wściekła byłam. Podeszłam bliżej mojego upartego do granic możliwości niby-męża i wbiłam srogie spojrzenie w jego profil. Wciąż traktował mnie jak powietrze.

– Popatrz na mnie – naciskałam.

Wciąż nic. Balansowałam pomiędzy chęcią rozszarpania mu gardła własnymi zębami a wykrzyczenia mu w twarz wiązanki mało sympatycznych słów. Z hukiem oparłam dłoń na mapie i zmrużyłam oczy, zerkając na mężczyznę.

Dalej nic. Tym razem posłał komuś innemu zirytowane spojrzenie.

– Twój fiut był mną wczoraj bardziej zainteresowany. – Uśmiechnęłam się do niego chłodno.

To wtedy jego oczy nawiązały kontakt z moimi. Przez ułamek sekundy wyglądał na zaskoczonego, zanim zatuszował to typowym dla siebie beznamiętnym spojrzeniem.

– Uważaj na słowa. – Wyczułam w tym groźbę.

– Bo? – Z uporem wygięłam brwi.

Mięsień na jego szczęce drgnął, gdy na mnie patrzył. Wydawało się, że nie wiedział, jakiej groźby powinien użyć tym razem. Nie było żadnej siły w tym świecie, która odciągnęłaby mnie od chęci odbicia mojego dziecka.

– Wszyscy patrzą – skomentowałam, podtrzymując prowokujący uśmiezek na twarzy. – Zamierzasz ciągnąć ten teatrzyk czy pozwolisz mi działać?

Przetoczył oczami po salonie, jakby sprawdzał, czy mam rację, zanim powrócił nimi do mnie.

– Jeśli coś odwalisz... – nachylił się, dominując nade mną wzrostem – ...jeśli cokolwiek, co zrobisz, zniszczy nasze plany, skończysz jak trampki na słupie energetycznym – mówił cicho, choć niezwykle wyraźnie. – Zrozumiano?

– I nie można było tak od razu? – Uśmiechnęłam się półgębkiem.

Wyprostował się, a jego twarz zalała się niezadowoleniem. Posłał znaczące spojrzenie mężczyźnie, który raczył kontynuować.

Plan wydawał się prosty. Ludzie McCanna zweryfikowali szlaki znaczące dla kartelu z południa. Ich terytorium w porównaniu do

tego, co miał pod swoją władzą Saint, było jak przyrównanie chihuahuy do słonia. A jednak napięta sytuacja między brazylijskimi rodzinami nie dawała wielkiemu królowi południa gwarancji lojalności.

W świecie mafii chodziło przecież o władzę i biznes. Przyjaźnie istniały jedynie w czasach pokoju. Gdy go brakowało, brat bratu podrzywał gardło, gdy okazywało się to dla kogoś korzystne.

– Oczywiście rozwiązaniem byłoby oblężenie ich i zaatakowanie z zewnątrz – mówił nieznajomy, przesuwając oczami po słuchaczach. – Będą się tego spodziewali.

– Mają wsparcie Argentyńczyków po tym, jak zerwaliśmy z nimi stosunki pięć lat temu – kontynuował Éder. – Nawet jeżeli spróbowałibyśmy metody oblężenia, ich ludzie zaatakowałiby nas z zachodu i z południa.

– To zwykły kartel – prychnął Fábio, leniwie stawiając kroki ku stołowi. – Mamy przewagę liczebną. Nasze oddziały uderzeniowe rozjebałyby ich wioskę w drobny mak.

– Nigdy nie przeceniaj umiejętności swojego przeciwnika – upomniał go sekretarz.

– Dobrze, mnichu. – Egzekutor przewrócił oczami z cieniem rozbawienia mieszającego się z irytacją. – Powinniśmy ich rozjebać jak Japończycy Amerykanów w ataku na Pearl Harbor.

Nawiązałam spojrzenie z McCannem. Z naszych ust te słowa padły niemal jednocześnie:

– Z powietrza.

Wydawało się, że reszta zastygła.

– Co takiego? – Éder wygiął brwi. Jego mina nie różniła się od pozostałych.

– Atak z powietrza – sprostowałam. – Amerykanie nie spodziewali się nalotu. Japończycy mieli na celu doprowadzenie do jak największych strat armii przeciwnika i nie da się ukryć, że im się to udało.

– *Comandos* spodziewają się najazdu, ataku z bronią, ale nie tego – doprecyzował McCann. – Rozjebimy ich od środka. Zyskamy trochę czasu, zanim zwołają pomoc. Wtedy nasze oddziały uderzą od zewnątrz, gdy ich ludzie znajdą się już w środku.

Sprytne, nawet jak na niego. Cóż, pewnie miał pojęcie o akcjach dywersyjnych, skoro dorobił się tak wielkiego imperium narkotykowego.

– Przygotujemy karabiny i materiały wybuchowe – powiedział Nate, rozglądając się po reszcie ekipy. – Mamy też rewolwery i noże taktyczne. – Odwrócił wzrok na swojego szefa. – Jaki jest plan?

– Helikoptery wojskowe zabiorą nas na miejsce. Chłopaki odłączą prąd i wyłączą systemy bezpieczeństwa. Wystrzelać każdego, kto nie jest Molly. – Saint oparł dłonie na stole, nachylił się nad nim, po czym przetoczył spojrzeniem po twarzach zebranych. – Kto znajdzie Christiana, ma mi go dostarczyć. Tym sukinsynem zajmę się osobiście.

– A co z oddziałem przeszukującym miasto? – padło kolejne pytanie. – Jakie miejsca brać pod uwagę?

– Magazyny, budynki wyglądające na opuszczone, miejsca znane jako szczególnie chronione przez kartel. – Śledził palcem zakreślone na mapie miejsca. – Cokolwiek by się nie działo, unikajcie hałasu i bądźcie czujni.

– Kiedy zaczynamy? – zapytałam.

Cisza. Saint wydał z siebie siarczyste parsknięcie, gdy na mnie spojrzał.

– My? – syknął chłodno.

– Nie zaczynaj. – Wytknęłam ku niemu palec. – Zamierzam wam pomóc.

– Ty? – Wskazał na mnie. – Nam? – Wyrzucił kciuk za siebie.

Miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą. Znów traktował mnie z góry, jakbym była jego popychadłem i dziewczyną od brudnej roboty. Byłam jednak ponad nim, tylko jeszcze sobie tego najwyraźniej nie uświadomił.

– Słuchaj, moja wiedza i umiejętności mogą ci się przydać.

Zlustrował mnie spojrzeniem pełnym naiwnego rozbawienia.

– Z pewnością.

Objęłam się ramionami w przypiływie niepewności. *Zaraz, co ja, do cholery, wyprawiam? Naprawdę zamierzasz go błagać, Hunter?*

Prędzej wpakuję sobie kulkę w łeb, niż z moich ust padną prośby skierowane w jego stronę.

– Nie pytałam cię o pozwolenie.

Nic sobie z tego nie robił. Rzucił kilka słów po portugalsku, a chłopcy jak na zawołanie zaczęli się zbierać i wychodzić. Mężczyzna, który rozplanowywał szlaki na mapie, dyskutował o czymś z Fábio, a ten mruknął coś do McCanna. Ten jedynie skinął głową, zanim pchnął mnie z bara, gdy ruszył do wyjścia z salonu.

– Poważnie? – warknęłam, idąc w jego ślady.

Nie odpowiedział. Maszerował w górę schodów, a ja gnałam za nim jak zagubiony dzieciak.

– Nie ufasz mi? O to chodzi?

Saint zadrwił na głos.

– Bystra z ciebie dziewczynka.

– To dzięki mnie uniknęłaś ekstradycji! – Wyrzuciłam z oburzeniem ręce. – Powinieneś być mi wdzięczny!

– To dzięki tobie by do niej doszło – odparł pogardliwie. – To moi ludzie załatwili sprawę.

– Gdyby nie ja...

Złapał mnie za ramię i przyparł do ściany. Gdy tak zawisł nade mną niczym drapieżnik nad ofiarą, z trudem powstrzymałam się od przeknięcia śliny.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz – zaczął, kręcąc przy tym głową. – Nie jesteś mi do niczego potrzebna. Nawet twoja cipka nie robi na mnie wrażenia. Nic, co łączy się z tobą, nie da mi żadnej korzyści, więc jeśli nie chcesz zginąć, dobrze ci radzę... – ściszył głos do złośliwego szeptu – ...przestań się panoszyć i zamknij mordę.

– Nie jestem twoim popychadłem ani dziwką, żebyś tak mnie traktował! – Odepchnęłam go od siebie, by zyskać trochę przestrzeni. – I nie myśl sobie, że latam za tobą, bo mi na tobie zależy. Chcę odzyskać Nellie.

– Tak jak wczoraj, gdy się ze mną rznąłaś? – syknął, obrzucając mnie takim spojrzeniem, jakby się mnie brzydził. – Też myślałaś o córce?

Poczułam gulę w gardle. Ramiona mi opadły, a łzy zapiekły pod powiekami. Nie będę płakać, a już na pewno nie przy nim. Spięłam łopatki i zadarłam brodę.



– Gdybyś ty nie pierdolił się z nianią, zamiast zapewnić córce bezpieczeństwo, to porwanie nigdy nie miałyby miejsca.

Wiedziałam, że aż zagotował się ze złości.

– Sugerujesz, że to moja wina? – warknął.

– A czyja, idioto?! – wrzasnęłam na całe gardło. – Myślisz tylko o sobie. Jesteś pierdolonym egoistą! Gdybyś choć raz zainteresował się dzieckiem, do niczego takiego by nie doszło!

Mógł do woli zaprzeczać, ale przed jednym nigdy się nie wybroni: Nellie została porwana przez jego obsesję na punkcie władzy i przez strach przed tym, że ktoś mu ją odbierze. To jego wina. Wszystko zadziało się z jego winy.

– Jeśli ona umrze... – głos mi drżał, a mimo to udało mi się zebrać siły, by pozostał twardy – ...jeśli cokolwiek jej się stanie, Saint, to cię zabiję. Zarżnę cię jak świnię.

Zerknął na mnie, rozdrażniony, jednak z jego ust już nic nie padło. Chłód ciągnął się za jego ciałem, gdy zaczął iść w stronę swojego skrzydła. Udało mi się złapać go za dłoń.

– Pozwól mi lecieć z wami.

– Upadłaś na głowę? – Zmarszczył czoło, patrząc na mnie, jakbym naprawdę oszalała. – Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Chcę lecieć – upierałam się.

– Nie – warknął.

– Dlaczego? – Tej rzeczy najbardziej nie rozumiałam. – Dlaczego mi zabraniasz?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zmierzył mnie wymownym wzrokiem i wyszarpał dłoń z mojego uścisku. Co to, to nie.

– Dlaczego, Saint? – zawołałam za nim.

Nie chciałam za nim biec. Nie miałam sił, by walczyć z jego uporem. Zatrzymał się z dłonią na klamce, a gdy nasze oczy się spotkały, naprawdę liczyłam, że coś powie. Ale się nie odezwał. Zniknął za drzwiami, trzaskając nimi do tego stopnia, że poczułam drżenie pod stopami.

– On ma rację – usłyszałam za plecami.

Odwróciłam się na pięcie na spotkanie Édera. Stawiał powolne kroki, trzymając w dłoni coś, co wyglądało jak koperta.

– W czym niby ma rację?

– W tym, żebyś nie jechała – odparł, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Jesteś zbyt emocjonalna. Jeśli zobaczysz córkę, a będziecie w trudnym położeniu, zaszkodzisz nie tylko sobie, ale też im.

– Ja chcę tylko...

– Tak, wiem – odetchnął. – Wiem, że chcesz ją odzyskać. On też tego chce, ale pozwól nam załatwić sprawy, dobrze? – Ścisnął przelotnie moje ramię. – Kiedy coś ci się stanie, do niczego nie przydasz się córce. Poza tym to wszystko utrudni.

– Co utrudni? – Potrząsnęłam niepewnie głową.

– McCann nie będzie miał czasu, by zapewnić ci ochronę i jednocześnie odbić córkę z rąk kartelu.

– Niby dlaczego miałyby mnie chronić? – parsknęłam, wspierając pięści na biodrach.

Popatrzył na mnie z nikłym uśmiechem, nim zdecydował się odejść pod drzwi sypialni swojego szefa. Zanim zdołałby zapukać, rozległ się mój głos:

– Co to?

– Koperta – mruknął zdawkowo. – Mąż Margaridy znalazł ją w krzakach. Nie wiadomo, ile czasu tam leżała.

– Sprawdziliście, czy w środku nie ma nic niebezpiecznego?

Spojrzał na mnie z politowaniem.

– Za kogo nas uważasz? – prychnął. – To pierwsze, co zrobiliśmy. Fábio ją prześwietlił, ale nie otwierał. To nic, co wzbudzałoby nasze podejrzenia.

Éder zapukał do drzwi, a następnie wstąpił do sypialni. Miał już je pchnąć, jednak nie pozwoliłam mu na zamknięcie. Przysłuchiwałam się rozmowie po drugiej stronie. Jak na złość rozmawiali po portugalsku.

Zanim przyjechałam do Brazylii, uczyłam się podstawowego słownictwa, by móc porozumieć się z córką, ale tematyki morderstw, broni czy mafijnego półświatka nie było na żadnej z lekcji.

Minęła chwila, zanim usłyszałam dźwięk rozdieranego papieru. To wtedy wychyliłam się zza drzwi. McCann otworzył kopertę, rozrywając ją po obu stronach. Na trójkątnej części był jakiś napis, a w środku... kosmyk rudych włosów.

Poczułam, że serce boleśnie ścisnęło się w mojej piersi. Molly, moja córeczka. To jej włosy...

– Co to jest? – Ruszyłam naprzód, powstrzymując się od wyrwania mężczyźnie koperty. – Co tu jest napisane?

Saint zgniótł kartkę i z warknięciem cisnął nią o podłogę. Burza emocji, która wzięła nad nim górę, nie pozwoliła mu beczynie stać. Zerwał się do wyjścia.

Opadłam na kolana i pospiesznie odwinęłam zmiętą kulkę papieru. Odcięty pukiel włosów rozpadł się na mniejsze kosmyki, pozostawiając po sobie jedynie wspomnienie dziewczynki. Napis był po portugalsku... niewiele z tego rozumiałam.

– Co... co tu jest napisane? – Poderwałam głowę, by spojrzeć na Édera.

Nawet on pobladł. Z trudem przełknął ślinę.

– To znaczy... – Wziął głębszy wdech. – Ostatnie pożegnanie.

Mętlik w głowie nagle ustał. Pustka. Cisza. Nic się nie działo.

Poczułam, jak zimno przebiegło mi po skórze.

To nie mógł być koniec...

# ROZDZIAŁ 21

## *Saint*

Włosy. Delikatne rude loczki, nigdy nie sądziłem, że będzie mi ich brakować. Z trudem przełknąłem wzbierającą gulę w gardle. Słyszałem głosy, ale żadne słowa nie dotarły do mojego mózgu. Zdałem sobie sprawę, że czas uciekał mi przez palce, a ja byłem wobec tego bezsilny. Pierwszy raz czułem, że nic nie mogę zrobić.

Molly nie była słaba. Uczyłem ją panować nad emocjami. Uczyłem, by nie płakać, by nie pokazywać, kiedy jest ci źle. Ale nigdy nie nauczyłem jej przetrwania w sytuacjach niebezpiecznych, nie licząc porwań samochodem i wydostania się przez bagażnik, jakby to była pieprzona zabawa.

Była zbyt mała, zbyt krucha, zbyt... zbyt moja, bym mógł ją stracić, ponieważ to jedyna osoba, która nie zostawiłaby mnie ze względu na to, jaki byłem.

Zbiegłem na dół tak szybko, jakby grunt walił mi się pod nogami. Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, gdy wtargnąłem do salonu.

– Wyjeżdżamy – zarządziłem. – Właśnie teraz.

Fábio zerknął na mnie nieco zdezorientowany.

– Mieliliśmy zrobić to wieczorem. Oddział nie jest jeszcze gotowy.

– Więc niech lepiej będzie – syknąłem. – Jeśli nie jedziecie ze mną, sam rozjebię tych skurwysynów.

Chwycił się mojego ramienia z twardym wyrazem twarzy.

– Zawsze z tobą, bracie.

Byłem zbyt wyprowadzony z równowagi, by to docenić. Podszedłem do stołu, a wokół niego zaraz zebrała się reszta. Nate rozłożył mapę, na której wcześniej zaznaczył ważne punkty.

– Nie wiemy, gdzie znajduje się główna kwatera kartelu – zauważył, wlepiając we mnie niebieskie oczy. – Ale wiemy, gdzie

ukrywa się żona Christiana. To ogromna posiadłość położona na kilkuset tysiącach metrów kwadratowych pośrodku niczego.

– Molly. – Szept sam wypadł mi z ust.

– Co? – Fábio zwrócił na mnie szare oczy.

– Trzymają tam Molly.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Patrzył na mnie przez zwężone powieki.

– Gdzie trzymałbyś porwane dziecko? – Pochyliłem się nad mapą, by zarysować dłońmi obszar o potężnych rozmiarach hektarów. – Oczywiście, że na kompletnym odludziu. Kiedy postanowi uciec, nie będzie wiedziało, dokąd iść. Wszędzie pustka, żadnych oznak życia. Gdzieś tam muszą trzymać też Molly.

Fábio być może zrozumiał, że to miało sens. Potaknął.

– Zaria skontaktuje się z ojcem – powiedział. – On da nam...

– Pozwalasz jej na to za moimi plecami? – Z trudem powstrzymałem warknięcie.

Wyprostował się na to oskarżenie. Coś zmieniło się w nim w przeciągu kilku sekund.

– Słuchaj, to może nie być odpowiednia chwila, ale...

– Ale co? – Z rykiem wyrzuciłem dłoń w powietrze. – Poczuleś odrobinę cipki i już tracisz dla niej głowę? Co z tobą, do cholery?!

Opuścił lekko powieki, nie zrywając kontaktu wzrokowego.

– Jesteśmy razem – oświadczył to tak spokojnie, jakby nie mówił o naszej zakładnicze, a promocji na frytki w zestawie.

– Skąd wiesz, że cię nie wykorzysta? – Pokręciłem głową z gorzkim śmiechem.

Cofnął się o krok i wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie wiem, okej? – Zawiesił głos, przygryzając przy tym wnętrze policzka. – Ale tylko dzięki niej mieliśmy szansę uwolnić cię z rąk federalnych. Poprzedni prezydent będący na twojej łasce nie był do tego skory.

– Dlatego skurwiel nie żyje – przypomniałem mu.

Osobiście wyrwałem mu serce z piersi, gdy jeszcze żył. Ani jednego znieczulenia, nawet go nie ogłuszyłem, gdy rozcinałem mu korpus maczetą.

– Teraz też może nam pomóc – próbował mnie przekonać. – Wojsko pozostaje na usługach jej ojca. Jeśli powiesz słowo, załatwię wszystko.

– A co, jeśli nas zdradzi? Pomyślałeś o tym?

Wpatrywał się we mnie w milczeniu, jakby kalkulował różne scenariusze.

– Wtedy sam ją zabiję – odparł bez cienia zawahania. – Obiecuję.

Stałem z nim twarzą w twarz i chociaż był mi bratem, mój kredyt zaufania wobec niego miał swoje granice.

– Wtedy jej śmierć niczego nie odwróci. Będzie tylko kolejną jednostką w statystyce.

Oczy mu drgnęły, jednak przemilczał to. Proszę, więc nawet potwór miał uczucia. A to dziwne, nawet jak na niego.

– Poprowadzę dialog, załatwię helikopter – przeszedł do konkretów, które interesowały mnie bardziej niż to, w której cipce zanurzał kutasa.

– Jeden to za mało. – Zerknąłem na niego z uwagą. – Załatw trzy, nie mniej.

Kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i złapał za telefon. Odgłos kroków dochodzących ze schodów przyprawił mnie o przewrócenie oczami. Nawet nie musiałem się obracać, by wiedzieć, kto idzie.

– Długo jeszcze zamierzasz być uparty? – Żonka odetchnęła ze zrezygnowaniem.

– Nie jestem uparty – mruknąłem.

– Więc dlaczego nie pozwolisz mi jechać z wami?

– Bo wszystko spierdolisz. – Wypuściłem długi oddech. – Wciąż ci nie ufam, ruda. Nie wiem, co planujesz, ale nie zamierzam ryzykować życiem Molly.

Zbliżyła się. Każdy jej krok odbijał się echem w mojej głowie.

– Czy ty siebie słyszysz? – Załamała rękę, a jej usta wykrzywiły się w grymasie zmieszania i ostrożności. – Naprawdę myślisz, że mogłabym zaszkodzić akcji mającej na celu odnalezienie Molly? Jasne, ciebie zepchnęłabym w przepaść bez mrugnienia okiem, ale nie moje dziecko.

– Skąd mam wiedzieć, czy ta cikliwa gadka to nie kolejna gra? – Każdy mięsień w moim ciele naprężył się na samo wyobrażenie. –

Nie ufam ci i jak zdążyłaś już zauważyć, mam ku temu powody.

Zastygła. Dopiero po chwili z jej ust padło ciche prychnięcie.

– To co jeszcze mam zrobić, co?

– Zniknąć. – Protekcyjność w moim głosie nawet jej nie zaskoczyła. – Wtedy wszystkim zrobisz przysługę.

Zamierzałem się odwrócić. Miałem sporo na głowie, a to nie mogło czekać. Plan wymagał dopracowania i przygotowania.

– Potrzebujesz mnie. – Jej zduszony głos przebijał się do ciemnych zakamarków mojego umysłu.

Z jakiegoś powodu się zatrzymałem.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda. – Nie patrzyłem na nią, oczy wlepiłem w punkt przed sobą. – Nikogo nie potrzebuję.

– A jednak dla Molly nagiąłeś wszystkie swoje zasady – powiedziała, jakbym o tym zapomniał. – Nawet dla pomszczenia Bianci nie zrobiłeś tylu rzeczy.

Odwróciłem się raptownie, gdy wyłożyła na stół wspomnienie o mojej niedoszłej zamordowanej żonie.

– Molly to moja córka – warknąłem. – Dla niej przelałbym krew każdego człowieka na tym świecie, każda wojna byłaby warta odzyskania jej.

– To też moja córka, Saint. – Przyparła dłonie do piersi. – Córka, którą brutalnie mi odebrałeś. Gdyby nie ta sytuacja, wciąż byłaby ze mną, pozostawałaby bezpieczna, z dala od tego brudnego świata.

– Nie zaczynaj.

Zamierzałem ją zignorować. Klótnie jedynie przyćmiłyby mi umysł, a na to nie miałem czasu, sił ani pieprzonej ochoty.

– Myślisz, że coś się zmieni, gdy ją odzyskamy? – prychnęła. – Saint, nawet jeśli ona pozostanie u twojego boku, chociażbyś nie wiem, jak bardzo jej bronił, to nie będzie jednorazowa sytuacja, gdy ktoś będzie próbował zagrozić Molly. – Odgłos jej kroków dał mi znać, że znów stała blisko. – Każdy kolejny raz może być gorszy, a kto wie, czy do tej pory jakiś psychol nie miał na nią zlecenia?

Zwinąłem dłonie w pięści. Szczerze mówiąc, liczyłem się z tym, ale jeśli będę musiał, zamknę ją w zabezpieczonym miejscu, by nikt nigdy jej nie odnalazł. Nabrałem przekonania, że tylko ja będę w stanie zapewnić jej odpowiedni poziom bezpieczeństwa, ale

ostatnim razem to nie podziałało. Przeczuwałem, że niebezpieczeństwo nadchodzi, i nawet jeśli próbowałem chronić Molly, to okazało się to niewystarczające.

– Dobrze.

Przeniosłem oczy na rudą, gdy nie odpowiadała. Sama wyglądała na zmieszaną.

– Co? – Zdusiła szept.

– Zgadza się, możesz jechać – powiedziałem, po czym wycelowałem w nią palec. – Ale jeśli popełnisz błąd, nie zamierzam cię ratować.

To było oczywiste, że jeśli miałbym do wyboru ochronę córki czy agentki, bez zastanowienia wybrałbym córkę.

– Co mam robić? – zapytała.

Parsknąłem oschle.

– Nie jestem twoją pierdoloną niańką, ruda. – Ze znudzeniem sięgnąłem po telefon, który zawibrował. – Masz być gotowa, wieczorem wylatujemy.

Na ekranie BlackBerry pojawiła się wiadomość od Fábio:

*Zgodził się na jeden.*

Skurwiel myślał, że miał pole do negocjacji? Prychnąłem.

*Miały być trzy. Odpisałem natychmiast.*

*Mam się tym zająć?*

*Sam to zrobię. Twoja suka jest bezużyteczna.*

– Skurwysyn – syknąłem.

– Co się stało? – usłyszałem za plecami.

– Jeszcze nie poszłaś? – mruknąłem, zirytowany jej obecnością.

W odbiciu szyby widziałem, że przewróciła oczami. Napałem zębami na wargę, po czym odwróciłem się do kobiety.

– Zbieraj się – powiedziałem, zaskakując tym samego siebie. – Jeśli chcesz zdobyć moje zaufanie, musisz na nie zasłużyć.

Sama wyglądała na zbitą z tropu, jednak zamaskowała to dostatecznie szybko drwiącym wyrazem twarzy.

– A więc jednak jestem ci potrzebna. – Z nieskrywaną satysfakcją skrzyżowała ramiona pod piersiami.

– Jasne, że jesteś. – Obrzuciłem ją spojrzeniem, po czym skierowałem się do wyjścia. – Potrzebuję mięsa armatniego. Rzucę



cię psom na pożarcie, jeśli będę musiał.

– I vice versa – prychnęła, dorównując mi kroku.

Złapałem za kluczyki do auta, a następnie wyszedłem z domu. Ciepłe powietrze musnęło mi skórę. Słońce chyliło się ku zachodowi i to był dobry znak. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu przed wylotem, a jednak musiałem wziąć sprawę w swoje ręce.

Wskoczyłem za kierownicę czarnego SUV-a, ruda wgramoliła się na miejsce obok. Nie zadawała pytań, i całe szczęście, bo jeszcze trochę i od tego przewracania oczami za każdym razem, gdy słyszałem jej głos, wyrobię sobie mięśnie w oczodołach.

To się zmieniło, gdy wyjechaliśmy na główną drogę.

– Co poczujesz, gdy zobaczysz włosy Molly?

Wypuściłem ciężki oddech. Zdecydowanie bardziej wolałem ciszę od gawędzenia.

– Nic.

– Nic? – mruknęła zaskoczona. – Cały wrzałeś ze złości.

– Potrzebowałem chwili, by poukładać sobie to w głowie – sprostowałem. – Wysłali kosmyk włosów, one odrosną. Sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby to był palec, ucho, język...

– Och, przestań. Jak możesz być taki chłodny? – Wzdrygnęła się, choć na zewnątrz temperatura sięgała trzydziestu stopni. – Ja byłam przerażona tym, co Nellie musiała czuć.

– Wkurwił mnie fakt, że jej dotknęli – przyznałem sam przed sobą.

– Ale nie skrzywdzą jej.

– Skąd możesz być tego taki pewny?

– Bo już by to zrobili – odparłem ze stoickim spokojem.

– Czyli chcą negocjować – zauważyła. – To dobrze dla nas.

– Nie zamierzam z nikim negocjować, a już na pewno nie z tymi fiutami. – Posłałem jej nieco pogardliwe spojrzenie. – Warunek negocjacji nie daje nam żadnej gwarancji. Mogą otrzymać to, czego chcą, i zabić Molly, więc wolę rozpierdolić ich od środka.

– Wszystkie twoje decyzje są podyktowane emocjami.

Kątem oka widziałem, że pokręciła głową.

– Zero chłodnego myślenia, wszystko byś rozjebał.

Prychnąłem. Nie była tu od tego, żeby mnie pouczać.

– Dzięki, doktorku, ale twoje rady są nieprzydatne.

Zatrzymałem samochód przed willą. Spojrzeniu rudej zapewne nie uciekła obecność ochroniarzy, bo gdy tylko wysiedliśmy z SUV-a, czułem na sobie jej pytający wzrok.

– Co to za miejsce? – Stała u mojego boku, wpatrując się w piętrowy budynek.

– Ruchalnia prezydenta. – Nie zamierzałem gryźć się przy niej w język.

– Co takiego? – Popatrzyła na mnie jak na dziwaka.

– Murciéłago sprowadza tu swoje kochanki.

– Skąd to wiesz?

Uśmiechnąłem się dumnie.

– Wiem wszystko o wszystkich.

Przeczuwałem, że na usta pchało jej się uszczypliwe powiedzonko. Strzeliłem w nią palcami.

– Cisza. Idziemy.

Ochroniarze spuszczała przede mną wzrok, wbijając go w ziemię. Nie zdziwiłbym się, gdyby byli tu dla pieprzonej ozdoby. Nie miałem jednak ochoty na przeskakowanie przez bramę i wyważanie drzwi, jeśli nie okazałoby się to koniecznością.

– Otwierać – warknąłem do pionków.

Spojrzeli po sobie, zanim ich spojrzenia padły na mnie.

– Nie możemy tego zrobić – wystękał jeden z nich.

Wygiąłem brew w kpiącym wyrazie twarzy. Złapałem go za szyję i przyciągnąłem do siebie.

– Otwieraj albo wyważę bramę przy pomocy twojej tłustej dupy.

– Tak, proszę pana – wyrzucił przez ściśnięte gardło.

Rzuciłem go na ziemię. Wyszarpałem spluwę z kabury, po czym wycelowałem w tego drugiego.

– Wpisuj kod, już.

Niemalże podbiegł do zabezpieczenia. Palce drżały mu przy wybieraniu cyfr, aż wreszcie brama zaczęła się odsuwać.

– Nie widzieliście nas. – Dałem im jasno do zrozumienia, mierząc bronią od jednego do drugiego ochroniarza.

Obaj pokiwali energicznie głowami. Ruda łypała na mnie, jakby miała w głowie bardziej humanitarne rozwiązanie, ale ja nie

pracowałem dla pierdolonego ONZ, żeby zajmować się prawami człowieka.

– Po co tu właściwie jesteście? – zapytała, gdy wspinaliśmy się w górę schodów.

– Potraktuj to jak branie nieposłusznego ucznia na dywanik – rzuciłem szyderczo. – Muszę przemówić gościowi do rozsądku. Miał nam załatwić helikoptery, ale zamiast tego myślał, że może stawiać mi warunki.

– A jaka jest moja rola? – Dość niepewnie zmarszczyła brwi.

– Masz pilnować, bym go nie zamordował.

– Och, to może jednak ja z nim porozmawiam? – Posłała mi mało przekonujące spojrzenie.

– I co zrobisz? Pogroźysz mu palcem? – Powstrzymałem parsknięcie. – Użyj dzwonka.

Kręcąc głową, wcisnęła guzik, który spowodował dźwięk. Nasłuchiwałem kroków po drugiej stronie, stojąc w martwym punkcie.

Ktoś otworzył drzwi, a zaraz po tym usłyszałem męski głos.

– Kim pani jest?

Ruda zagadywała lokaja po angielsku, z czego zrodziła się mała dyskusja. Wychodząc z ukrycia, wycelowałem gnata wprost w gardło mężczyzny.

– Do tyłu – syknąłem, napierając na niego, dopóki nie zaczął się cofać. – Zajmij się pracą, staruszk, i niczego nie próbuj.

– Ale tak nie wolno, kim wy...

Przeładowałem broń, co spowodowało nagłą ciszę.

– Mnie wolno.

Potaknął. Odprowadziłem go pod sam narożnik, dopóki nie posadził tyłka.

– Rusz się stąd chociażby o centymetr, a twój mózg rozjebie się na ścianie za tobą.

Ledwie przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło. Znów energicznie potaknął.

– Gdzie jest Murciélago?

Milczał, jednak jego oczy uciekły w stronę schodów prowadzących na piętro.

– Jest tam? – dopytałem.

Twarz miał zlaną potem, a skóra wyrównała się kolorem z bielą koszuli. Pokiwał głową.

– Na górę, ruda.

Zamierzałem ochraniać jej plecy. Z wywiadu przeprowadzonego przez Fábio wiedziałem, że prezydent był tu sam, nie licząc jego dziwek i sługusów, a jednak wolałem dmuchać na zimne.

– Dlaczego ty masz broń, a ja nie? – zapytała szeptem.

Kurwa, poważnie zamierzała pytać o to właśnie teraz?

– Każdy dba o siebie – mruknąłem. – Poza tym ty powalasz spojrzeniem.

Prychnęła ostentacyjnie.

– Faceci... – Pokręciła głową.

Stawiała pewnie kroki, jej w porównaniu do moich były ciche i ostrożne. Zatrzymała się przy drzwiach, przywierając plecami do ściany. Wskazała na nie palcem. Wyteżyłem słuch, skupiając się na odgłosach z pomieszczenia. Jęki dziwki mieszały się z postękiwaniem tego podłego dziada. To była odpowiednia chwila, by wkroczyć.

Jednym mocnym kopnięciem wyważyłem drzwi, a te z hukiem runęły na podłogę. Kobięcy pisk i przekleństwo tego drugiego dotarły do moich uszu. Wycelowałem broń w Murciélago. Wiedziałem, że mnie rozpoznał. Posłałem spojrzenie nagiej kochance.

– Wypad. Nie było cię tu.

Potaknęła posłusznie. Przytuliła do siebie sukienkę i komplet bielizny, zanim wybiegła z pokoju. Prezydent próbował się ruszyć, jednak odbezpieczenie broni doszczętnie go sparaliżowało.

– Siedź – warknąłem.

Ruda jak gdyby nigdy nic przysiadła na łóżku, na którym ty jeszcze chwilę temu pieprzył dziwkę. Wyglądała tak, jakby rzeczywiście miała przyjąć kogoś na dywanik.

– On trzyma broń, ale to ja będę mówić – oznajmiła, na kilka sekund nawiązując ze mną kontakt wzrokowy. – Zakładam, że zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś w najlepszej pozycji, więc podam ci dwa rozwiązania.

Nie odpowiadał, choć wydawał się zaskoczony tym, że przyprowadziłem do niego Amerykankę. Wzrok miał wbity we mnie, jakby niewerbalnie próbował błagać mnie o litość. Cóż, jeśli tu przyszedłem, to by oznaczało, że na to jest już odrobinę za późno.

– Albo przekazesz nam taką liczbę helikopterów, która nas zadowoli – zaczęła, unosząc dłoń, po czym podniosła drugą, jakby były wagą – ...albo on przestrzeli ci obie rzepki.

– Szkoda nabojów – mruknąłem. – Odstrzelę mu łeb.

– Wybór należy do ciebie – ciągnęła. – Ale na twoim miejscu wybrałabym helikoptery. McCann nie pozwoli ci bezboleśnie umrzeć.

No proszę, jednak szybko się uczyła.

– Nie mogę tego zrobić – wystękał.

A ten znów zgrywał durnia.

– Możesz i właśnie to zrobisz. – Innej opcji nie brałem pod uwagę.

– Trzy helikoptery wojskowe mają być gotowe na wieczór.

Co do sił zbrojnych, Murciélago był ich zwierzchnikiem. Miał wobec nich największą władzę i mógł decydować o wszystkim, więc pierdolenie, że się *nie da* nie wchodziło w grę.

– To niewykonalne – wychrypiał zduszonym ze strachu głosem.

Kutas zamierzał grać na czas. Strzeliłem w ścianę za nim, pocisk przeleciał mu obok głowy, a odłamki tynku prysnęły w powietrzu. Facet skulił się na łóżku, ignorując własną nagość i eksponując nagą dupę. To takie upokarzające.

– Dobrze, dobrze! – zawołał, unosząc dłonie w poddańczym geście. – Zrobię, co zechcesz.

– Taką mam, kurwa, nadzieję.

Wciąż trzymając ręce w górze, ostrożnie przysiadł na łóżku i sięgnął po szlafrok, który na siebie narzucił. Złapał za telefon, a ja uważnie analizowałem każdy jego ruch.

– Lepiej nie kombinuj – przestrzegłem go. – Nie zapominaj, że twoja córka wciąż jest na mojej łasce.

Nawet z odległości mogłem dostrzec, jak grdyka drgnęła mu pod skórą. Wybrał jakiś numer w telefonie, po czym przystawił urządzenie do ucha.

– Włącz na głośnik – zarządziłem.

Drżącą ręką wykonał polecenie. Ciche piśnięcie oznaczało przełączenie rozmowy na głośnomówiący.

– Panie prezydencie?

– Generale – chrząknął, by jego głos stał się stanowczy. – Proszę przygotować trzy eurocoptery i dostarczyć je na dziś wieczór na prywatne lotnisko w Rio.

– Eee... – brzmiał na zdezorientowanego. – W jakim celu, panie prezydencie?

– Nie pytać – warknął wymagającym tonem. – Wykonać rozkaz.

– Panie prezydencie, eurocoptery w tym momencie są wykorzystywane do wykonywania ćwiczeń taktycznych – skwitował generał.

– Powiedziałem, wykonać rozkaz – wycedził, a twarz podbiegła mu czerwienią. – Jeśli nie chcesz zostać wylany, lepiej zacznij mnie słuchać, zanim zwolnię cię ze stanowiska za niesubordynację wobec głowy państwa.

Cisza po drugiej stronie przeciągała się jeszcze chwilę.

– Tak jest, panie prezydencie.

Murciélago zakończył połączenie i cisnął telefon na materac. Przebiegł palcami po kępce siwych włosów, dusząc jęk frustracji.

– To ostatni raz, gdy coś dla was robię. – Wymachiwał palcem ode mnie do rudej, jakby była w to zamieszana. – Nigdy więcej się tu, kurwa, nie pokazujcie.

– To nie był ostatni raz – zapewniłem go. – I nie będzie, dopóki ja tak nie zdecyduję.

– Nie możesz robić tego w nieskończoność. – Pokręcił głową, jakby myślał, że miał tu pierdolone pole do manewru. – Zobaczysz, nawet ciebie dosięgnie boska sprawiedliwość.

Oblizałem wargi, zanim się zaśmiałem. Gdybym był bliżej, pewnie bym mu przypierdolił.

– Dobrze ci radzę, nie warcz, jeśli nie potrafisz gryźć.

Nie potrafił. Był jak pierdolona chihuahua – darł głośno mordę, a gdy dochodziło do konfrontacji, trząsał się jak galareta.

Zmierzałem w stronę drzwi z zamiarem wyjścia.

– Jeśli mojej córce spadnie włos z głowy, to...

– To co? – Odwróciłem się ku niemu. – Co zamierzasz?

Jego nozdrza się poszerzyły, a żyły na jego szyi naprężyły się pod skórą.

– Dopadnie was sprawiedliwość. – Wycelował we mnie palcem. – Macie godnie ją traktować, jak człowieka, a nie waszą dziwkę!

– A niby dlaczego, do cholery, miałbym to zrobić? – Powstrzymałem się od zakpienia.

Ruszył prężnym krokiem ku mnie, jednak widok mojej broni musiał go w porę ocucić.

– To jest moja córka, sukinsynie – wycedził. – Moja córka!

– No i? – Zaśmiałem się gorzko. – Mój człowiek ją przeleciał. Jeśli będzie chciał, weźmie ją za żonę. A ty... – zlustrowałem go – ...nie możesz z tym absolutnie nic zrobić.

– Ostrzegam cię, McCann! – Wyrzucił dłoń w górę, wygrazając mi pięścią. – Jeśli ją skrzywdzicie, wezmę się za was wszystkich. Wasze rządy dobiegną końca!

Wyprostowałem się na te słowa. Byłem pełen uznania, że w ogóle śmiał podnosić na mnie głos. A jednak... uśmiechnąłem się leniwie.

– Masz jaja, żeby mówić mi takie słowa. – Doprawdy, byłem pełen podziwu wobec jego głupoty. – Masz też cholerne szczęście, że szanuję mojego człowieka, w przeciwnym razie przesłałbym ci głowę twojej córeczki w kartonie po butach.

Spiął się. Opuścił ramiona, wyglądając na pokonanego. Przeklął pod nosem i podszedł do okien, a pomarszczoną dłonią zmacał siwe kępki włosów na głowie.

– Wyjdźcie, natychmiast.

Rzuciłem spojrzenie na rudą. Przyglądała się analizująco prezydentowi, dopóki nie wyczuła, że na nią patrzyłem. Dałem jej znak głową, że wychodzimy. Podniosła się, a jej powieki zwięzły się z uwagą. Cokolwiek teraz plątało się w jej myślach, nie było moim problemem.

Podczas jazdy powrotnej zamierzałem załatwić resztę spraw. Wyjąłem telefon z kieszeni, wybrałem numer Fábio, po czym ustawiłem urządzenie na głośnomówiący.

– Co jest?

– Gdzie jesteś? – zapytałem.

– W magazynie. Chłopaki szykują sprzęt.

Realizacja planu musiała być dopięta na ostatni guzik. Wiedziałem, że w tej sprawie mogłem liczyć na przyjaciela.

– Bądźcie gotowi, czeka nas cały pakiet wakacji last minute na południu.

Mężczyzna zamilkł na chwilę, jakby przetwarzał to, co właśnie powiedziałem.

– Udało ci się go przekonać? – Brzmiał na zaskoczonego.

– Nieważne, czego by nie próbował, moi ludzie mają na niego zbyt wiele brudów. – A to było moim kluczem do wielu drzwi. – Cóż, moja żona też potrafi być przekonująca.

– Kurwa, stary. – Wciągnął powietrze, zawieszając głos. – Wciąż jej nie ufam. Nie wiem, czy to dobry pomysł, by z nami leciała.

– Mówi to gość, który pieprzy moją kartę przetargową, ale nawet ona przestała działać – prychnąłem sarkastycznie. – Ruda ma zbyt wiele do stracenia. Wie, ile kosztowałaby ją strata mojego zaufania.

– Ten jebany skurwysyn ma gdzieś to, co się z nią stanie. Podczas porwania grał, bo wiedział, że inni patrzą, a później udawał załamanego tatuśka przed kamerami, bo to dało mu rozgłos i podniosło zaufanie wyborców – odparował z kpiną w głosie. – Kiedy sprawa ucichła, stracił nią zainteresowanie.

Och, czyli nasz prezydent był niezłym aktorzyną. Jednak nie to było moim problemem.

– Po wszystkim biorę gnoja na siebie – warknął. – Zabiję go po cichu.

– Nie tak prędko, Romeo. Dopóki jest przydatny, nikt nie położy na nim ręki. – Cóż, nikt poza mną. – Nawet bez tłumy wydawało się, że mu na niej zależy, a dopóki tak jest, dziewczyna zostaje u nas.

– Jego córka jest pod moją ochroną – wyznaczył wyraźną granicę. – Jeśli ktokolwiek jej zagrozi, będzie rozliczać się ze mną osobiście.

– A to już poważne oświadczenie. – Z uwagą zmrużyłem oczy. – Jeśli będę chciał, zrobię z nią, co chcę, i nie obejdzie mnie, czyja to jest córka.

Nawet ją, kurwa, zabiję, jeśli najdzie mnie taka ochota.

Nie odpowiedział. Być może zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli pozostawaliśmy przyjaciółmi, to wciąż ja byłem jego pieprzonym szefem. Nic w tym świecie nie trwało wiecznie, jeśli w grę wchodziły



władza, pieniądze i związane z nimi korzyści. Sojusze się zmieniały.  
Jedyne, co pozostało trwałe, to moja lojalność wobec mafii.

## ROZDZIAŁ 22

### *Asteria*

Reszta dnia minęła wyjątkowo spokojnie, dopóki nie nastał wieczór. W posiadłości panowała kompletna cisza, jakby realizacja planu kartelu miała wcale nie nastąpić. Uczucie, które kumulowało się w moim żołądku, nie pozwalało mi na myślenie o niczym innym niż o tym, że zostanę zmuszona do zrobienia czegoś, czego do tej pory unikałam, jak morderstwo za wszelką cenę.

Kończyłam pakować torbę z rzeczami, gdy poczułam czyjaś obecność w pokoju. Powoli odwróciłam się w stronę drzwi. Saint stał oparty o futrynę z założonymi na torsie ramionami. Przyglądał mi się przenikliwym spojrzeniem, dopóki nasze oczy się nie spotkały.

– Jakież wieści? – zapytałam.

Między jego brwiami ukształtowała się pojedyncza bruzda. Zacisnął usta, a wyraźnie zarysowana szczęka mężczyzny znacznie się uwydatniła. Zerknął na zegarek, jak gdyby odliczał, ile czasu pozostało do wyjazdu.

– Żadnych – odparł wraz z wydychanym powietrzem, aby po chwili nabrać głębiej tchu.

Nerwowo skubałam skórę przy paznokciu. Tym razem mogłam śmiało przyznać, że byłam zdenerwowana. Podgryzłam dolną wargę, starając się uspokoić galopujące serce. Nie chciałam robić sobie nadziei, jednak to myśl o odzyskaniu dziecka napędzała moje chęci do życia.

Usiadłam na łóżku, wlepiając spojrzenie w podłogę.

– Naprawdę liczę, że nam się uda.

– Uda się. – Nie wyczułam ani uncji wątpliwości w tonie mężczyzny.

To była solidna minuta cichego kontaktu wzrokowego między nami. Kiedy przeniosłam spojrzenie z jego oczu na dłonie, obserwowałam, jak wyjmował z kieszeni paczkę, stuknął nią o kolano i wsunął do ust papierosa. Zaskoczyło mnie, że palił. Może jednak też się denerwował?

Usiadł w fotelu w rozkroku. Płomień z zapalniczki oświetlił twarz mężczyzny. Czające się wokół cienie wydawały się mniej przerażające niż sam McCann. Fakt, że wyglądał tak spokojnie, był cholernie mylący, w szczególności dla kogoś, kto znał jego mroczną stronę. On jednak nie miał nic przeciwko legendzie, która krążyła wśród miast Brazylii. Pasowało mu pławienie się w ludzkim strachu.

– Denerwujesz się.

Chłodne oczy odnalazły moje. Lekko opuścił powieki.

– Może trochę – wychrypiał.

Zbliżając się do niego, poczułam znajomy zapach, do którego nieszczęśliwie zdążyłam się przyzwyczać. Kiedy na mnie patrzył, miałam wrażenie, że jego spojrzenie wywołało płomień na skórze.

– Dziwne – skomentowałam z cieniem uśmiechu. – To Saint McCann ma jakieś uczucia?

Surowość jego spojrzenia kazała mi nie przekraczać granic. Zakładałam, że od zawsze był gotowy do tak ekstremalnych i nieludzkich warunków. Wracając wspomnieniem do akt, przypominałam sobie, że ludzie z półświatka planowali jego morderstwo, od kiedy był tylko dzieciakiem, ponieważ obawiano się jego pozycji i potęgi władzy w przyszłości.

– Ja też się denerwuję – przyznałam zarówno przed nim, jak i przed sobą. – Prawdę mówiąc, boję się jak cholera.

Popatrzył na mnie, jednak jego twarz pozostała bez wyrazu. Gdy tylko skończył palić papierosa, wrzucił niedopałek do kubka, w którym osiadła moja poranna kawa.

– Najbardziej wkurwia mnie to, że skurwiel dalej milczy. – Wypuścił resztki dymu z ust, zanim potraktował je językiem. – Jeden człowiek mi nie wystarczy. Chcę zapierdolić ich wszystkich.

W tej chwili, jak nigdy, naprawdę go rozumiałam. Nie zależało mi na przeżyciu przywódcy kartelu. W głowie Sainta zapewne kroił się scenariusz wobec tego, jak powinien go wykończyć, i niezależnie, czy

było to wypatroszenie mu flaków, powieszenie go do góry nogami z jelitami na wierzchu, wyrwanie mu języka przez gardło czy rzucenie go psom na pożarcie, miałam świadomość, że nie ustąpi i nie okaże litości. Chciał zemsty i wiedział, że ją dostanie.

– Chcę, żebyś to zrobił.

Saint posłał mi zdziwione spojrzenie. Moje słowa zaskoczyły nawet mnie.

– Chcesz, żebym ich wymordował? – Zapewne sam nie dowierzał, że dawałam temu tak łatwą zgodę.

Potaknęłam, odnajdując wpatrzony we mnie oczy.

– Chcę, żeby ich matki poczuły to, co czuję ja – wydusiłam szeptem. – Chcę, żeby cierpiały.

Przymrużył oczy. Po minie mężczyzny mogłam stwierdzić, że jego mózg zdążył już ułożyć scenariusze wyobrażeń tego, co robi z ludźmi, którzy skrzywdzili nasze dziecko.

W tej jednej kwestii się zgodzaliśmy: śmierć naszych wrogów będzie lekarstwem na ból.

– Zapłacą za to.

Niespełna godzinę później ludzie McCanna załadowywali sprzęt do wojskowych helikopterów. Z ich rozmowy zrozumiałam, jak mówili coś o ciężarówkach. Zaopatrzenia nigdy dość, tym bardziej że zamierzaliśmy wkroczyć na teren wroga.

– Nasi sojusznicy zapewnią nam pomoc – powiedział Saint, zabierając ode mnie torbę, którą wrzucił do wyposażenia, jakby była workiem ziemniaków. – Ale kartel ma wsparcie ze strony Argentyńczyków i wiem, że te sukinsyny są żądni odwetu.

Sojusze dla McCanna i jego ludzi miały kluczowe znaczenie. Chociaż byli potęgą na Południu, to bez silnego wsparcia sami nie utrzymaliby zdolności do przetrwania, chociażby przez ugodę dotyczącą udostępnienia szlaków.

– Odwetu? – Zmarszczyłam brwi. – Za co?

– Pieprzyłem córkę ich szefa, a gdy ta chciała ślubu, miałem już układ z tobą. – Posłał mi sekundowe spojrzenie, gdy pchnął przesuwne drzwi do eurocoptera. – Zresztą nie czas na rodzinne wspominki. Wskakuj.

Potężna żelazna maszyna wyglądała na bezpieczną, a jednak naszło mnie parę wątpliwości.

– Umiecie tym sterować? – Wskazałam palcem na latające żelastwo.

– Dopiero się nauczę – mruknął, wskazując do metalowej puchy.

Z rozchyłonymi ustami patrzyłam na jego ciemną sylwetkę, gdy złapał za słuchawki.

– Żartowałem, ruda. – Przewrócił oczami z prychnięciem. – Byłem w wojsku, znam się na tym.

– Wolałabym nie skończyć w czarnym worku na zwłoki. – Stawiając nogę na płozach, wciąż miałam mętlik w głowie.

Wóz albo przewóz... przynajmniej tak mówią.

– Nie martw się. – Posłał mi chłodny uśmiezek, gdy założył słuchawki na głowę. – Załatwię ci różowy.

To jakieś przekleństwo. Odruchowo wykonałam znak krzyża, zanim posadziłam tyłek na jednym ze skórzanych siedzeń. Łącznie było ich sześć.

– To śmigłowiec jednosilnikowy, świetnie sprawdza się na dużych wysokościach, a poziom hałasu jest niski. Z pewnością zauważysz to podczas lotu – tłumaczył, przebiegając palcami po konsoli za sterami. – Liczba wskaźników nie jest tak rozległa, dzięki czemu sterowanie jest względnie proste. Syntetyczny system mapowania terenu i kamery termograficzne ułatwią nam robotę w tamtych rejonach. Ten model eurocoptera był wykorzystywany podczas wojny w Iraku we wsparciu sił koalicyjnych.

– Świetnie, mądrało – prychnęłam, zapinając pasy bezpieczeństwa. – Wiem, że się nienawidzimy, ale postaraj się nas nie zabić.

– Nie kuś. – Wyczułam uśmiezek w jego głosie.

Do środka wskoczyła czwórka pozostałych mężczyzn. Ostatnim był Fábio. Spojrzenie, które mi posłał, nie należało do przyjacielskich, ale ze wzajemnością. Zajął miejsce za mną. Z jakiegoś powodu towarzyszyło mi dziwne uczucie, wiedziałam, że szybko się go nie pozbędę.

Saint ustalał coś z innym facetem. Przez szybę kokpitu widziałam, jak pozostałe helikoptery przygotowały się do wystartowania.

McCann wcisnął przycisk, a łopaty wirnika zaczęły pracować, tak samo jak śmigło ogonowe.

Rio tonęło w mroku. Im wyżej się wzbijaliśmy, tym więcej ulicznych świateł stawało się pojedynczymi kropkami, jakby gwiazdy zamieniły się miejscami z ziemią.

W trakcie lotu próbowałam zająć głowę czymś innym niż piekłem, które czekało na nas w Santa Maria. Atak miał się rozpocząć jeszcze tej nocy i czułam, że ta misja będzie zdecydowanie najważniejsza w całym moim życiu. Od jej powodzenia zależało życie mojej córki, a także moje własne.

Wyjęłam z kieszeni spinkę i po raz setny prześledziłam jej fakturę wzrokiem, choć przecież znałam ją już na pamięć. Ścisnęłam ją w pięści i z westchnieniem wtuliłam plecy w oparcie fotela.

*Ten horror wkrótce się skończy. Mama zabierze cię do domu, kochanie. Obiecuję.*

– Spróbuj tylko coś odjechać. – Z zamyślenia wyrwał mnie niski głos Fábio. Czułam, że nachylił się do przodu, by szeptać mi do ucha. – Jeśli McCann cię nie zapierdoli, ja to zrobię.

Zacisnęłam szczęki, gdy uczucie ciężkości osiadło mi na żołądku. Odwróciłam głowę, by napotkać jego surowe spojrzenie.

– Lepiej uważaj, by tobie nie powinęła się noga. – Zmusiłam się do chłodnego uśmiechu. – Wystarczająco naginasz jego lojalność, sypiając z zakładnikiem.

Przeklął coś po portugalsku, co zrozumiałam jako *suka*. Przewróciłam oczami. Słyszałam to z ich ust tak wiele razy, że przestałam przywiązywać do tego jakkolwiek uwagę. Gdyby miało mnie to urazić, skończyłabym z podłamaną psychiką.

A do ich gry trzeba było mieć jaja.

Nie udało mi się zasnąć. Przez cały lot rozmyślałam nad taktycznymi rozwiązaniami i podejściem do szyku bojowego. Znałam plan McCanna. Dywersyjny atak miał odwrócić uwagę kartelu, dotrzeć do miejsca, w którym prawdopodobnie przetrzymywano Molly, a także gdzie ukrywała się żona przywódcy.

Reszta brzmiała tylko: zabić wszystkich wrogów, bez wyjątku... i przeżyć.

– Przygotować się. – Głos Sainta rozbrzmiał we wnętrzu helikoptera. – Za pół godziny dotrzemy na miejsce.

Im bliżej byliśmy, tym większe napięcie przelewało się w moim ciele. Dźwięk odpinanych pasów przypominał przeładowanie broni. Fábio rozdawał załodze karabiny, dopóki nie nadeszła moja kolej. Nasze spojrzenia się spotkały.

– Lepiej zdecyduj, po której stronie jesteś.

Na pewno nie po stronie mafii. Moje serce wciąż należało do wymiaru sprawiedliwości, ale w głowie miałam jedną myśl: jeśli wpadniesz między wilki, lepiej stań się jednym z nich.

Egzekutor chwycił mnie za ramię, wbijając mi palce w skórę.

– Pamiętaj o tym, co mówiłem. – Oczy niemal płonęły mu z wściekłości. – Nie rzucam słów na wiatr.

– Dobrze. – Wyszarpałam ramię z sykiem. – Bo ja też nie.

Doprowadzał mnie do tak szewskiej pasji, że przestrzelenie mu łba będzie samą przyjemnością. Cóż, zakuciem go w kajdanki też bym nie pogardziła.

Z wielką łaską przekazał mi broń.

– Nie połam sobie rączek, agentko. – Wygiął usta w górę, jednak na jego twarzy nie zawitał cień uśmiechu.

– Dobrze ci radzę, zamknij mordę. – Mój głos był już tylko ochryplym zgrzytem. – Lepiej mnie nie prowokuj.

– Słuchaj, suko... – Próbował wyrwać się w moją stronę, jednak męskie ramię oddzieliło nas od siebie.

– Spokój – mruknął Nate, przeskakując spojrzeniem ode mnie do egzekutora. – Skupcie się na swoim zadaniu.

Mężczyzna nie spuszczał ze mnie wzroku, dopóki nie przeładował broni. Gdy się odwrócił, wypuściłam drżący oddech. Musiałam być przy nim czujna. To, że Saint mu ufał, nie oznaczało, że ja też mogłam.

Owinęłam palce wokół karabinu. Choć trzymałam broń w dłoniach setki razy, ta jedna wydawała się wyjątkowo ciężać mi w rękach. Serce podchodziło mi do gardła, pot oblewał ciało, a myśli nie były skupione.

Upewniłam się, że zastosowałam wszystkie środki bezpieczeństwa, wliczając w to kamizelkę kuloodporną. Wewnątrz helikoptera

panowała całkowita cisza. Wydawało się, że jedynym słyszalnym dźwiękiem był pogłos dochodzący ze słuchawek pilotów i praca wirnika.

– Na pozycje – zarządził McCann.

Nate pchnął drzwi. Podmuchi wiatru musnął mi twarz, posyłając dreszcz wzdłuż karku. Podziałał pobudzająco. Mogłam dostrzec, że zbliżaliśmy się do rozległego pustkowia i osadzonej w nim posiadłości.

– Éder, zajmij się sterami – polecił Saint.

Widziałam, że rozpiął pasy bezpieczeństwa i porzucił słuchawki. Chwycił za karabin, przeładował go, po czym ustawił się u mojego boku.

Nawiązaliśmy spojrzenie, gdy chłodne oczy przetoczyły się na moją twarz. Z trudem przełknęłam ślinę. Ta chwila była niesamowicie trudna, tym bardziej że zamierzaliśmy odbić naszą córeczkę z rąk oprawców.

Spięłam się, gdy poczułam muśnięcie jego palców na ramieniu. Popatrzyłam w tamto miejsce, jednak on wsunął mi palec pod brodę i zmusił do spojrzenia na siebie.

Jego oczy... to właśnie po nim Molly je odziedziczyła. Z roztargnieniem zaczerpnęłam tchu, a chłodne powietrze zakołatało mi w płucach.

– Odzyskamy ją.

Zamrugałam, czując, że pod powiekami zapiekło mnie od podniosłego charakteru tej chwili. Jakbyśmy byli normalni. Jakbyśmy byli rodziną. Jakby mroczna przeszłość, którą mieliśmy za sobą, na ten jeden ułamek minuty zupełnie wyparowała.

– Obiecujesz? – zdusiłam szept.

Oparł mi dłoń na karku i przyciągnął bliżej. Usta mężczyzny spoczęły na moim czole, co zaskoczyło mnie do tego stopnia, że żołądek boleśnie mi się zacisnął.

A może sam miał wątpliwości?

– Obiecuję – wychrypiał.

To było... inne, dziwne, zupełnie nie w stylu potężnego i mrocznego Sainta McCanna, jakby jego skute lodem serce jednak odrobinę ożyło. Nie dałam się zwieść temu aktowi dobroci. W jednej



chwili mógł okazać mi sympatię, a w drugiej dźgnąć w płuca bez mrugnienia okiem.

Mrok, który go otaczał, niebezpieczeństwo, jakie za sobą niósł, chłodny wyraz twarzy, spojrzenie pozbawione jakichkolwiek emocji... wśród tego czasem udawało mi się dostrzec cząstkę człowieczeństwa, która przebijała się niczym promyk nadziei w kompletnej nicości.

Jednak nic nie zmieni tego, co zrobił. Żaden pocałunek, przytulenie, dotyk czy czułe słowo nie wymarzą z pamięci brutalności, którą mi okazał. Wspomnienie o tamtym dniu było jak głęboka rana, która nie zdążyła się zagoić.

Mężczyźni spuścili liny. Jeden za drugim zsuwali się po niej zwinnie, podobnie jak załoga pozostałych helikopterów. Miałam wprawę i w tej kwestii. Przerzuciłam karabin na plecy, po czym owinęłam dłonie wokół materiału. Rękawiczki chroniły skórę przed otarciami, gdy się zsuwałam.

Gdy tylko moje nogi dotknęły ziemi, poczułam ulgę. Podniosłam głowę na oświetloną posiadłość. Chłopcy grzebali coś przy skrzynce elektrycznej, a chwilę później całą posesję oblał mrok.

– Zabić każdego, kto nie jest Christianem, jego żoną lub Molly – przekazał McCann. – Wchodzimy.

A więc nadszedł czas zemsty...

## ROZDZIAŁ 23

### *Saint*

Moi ludzie dezaktywowali systemy bezpieczeństwa. Zajęli się także wyłączeniem prądu, jednak nie mogłem wykluczyć, że w domu za kilka minut mógłby zostać uruchomiony zastępczy agregator prądotwórczy. To był najlepszy moment, by wkroczyć.

Ruda zamierzała wyjść przed szereg, jednak pociągnąłem ją za siebie.

– Jeśli powiem, że masz uciekać, to to zrobisz.

Pokręciła energicznie głową.

– Nie ma mowy – zaprzeczyła.

– Ruda, kurwa, nie pytałem cię o zdanie – warknąłem cicho. – Jeśli powiem, że masz się ukryć, to masz wykonać moje polecenie.

– Nie – mruknęła zdeterminowana.

Dlaczego musiała być tak cholernie uparta?

Ustawiliśmy się na pozycji. Część załogi zajęła się zlikwidowaniem ochroniarzy po cichu, inni otoczyli budynek, a my byliśmy gotowi wkroczyć do środka.

Fábio wyważył drzwi mocnym kopnięciem. Byłem jednym z pierwszych, którzy przestąpili próg. Dźwięk upadających ciał i wygłuszonych strzałów podsycił moją adrenalinę.

– Parter czysto – oznajmił Fábio.

– Sprawdźcie piętro – poinstruowałem, po czym wskazałem na rudą i Nate'a. – Wy za mną.

Zbiegliśmy do podziemi. To zawsze przypominało polowanie. Zabij albo zostań zabity. Skupiłem się na rytmie mojego serca i ciszy, która wypełniała dolne kondygnacje. Wiedziałem, że spokój nigdy nie zapowiadał niczego dobrego.

Nie znałem innego życia. Odkąd pamiętam, ono zawsze wystawiało mnie na próbę w ekstremalnych sytuacjach, wzbudzając we mnie brutalność, która z czasem zaszyła się w moich żyłach jak odruch bezwarunkowy. Wydawało się, że tylko rozlew krwi i moja córka były w stanie ją okiełznać.

Wychyliłem się zza ściany, a moja broń była gotowa do wystrzału. Ani razu nie spuściłem palca z okolic spustu. Oko czujnie śledziło punkt za celownikiem. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku.

Nate podbiegł do drugiego muru. Widziałem, jak przycisnął do siebie broń. Posłał mi śmiałe spojrzenie i skinął głową na znak, że rusza. Wyrwał się do przodu. Wystarczyła sekunda, by krew z jego głowy wystrzeliła jak rzutka do darta. Padł na kolana, a jego bezwładne ciało opadło na twarz, a raczej to, co z niej zostało.

Kurwa, cholera!

Słyszałem za plecami, że ruda wstrzymała oddech.

Skurwysyny...

Przykucnąłem tuż przy murowanej ścianie. Ustawiłem palec na spuście, by zachować gotowość. Napięcie trzymało w garści całe moje ciało. Adrenalina płynęła w każdym milimetrze moich mięśni, a dłonie świerbiły mnie z niepokoju.

Teraz albo nigdy.

Wystrzeliłem serię pocisków, gdy tylko rozpoznałem zagrożenie. Dwóch mężczyzn padło, trzeci zdążył wystrzelić. Usłyszałem świst w okolicy ucha. Blisko, jednak niedostatecznie blisko. Pierwszy pozbawiłem go życia.

Ruda ustawiła się po drugiej stronie. Skrzyżowałem z nią spojrzenie. Nie wyglądała na zdenerwowaną, w końcu była przyzwyczajona do takich akcji, jednak w jej oczach czaił się cień niepokoju.

Kolejne pomieszczenie oczyszczone. Przemierzałem korytarz, nasłuchując odgłosów z każdej ze stron. Zgrzyt za plecami sprowokował mnie do odwrócenia, jednak nie byłem wystarczająco szybki. Cios w głowę poprzedził próbę podduszenia mnie. Napiąłem mięśnie, po czym z całej siły uderzałem przeciwnikiem w ścianę, by połuźnił ucisk.

Padł trupem tak szybko, jak nastąpił wystrzał. Porzuciłem jego zwłoki, na dokładkę kopiąc skurwiela w brzuch.

Ruda stała z wymierzoną w nas bronią, którą powoli opuściła.

– Nie ma za co – mruknęła z zadziornością w głosie.

Kącik moich ust mimowolnie powędrował w górę.

Kilka sekund wystarczyło, by zbadać otoczenie. Zbyt dużo ludzi z bronią, jak na miejsce, które nie miało żadnej oznaki, że przetrzymywano tu Molly, ale nie mogłem tego zignorować.

– Góra czysta – usłyszałem głos Fábio w słuchawce. – Nie znaleźliśmy dziecka ani ludzi Christiana.

– Straciliśmy Nate’a.

Cisza po drugiej stronie nieco się przeciągała.

– Cóż, tak bywa. – Zachował beznamiętny ton.

Zgodziłem się z nim. Żałowałem jednak, że nie zginął na swojej ziemi.

– Idziemy dalej – przekazałem. – Przyślij kogoś do podziemi.

Tym razem to ruda ruszyła naprzód. Oslaniałem jej plecy, mój umysł pozostał czujny. Na dźwięk przeładowanej broni, moje ciało napięło się w stanie gotowości. Złapałem kobietę w talii, po czym przyciągnąłem ją do siebie, by schować się we wnęce. Oboje obserwowaliśmy, jak grupa mężczyzn przemieszczała się ze wschodniego skrzydła.

– Ruda, biegnij na górę – szepnąłem przy jej uchu.

Zwróciła ku mnie głowę. Jej oczy skąpały się w niepewności.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie idę bez ciebie.

– Biegnij. – Powstrzymałem się od warknięcia. – Zostaliśmy tu sami. Jeśli jest ich więcej, zginiesz.

– Nie – upierała się. – Zostaję.

– Kurwa, przestań ze mną walczyć!

Złapała pewniej za broń i wyszła z ukrycia. Gdy tylko poszedłem w jej ślady, rozległ się krzyk.

– To McCann!

Posłałem serię strzałów, dopóki dźwięk zamka nie ostrzegł mnie przed brakiem amunicji. Hunter oddała precyzyjne strzały, jednak i jej nie wystarczyło naboju.

Chwyciłem pewniej karabin, po czym przycisnąłem ostatniego sukinsyna do ściany. Wciąż próbował ze mną walczyć.

– Uciekaj! – wrzasnąłem, gdy ruda zastygła w miejscu.

Dopiero po chwili rzuciła się biegiem w stronę zachodniej części. Upuściłem broń, a moje pięści poszły w ruch. Wyszarpałem nóż z kabury, jego ostrze błysnęło na szyi atakującego. Poderżnąłem mu gardło, a krew rozlała się pod moimi stopami. Porzuciłem zwłoki i zgarnąłem jego broń.

– Saint! – krzyczała Hunter.

Jej głos dochodził z zachodniego skrzydła, choć wyraźnie kazałem jej uciekać na górę. Rzuciłem się biegiem za odgłosem.

Widziałem, że stanęła jak wryta. Moje oczy padły w to samo miejsce. Po raz pierwszy od dawna poczułem, jak strach wypełniał mi żyły.

Molly. Mój mały rudowłosy płomyk nadziei. Nagrania odtwarzały się na ścianie wypełnionej ekranami. Nie wiedziałem, na którym powinienem skupić uwagę.

– Tatusiu! – Płaczliwy krzyk dotarł do moich uszu.

Kolejny raz. Kolejny. Jeszcze jeden... i tak, kurwa, w kółko. Nie mogłem tego znieść. Mój karabin wystrzelił, a kawałki szkła rozpryskały się po pomieszczeniu.

– Kurwa mać! – wrzasnąłem, doprowadzony do granic wytrzymałości.

Skurwysyn grał mi na emocjach. Cóż, to działało.

Ruda podeszła do ekranu, który jako jedyny jeszcze migotał stopklatkami. W chwili, gdy Molly wyciągnęła rączkę, kobieta zrobiła to samo. Dotknęła miejsca, gdzie znajdowała się dłoń dziewczynki, dopóki telewizor nie zalała czarna plama.

– Nellie... – Słyszałem, jak szepcze.

Dźwięk telefonu rozbrzmiał spod trupa. Pchnąłem ciało butem, po czym złapałem za smartfon i przystawiłem go do ucha.

– Jak cię dorwę, skurwysynu... – Uciałem, czując, że złość wypala mi trzewia. – Lepiej zacznij się modlić.

Gardłowy śmiech po drugiej stronie sprawił, że omal nie zgmiotłem telefonu w pięści.

– Widzisz, jakie to uczucie, McCann? – Ton Christiana wskazywał na rozbawienie. – Czujesz słabość? Bezsilność?

– Nie czuję żadnego z tego gówna – warknąłem. – Dobrze ci radzę, oddaj mi córkę, zanim wyrznię cały twój kartel.

– Jeśli już przestałeś marzyć, dobrze ci radzę, skup się. – Zawiesił głos dla efektu. – Odzyskasz córkę, jeśli oddasz mi strefy swoich wpływów. Cóż, możemy ponegocjować. Zostawię ci północny wschód i kawałek zachodu. Port będzie mój.

– Upadłeś na głowę? – parsknąłem. – Nie masz tu żadnego pola do negocjacji. Moi ludzie przewyższają was liczebnie. Nie ukryjesz się przede mną, znajdę cię, chociażbyś leżał sześć metrów pod ziemią.

– Ale to wciąż ja mam twoją małą rudowłosą dziecinę. – Brzmiał na zadowolonego z siebie. – Chodź, maleńka, przemów swojemu ojcu do rozsądku, bo najwyraźniej mu na tobie nie zależy.

Jebany skurwieli!

Moja pięść była gotowa do uderzenia w ścianę, jednak zamarłem, gdy usłyszałem cichy głos.

– Tatusiu?

Ramiona mi opadły. Zacisnąłem powieki, czując, jak żołądek podszedł mi do gardła.

– Wyciągnę cię z tego, Molly – zaprzysięgłem. – Obiecuję. Odnajdę cię i wrócimy do domu, lisku.

– Tatusiu! – Delikatny ton rozpadł się w drżący szloch. – Tatusiu ja... ja... bardzo się boję.

– Nie bój się – próbowałem ją uspokoić. – To nie potrwa długo. Pozostań silna, dobrze?

Nie odpowiedziała. Płacz nie ustępował.

– Molly, bądź silna. – Pilnowałem, by mój głos pozostał twardy. – Jesteś naprawdę dzielna, wiesz?

– Przyjedziesz po... po mnie? – Ledwie zaczerpywała tchu przez dławiące łyżki.

– Już niedługo – obiecałem. – Wkrótce zabiorę cię do domu. Jeszcze przez chwilę wsłuchiwałem się w jej niespokojny oddech. Przynajmniej miałem dowód na to, że wciąż żyła.

– Zaklejcie jej usta – mruknął Christian.

– Jeśli dotkniesz choćby skrawka jej ciała, sprawię, że będziesz błagał mnie o szybką śmierć.

– Dobrze ci radzę, przemyśl moją propozycję.

Mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak bezczelnie się uśmiechał.

– Daję ci trzy dni. Jeśli nie zmienisz zdania, odeślę ci beczkę z kwasem ze zwłokami tego rudzielca.

Napiąłem mięśnie szczęki. Miałem ochotę wdrzeć się do telefonu i złapać go za jego świńskie gardło.

– Posuwasz się za daleko – wychrypiałem, wciąż panując nad gniewem.

– Za daleko? – Parsknął śmiechem. – To ty pozbawiłeś mojego brata głowy, a teraz mordujesz ludzi na moim terenie.

– Oddaj mi córkę, to ostatni warunek, zanim doprowadzisz do wojny – ostrzegłem go.

– Mój warunek już znasz.

Rozłączył się. Część mnie chciała rozjechać telefon o podłogę, ale zdrowy rozsądek utrzymywał mnie w przekonaniu, że być może uda się nam go namierzyć.

Podniosłem głowę, by spojrzeć na rudą. Ona już na mnie patrzyła. Jej zielone oczy były pełne łez, a z ust spływała strużka krwi po tym, jak przegryzła wargę. Wplotła palce we włosy i z jękiem osunęła się po ścianie.

– Nie mogę tak dłużej. – Kręciła głową na boki.

Nie odpowiedziałem. W mojej głowie czaił się zbyt wielki chaos.

Wymierzyłem karabin w stronę przejścia, gdy usłyszałem wzmożone kroki. Fábio miał mnie na celowniku. Obaj opuściliśmy broń na swój widok.

– Widzę, że tu też nic – mruknął, zerkając ukradkiem na rudą, zanim zauważył ekrany. – Co tu się stało?

– Włączyli zdalnie nagranie z przetrzymywania Molly – powiedziałem, po czym uniosłem telefon. – Rozmawiałem z Christianem, Molly żyje.

– To dobrze – odetchnął z wyraźną ulgą.

– Dał mi trzy dni na oddanie mu terytorium. – Spojrzałem na niego z udręką. – Albo ją zabije.

– Znajdziemy ją. – Ścisnął moje ramię. – Wróci cała i zdrowa.

Nic nie szło po mojej myśli. Nate zginął, straciliśmy czas i paliwo, a Christian bawił się ze mną jak z dzieciakiem.

– Dostaliśmy cynk, że wkrótce zbierze się tu więcej ludzi z kartelu.  
– Głos Victora zwrócił naszą uwagę. – Powinniśmy się zwijać.

Potaknąłem. Miałem już ruszyć do wyjścia, jednak myśl o rudej sprawiła, że na nią spojrzałem.

– Musimy iść – mruknąłem równie zmęczony.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w zniszczone ekrany, dopóki nie otarła mokrej od łez twarzy. Minęła mnie w przejściu, a chłód pociągnął się za jej ciałem jak przeciąg. Wymieniłem spojrzenia z Fábio. On wzruszył ramionami, a ja z gniewem zacisnąłem pięści.

To jeszcze nie koniec.



# ROZDZIAŁ 24

## *Saint*

Sprawy zaszły za daleko, a ja nie potrafiłem beczynnie siedzieć. Co prawda miałem ludzi od brudnej roboty, ale gdy chodziło o mnie, wolałem zająć się tym sam.

To, że inni chcieli mnie zabić, nie było żadną nowością, a raczej zrobiło się tak nudne, że bardziej by mnie zaskoczył gołąb w berecie niż widok wycelowanej we mnie broni.

Ale rzeczy się zmieniają, gdy chodzi o moją córkę.

Jeśli nie potrafisz ochronić swoich bliskich, to jesteś nikim, a ja nie zamierzałem tracić ani bliskich, ani honoru z powodu chwili idiotycznej nieuwagi.

– Skurwysyn... – Syknięcie z ust Fábio przywróciło mnie do rzeczywistości.

Wyglądał komicznie z rozwaloną brwią, opuchniętym okiem i przytkniętym do niego okładem z lodu. Rozmawiał z naszymi zwiadowcami, zajmując się zdobywaniem informacji z pierwszej ręki. Jeden z nich musiał uznać go za intruza, za co przypadkiem oberwał.

Zebraliśmy się w domu umiejscowionym na neutralnym terenie podlegającym rodzinie kolumbijskiej. Ufałem Alejandro, bo ilekroć sytuacja na Południu wystawiała moją cierpliwość na próbę, wiedziałem, że mogłem na niego liczyć. Kolumbijczyk nie wydałby nawet psa, a jeśli zaszłaby taka potrzeba, posłałby do grobu własną matkę. A co działało na moją korzyść, miał wobec mnie dług wdzięczności.

– Zlokalizowanie go jest wyłącznie kwestią czasu. Muszę tylko poczekać, aż podepnie się pod sieć. – Mężczyzna rozsadził się

wygodnie z laptopem na kolanach. – Dobrze, że zabrałaś ze sobą telefon.

Alejandro wziął urządzenie w metalowej, nieco przetartej i wyblakłej oprawie i podpiął smartfon pod komputer, by zabrać się za przeskanowanie danych w mało znanym mi programie.

– Co z twoją żoną? – zapytał, odwracając wzrok od ekranu.

Wypuściłem zrezygnowany dech, choć to nie przyniosło mi ulgi.

– Jest zmęczona. – Nachyliłem się nad kolanami, a palce wplotłem we włosy. – Dość mocno to przeżyła.

– Wcale jej się nie dziwię – wymamrotał. – Z tego, co wiem, to już drugi raz, kiedy próbowaliście odbić dziecko.

– Trzeci będzie ostatnim – zaprzysięgłem. – Nie pozwolę Christianowi i jego skurwiałej rodzinie dalej pluć mi w twarz.

Potaknął. Wiedział, ile ta sytuacja mnie kosztowała.

– Wszyscy moi egzekutorzy szukają śladów Molly. – Przekrzywiłem głowę, by na niego spojrzeć. – A przede wszystkim ludzi Christiana. Wydałem rozkaz przyprowadzenia ich do mnie żywych.

– „Żywych” nie oznacza „nienaruszonych”. – Na twarzy Fábio rozciągnął się wilczy uśmiech.

– Mają być zdolni do mówienia. Nieprzytomni do niczego mi się nie przydadzą.

Czułem na sobie wzrok Édera, mężczyzna wydawał się czytać mi w myślach. Nic z tego. Nic, kurwa, z tego. Nasze spojrzenia się skrzyżowały, a ja patrzyłem na niego z kamienną twarzą. To trwało zdecydowanie zbyt długo.

– Coś mi tu kurewsko nie gra.

Wzbudził we mnie wewnętrzny niepokój, choć nawet nie drgnąłem. Żaden z nas nie przerwał kontaktu wzrokowego.

– O czym mówisz?

– Skąd wiedzieli, że przyjedziemy właśnie dziś? Właśnie tam? – Zmarszczył brwi w zastanowieniu.

Przekrzywiłem głowę w niepewności. Wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie, jakby każdy czekał na mój następny ruch.

– Nie mam, kurwa, pojęcia.

I to rzeczywiście było zastanawiające.

– Nikt z nas nie kontaktował się z ludźmi spoza naszego kręgu zaufania – zauważył, a jego oczy prześledziły twarze zebranych. – A przynajmniej tak było nam wiadomo.

Kontrola... do tej pory moje życie kręciło się wokół kontroli, jednak z biegiem czasu nieuchronnie otaczało mnie uczucie, że ją tracę. Ale co do jednego Éder miał rację. Nikt z ludzi Christiana nie wiedział o naszych planach. Podstęp w posiadłości w Rio nie wchodził w grę, a poza nią dałem wyraźny zakaz rozmawiania o planie przeprowadzenia ataku.

Lojalność... szła w parze ze znikającym zaufaniem.

– Mam własne podejrzenia. – Z jakiegoś powodu oczy Édera uciekły do Fábio. – Zawsze udawało ci się dostawać wszystko przemocą, a tym razem Saint musiał załatwić to za ciebie, bo twoje metody nie były wystarczająco skuteczne. To dopiero jest dziwne, nie uważasz? – Zwęził podejrzliwie powieki.

Mój wzrok automatycznie uciekł do egzekutora.

– Coś ty powiedział? – Fábio poderwał się z miejsca.

– To, co słyszałeś.

– Słuchaj no, kurwa... – Wyrwał się w stronę Édera.

Stałem naprzeciw niego. Miał dzikie spojrzenie, w jego oczach dostrzegłem chęć mordy.

– Byłem, jestem i zawsze będę lojalny rodzinie, więc cofnij swój tłusty zad na swoje miejsce i zamknij jadaczkę, zanim to będzie ostatni raz, kiedy przemówisz – zagroził, wystawiając palec w jego stronę. – Lepiej dokonaj dobrego wyboru, człowieku.

Ufałem mu. Ufałem mu jak nikomu innemu w całym tym pieprzonym świecie. Ale nawet zaufanie miało swoje granice.

– Odkąd pojawiła się ta dziewczyna, wszystko zaczęło się pierdolić. – Po raz pierwszy w życiu byłem świadkiem, jak Éder tracił cierpliwość. – Łącznie z tobą.

Złapałem Fábio za ramiona, gdy zamierzał rzucić się na sekretarza. Szarpał się w moim uścisku.

– Zapiardolę cię! – ryknął na całe gardło.

– Jeśli się okaże, że przez ciebie zginął Nate, to obiecuję ci... – zawiesił głos, a ponury uśmiech rozciągnął mu kąciki ust – ...że będziesz następny.

Zbyt dobrze rozumiałem jego złość. To Éder za niego ręczył, w końcu był dla niego jak młodszy brat.

– Uspokójcie się, do kurwy! – wrzasnąłem. – Mało mamy gówna na głowie?

– Nigdy nie zdradziłem! – warczał egzekutor, wystawiając palec w stronę tego drugiego. – Nigdy!

– No to mamy serię niefortunnie dziwnych zbiegów okoliczności – prowokował Éder.

Staralem się ułożyć w głowie to, o czym mówił.

– A ty? – W spojrzeniu Fábio dostrzegłem żal. – Nie ufasz mi?

Patrzyłem na niego w milczeniu. Wyraz mojej twarzy pozostał chłodny. Nie zamierzałem tracić zimnej krwi. Nawet jeśli ta myśl była gorzką pigułką do przełknięcia, nie zamierzałem zdradzać własnych uczuć.

– Teraz najważniejsza jest moja córka. – Oddzieliłem ich od siebie na odległość ramion. – Oni tego właśnie by chcieli, wzbudzić wśród nas niepokój. Nie potrzebujemy wewnętrznej wojny. – Przetoczyłem spojrzeniem od jednego do drugiego. – Rozejm nie wchodzi w grę, dlatego albo weźmiecie się, kurwa, w garść, albo płaczcie sobie w kącie.

Éder pierwszy odpuścił. Zajął miejsce w osobnym fotelu. Zazwyczaj był oazą spokoju, więc ujrzenie go wyprowadzonego z równowagi było jak padający na pustyni śnieg. Jego szare oczy długo nie zerwały kontaktu wzrokowego z Fábio. Ten zaś pulsacyjnie zaciskał i rozluźniał pięści. Był znany ze swojej porywczosci i szaleństwa w spojrzeniu.

Ale w jednym sekretarz miał rację – coś mocno się w nim zmieniło.

– Idę zapalić – sarknął, zgarniając papierosy ze stołu.

– Idź, idź – wymamrotał Éder. – Lepiej, żeby dopadł cię rak niż ja. Wkurwienie, które mnie ogarnęło, wzięło górę.

– Dość – warknąłem. – Przestań się awanturować.

Pochylił się nad kolanami i wplótł palce we włosy. Widziałem, że cały drżał z nerwów. Wcześniej wypalił pół paczki papierosów, dopóki nie zwymiotował z przesyty.

– Po prostu mu nie ufam. – Wyraz męskiej twarzy uległ zmianie, gdy na mnie spojrział. – Znasz Fábio jak nikt inny. Nigdy się tak nie zachowywał.

– Wiem – przyznałem niechętnie.

I gdyby tylko jego podejrzenia okazały się prawdą, to głównie bolałoby gorzej niż wbicie mi ostrza prosto w serce. Wychowaliśmy się razem. Mój ojciec przyjął go, gdy jako dzieciak handlował trawką na ulicach Rio. Okazywał wdzięczność, był lojalny i nigdy nie dawał mi powodu, by myśleć inaczej.

Fábio był mi jak brat i nigdy z nikim spoza rodziny nie tworzyłem takiej więzi, jak z nim, chociaż żaden z nas nie był wylewny w emocjach, wiedzieliśmy, że mogliśmy na siebie liczyć. I przepelniała mnie nadzieja, że nic tego nie zmieni.

Jednak nadzieja potrafiła być podłą suką, która zakładała ci opaskę na oczy i pchała wprost do rekiniej paszczy.

Podszedłem do okien. Z założonymi na torsie ramionami wpatrywałem się w skąpaną w mroku okolicę. Była trzecia w nocy, ruda już spała, a przynajmniej miałem nadzieję, że pozwoliła sobie na sen.

– Więc... – Usłyszałem za sobą głos Alejandro. – Ta dziewczyna... twoja żona...

– Co z nią? – Nie fatygowałem się patrzeniem na niego.

– Widziałem, jak na nią patrzyłeś, gdy kładłeś ją do łóżka – skomentował z nutą uszczypliwości.

Popatrzyłem na niego przez ramię z uniesioną brwią.

– Była osłabiona.

Posłał mi chłodny uśmiech.

– Kochasz ją.

Parsknąłem, wracając spojrzeniem do ciemności za oknem.

– Pierdolisz.

– Otóż nie – skomentował rozbawiony. – Umiem łatwo rozgryźć emocje i wyczułem, że wciąż coś do niej czujesz.

Uczucie pulsowania w opuszkach palców pięło się coraz wyżej i wyżej. Czujęm piętrzące się zdenerwowanie.

– Jest matką mojej córki. – Przełknąłem złość. – Jest gotowa przelać za nią krew.

Alejandro był lojalnym człowiekiem i nie chciałem tego psuć wybuchem agresji.

– To niech jeszcze wyda na świat twojego syna. – W odbiciu szyby widziałem, jak kiwnął na mnie brodą. – Miałbyś swojego następcę.

Syn... gdybym miał syna, sprawy potoczyłyby się nieco inaczej. Rzeczywiście wychowywałbym go na godnego następcę.

– Prędzej ucięłaby mi jaja – skomentowałem ponuro. – Nasze relacje ograniczają się wyłącznie do Molly, nie planujemy wspólnej przyszłości.

Wzrok Alejandro niewiele mi mówił, ale mogłem się jedynie domyślać, że wysnuł własną opinię.

– Nie licz na odnowienie przysięgi. – Pokręciłem surowo głową, gdy zwróciłem się ku niemu. – To się nie stanie.

– Za bardzo lubisz swoje jaja, co? – Parsknął śmiechem.

Potrząsnąłem głową, a na usta wypłynął mi chłodny uśmiezek.

– To koniec na dziś. – Zamknął laptopa, po czym odłożył go na bok i przekazał mi telefon. – Dobrze go schowaj. Idę się położyć, tobie radzę to samo.

Ścisnąłem jego ramię, zanim odszedł.

– Dzięki.

Popatrzył na moją rękę, po czym na mnie.

– My w Kolumbii nie zapominamy o tych, którzy przelali krew za naszych ludzi. – Poklepał mnie po plecach. – Czuj się jak u siebie.

Kiwnąłem głową. Rzeczywiście, zmęczenie brało górę.

Skierowałem się na piętro i odnalazłem sypialnię, którą miałem dzielić z rudą. Dom nie był wystarczająco duży, by każdy miał osobny kąt, ale miał wystarczające zabezpieczenia, by przetrwać noc na terenie wroga.

Hunter spała z twarzą zwróconą do ściany. Oddychała miarowo, spokojnie, a jej rude kosmyki kontrastowały z białą poduszką.

Schowałem telefon w komodzie. Rozebrałem się, pozostając w samych bokserkach, po czym ułożyłem się u jej boku. Kobięcy zapach dotarł do moich nozdrzy, będąc tak znajomym, że przywołał wiele wspomnień, które myślałem, że zablokowałem.

Przebudziła się, pobudzona obecnością drugiej osoby. Odwróciła się ku mnie, a gdy jej oczy napotkały moje, ujrzałem w nich żal

i cierpienie.

– Jakież wieści? – Szept z jej ust wywołał dreszcz na mojej skórze. Pokręciłem lakonicznie głową.

– Żadnych.

Wypuściła oddech, gdy przewróciła się na plecy. Zanurkowała palcami w kosmykach ognistych włosów i mocno zacisnęła powieki, jakby próbowała z czymś walczyć. I wtedy to zobaczyłem.

Łzy.

Ruda płakała.

Zmrużyłem oczy, nie bardzo wiedząc, co powinienem jej powiedzieć. Nikt nie nauczył mnie okazywania emocji w takich sytuacjach.

– Ona naprawdę jest silna. – Spróbowałem od tej strony.

– Ona ma tylko pięć lat. – Zerknęła na mnie z wyrzutem. – Jak może być silna? To tylko dziecko.

– Zaufaj mi – wychrypiałem nisko. – Rozmawiałem z nią. Wzruszyła się tylko dlatego, że usłyszała mój głos.

Odwróciła się do mnie plecami. Może to i lepiej, bo gdybym miał podtrzymać tę rozmowę, zapewne powiedziałbym coś, co mogłoby ją wyprowadzić z równowagi.

Płakała po cichu. Mogłem to dostrzec przez sposób, w jaki jej ramiona drżały. Ściągnąłem ku sobie brwi. Ta chwila wyjątkowo mi doskwierała.

Jakiś rodzaj obawy przed tym, co miało nadejść, był jak wirus, który każdego dnia niszczył mnie od środka coraz bardziej i bardziej. Mój umysł szukał wyjścia z tej sytuacji, ale im więcej rodziło się pytań, tym mniej znajdowałem na nie odpowiedzi.

Nie mogłem już kontrolować rudej. Mój instynkt samozachowawczy chciał jednak postawić na mroczniejsze metody, by ją zmanipulować, ale wiedziałem, że to nie było dobrym rozwiązaniem.

Tym razem nie była moim wrogiem. Hunter stała po mojej stronie.

Kiedy odkryłem jej tożsamość, gdy mnie zdradziła, gniew zakorzeniony głęboko w moim wnętrzu zagotował się, rozlewając po żyłach jak wrząca lava. Kipiał w środku, żądny zemsty, głodny zniszczenia.

Czułem obrzydzenie, nie tylko wobec niej, ale wobec samego siebie. Zaufałem jej. Naprawdę jej, kurwa, zaufałem. Presja szalejącej burzy destrukcyjnej zmusiła mnie do zrobienia rzeczy, których nie zamierzałem robić. Nie, dopóki nie dowiedziałem się o jej zdradzie przeciwko całej rodzinie. Ośmieszyła mnie, naraziła na utratę honoru, nie tylko mojego, ale także moich ludzi.

W więzieniu miałem czas na przemyślenia, ale mój umysł tętnił tylko jedną pieprzoną myślą:

*Moja żona była pierdoloną pluskwą, rządową kurwą na posyłki.*

I dlatego jej nienawidziłem, ponieważ mnie zdradziła, ponieważ zagroziła moim bliskim, ponieważ osłabiła moją pozycję. Jednak najgorsze było to, że chciałem dać jej to, czego nie zdążyłem ofiarować Biance.

Było mi lepiej żyć z myślą, że ruda nie istniała, więc uśmierciłem ją i pozostawiłem w przeszłości. Chciałem, by cierpiała. Wspomnienia z dnia, w którym odebrałem jej Molly, przetoczyły mi się przez głowę.

Była przerażona, gdy ją znalazłem. Strach w jej oczach mieszał się z bólem. I nagle wszystko, co nas łączyło, stało się głuche, przezroczyście. Pokusa skrzywdzenia jej zatrąła mój krwiobiegi. Czułem, jak jej delikatne ciało wiło się przyszpilone pode mną do podłogi. Nie chciałem jej śmierci, ale moje ego uważało to za nieuniknione. Chciałem ją rozszarpać, udusić, skrócić kark, zmiażdżyć tchawicę, wyrwać flaki, choć gdzieś w tym wszystkim pojawiła się myśl, że między nami jest ktoś jeszcze.

Nasza córka.

Wyobrażenie, że zabrałem jej coś, co stanowiło jej jedyne powód do życia, było bardziej bolesne.

– Ruda? – zapytałem szeptem.

Wypuściła oddech, jakby powietrze ciążyło jej w płucach.

– Co? – wychrypiła głosem zduszonym od łez.

– Chcesz, żebym coś zrobił?

To brzmiało tak cholernie głupio. Po prostu nie wiedziałem, jak właściwie powinienem się zachować.

Odwróciła się ku mnie. Patrzyłem jej w oczy, a ona to podtrzymywała. Wyraz jej twarzy zmienił się ze skonfundowanego



w zagubiony. Przysunęła się, aż kobiece ciało przylgnęło do mojego boku. Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, dopóki nie opuściła głowy na moje ramię. Pozwoliłem, by wtuliła się we mnie, co wydawało się tak zdradzieckie wobec moich myśli.

Była moją bronią, a jednocześnie trucizną. Zagrażała całej mojej rodzinie, ale drugi raz nie ucieknij. Nie miałyby dokąd uciec. Potrzebowała jedynie zrozumieć, że to mnie potrzebuje do przeżycia.

Spojrzenie kobiety skrzyżowało się z moim, gdy zorientowałem się, że na mnie patrzyła. Obniżyłem wzrok do jej ust, przy których zaplątał się niesforny kosmyk rudych włosów. Przesunąłem palcem po jej policzku, by zaczesać pukiel do tyłu. Hunter zareagowała cichym westchnieniem na to delikatne tarcie naszych skór.

– Co robisz? – wydobyła szeptem.

Nie wiedziałem. Nie odpowiedziałem i pociągnąłem pościel w dół, odsłaniając kawałek po kawałku kobiece ciało. Ruda miała na sobie jedynie przydługą koszulkę i majtki. Przez bawełniany materiał mogłem dostrzec jej sutki.

Zmieniłem pozycję. Rozstawiłem ramiona po obu stronach jej ciała, a moje usta odnalazły zagłębienie w jej szyi. Przez chwilę wydawała się nie oddychać, dopóki nie usłyszałem, jak dyszy. Kobiece dłonie spoczęły mi na plecach. Zsunąłem dłonie do jej nóg, rozchylając je przed sobą, po czym owinałem je wokół swoich bioder.

Poczułem, że zastygła.

– Saint, nie.

Moje palce zamarły przy jej bieliźnie. Zmarszczyłem brwi, gdy podniosłem na nią wzrok.

– Co?

Spięła się, przesuwając spojrzeniem do mojego fiuta skrytego jeszcze pod materiałem bokserek. Sięgnęła moich ramion, zmuszając mnie do cofnięcia się. Odsunęła się pod samą ścianę i okryła koldrą po szyję.

– Tamten ostatni raz to był błąd – powiedziała szorstko. – Nie chcę znów tego z tobą robić. Poza córką nic nas nie łączy. Po tym, kiedy to piekło się skończy, nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Nie spodziewałem się negacji z jej strony. Kącik moich ust leniwie drgnął.

– Mylisz się – mruknąłem, podnosząc się z łóżka.

Założyłem spodnie, a następnie koszulkę i buty. Zerknąłem na zdezorientowanie rodzące się na zarumienionej twarzy.

– Tym razem nie pozwolę ci uciec – zapewniłem, zanim opuściłem pokój.

## ROZDZIAŁ 25

### *Saint*

Szturchnięcie w ramię wyrwało mnie ze snu. Rozchyliłem powieki, a ujrzawszy nad sobą Édera, zmarszczyłem brwi. Musiałem zasnąć na kanapie w salonie po tym, jak długo męczyłem się z zaśnięciem.

– Co jest? – mruknąłem ospale.

– Fábio zniknął.

Podniosłem się do siadu. Przetarłem ręką twarz, przeganiając resztki snu.

– Może gdzieś poszedł. – Ziewnąłem w ramię. – Poważnie budzisz mnie w tej sprawie? Nie jestem jego niańką.

– Saint, on zniknął – powtórzył z warknięciem. – Wyszedł wczoraj po naszej kłótni i nie wrócił.

– Jak to nie wrócił?

– Jego rzeczy są tutaj, ale jego jak nie było, tak nie ma. – Wyglądał na szczerze poirytowanego. – Mówiłem, że on coś kombinuje.

Przyglądałem mu się przez chwilę, dopóki nie wypuściłem powietrza z ust. Byłem kurewsko głodny, a do tego niewyspany.

– Fábio ma problemy ze złością. Dobrze wiesz, jak działają na niego takie awantury. – Podniosłem się z kanapy, po czym skierowałem się do części kuchennej. – Często znikał, zazwyczaj po to, by kogoś poturbować. To żadna nowość.

Otworzyłem małą spiżarnię. Nie była zbyt hojnie wyposażona, ale nawet żarcie z puszki wydawało się wystarczającą opcją. Otworzyłem ją, po czym wylałem zawartość na rozgrzaną patelnię.

Ruda zeszła do kuchni. Włosy związała w wysoki kucyk, a ciało skryła pod bokserką i ciemnymi spodniami. Nawiązaliśmy spojrzenie, gdy znalazła się obok.

– Nie wiedziałam, że gotujesz.

– Dużo rzeczy o mnie nie wiesz – rzuciłem szyderczo. – A to jest wojskowa racja żywnościowa.

– Hmm... – Zerknęła mi przez ramię na patelnię. – To wygląda jak wyrzygane kawałki mięsa z ryżem.

– I prawdopodobnie podobnie smakuje – mruknąłem z niesmakiem.

Gdy jedzenie było gotowe, przerzuciłem je do głębokiego talerza i wsunąłem. Marchewa postawiła na coś bardziej amerykańskiego, jak omlet, który sama przygotowała.

Éder wrócił na górę, pozostawiając nas samych. Wyczułem, że ruda na mnie patrzy. Uniosłem głowę, nawiązując spojrzenie z właścicielką zielonych oczu. Wyglądała na zmęczoną, jak my wszyscy.

– Dobrze spałaś? – zapytałem od niechcena.

Wydawała się zaskoczona, jednak zamarkowała to wzięciem gryza omleta.

– Wybornie – wymamrotała niemal pogardliwie. – Całe łóżko dla mnie.

Chłód i gniew w jej głosie sprawiały, że czułem się zaatakowany.

– O co ci, kurwa, chodzi?

– Mnie? – parsknęła. – Zapytaj swoich stu popierdolonych oblicz.

Patrzyłem na nią jak na wariatkę. Zgarnąłem talerz, po czym wpierdoliłem go do zlewu. Niefortunnie pękł.

– Co? – Odwróciłem się ku niej. – Co znowu zrobiłem?

Pokręciła głową w milczeniu. Wyrzuciła resztki ze śniadania do śmietnika, a następnie odstawiła naczynie. Oparłem dłoń na blacie, przytrzymując ją w klatce własnych ramion. Stawiła mi czoła.

– Naprawdę o to pytasz? – Przeskakiwała mi oczami po twarzy.

Ściągnąłem ku sobie brwi. Nie miałem pieprzonego pojęcia, o czym mówiła.

– To, że raz daliśmy się ponieść emocjom, nie oznacza, że będziemy pieprzyć się za każdym razem, gdy tylko najdzie cię na to ochota. – Zadarła brodę, walecznie podtrzymując kontakt wzrokowy. – To był jeden jedyny raz i nie licz na więcej.

– Jak na kogoś, kto nie chce uprawiać seksu, zbyt dużo o tym mówisz. – Zlustrowałem ją, a moje oczy zatrzymały się na niej.

Cofnęła głowę, jakbym ją uraził. Alabastrowa twarz nabrała rumieńców. Bez wyrazu gniewu zdobiącego twarz, była gotowa wymknąć się spomiędzy moich ramion. Cisza sprawiła, że wszystko stało się jeszcze bardziej niewygodne. Atmosfera między nami była napięta i skomplikowana. Żadne z nas nie wyrażało chęci do mówienia.

– Nie byliśmy nawet prawdziwym małżeństwem – zrewanżowała się.

– Ale to, co czuliśmy, było prawdziwe.

– Prawdziwe? – Wyrzuciła brwi w górę. – Jedyne, co w tym pieprzonym gównie było prawdziwe, to fakt, że próbowałeś mnie zabić. – Lekkie drzenie w kobiecym głosie zdradziło jej stan.

Patrzyłem na nią, jednak jej wzrok uciekł w bok. Nachyliłem się, a moje usta zawisły centymetry nad delikatną szyją. Mogłem przysiąc, że puls jej przyspieszył.

– Mój świat jest inny niż twój, ruda. – Mój gorący oddech emanował na jej skórę.

Przełknęła ślinę. Przekręciła głowę, wlepiając odważne spojrzenie w moje oczy.

– Masz rację – zgodziła się szeptem. – Dlatego nigdy nie stworzymy niczego dobrego.

– Ale... – Zawiesiłem głos w chwili zamyślenia. – Moglibyśmy.

Oczy jej zapłonęły, gdy wwierciła się we mnie spojrzeniem. Musiała minąć chwila, zanim znów usłyszałem jej głos. Stworzyła niewielki dystans między nami, gdy bardziej wtuliła się w kuchenne szafki za sobą.

– Ty... ty mówisz poważnie?

– Tak.

Ramiona jej opadły. Na chwilę rzeczywiście przestała walczyć. Zmarszczyła czoło, a z jej ust padło gorzkie prychnięcie.

– Co, do cholery, jest z tobą nie tak? – Wyrwała się z moich ramion, odsuwając się na bezpieczną odległość. – Najpierw traktujesz mnie jak gówno, upokarzasz, a później... – Zamachała ręką w powietrzu. – Upadłeś na głowę?

Zmrużyłem oczy na jej słowa. Cóż, nie takiej odpowiedzi się spodziewałem, ale nie wszystko musiało iść zgodnie ze

scenariuszem.

– Co ty myślałeś, Saint? – Niemal szczypała mnie spojrzeniem, jej oczy wbijały mnie w ścianę. – Że po tym wszystkim, co zrobiłeś, będziemy tworzyć kochającą się rodzinę? Niejednokrotnie dawałeś mi jasno do zrozumienia, że nie jestem warta twojej uwagi. Nie zależy ci na mnie.

– Nie. – Wciągnąłem orzeźwiający powiew powietrza. – A ty? Sądziłaś, że rzucę ci się do stóp po tym, jak mnie zdradziłaś?

– Gdybym miała podjąć wybór... – stanęła ze mną twarzą w twarz – ...zrobiłabym to jeszcze raz, ponieważ nie ma w tobie ani krzty dobroci.

Zacisnąłem szczęki do tego stopnia, że byłem pewien, że zaraz je złamię. Wiele rzeczy przebiegło mi przez głowę, jednak żadna z nich nie należała do najlepszych.

Zaschło mi w ustach na samo wspomnienie mojego aresztowania.

– Kłamiesz – wypaliłem. – Błagałaś mnie tego dnia, żebym ci wybaczył.

Wyglądała tak, jakby zgubiła głos w gardle, choć w jej oczach była pewna intryga, uraza, może nawet i gniew.

– Gdybyś mnie nie zdradziła, zapewniłbym ci wszystko, o co tylko byś mnie poprosiła. – Ponownie zmniejszyłem dzielący nas dystans.

– Uniknęłabyś upokarzania się przed agencją, tułania się po mieszkaniach w slumsowych dzielnicach, a moja córka miałaby poziom życia, którego sama nigdy nie zdołałabyś jej zapewnić.

– Jakim kosztem? – Wygięła arogancko brwi w górę. – Życia w wiecznym strachu? Narażona na zamordowanie na każdym pieprzonym kroku? – Założyła ramiona pod piersiami i parsknęła. – Też mi życie.

Uśmiechnąłem się leniwie, co wywołało piętrzący się wyraz irytacji na jej twarzy. Uniosłem dłoń do policzka kobiety, a kciukiem wyznaczyłem linię jej zuchwy.

– To wszystko można jeszcze zmienić – zapewniłem w przekonaniu. – Spójrz tylko, razem tworzylibyśmy potęgę.

– Wolalabym wylizać publiczną toaletę, niż kiedykolwiek pozwolić ci wrócić do mojego życia. – Podtrzymała surowe spojrzenie.

Zaśmiałem się, szczerze rozbawiony.

– Uwielbiam te nasze słowne potyczki.

– Zanim będziesz próbował zrobić to po raz kolejny, coś ci powiem... – Wsparła się na moich ramionach, stanęła na palcach i zbliżyła swoje usta do moich, unosząc na mnie zielone oczy. – Nienawidzę cię – wychrypiała nisko – i żadna siła w tym świecie tego nie zmieni.

– Dobrze – zgodziłem się szeptem. – Bo ja też cię nienawidzę.

Mój wzrok instynktownie padł na jej usta. Pełne, nieco spierzchnięte i błagające o pocałunek.

– Przynajmniej w jednym jesteśmy zgodni. – Znow ściszyła głos. – To ci nowość.

– Zgadząmy się w wielu rzeczach – przypomniałem jej. – Oboje jesteśmy zepsuci, ruda. Ty po prostu jeszcze tego nie odkryłaś.

– Podaj przykład. – Testowała mnie.

Wygiąłem brew. Cóż, o tym nie pomyślałem.

– Podoba ci się krew – zacząłem, wracając spojrzeniem do jej oczu. – Lubisz brutalność, lubisz, gdy ktoś cię błaga – wymieniałem, czując wewnętrzną satysfakcję. – Przyznaj, że niejednokrotnie miałaś ochotę na rozszarpanie kogoś na strzępy, ale narzucona ci prawość i moralność zawsze cię przed tym powstrzymywały. Wtedy zrozumiesz, że różnice między nami są znikome.

Zassała powietrze, tym razem to jej oczy na sekundę opadły do moich ust.

– Kręciłoby cię, gdybym była morderczynią, co? – wymruczała, zawieszając wargi centymetry od moich.

– Och... – przeciągnąłem, uśmiechając się przebiegle. – Nawet nie wiesz jak bardzo.

Ledwie musnęła moje usta. Zanim zdążyłbym zamienić to w plątaninę ciał i walających się dookoła rzeczy, przystawiła mi palec do warg.

– Więc będziesz musiał obejść się smakiem. – Posłała mi jeden z tych swoich zwycięskich uśmiezków, zanim zdecydowała się wymusnąć z pułapki moich ramion.

Nie tym, kurwa, razem.

Przyciągnąłem ją za ramię. Złapałem ją za biodra, po czym usadziłem na blacie przed sobą. Zmiażdżyłem jej wargi swoimi,

rozwierając je i wsuwając język. Wyszarpałem rude włosy z gumki, wczepiłem palce w jej czaszkę i przyciągnąłem jeszcze bliżej. Nie oponowała, wychodząc mi naprzeciw.

Osunąłem jej spodenki z bielizną, po czym pospiesznie rozpiąłem skórzany pas, a za nim guzik i rozporek. Chwyciłem kutasa w dłoń, po czym wszedłem w jej wilgotną cipkę. Jęknęła pod moimi ustami, gdy wypełniłem ją do samego końca.

Wplotłem palce w jej ogniste włosy i zacisnąłem na nich pięść. Popatrzyła mi w oczy nieco zamglonym spojrzeniem.

– Widzisz? – wychrypiałem tuż nad jej czerwonymi wargami. – Oboje jesteśmy popierdoleni, ruda.

– Och, pierdol się. – Warknięcie zmieniło się w rozkoszny okrzyk, gdy się w niej poruszyłem.

Rozszerzyłem jej nogi na tyle, na ile była w stanie to znieść. Zawiesiłem wzrok na jej nabrzmiałej cipce, gdy zwolniłem pchnięcia. Zsunąłem kciuk, by pocierać nim wzdórek.

Ruda zadrżała na ten ruch, pojękując mi w szyję. Zarzuciła mi dłonie na ramiona, a paznokciami przesuwiała od karku w dół pleców. Jej wilgoć pokrywała mi każdy centymetr fiuta. Patrzenie na to, jak mnie przyjmuje, było hipnotyzujące.

Pochyliłem głowę do zagłębienia jej szyi, jęcząc nisko w alabastrową skórę. Ugniatałem jej tyłek palcami, gdy zacząłem ją rznąć. Szafki kuchenne i ich zawartość pobrzękiwała w akompaniamencie odgłosów naszych ciał. Talerz spadł i stłukł się niedaleko moich stóp. Garnek załomotał o podłogę.

– Och... – Zdławiła słowa, gdy jęk przedarł się przez jej usta. – Boże... Saint...

Czułem, jak zaciskała się na moim kutasie. Wiedząc, że zaczynała dochodzić, zacząłem ją bezlitośnie rznąć. Ostre zakończenia jej paznokci raniły mi plecy, ale ból był kurewsko przyjemny.

Drżała przy mnie, niemal kwiląc w przyływie orgazmu. Nie przerywając pieprzenia, owinąłem palce wokół jej gardła, czym wymusiłem na niej patrzenie na mnie. Choć zielone oczy były niemal nieobecne, ujrzenie jej w tym stanie doprowadziło mnie do tryśnięcia w niej.



Obniżyłem głowę, a moje usta spoczęły na ozdobionym gęsią skórą ramieniu.

– Kurwa, kocham cię – wyrwało mi się z gardła.

Ruda nawet nie drgnęła. Zdałem sobie sprawę, że powiedziałem to po portugalsku. Ugryzłem się w wargę. Co, do cholery? Przecież wcale tak nie myślałem.

– Co? – wymamrotała mi w tors.

Wysunąłem się z niej i schowałem penisa do bokserek.

– Co?

– Co powiedziałeś? – Jej głos wciąż był nieco ochryply.

Naciągnąłem spodnie i zapiąłem pas. W głowie kotłowało mi się zbyt wiele myśli.

– Nic nie powiedziałem – odparłem z przekonaniem.

Zeskoczyła z blatu, po czym sama doprowadziła się do porządku.

– Powiedziałeś – stwierdziła z pretensją. – Słyszałam.

– Po prostu przekląłem. – Przesunąłem stopą odłamki talerza pod sam śmietnik, by się nie skaleczyła.

Nie ciągnęła rozmowy i dzięki ci, kurwa, Boże.

*Co jest z tobą, do diabła?*, karcilem się w myślach.

– Idę pod prysznic.

Starąłem się na nią nie patrzeć, gdy odchodziła w stronę schodów. Mięśnie mojej szczęki stwardniały z gniewu, jaki przeszywał ciało. Zawiesiłem wzrok na ręce, być może dlatego, że to jedyny wskaźnik tego, jak daleko poza kontrolą się znalazłem. Wypuściłem oddech ciężący mi na płucach i oparłem głowę na ścianie za sobą.

Odgłos kroków na drewnianych stopniach zwrócił moją uwagę. Pomyślałem, że to ruda, więc wróciłem do salonu, ale w odbiciu lustra zawieszzonego na ścianie dostrzegłem Édera.

– Już? Skończyliście się pieprzyć? Można spokojnie tu chodzić? – Kpina z jego głosu zawisła w powietrzu jak odór cebuli.

Posłałem mu spojrzenie, pod którym nabrał powagi. Uniósł dłonie w poddańczym geście, uważając, by nie rozlać piwa z butelki.

Rozsiadłem się na skórzanej sofie i odchyliłem głowę na oparcie.

– Wiadomo, co z Fábio?

– Jeśli zamierza nas zdradzić, to mam nadzieję, że jest martwy. – Opadł w fotelu po skosie i pociągnął łyk piwa.

– Przestań, kurwa – warknąłem.

Przyglądał mi się znad butelki, mrużąc przy tym oczy, jakby próbował dodać coś jeszcze. Na jego szczęście zamknął mordę.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Byłem gotowy złapać za broń leżącą na stole. Palce zamarły mi centymetry nad spluwą, gdy zobaczyłem, że to Alejandro.

– Twój człowiek... – wydyszał, opierając dłonie na kolanach. – Wiem, gdzie jest.

Poderwałem się z kanapy. Coś w jego oczach sprawiło, że zatrzymałem się w pół kroku.

– Fábio? – Nie kryłem nadziei.

Potrzebował chwili, by złapać oddech. Przeciągająca się cisza doprowadzała moją krew do wrzenia.

– Kurwa, gadaj! – Ryk, który wyrwał mi się z piersi, niemal wstrząsnął domem.

– Tak, on. – Pokiwał energicznie głową. – *Os falcões* obserwowali ulice. Podobno twój egzekutor zaatakował główny teren kartelu – mówił zziębnięty. – W przeciągu siedmiu minut w różnych punktach miasta wybuchły bomby. – Zamachał ręką, wskazując na telewizor. – Włącz wiadomości.

Niewiele byłem w stanie wywnioskować z tego, co mówił. Chwyciłem za pilota i z mrowieniem w opuszkach palców wcisnąłem przycisk. Zmieniałem kanały, dopóki na ekranie nie ukazało się wydanie na żywo.

Kłęby dymu na obrzeżach miasta. Kilka zastępów straży pożarnej wciąż gasiło pożary. Wszędzie byli gliniarze, którzy najwyraźniej szukali dowodów na to, jak doszło do wybuchu. Kilka czarnych worków leżało na ziemi, a ostatni z nich zapinany był przez jednego z mundurowych.

– Wojna między gangami urosła do większych rozmiarów – mówił reporter. – W zamachach bombowych w Santa Maria, w stanie Rio Grande do Sul zginęło siedmiu członków z lokalnego kartelu, w tym prawa ręka przywódcy – kontynuował z powagą w głosie. – *Comando Escuridão* coraz częściej rozbrzmiewało w nagłówkach wiadomości. Znani są ze swojej brutalności i wyjątkowo szybko rozrastającej się siatki narkotykowej. Nie mamy jednak pewności, czy padnie

odpowiedź ze strony gangu. Mieszkańców prosi się o pozostanie w domach do czasu, gdy sytuacja się nie ustabilizuje.

Wpatrywałem się w nadawany obraz, a w głowie rodziło mi się coraz więcej pytań.

– To musiał być Fábio. – Równie zaskoczony głos Édera dotarł do moich uszu. – Swego czasu korzystał z takich ładunków, ale nie sądziłem, że jeszcze kiedyś do tego wróci.

– Twoje słowa w takim razie musiały mocno go uderzyć. – Alejandro łypał na niego okiem. – Jeżeli tak przeżywa urazę swojej dumy, to niech mnie... – Zagwizdał.

Telefon zawibrował mi w kieszeni. Chwyciłem za niego. Na ekranie pojawiła się wiadomość od egzekutora. Nie było żadnej treści, z wyjątkiem „M.”. Moment uświadomienia dotarł do mnie po kilku sekundach.

*M... Molly.*

– Fábio wysłał wiadomość. – Przekazałem komórkę Kolumbijczykowi. – Musimy namierzyć jego lokalizację.

Potaknął. Przysiadł na kanapie z laptopem, a jego palce przebiegały po klawiaturze.

Wplotłem palce we włosy z jękiem pełnym frustracji. Nie miałem pojęcia o stanie Fábio. Żywiłem jednak nadzieję, że zdążył się ukryć, zanim te skurwysyny odkryłyby, że to on stał za zamachem.

Ale to by oznaczało, że byliśmy blisko.

## ROZDZIAŁ 26

### *Asteria*

Dom zalała kompletna cisza, gdy zesłam na parter. Saint siedział pochylony na sofie. Dyskutował z Alejandro, który przebierał palcami po klawiaturze laptopa. Éder prowadził intensywną rozmowę telefoniczną, wyglądał na zdenerwowanego.

Napięta atmosfera w pokoju udzieliła się i mnie.

– Co się stało? – Było pierwszym, o co zapytałam.

McCann uniósł na mnie spojrzenie. Z westchnieniem podniósł się z miejsca. Mogłam dostrzec zarys jego napiętych mięśni pod koszulką, wyglądał na spiętego.

– Fábio wywołał zamieszanie w mieście przez wysadzenie kilku budynków. – Skrzyżował ramiona na torsie i odwrócił wzrok w bok. – Prawdopodobnie wie, gdzie jest Molly.

Serce podeszło mi do gardła, a załamek nadziei ponownie we mnie zakwitł. Instynktownie oparłam czoło o tors mężczyzny.

– Proszę, żeby to była prawda – odparłam szeptem.

Saint nie miał oporów przed położeniem dłoni na tyle mojej głowy. Byłam zdziwiona gestem głaskania z jego strony, a jednak to małe wsparcie pomagało mi w przyjęciu informacji, że nasza córka żyje.

– Gdzie on teraz jest? – Uniosłam spojrzenie, napotykając chłodne oczy.

Poruszył szczękami, a gdy je zacisnął, poczułam ukłucie w głębi siebie.

– Obawiam się, że celowo dał się im pojmać. – Cofnął się o krok, wymazując wspomnienie dotyku na mojej skórze. – Alejandro próbuje go namierzyć.

Pokiwałam głową na znak, że rozumiem. Nie obchodził mnie jego los. Miałam gdzieś to, czy przeżyje, czy też nie. Nie pałał do mnie sympatią, a ja nie pozostawałam mu w tym dłużna. Mogłam śmiało stwierdzić, że był bardziej popapwany od McCanna.

Miałam jednak nadzieję, że doprowadzi nas do córki.

– Mam! – Kolumbijczyk poderwał się z sofy z okrzykiem.

Saint przejął od niego laptopa. Stojąc u jego boku, mogłam dostrzec współrzędne i pulsujący punkt na mapie.

– Éder, wyślij tam nasze oddziały – rzucił rozkaz. – Jedziemy tam.

Napięcie przelało się przez moje ciało. Nie chciałam kolejny raz napawać się złudnym uczuciem, że wreszcie zobaczę córkę, lecz tym razem gdzieś z tyłu głowy budził się we mnie załazek nadziei, że się uda.

– Wspomożemy was – zapewnił Alejandro, ściskając ramię McCanna. – Nie zostawimy naszych braci.

Szatyn skinął mu głową.

– Odpłacimy się wam.

Przedstawiciel kolumbijskiej rodziny zabrał nas do podziemi. Wąskie korytarze prowadziły do osobnego, zabezpieczonego pomieszczenia. W przeszklonych szafach zawieszony został arsenał. Mężczyzna przycisnął kciuk do skanera, odblokowując każdą z nich.

– Częstujcie się – rzucił z wilczym uśmiechem.

Miałam już sięgnąć po masywny karabin, jednak Saint był szybszy. Złapał mnie za nadgarstek, wymuszając tym spojrzenie na siebie.

– Jest mało precyzyjny jak na szybkie strzały.

Wygięłam niepewnie brwi. Wierzyłam mu, bo niewątpliwie w rozróżnianiu i posługiwaniu się bronią miał zdecydowanie większe doświadczenie.

Złapał za karabinek automatyczny. Przyjrzał mu się z każdej strony, po czym przeniósł oczy na mnie.

– Ten będzie idealny.

Wygięłam delikatnie kącik ust w odpowiedzi. Zlustrował moją twarz, by za moment cofnąć się i sięgnąć po coś dla siebie.

Broń nie była zbyt ciężka, co zdecydowanie ułatwiało trzymanie jej w rękach. Przycisnęłam kolbę do ramienia, pochyliłam głowę i zerknęłam przez celownik kolimatorowy. Szybko mogłam

stwierdzić, że jego zaletą było zwiększenie precyzji strzału i możliwość oddania go nawet w ciemności.

McCann trzymał w swoich ramionach coś bardziej złożonego. Wyglądało jak karabin, choć z dużo większym bębniem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że trzymał granatnik.

– Jesteś pewien? – Zerknęłam na niego z powątpiewaniem.

– Jak cholera. – Błysnął do mnie chłodnym uśmiechem.

– Tylko nie zrób sobie krzywdy – prychnęłam, gdy był tak zgubnie pewny siebie.

Przygotowanie do akcji zabrało nam trochę czasu. Podczas rozmów, które mężczyźni prowadzili z oddziałem uderzeniowym podlegającym obu przedstawicielom rodzin, Saint dwa lub trzy razy powtórzył, że mam trzymać się z boku i nie szarżować z bronią. Oczywiście było, że nie chciał powtórki z ostatniej akcji.

Ktoś z nas musiał wyjść z tego cało, by zająć się Noelle.

Miasto oblała głucha noc, gdy wsiedliśmy do wozów. Nad malowniczą doliną wciąż gdzieś unosili się kłęby dymu, zapewne wywołane miejscowymi wybuchami.

Saint zajął miejsce obok mnie. Nawiązaliśmy spojrzenie i przez kilka chwil wydawało się, że czas stanął w miejscu. Staralam się nie płakać, jednak dolna warga mi drgnęła. Wypuściłam roztrzęsiony oddech.

– Ciii... – szepnął mi we włosy. – Łzy popsują ci ostrość widzenia.

Nie wiedziałam, czy płakałam z ulgi na myśl, że tym razem naprawdę byliśmy blisko, czy może dlatego, że bezradność wzięła nade mną górę, ponieważ tak bardzo bałam się ponownego rozczarowania.

Nie marzyłam o niczym innym, jak wrócić z nią do domu.

– Odzyskamy ją. – Jego ochryply głos przebił się przez moje mury.

Potaknęłam. Innej opcji nie brałam pod uwagę.

Obserwowałam oddalający się obraz siedziby za oknem i choć było już ciemno, to światła z gospodarstw przebijały się przez mrok.

W oddali dostrzegłam plac zabaw, znajdował się na terenie kolorowego obiektu przedszkolnego. Moje serce ścisnęło się boleśnie na wyobrażenie tego, że wreszcie będę miała okazję zabrać córeczkę do miejsc, które zapewne musiały ją ominąć.

Wątpliwym faktem było, aby McCann zabierał naszą córkę chociażby do parku. Wystawianie jej na widok publiczny, nie licząc przemieszczania między punktami, niewątpliwie nie było w jego stylu.

Zatrzymaliśmy się w otoczeniu mało przyjaznego budownictwa.

Otoczona lasem okolica wyglądała jak wstęp do horroru, którego wolałabym nie oglądać, a jednak będę zmuszona wziąć w nim udział.

Przełknęłam ślinę tak głośno, że Saint posłał mi zaskoczone spojrzenie.

– Chyba się nie boisz, co?

Jego heroizm i bycie wiecznie nieustraszonym czasem naprawdę mnie przerażało.

– Brałam udział w rozbiciu siatki terrorystycznej – skomentowałam, wzruszając nonszalancko ramieniem. – To niewiele się różni od tych gości.

Parsknął suchym z emocji śmiechem i potrząsnął głową.

– Na co czekamy? – zapytałam, gdy nic się nie działo.

– Na to, aż nasi obserwatorzy dadzą nam znać, że możemy wkroczyć. – Odwrócił głowę do okna, a jego palce pewniej owinęły się wokół kolby granatnika. – Nie jesteśmy tu sami. Nasi snajperzy rozstawili się w górach. Przekupiliśmy miejscową ludność. Trzy helikoptery spatrołowały okolicę. – Odwrócił ku mnie głowę, a kącik jego ust powędrował nieznacznie w górę. – Tym razem mamy przewagę liczebną. Zmiażdżymy tych pieprzonych harcerzyków.

Miałam cholerną nadzieję.

Usłyszałam coś w słuchawce. Mężczyźni rozmawiali między sobą po portugalsku. Saint wreszcie odwrócił ku mnie głowę, a jego wzrok przewiercał się przeze mnie.

– Gotowa?

Ścisnęłam mocniej broń w dłoniach, panując nad ich drzeniem.

– Gotowa.

– Dobrze – powiedział z dłonią na klamce. – Bo wchodzimy.

Drzwi wozu rozsunęły się po obu stronach. Wskoczyłam tuż po dwóch uzbrojonych facetach. Czerń naszych mundurów wpasowała się w uliczny mrok.

Moje oczy przeskanowały okolicę. Posesja, którą mieliśmy podbić, rozciągała się na kilka arów w otoczeniu tak gęstego lasu, że nawet gdyby ktokolwiek miał się skryć wśród drzew, to z pewnością nie byłabym w stanie go dostrzec.

O wilku mowa. Spomiędzy gąszczy jak mrówki, jeden za drugim wymaszerowały oddziały uderzeniowe. Członkowie kartelu, którzy strzegli bezpieczeństwa, padali jak ćmy. Nie słyszałam strzałów, co zapewne świadczyło o użyciu tłumików.

Saint stanął u mojego boku. Z jakiegoś powodu poczułam się pewniej, gdy czułam jego obecność.

– Jak sytuacja? – zapytał.

– Strażnicy w obrębie posesji zostali wyeliminowani – usłyszałam w słuchawce. – Obserwujemy ruch.

– Czy w budynku na pewno znajdują się członkowie kartelu? – McCann najwyraźniej potrzebował zapewnienia.

– Trwa identyfikacja celów. – Męski tembr rozbrzmiał mi w uchu. Półminutową chwilę ciszy przerwał ten sam głos: – Potwierdzam, członkowie kartelu znajdują się w domu.

Serce zadrżało mi w piersi. Skok adrenaliny najwyraźniej dawał o sobie znać. Czułam się jak dzikie zwierzę gotowe do obrony własnego życia.

– Góra ostrzelała uzbrojone cele w okolicy przy użyciu działka – przekazał ktoś nieznanym mi głosem. – Wypatrujemy wyłącznie ludzi z karabinami, nie strzelamy do cywilów.

Czyli jednak potrafili być humanitarni.

– Likwidować jakikolwiek opór – zarządził Saint. – Jeśli pierwsi znajdziecie dziewczynkę, przetransportujcie ją w bezpieczne miejsce. Christiana zostawcie mnie, pojmijcie go żywcem. Po wszystkim zrównajcie posesję z ziemią.

Zaprzysiężenia przyjętego rozkazu wylały się ze słuchawki niczym chóralna fala.

– Pierwszy wkracza oddział uderzeniowy. Egzekutorzy wyrzynają wrogów. Nasza grupa zajmie się dotarciem do sojusznika i dziewczynki – usłyszałam Alejandro. – Na mój znak.

Przymknęłam powieki, biorąc głęboki wdech. Nocne powietrze Santa Maria wypełniło mi płuca. Czułam, jak moje mięśnie spięły się



w oczekiwaniu na rozkaz. Trzymałam palec wskazujący w okolicy spustu, gotowa do wystrzału.

– Ruda?

Zwróciłam głowę do Sainta. Nie chciałam, by wyprowadził mnie z równowagi. Wygięłam brwi, gdy zerkał na mnie z dziwnym błyskiem w oku.

– Nie daj się zabić – powiedział ściszym głosem.

Nie odpowiedziałam. Nie próbowałam też rozgryźć, co spowodowało u niego taką postawę. Jeszcze przez chwilę wpatrywałam się w jego profil, dopóki do uszu nie dotarło jedno słowo, które miało rozpocząć akcję:

– Już!

Wpatrywałam się z oddali w rozgrywającą się przed moimi oczami scenę. Kompania uzbrojonych mężczyzn wtargnęła do środka posiadłości każdym możliwym wejściem. Odgłos wystrzałów nie był słyszalny, ale widoczne błyski dawały znać o użyciu broni.

– Kiedy ruszamy? – Wlepiłam wzrok w McCanna.

Nie patrzył na mnie. Uniósł dłoń na wysokość piersi, jakby czegoś wyczekiwał. Nagle stał się chłodny, bardziej drapieżny jak zwierzyzna gotowa do ataku.

Miałam wrażenie, że cisza się przeciągała, a narastające napięcie trawiło mnie żywcem. Spośród tak wielu akcji, które przeszłam w życiu, ta zdecydowanie się wyróżniała. W agencji przynajmniej panowały jakieś zasady, dekalog moralny czy poprawność polityczna, która zakazywała nam wielu działań dotyczących chociażby pociągnięcia za spust.

Ale tutaj? W świecie mafii czy karteli jedyną zasadą było: zabij albo zostań zabity. A ja nie miałam zamiaru dzisiaj zginąć.

– Teraz! – zagrzemiał Saint.

Chociaż moje nogi były jak z waty, biegłam, ile tylko znalazłam w sobie sił. Przykucnęłam przy ścianie prowadzącej do wejścia. Trzymając palec w pobliżu spustu, wychyliłam nieznacznie głowę, by ocenić sytuację.

Krew oznaczyła ściany, podłoga była w niej skąpana, jak gdyby stado zwierząt przeszło przez ubojnię. Horror rozgrywał się na moich oczach.

Wtargnęłam do środka posiadłości w towarzystwie mężczyzn. Wykorzystałam przewróconą szafę do osłony.

– Parter czysto – usłyszałam w słuchawce głos Alejandro. – Zostaniemy tu, na wypadek gdyby wpadła tu hołota. Ruda, ruszaj do podziemi, chłopcy będą cię osłaniać.

– Przyjęłam – odparłam.

Grad kul rozbrzmiewał z górnych kondygnacji. Krzyki pełne rozkazów mieszały się z jękami agonii.

Nie zważając na martwe ciała, starałam się zlokalizować zejście do podziemi. Z przyciśniętym do piersi karabinem biegłam przez korytarz, by odnaleźć wejście, ale nie byłam w stanie dostrzec żadnego.

– Nie widzę zejścia – powiedziałam zrezygnowanym głosem.

– Ruda, to może być ukryte przejście. – Tembr Santa przetoczył się przez moje uszy. – Kartele wykorzystują podziemia do szybkiej ucieczki. Znajdź jakąś szafę, regał, cokolwiek.

Ale nic tu, do cholery, nie było!

Rozejrzałam się dookoła. Biegałam od miejsca do miejsca z poczuciem, że coś przeoczyłam. I wtedy to dostrzegłam.

Kafel pod moją stopą drgnął w przeciwieństwie do pozostałych. Padłam na kolana i wsunęłam palce pod ruchomy element. Poderwałam część podłogi do góry, a moim oczom ukazało się wejście prowadzące w dół. W środku jednak panował kompletny mrok.

Nie było czasu na przemyślenia.

Zbiegłam w dół skrzypiących schodów. Ustawiłam karabin na ramieniu, a przez celownik starałam się wyłapać ruch w zasięgu mojego wzroku. Czułam swój gorący oddech, słyszałam jak łomotało mi serce. Krew tętniła mi w głowie w niezmiernie prędkim tempie, a jednak adrenalina pomagała w zachowaniu zimnej krwi.

Cień mignął tuż zza ściany. Oddałam strzał, napotykając niski, przeciągły jęk. Mężczyzna z łoskotem padł na ziemię, a gdy spróbował wymierzyć ku mnie broń, pociągnęłam za spust. Krew trysnęła mu z głowy, wtulił twarz w kamienne podłoże. Wokół niego zebrała się rubinowa kałuża.

Zwolniłam oddech. Jeden padł. Byłam gotowa na kolejnych.

Gorące tchnienie musnęło mi kark. Zanim zdołałabym wykonać cios, męska dłoń przycisnęła się do moich ust.

– To ja. – Głos Sainta przyniósł poczucie ulgi. Puścił mnie. – Góra jest czysta. Musimy iść. – Kiwnął głową w głąb korytarza.

Potaknęłam w odpowiedzi. Ruszył pierwszy, wyrывая się naprzód w pełnej krasie determinacji. Odwróciłam głowę z przyzwyczajenia, by sprawdzić, czy nikt nas nie śledził. Droga była czysta.

Zauważyłam, że mężczyzna wymienił granatnik na karabin. Jego był nieco masywniejszy od mojego. Zatrzymaliśmy się przed drewnianymi drzwiami z kłódką.

– Odsuń się – mruknął.

Cofnęłam się o krok. Wymierzył w zabezpieczenie, oddał strzał, a metal zazgrzytał. Blokada zwolniła. Saint otworzył drzwi, wparowując do środka z bronią. Pilnowałam korytarza, wypatrując jakiegokolwiek zagrożenia.

– Fábio... – Ton gangstera brzmiał... inaczej.

Poruszona tym dźwiękiem zerknęłam w jego stronę. McCann był pochylony nad jakąś postacią. W ledwie bijącym z żarówki świetle byłam w stanie dostrzec zarys sylwetki na ziemi. W chwili, w której szatyn wsunął dłoń pod potylicę leżącego, a ramieniem przyciągnął go na swoje kolana, ujrzałam zmasakrowaną twarz egzekutora, najbliższego człowieka głowy mafii.

Na ten widok sama wciągnęłam powietrze. Dziwne uczucie zrodziło się w dole mojego brzucha.

– Byłem wierny – wycharczał ledwie słyszalnie, z każdym słowem z jego ust wylewało się więcej krwi.

Saint pokiwał energicznie głową.

– Tak, bracie.

Stan Fábio był ciężki, bliżej agonialnego. Plamy krwi odznaczały się po całości jego ubrań. Prawą nogę miał wykręconą, jakby złamaną. U lewej ręki brakowało mu trzech palców. Wiele ran i obrażeń doprowadziło jego twarz do zniekształcenia, przez co ledwie zdołał otworzyć oczy. Te były prawie puste, choć pełne przerażenia. Po raz pierwszy widziałam u niego ten rodzaj emocji.

Egzekutor odnalazł dłoń Sainta, ściskając ją ostatkiem sił.

– Boję się – wykrztusił.

Zdałam sobie sprawę, że umierał.

McCann twardo zacisnął szczęki. Potrząsnął energicznie głową.

– Jestem z tobą – odpowiedział ochryplym głosem. – W porządku. Już nie musisz być silny.

Oddech mu spowolnił. Mogłam to dostrzec przez sposób, w jaki poruszała się jego klatka piersiowa. Do samego końca patrzyli na siebie, dopóki oczy tego drugiego nie zaczęły gasnąć. Zamknął zmęczone powieki. W przeraźliwej ciszy nie dało się usłyszeć ani jednego tchu Fábio.

Saint zgarbił ramiona. Widziałam, że powstrzymywał łzy. Pozwolił głowie mężczyzny opaść ostrożnie na betonowe podłoże. Zerwał mu z szyi nieśmiertelnik, po czym ścisnął go w dłoni. Podniósł się na równe nogi, a naszyjnik schował w głębi kieszeni spodni. Chwycił za karabin i prężnym krokiem ruszył do wyjścia.

– Saint... – Słowa ledwo zdążyły wypaść mi z ust, gdy minął mnie bez słowa.

Chłód, który pociągnął się za ciałem mężczyzny, zdecydowanie mnie ocucił. Szedł przed siebie tak, jakby nic nie było w stanie go powstrzymać. Ostatnim razem widziałam go w tym stanie, gdy zmarł jego ojciec.

Zamierzałam osłaniać mu plecy, na wypadek gdyby był zbyt rozkojarzony.

Kilka sekund później usłyszałam dźwięk silnika i warkot, jakby wirnika motorówki. McCann zerwał się w tamtym kierunku. Z każdym kolejnym krokiem serce biło mi jak nigdy dotąd.

Mój popieprzony mąż wyważył mocnym kopnięciem ostatnie drzwi przed nami. Pył opadł, a nocne powietrze musnęło mi twarz. Nie sądziłam, że przyjdzie mi dane tak bardzo docenić klimat deszczowych lasów, a jednak możliwość pocucia innego zapachu niż metaliczny swąd krwi dosadnie mi to uświadomiła.

Kamienne schody prowadziły na tyły posiadłości. W gąszczu spowitym mrokiem tafla wody mieniła się od intensywnie jarzących się lamp. Saint był na przedzie. Miał już oddać strzał, jednak dostrzegłam sposób, w jaki zastygły mu ramiona. Zacisnął zęby,

a jego uważne oczy wykalibrowały główny cel, niczym dziki kot gotowy do rozszarpania ofiary.

Okazało się, że to, co unosiło się na wodzie, to nie motorówka, a jacht.

– Rzuć broń. – To jedyne, co zrozumiałam po portugalsku.

Mierząc się z obliczem tej sytuacji, czułam, że moje ciało pokryła gęsia skórka. Nie mogłam tracić nad sobą panowania.

Cofnęłam się bezszelestnie o kilka stopni w dół. Gdy tylko znalazłam się odpowiednio nisko, położyłam się na schodach i przyjąłm wygodniejszą pozycję. Przyparłam kolbę karabinu do ramienia, a patrzenie przez celownik pozwoliło mi na kontrolowanie sytuacji z zaplecza.

– Rób to, co każe – wyszeptałam do słuchawki. – Osłaniam cię.

## ROZDZIAŁ 27

### *Saint*

Poczułem, jak napięcie przelało się przez opuszki moich palców, przerznęło mięśnie i sparaliżowało każdą myśl w głowie.

Nareszcie.

Chwila, o której śniłem, nadeszła.

Christian był na moim celowniku.

Myśl o straceniu tak wielu nerwów, krwi i przyjaciela pchała mnie do pociągnięcia za spust. Choć wciąż dzielił nas dystans, wystarczyłby jeden strzał, by rozjechać mu łeb. Ale chciałem go żywego, by móc napawać się każdym jego krzykiem, jękiem, każdym skrawkiem skóry, wyrwanym mięśniem, złamaną kością, wyłupanym okiem, wyszarpiętym ścięgnem.

Brzmienie jego głosu przypomniało mi o gardle, które poderznąłem jego bratu. Kurwa, powtórka z rozrywki byłaby pięknym doświadczeniem.

Szept rudej przypomniał mi o jej obecności. Być może nie znalazła się w zasięgu wzroku tego sukinsyna, a zdradzenie jej pozycji byłoby śmiertelnym błędem.

– Gdzie jest moja córka?

Gniew we mnie narastał. Mogłem po prostu złamać mu kark w przeciągu kilku sekund, ale nie chciałem go zabijać. Jeszcze nie. Pastwienie się nad nim przyniosłoby mi większą frajdę.

Christian przechadzał się powolnym krokiem po pomoście z rękoma zanurzonymi w kieszeniach spodni. Światło lamp jachtu podkreśliło jego wilczy uśmiech, który najchętniej zerwałbym mu z gęby.

– Pogódź się z tym, że przegrałeś – zgrzytnął, zadzierając brodę. – Uważałeś się za Boga, myślałeś, że masz pod sobą Brazylię,

a tymczasem zagarnięcie twoich terenów było jak odebranie dziecku cukierka.

Przygryzłem wewnątrz policzka, walcząc z bulgoczącymi w tyle gardła słowami, które mogłyby jedynie pogorszyć sytuację.

Opanowanie. Chłód. Mentalna przewaga przyniesie zwycięstwo.

– Nigdy nie przegrywam. – Wykonałem ostry ruch głową. – Zadarłeś z moją rodziną. Nie słyszałeś, co mówią? Samotny wilk umiera pierwszy, tylko stado jest w stanie przetrwać. – Mój głos brzmiał spokojnie, jednak głowę przepelniał mrok. – Zastanów się, czy dalej chcesz w to brnąć, zanim zlikwidujesz wszystkich, którzy ci podlegali.

– Masz w sobie za dużo pewności siebie, McCann. – Dotarł do schodów przy pomoście, pokonując je leniwym krokiem. – Ktoś dawno powinien ci utrzyć nosa i na twoje szczęście byłem to ja. – Uśmiechnął się na swój komentarz, skanując mnie od stóp od głów.

– Gdziekolwiek ją ukryłeś, gwarantuję ci, że ją znajdę – zapewniłem go. – Moi ludzie polują na twoją żonę i dziecko. Zjawią się tutaj za kilka minut. Zdajesz sobie sprawę, co z nimi zrobię, jeśli nie oddasz mi córki?

Nie zamierzał pokazywać, że mu zależy, choć zarejestrowałem moment, w którym mięsień w jego szczęce drgnął.

– Zabiłeś mojego brata. – Wyrzucił oskarżycielsko palec w moją stronę. – Jego żona odkryła kosz z odciętą głową. Ich dzieci straciły ojca z twojego powodu – warknął nieswojo i zacisnął dłonie.

– To zapłata za psa. – Wzruszyłem lakonicznie ramionami. – Mama was nie nauczyła, że nie dotyka się cudzych rzeczy?

– Ten zasrany kundel miał być ostrzeżeniem. Jak widać nie podziałało.

Jego głos wytwarzał we mnie nieskończone pragnienie torturowania go dla czystej przyjemności. Bardzo powoli zwinąłem palce w pięści, by zachować zimną krew.

– Zabiłeś mojego człowieka. To koniec. – Moje spojrzenie było wyczulone na każdy jego ruch. – Nie będzie żadnych więcej trupów, po prostu oddaj mi córkę.

– Kiedy wreszcie zrozumiesz, że to nie ty wydajesz rozkazy? – Twarz wykrzywił mu grymas irytacji. – Era wielkiego McCanna

skończyła się parę dobrych lat temu. Pora się z tym pogodzić i przejść na gangsterską emeryturę.

Chłodne powietrze musnęło mi kark. To dobry znak, bo wskazywał na to, że jeszcze wciąż coś czułem.

Gniew osiadł mi w żołądku. Przechodziłem przez to zbyt wiele razy. Obiecałem sobie, że ten będzie ostatni.

Koniec.

Koniec mnie.

Koniec grożenia mojej rodzinie.

Koniec wszystkiego.

Nie mogłem pozwolić, by zrujnował to, co moja rodzina tworzyła przez lata. Ojciec wykreował nas na potęgę, ale ja zbudowałem mafijnego hegemonia.

Moje nazwisko nie było znane wyłącznie na Południu. Każdy zakątek mafijnego półświatka wiedział, że należy liczyć się z moim zdaniem, bo na to, kurwa, zapracowałem.

– Mylisz się – powiedziałem. – Rozejrzyj się. Zniszczyliśmy twoją bazę, dom jest ruiną, twoi ludzie padli trupem. Tym chcesz przejąć moją władzę? – Nieszczery śmiech rozbrzmiał mi z gardła, gdy wskazałem dłońmi dookoła. – Może macie swoje układy w więzieniach, ale poza nimi jesteście tylko zwykłym chłopcem na posyłki Guzmana.

Jego palące spojrzenie przeszło mnie na wskroś. Zbliżył się. Zarys męskiej sylwetki stał się wyraźniejszy.

– Gdybyś tylko znalazł się w tym więzieniu, nie przeżyłbyś tam jednego dnia – zdradził, wymuszając uśmiech na ustach.

Kącik moich warg powędrował drwiąco w górę.

– Nikt nie odważyłby się podnieść na mnie ręki. – Zmrużyłem oczy z uwagą. – Wiesz, w jaki sposób zaskarbiłem sobie tę reputację? Nie przez udawanie groźnego harcerzyka i wymachiwanie bronią na lewo i prawo. – Zlustrowałem pogardliwie jego sylwetkę. – Przez to, że nie jestem pijany władzą, nie boję się ubrudzić sobie rąk. Skurwysyny twojego pokroju trzęsą portkami na samo echo mojego nazwiska, bo sobie na to, kurwa, zapracowałem.

Wyprostował się, wciągając głęboko powietrze przez nozdrza.

– Doprawdy fascynujące – skontrował. – Ja podniosłem.



– No. Jakim kosztem? – Wygiąłem brew. – Zrównałem twój teren z ziemią. – Kiwnąłem palcem za siebie. – Ta chata to ruina.

– Wiesz, sprawa odrobinę się...

– Skończ to pierdolenie – odciąłem go od monologu. – Nie przyszliśmy tu na cholerne pogaduszki. Oddaj mi córkę, a pozwolę ci żyć.

Cóż, przynajmniej przez kilka dni.

Byłem zmęczony tą ciągłą gonitwą, gierkami, manipulacją. Chciałem zabrać dziecko do domu, upewnić się, że nic jej więcej nie zagrazi, a później wziąć sprawy w swoje ręce i pomścić tych, którzy zginęli w imię mojej córki.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Do tego zmierzam. – Uśmiechnął się drapieżnie.

– Czego ty, kurwa, chcesz?

Podszedł na tyle blisko, że nasze twarze znajdowały się niemal pół metra od siebie. Nasz wzrost był prawie identyczny, podobnie jak budowa ciała.

– Chcę, żebyś cierpiał – wydobył z siebie niskim głosem. – Tak, jak ja cierpiałem. Tak, jak cierpiał mój brat.

Szare oczy wpatrywały się wyzywająco w moje, jakby oczekiwał reakcji.

– Gdzie. Ona. Jest? – cedziłem wyraźnie każde słowo.

Nachylił się, gorący oddech owionął mi skórę.

– Gdzieś – wyszeptał, rozciągając usta w szerokim uśmiechu. – Mieliliśmy umowę. Nie dotrzymałeś słowa.

Poczułem puls w palcach. Mięśnie mi drgnęły. Czułem, jak nieprzyjemny dreszcz pełzał mi po ciele.

Przybyliśmy za późno?

Zanim zdążyłby dodać coś jeszcze, moja pięść wystrzeliła w jego stronę.

– Ty skurwysynu! – warknąłem wściekle.

Powaliłem Christiana na ziemię. Kurz jeszcze przez chwilę unosił się w powietrzu. Przygniotłem go do gruntu.

– Gdzie jest moja córka?!

Wciągnął powietrze przez zęby, po czym splunął krwią. Uśmiechnął się, kręcąc głową na boki.

– Jesteś taki słaby – wychrypiał. – Naprawdę wystarczyło odebrać ci tego bękarta, żebyś zaryzykował dla niej władzę?

– Słuchaj, kurwa, twoja żona i dziecko są teraz...

– Mam to, kurwa, gdzieś. – Przeskakiwał rozszerzonymi oczami po mojej twarzy. – Nie jestem taki jak ty. Chcesz ich zabić? – Zbliżył twarz do mojej. – Śmiało. Obserwowanie tego, jak męczysz się ze mną, jest dużo lepsze.

Nie miałem czasu, by przeanalizować to, czy kłamał, czy raczej mówił tak, by osłabić mój plan.

Wysunąłem nóż taktyczny z kabury, po czym przystawiłem go pod napięte gardło Christiana.

– Dalej – chrypiał. – Zrób to. Ulżyj sobie.

– Gadaj, kurwa!

Zaśmiał się, odrzucając głowę w tył.

– To takie zabawne. Ten rudzielec jest twoim dzieckiem, a nie jest nawet w połowie tak wybuchowa jak ty – zebrało mu się na gawędzenie. – Właściwie to nigdy się nie stawiała. Tylko błagała i błagała – parsknął roześmiany. – *Proszę, nie, proszę!* – naśladował dziecięcy głos. – *Tatusiu, pomóż mi!*

Wbiłem mu nóż w gardło. Ostrze przebiło się przez warstwę skór i ścięgien jak przez masło. Zakrztusił się krwią, a spojrzenie szarych oczu padło na mnie.

– Już ci, kurwa, nie jest do śmiechu, co? – warknąłem, wyszarpując taktyczną broń.

Ale to było za mało. Dźgnąłem go jeszcze raz. Jeszcze jeden. Ciosy spadały na jego ciało raz za razem. Klatka piersiowa, krtań, ramię, policzek, wydlubałem mu nawet pierdolone oczy, by przestał na mnie patrzeć.

Dyszałem wściekle, dopóki nie poczułem dotyku na ramieniu. Poderwałem się, gotowy do ataku. Zamachnąłem się nożem w powietrzu.

– Saint! – Przerażone piśnięcie przedarło się przez mrok.

Ruda patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Rozluźniłem dłoń, a ostrze upadło na ziemię.

Przetoczyłem powolne spojrzenie na zmasakrowane ciało Christiana. Świadomość tego, co zrobiłem, zaczęła do mnie

napływać w tej samej chwili, w której amok opuszczał moje żyły.

– Co ty zrobiłeś? – Kobięcy szept wywołał dreszcz na karku.

Spuściłem wzrok na ręce. Były całe we krwi. Wytarłem je w spodnie, ale część mazi zdążyła już zaschnąć. Przetarłem twarz. Ślad na przedramieniu uświadomił mi, że tam też zostały jej ślady.

– I tak by nic nie powiedział – odparowałem, wracając do podziemnego przejścia.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Słyszałem jej głos za plecami.

– Wiedział, że przegrał. – Oblizalem usta, po czym splunalem, czując na nich posmak obcej krwi. – Widziałem szaleństwo w jego oczach. Nie chciał chronić własnej żony, a jak dotąd zabezpieczał ją jak tajemnicę narodową.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – jęknęła zrezygnowana.

Przystawiłem palce do słuchawki.

– Jak daleko jest żona Christiana? – zapytałem.

Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach.

– Właśnie ją przytransportowali.

Doskonale. Ona miała więcej do stracenia niż ten sukinsyn. Maszerowałem przez korytarze przypominające katakumby. Martwe ciała wały się po podłodze jak zdechłe szczury. Miałem nadzieję, że piekło ich wszystkich pochłonie.

To, co niegdyś stanowiło salon, było kompletną ruiną. Odnalazłem wzrokiem Alejandro. Na mój widok rozchylił szeroko oczy.

– Jezu, co się...

– Zabiłem go – przyznałem. – Zabiłem Christiana.

Głosy ustały, a spojrzenia wszystkich padły na mnie. Rozluźniłem i zacisnąłem pięści z napięcia.

– Że co? – Zmrużył niepewnie oczy. – Jak to „zabiłeś”?

– Zapadnia w podłodze prowadzi do podziemi z wyjściem na teren jakiegoś zbiornika wodnego. – Oddychałem ciężko. – Christian tam był. Pieprzył jakieś dziwne rzeczy... kurwa, nieważne – mówiłem zdyszany. – I tak by nic nie powiedział. Jego żona będzie mówić.

– Skąd taka pewność? – zapytała ruda. – Saint, on mógł być jedyną osobą, która...

– Dopilnuję, żeby tak było – przerwałem jej. – Sprowadźcie ją tu.

Moi ludzie potaknęli głowami.

Nawiązałem spojrzenie z zielonymi oczami. Wyglądała na pełną dezorientacji i zawodu. Rozumiałem ją. Też byłem tym zmęczony.

– Zaufaj mi.

– Ufać? Tobie? – Zaśmiała się chłodno.

Oczy zamigotały jej od łez. Zacisnęła mocno wargi, kręcąc głową w przeciwnie.

– Jeśli ją stracimy...

Nie zdążyła dokończyć. Victor przytargał za ramię szarpiącą się kobietę. Wrzeszczała wniebogłosy. Rozdarta sukienka gdzieś odslaniała jej ciało. Ciemne, węgielne włosy kontrastowały z błękitnymi oczami, pod którymi rozlały się strugi rozmytego makijażu.

Opadła na kolana, gdy tylko męska dłoń puściła kruche ramię.

Więcej szłochu. Więcej hysterii. Kurwa, zaraz dołączy do swojego pierdolonego mężulka.

– Ucisz ją. – Zamierzałem odnaleźć spojrzeniem Fábio, ale wtedy uderzyła mnie chłodna rzeczywistość.

Zamiast niego to Victor przystawił gnata do kobiecej skroni.

– Proszę, proszę... – łkała, drżąc jak pieprzona osika. – Nie mam z tym nic wspólnego, nic...

Nie wierzyłem, by Christian do niczego jej nie dopuszczał. Musiała wiedzieć, a przynajmniej podsłuchać rozmowę. Kobiety jej pokroju zawsze trują dupę swoim mężom o tym, dokąd chadzają wieczorami i dlaczego wracają tak późno.

– Gdzie moja córka? – Zdałem sobie sprawę, że w moim głosie nie rozbrzmiewały żadne emocje.

Podniosła na mnie oczy. Rozchyliła wargi, jednak gdy te zaczęły drżeć, szybko je zacisnęła. Potrząsnęła energicznie głową.

– Ja... ja nie...

Mrok, który mnie wypełniał, sięgał zenitu. Odrętwienie mieszało się z chęcią mordy. To było wyłącznie kwestią czasu, zanim zmienię jej marne życie w piekło.

– Więc nie chcesz mówić? – Przykucnąłem naprzeciwko niej.

Nasze spojrzenia zamknęły się w sobie. Zacisnęła mocno zęby, a mimo tego z jej ust padł cichy szloch.

– Nie mogę... – wydusiła. – Oni mnie zabiją...

Przeniosłem wzrok na Victora.

– Przeprowadź gówniarza.

Ocknęła się na wspomnienie o dzieciaku. Miała już poderwać się na równe nogi, jednak złapałem ją za kark, zanim zdążyłaby wyprostować stopę.

– Nie waż się, kurwa, ruszyć – wycodziłem surowo.

– Nie – zapłakała gorzko. – Proszę, nie róbcie mu krzywdy.

Cała zasmarkana, wyglądająca jak zlepek rozdeptanego gówna. Mierny obraz niedoszłej przywódczyni kartelu, który w ogóle śmiał mi zagrozić.

– Gdzie jest moja córka? – desperacko szukałem odpowiedzi.

Agonia w jej spojrzeniu nie robiła na mnie żadnego wrażenia.

– Proszę... – łkała. – Tak bardzo proszę...

Wyprostowałem się, gdy tylko chłopięce krzyki zadudniły wśród ruin. Suka także przekręciła głowę, by spojrzeć na dzieciaka.

– Mamo! – pisał, taki przerażony.

– Danilo, kochanie!

Zanim zdążyłaby wstać, zmusiłem ją do pozostania w miejscu. Trzymałem ją za ramiona, odwróconą przodem do syna, by mogła obserwować, jak Victor trzymał szczeniaka w tej samej pozycji.

– Masz ostatnią szansę – szepnąłem jej do ucha. – Albo moi chłopcy poderzną mu gardło. Wyrzuty sumienia zeżrą cię do upadłego. – Przeniosłem wzrok na jej profil. – Do końca życia będziesz żyła z tym ciężarem, bo nie pozwolę ci się zabić.

Jej ciało sztywniało w moim uścisku. Proszę, grała na czas.

– Victor...

Na mój znak, mężczyzna sięgnął po nóż z kabury. Jak tylko ostrze załśniło w powietrzu, zarówno kobiety, jak i chłopięcy okrzyk rozdarły głuchą ciszę.

– Powiem! – wrzasnęła, miotając się przy moim ciele. – Powiem! Wszystko powiem!

Kącik moich ust nawet nie drgnął. Nie byłem w stanie się uśmiechać.

– Słuchamy.

Pozwoliłem jej opaść na kolana, gdy była zbyt słaba, by ustać na nogach. Przycisnęła dłoń do piersi, nie przestając szlochać.

– Kontener. – Tylko tyle zrozumiałem z jej roztrzęsionego jazgotu.  
– Głośniej. – Złapałem ją za kłęb włosów, podrywając przy tym jej głowę.

Jęknęła z bólu.

– Kontener – jąkała się. – Rio Grande. Tam... – zdławiła wydzierający się z gardła płacz – ...tam jest port morski.

Bzdura. Fábio dał znać, że Molly miała znajdować się właśnie tutaj.

– Kłamiesz – warknąłem.

– Nie! – Zawyla z bólu, gdy szarpnąłem ją za kudły. – Słyszałam rozmowę Christiana dziś rano – dukała nerwowo. – Chcieli ją wywieźć, a stamtąd miała zostać zabrana do Meksyku.

– Do Meksyku? – Alejandro zmarszczył niezrozumiale czoło. – Po co?

– Meksykanie bardzo dużo zapłacili za tę dziewczynkę. – Pociągnęła nosem. – Podobno oszaleli, gdy dowiedzieli się, że to twoja córka.

Napięcie w mięśniach ponownie dało o sobie znać.

Meksykanie. Mój koszmar zaczynał się i kończył tam, gdzie byli oni.

– Skurwysyny... – Wciągnąłem powietrze o metalicznym posmaku.  
– Jeśli okaże się, że kłamiesz, wrócę po ciebie – zapewniłem ją, po czym pchnąłem na podłogę.

Chłopak wyrwał się w jej stronę. Gdy tylko rzucił się w jej ramiona, kobieta przyjęła go w mocnym uścisku, zanosząc się kolejną falą szłochu.

Odwrociłem spojrzenie na rudą. Wyglądała na zdezorientowaną.

– Meksykanie zapłacili Christianowi za Molly.

Kolory stopniowo odeszły jej z twarzy.

– Co? – wydusiła. – N-nie ma jej tu? – Głos jej drżał.

– Powiedziała, że mieli ją zabrać do portu w Rio Grande, a później w kontenerze morskim przetransportować do Meksyku.

Wzdrygnęła się na te słowa. Mogłem dostrzec gulę w jej gardle i to, jak z trudem ją przełknęła. Przycisnęła pięści do czoła, walcząc ze łzami. Odwróciła się tyłem, a gdy tylko w jej dłoniach znalazło się nadpalone krzesło, cisnęła nim wściekle przez cały pokój.

Zmrużyłem oczy. Wszystkie elementy układanki nagle ustawiły się na swoich miejscach. Zwróciłem głowę w stronę korytarza, gdzie kryła się zapadnia do podziemi.

– Jacht – powiedziałem na głos.

Ruda zwróciła na mnie zapłakane oczy. Zerknęła w stronę przejścia, a później na mnie. Zerwaliśmy się w jednej chwili. Za nami ruszyła reszta.

Otworzyłem zapadnię. Hunter wskoczyła pierwsza, ja jej śladem. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni biegłem z taką prędkością.

Chłodne powietrze uderzyło mnie w twarz, dając nadzieję, że być może to jeszcze nie koniec.

Drewniany pomost trzeszczał pod naszymi stopami, gdy próbowaliśmy dostać się do jachtu. Nie był ogromny, ale wystarczający, by uprowadzić dziecko.

– Uważaj, ruda. – W moim głosie pobrzmiwał rozkaz. – Nie wiemy, czy nie ma na pokładzie kogoś uzbrojonego.

Ale nie zapowiadało się na to, żeby miała mnie słuchać.

– Zaczekaj. – Złapałem ją za ramię. – Idę pierwszy.

Potaknęła w milczeniu.

Po tym, jak wszedłem na pokład, wysunąłem dłoń do kobiety, by do mnie dołączyła.

– Sprawdzimy kokpit i górną część – oznajmił Alejandro, zanim z Victorem rozpoczęli obchód.

Ruda opadła przy forluku, który prowadził do pomieszczeń pod nami. Otworzyłem właz, a następnie pierwszy wskoczyłem do środka. Hunter była tuż za mną.

Mrok już mnie nie rozrywał. On rozdrapywał mnie od środka, wyniszczając powłokę, która skrywała moją duszę i ciało. Na zmianę przeczesywaliśmy każdy kąt, wnękę, nawet schowek w podłodze, ale nigdzie jej nie było.

Pchnąłem klamkę ostatnich drzwi, ale nawet nie drgnęły.

– Odsuń się. – Odgrodziłem kobietę ramieniem.

Kopnąłem nogą w okolicę zamka, a ten puścił już po jednym ciosie.

I wtedy ją zobaczyłem. Molly. Moją córkę.

– Boże, Nellie! – Hunter omal nie zachłysnęła się powietrzem na jej widok.

Zaniepokoił mnie stan dziewczynki. Była blada, choć policzki miała mocno zaczerwienione. Ruda dotknęła jej czoła.

– Jest rozpalona – wykrztusiła, przeczesując palcami ogniste włosy dziecka.

Wzięła ją na ręce, po czym przycisnęła ją do swojego ciała. Nie oponowałem, gdy obsypywała jej głowę tysiącem pocałunków.

– Mama jest przy tobie – wyszeptała. – Jestem, kochanie – dopowiadała przy każdym muśnięciu.

Molly jednak ani drgnęła. Dłoń, która spoczywała jej na piersi osunęła się bezwładnie jak u lalki.

– Malutka? – Kobieta pogładziła kciukiem dziewczęcy policzek. – Saint, ona... ona...

Podniosła na mnie oczy, z których płynęły rzęsiste łzy.

– Nie traćmy czasu. Zabierzemy ją do naszego prywatnego szpitala – ponaglałem ją.

– To bezpieczne? – Zerknęła na mnie nieufnie.

– Wolisz pozwolić jej umrzeć? – Powstrzymałem się od warknięcia.

Popatrzyła na dziewczynkę, a następnie na mnie. Wyraz jej oczu powiedział mi wszystko.

– Zabierz nas tam.



## ROZDZIAŁ 28

### *Asteria*

Helikopter przetransportował nas do szpitala w Sao Paulo. Prywatna klinika, której fundatorem była rodzina McCanna, stanowiła bezpieczne schronienie dla naszej córeczki.

Moja mała dziewczynka. Choć byłam gotowa na ujrzenie jej po tylu latach, emocje wzięły górę, a wzruszenie długo mnie nie opuszczało.

Nellie była taka drobna, krucha. Miała identyczne rude loki jak moje. Prawie cała była podobna do mnie, nie licząc kilku aspektów odziedziczonych po jej ojcu. Mój mały aniołek, dobro w najczystszej postaci.

Trzymałam dziecko na rękach, gdy wbiegliśmy do szpitala. Pomoc została udzielona niemal natychmiastowo. Chociaż lekarze zamierzali zabrać ją na obserwację, nie chciałam jej opuszczać. Obiecałam sobie, że nigdy więcej tego nie zrobię.

Ludzie posyłali Saintowi krzywe spojrzenia na widok plam krwi, których wciąż się nie pozbył. Chcąc, nie chcąc, musiał zostać tu ze mną, by tłumaczyć mi to, co przekazywali nam medycy.

Noelle została podłączona do kroplówki. Podano jej leki, które miały uśmierzyć ból i zbić gorączkę. Rana po wycięciu biochipa została oczyszczona, a następnie okryta opatrunkiem. Na szczęście jej życiu nic nie zagrażało, a obicia i sińce powinny szybko zniknąć.

Bardziej martwił mnie jednak stan psychiczny, z którym będzie musiała się zmierzyć. Miała przecież tylko pięć lat.

Ułożyłam się u jej boku na szpitalnym łóżku. Moja dłoń nigdy nie opuszczała drobnego ciała dziewczynki. Co rusz głaskałam jej główkę, całowałam w czołko czy trzymałam za rączkę. Gdy tylko sen

nadchodził, owijałam ramię wokół niej, by mieć pewność, że nikt mi jej więcej nie zabierze.

Noelle przebudziła się dwa dni później.

Rozchyliła powieki, mrugając, jakby próbowała przyzwyczać oczy do światła. Na ten widok serce zatrzepotało mi w piersi.

– Kochanie... – wyszeptałam ze łzami.

Drgnęła. Oddech jej przyspieszył. Odsunęła się pod sam koniec łóżka. Krzyczała coś po portugalsku i zdałam sobie sprawę, że nie rozumiałam żadnej z tych rzeczy.

A ona mnie nie pamiętała...

– Nie, nie bój się mnie – mówiłam spokojnie, choć głos mi drżał. – Maleństwo...

Saint wbiegł do sali, kiedy tylko dotarły do niego dziewczęce krzyki. Choć częściej czuwał przed salą, niż siedział w środku, cieszyłam się, że dał mi czas sam na sam z córką.

– Molly... – odetchnął z wyraźną ulgą.

Pięciolatka zastygła na jego widok, zanim szloch wyrwał się z jej małych płuc.

– *Papá!* – Wyciągnęła do niego ręce, domagając się przytulenia.

Nie zawahał się przed wzięciem ją w ramiona. Widok mojej dziewczynki w objęciach samego diabła z jakiegoś przedziwnego powodu nie przynosił niepokoju.

McCann zatopił nos w rudych lokach, zaciągając się ich zapachem. Widziałam sposób, w jaki zaciskał szczęki, jakby walczył sam ze sobą, by nie zdradzić zbyt wielu emocji, ale nawet jego ta chwila zaczynała przerastać.

Coś do niej szeptał, kołysał w ramionach, a ona nie przestawała płakać. Ujrzenie go takiego wrażliwego i czułego było... dziwne.

Nie chciałam im tego zabierać, lecz jakiś rodzaj zazdrości mocno ukuł mnie w piersi. Zwiesiłam głowę, wypuszczając przy tym zmęczony oddech. Przyszłość nagle zaczynała mnie przerażać.

Saint usiadł na łóżku, wciągając córkę na swoje kolana. Uważając na kroplówkę podłączoną do jej przegubu, wtulił ją w swój tors i długo nie wypuszczał.

Niezręczność tej chwili i boleśnie pulsujące serce nie pozwoliło mi dłużej zostać w pokoju. Żołądek rozboleł mnie z braku jedzenia.

Nagle poczułam się słaba i wyczerpana.

– Proszę, nie zabieraj mi jej – wyszeptałam na głos.

Oczy Santa nawiązały kontakt z moimi. Wygiął brwi na moje słowa.

– Pójdę tylko coś zjeść – dodałam w ramach wyjaśnienia. – Nie zabieraj jej stąd, proszę.

Przypatrywał mi się w milczeniu. Jedną ręką przytulał dziewczynkę, a drugą gładził jej włosy.

– Nie zabiorę – odetchnął.

Nie wiem, dlaczego mu uwierzyłam. Mój mózg nie był w stanie ukształtować żadnej myśli poza chęcią pocucia czegośkolwiek na języku.

– Ruda – przywołał mnie. – Zaczekaj.

Miałam już dłoń na klamce, gdy zwróciłam się ku niemu. Saint wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni, po czym mi go podał.

– Weź – zachęcał. – Wątpię, żebyś miała przy sobie jakąkolwiek gotówkę.

Byłam zdziwiona, że on sam posiadał coś takiego jak pieniądze. Sądziłam, że ludzie jego pokroju za nic nie musieli płacić.

Bez wymiany słów wzięłam skórzaną portmonetkę i dygnęłam głową z wdzięcznością.

Poprowadzona strzałkami ze znaczkami wreszcie odnalazłam bufet. Mały bar wypełniony był świeżymi bagietkami. Bez słowa wskazywałam palcem to, co zamierzałam kupić. Sprzedawca nie wyglądał na zaskoczonego. Ze względu na mój stan mógł uznać mnie za chorą. Wyjęłam banknot, zaś mężczyzna zwrócił mi resztę.

Zajęłam stolik pod oknem. Odwinęłam folię i z instynktem zwierzęcia wgrzyłam się w pieczywo z niskim, przeciągłym jękiem. Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek docenię smak pasty z kurczaka.

Jednak nawet w samotności nie mogłam zjeść w spokoju. Z tyłu głowy tętniła mi myśl, że podczas mojej nieobecności ludzie McCanna wywiozą moją córkę do miejsca, którego nie będę w stanie zlokalizować. Zamiast ochłonąć po minionych wydarzeniach czy rozkoszować się smakiem, pałaszowałam bagietkę, jakbym od wieków nie miała niczego w ustach.

W trakcie powrotu do sali mijałam korytarz oddziału dziecięcego. Maluchy wtulały się w matki, zagadywały ojców, a dziadkowie znajdowali odpowiedzi na dręczące ich pytania.

I wtedy zdałam sobie sprawę, że my nigdy nie będziemy stanowić takiej rodziny. Miałam tylko Noelle. W portrecie pamiątkowym za nic w świecie nie znajdzie się Saint. Przez niego znów żyłam w strachu i prawdopodobnie nie będę w stanie zaufać żadnemu facetowi.

Przez okno w drzwiach z ulgą dostrzegłam, że mała wciąż była w łóżku. Nacisnęłam klamkę, a powietrze wokół stało się napięte i doprowadziło mój żołądek do bolesnego ucisku.

Oczy dziewczynki padły na mnie. Wsparła się na piąstkach, po czym znalazła się w pólśiedzącej pozycji. Na ułamek sekundy przeniosła wzrok na swojego ojca, który bacznie się nam przypatrywał, zanim wróciła nim do mnie.

– Cześć – przywitałam się po portugalsku, machając do niej delikatnym ruchem ręki.

Widziałam, jak nerwowo przygryzła wewnątrz policzka, zerkając na mnie nieufnym spojrzeniem.

– *Está tudo bem. Essa é sua mãe*<sup>17</sup>. – Wyjątkowo spokojny ton mężczyzny rozbrzmiał zza moich pleców, gdy zbliżył się do mnie.

Rozpoznałam kilka słów, które mówił. Jedno z nich – „mama” przyprawiło moje serce o kilka mocniejszych uderzeń.

– *Mãe*<sup>18</sup>? – Wypuściła oddech.

– *Sim*<sup>19</sup> – odparł zgodnie.

Zielone tęczęwki zamigotały niczym gwiazdki w letnią noc, gdy tylko znów na mnie patrzyła. Wydawało się, że wstrzymała oddech, a mnie przychodził on z trudem.

– Nasze włosy – mówiłam łamanym portugalskim, przebiegając palcami po rudej kicie. – Podobne.

Zamrugnęła, jakby ta informacja ją przytłoczyła. Z opóźnieniem sięgnęła ręką do ognistych pukli. Zerknęła na swoje, a następnie na moje. Kącik jej ust delikatnie drgnął. Na ten widok serce zakołatało mi w klatce piersiowej.

Zbliżyłam się, a ona tym razem nie uciekała. Zająłam miejsce na krawędzi szpitalnego łóżka.

– Przytulić? – zapytałam, wyciągając do niej ramiona.

Zerknęła na swojego ojca. Wtem przypomniałam sobie, że on zabraniał jej okazywania czułości. To biedne dziecię wydawało się niemo pytać o zgodę na tak prostą czynność.

Nasze oczy nawiązały kontakt wzrokowy. Czułam, jak rośla we mnie miłość wobec niej, jak w żyłach tętniła mi radość i tęsknota.

Ruchy dziewczynki były niespieszne. Uważając na kabelki, uklękła przede mną i zachowując ostrożność, otoczyła mnie kruchymi ramionami. Oddech zadrżał mi w płucach, jak tylko mózg zarejestrował to znajome ciepło.

– Moje kochanie – szeptałam jej przy uchu. – Mama bardzo cię kocha, kruszynko.

Zacieśniła uścisk na brzmienie mojego głosu. Traciłam nad sobą panowanie. Próbowałam pozostać silna, jednak emocje wzięły górę. Wyraz cierpienia odmalował się na mojej twarzy, gardło zaciskało się boleśnie, a łzy płynęły mi z oczu jak woda z popękanej tamy.

– Mamo... – Odchyliła się, zerkając na mnie nieco zdeorientowana.

Ujęła moją twarz w swoje drobne rączki i dodała coś jeszcze, jednak nic nie zrozumiałam.

Połknęłam szloch. Ujęłam jej dłonie, a następnie musnęłam z czułością to jedną, to drugą.

– Ja kocham. – Wskazałam na siebie, po czym musnęłam opuszką palca jej nieco szpiczasty nosek. – Ciebie.

Patrzyła na mnie z pewnym rodzajem fascynacji. Wysunęła palce do moich włosów i gładziła je delikatnymi ruchami.

– Mama – wypowiedziała to słowo, jakby smakowała je na języku.

Mięśnie brody zadrżały mi na sposób, w jaki ono brzmiało. Posłałam jej łzawy uśmiech, walcząc z chęcią rozryczenia się, by jej nie wystraszyć.

– Mama... – Pokiwałam energicznie głową w potwierdzeniu.

Przez kolejne godziny przygotowałam córce posiłek, który dostarczyła szpitalna kuchnia. Pomogłam jej we wzięciu kąpieli i przebrałam w ubrania, które przyniósł jej ojciec. Czesalam rude

włosy dziewczynki, by w następnej kolejności móc spleść je w warkocz.

Zasnęła, gdy zegar wskazywał dwudziestą trzecią. Nie opuszczałam jej nawet na krok, jeśli to nie dotyczyło skorzystania z toalety czy zjedzenia szybkiej przekąski z automatu.

Nie mogłam przestać patrzeć na jej delikatne rysy twarzy, gdy spała. Głaskałam jej policzek, składałam muśnięcia, a gdy znużyło mnie zmęczenie, zasnęłam w fotelu, nie przestając trzymać dziecka za rączkę.

Zbudziłam się, gdy usłyszałam kroki. Saint zbliżył się do nas. Zajął miejsce na krześle, tuż obok łóżka, po czym wbił we mnie nieodgadnione spojrzenie. Zostawił nas same na kilka godzin, zasłaniając się wykonaniem czegoś ważnego.

– Jak to sobie dalej wyobrażasz? – odezwał się po kilku minutach głuchoj ciszy.

Zwróciłam na niego oczy. Wszystko znów ucichło, nawet moje serce zwolniło rytm.

– O czym mówisz?

Pochylił się nad kolanami. Splótł razem palce, napał zębami na dolną wargę, by za moment obdarzyć mnie beznamiętnym spojrzeniem.

– O nas. – Głos mu ochrypl. – I o Molly.

Chciałabym powiedzieć mu jedyny słuszny scenariusz: zabieram córkę do Stanów i nigdy więcej nas nie zobaczy. Zachowałam jednak zdrowy rozsądek. Jeśli przyznałabym to na głos, znów by mi ją odebrał, a ja nie mogłam do tego dopuścić.

– Nie mogę tu zostać. – Mój cichy protest dał o sobie znać.

Zlustrował moją twarz, jakby nad czymś rozmyślał. Zwiesił wzrok na splecionych palcach, zanim znów uniósł go na mnie. Mięsień w jego szczęce drgnął.

– A ja nie mogę pozwolić ci z nią odejść.

Poczułam ucisk w gardle. Zwiesiłam głowę, walcząc z kotłującymi się we mnie emocjami. Sama myśl o rozłące sprawiła, że wyprostowałam się w fotelu.

– A ja nie chcę, byś znów nas rozdzielił – odparłam twardo. – Nie dopuszczę do tego.

– Więc zostań – skontrolował natychmiast.

Wypuściłam oddech ze zdenerwowaniem. Rozcapierzyłam palce na głowie, masując opuszkami pulsujące skronie. Jeszcze chwila i z tych wszystkich nerwów dostanę wylewu.

– Saint...

– Wiem, popełniłem błąd – przerwał mi. – To, co zrobiłem... – Schował twarz w dłoniach z niskim jękiem frustracji. – Ruda, ja...

– Nawet nie znasz mojego imienia – wyszeptałam, uśmiechając się bezradnie. – Odkąd przyjechałam, ani razu nie zwróciłeś się do mnie inaczej niż „ruda”.

– Znam tylko Arabelle. – Zerknął na mnie spod byka. – To nie moja wina, że nie byłaś ze mną szczerą.

Splotłam palce pod brodą, a westchnienie niemal rozerwało mi płuca.

– Asteria. – Mój głos zapoczątkował ciszę między nami, dopóki ponownie nie przemówiłam: – Jestem Asteria Hunter.

Saint wyglądał na pogrążonego w myślach. Jego wzrok był skupiony na naszej córce.

Poniekąd go rozumiałam. Ta sytuacja nie należała do najprostszych. W końcu nie codziennie matki zastanawiają się nad tym, czy powinny zostawić dziecko w rękach ojca mafiosy i wyjechać. Nawet jeśli dzieliła nas bariera językowa, nie zamierzałam porzucać córki.

Zmagałam się z własnym emocjonalnym kotłem, a głowa pękała mi od natłoku rozważań.

Wysunęłam wreszcie dłoń, kładąc ją na kolanie mężczyzny. Zwróciłam tym jego uwagę.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – zaczęłam, nie odrywając wzroku od chłodnych tęczówek. – Molly nigdy nie będzie tu bezpieczna. Nawet jeśli pozbyłeś się jednego zagrożenia, nie wiesz, czy kolejny raz nie będzie dla niej ostatnim.

A tego bym nie przeżyła.

– Przy mnie będzie bezpieczna – próbował mnie zapewnić.

Bardzo powoli pokręciłam głową i z trudem przełknęłam gulę w gardle.

– Nie, Saint, nie będzie – wydobyłam szeptem. – Nie możesz jej wieźć do końca życia w domu. Ona potrzebuje normalności. – Śledziłam oczami jego twarz z nadzieją, że mnie zrozumie. – Jej rówieśnicy w przyszłym roku rozpoczynają szkołę, a Molly? Chcesz ją udomowić jak jakiegoś kota czy chomika?

Podgryzł wewnątrz policzka w zastanowieniu. Potarł ręką brodę, wracając spojrzeniem do córki.

– Po raz pierwszy w życiu nie wiem, co powinienem zrobić.

– Więc pozwól nam odejść. – Mój głos przerodził się w skrzek.

– Nie – zaprzeczył machinalnie. – Tego nie mogę zrobić.

Sytuacja była zbyt poważna. Nie mogłam w żaden sposób odebrać mu córki i przemycić jej przez granicę. Po pierwsze – z łatwością by do nas dotarł, a po drugie nie przepuściliby mnie na granicy bez dokumentów dziecka. A do tego Molly mogłaby spanikować bez obecności ojca.

– Proszę. – Z nadzieją w oczach ścisnęłam męską dłoń. – Będiesz mógł ją odwiedzać, ale...

– Odwiedzać? – Poderwał się z miejsca, wyraźnie pobudzony. – Aresztują mnie, jeśli tylko postawię stopę w Ameryce. Tego właśnie chcesz?

Chciałabym. Chciałabym, by zniknął i raz na zawsze dał nam spokój. Nie zamierzałam jednak mówić tego na głos w obawie, że wywołam jego gniew.

– Nie krzycz – prosiłam szeptem. – Obudzisz Molly.

Wiedziałam też, że muszę zapomnieć o imieniu, które niegdyś nadałam córce. Jedyne, na które reagowała, to to, które narzucił jej ojciec.

Saint ścisnął palcami nasadę nosa, gdy opadł na krzesło z głębokim westchnieniem. Zaciskał zęby, kręcąc przy tym głową.

– Nie mogę ci na to pozwolić. – Obniżył ton, przenosząc na mnie zimne spojrzenie. – To moja córka.

– Moja też. – Przyparłam dłoń do piersi. – Nie możemy jej podzielić, nie da się rozerwać jej na pół, by każde z nas było usatysfakcjonowane. – Próbowałam przemówić mu do rozsądku. – Wiem, że będziesz cierpieć, ale zaufaj mi, zdecydowanie bardziej



zaboli, gdy pozwolisz jej tu zginąć z powodu zatargów z którymś z tych psychopatów.

Przykleił plecy do oparcia. Przez chwilę wyglądał na zamkniętego w sobie. Wreszcie podniósł się z krzesła, a jego spojrzenie odnalazło moje.

– To nie podlega dyskusji – odpowiedział. – Bez mojej zgody nigdzie jej nie zabierzesz.

A potem wyszedł, jakby to, o czym rozmawialiśmy, było zwyczajną pogawędką o przewozie rzeczy, a nie dziecka.

Wiedziałałam jednak, że dopóki pozostanie uparty, nie opuszczę córki, chociażby miał mnie za to torturować.

## ROZDZIAŁ 29

### *Saint*

Lekarze wypisali Molly ze szpitala. Nie licząc draśnięć czy spadku masy ciała, jej stan był dobry.

Wydawało się, że powrót do domu stał się dla niej wyjątkowo ciężki. Zmieniła się, odkąd ją odzyskaliśmy. Była milcząca, bardziej wycofana, więcej obserwowała, niż zabierała głos.

Ruda upierała się, że potrzebna będzie konsultacja z psychologiem, ale miałem ograniczone zaufanie do kogokolwiek spoza rodziny.

Chciałem, by mała wyrobiła sobie odporność na takie sytuacje, jednakże uświadomiłem sobie, że to nie przyniesie jej żadnych korzyści, a zostawi ją z traumą.

– Ona jest na to za młoda, Saint. – Kobięcy głos dotarł do mnie zza pleców.

Wpatrywałem się w skąpany mrokiem ogród za oknem. Sączyłem whisky z literatki, z nadzieją, że odpowiedź na dręczące mnie pytania znajdę gdzieś na dnie szklanki.

– Molly potrzebuje psychologa, żeby następstwa tych zdarzeń nie pogorszyły jej stanu w przyszłości – próbowała mnie przekonać.

Coś dziwnego zadziało się ze mną, gdy widziałem Asterię z naszą córką w szpitalnej sali. Ten widok zdecydowanie różnił się od Cariny, która niegdyś zajmowała się małą. Ruda była czuła, troskliwa, pełna miłości. Miała wszystkie cechy, które powinna reprezentować prawdziwa matka, a Molly była tak cholernie szczęśliwa. W końcu dostała to, o co od dawna mnie prosiła – mamę.

Pozwoliłem mojej żonie zostać z nami na jakiś czas. Oboje zawiesiliśmy broń na rzecz opieki nad dzieckiem. Cóż, bardziej ona

niż ja. W moim interesie było umocnić systemy bezpieczeństwa, chociaż nawet do tego nie miałem głowy.

Zbyt wiele się wydarzyło, bym mógł z dnia na dzień wrócić do biznesu.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – Dotyk dłoni na ramieniu wyrwał mnie z zamyślenia.

Zerknąłem na nią po obróceniu głowy. Próbowałem odtworzyć, czy mówiła o czymś jeszcze poza Molly.

– Psycholog, tak, słyszałem – wymamrotałem z ustami przy literatce.

– I? – Wygięła brwi w górę. – Nic nie powiesz?

Nie wiedziałem, jakiej odpowiedzi ode mnie oczekiwała.

– Wolalbyśmy zostawić ją pod naszą obserwacją. – Wbrew sobie patrzyłem na kobietę dłużej, niż było to konieczne. – Nie chcę do niej nikogo dopuszczać.

Wypuściła oddech, który zapoczątkował ciszę.

– Ile to jeszcze będzie trwało?

– Co takiego? – Obliziałem wargi z trunku.

– Zamiatanie spraw pod dywan. – Skrzyżowała ramiona pod piersiami, a spojrzenie zielonych oczu niemal przyparło mnie do ściany. – Czy ty rozumiesz, że tu chodzi o jej przyszłość?

Miałem ochotę na nią krzyknąć, żeby dała mi spokój, którego tak kurewsko teraz potrzebowałem. Zamiast tego wciągnąłem powietrze i odwróciłem wzrok z powrotem na ogród.

– Postaraj się choć raz mnie zrozumieć.

– Tu nie chodzi o ciebie – skontrowała ostro. – Mówimy o naszym dziecku.

– Wiem. – Posłałem jej wkurwione spojrzenie. – Rozumiem, że chcesz stworzyć jej cukierkowy dom z superkochającą się rodziną. Naprawdę to rozumiem, okej? – Na moment zacisnąłem szczęki. – Ja takiego nie miałem. Nie mam pojęcia, jak go zbudować. Molly jest dla mnie ważna, ale moja definicja „chcę dla niej dobrze” różni się od twojej.

Zmarszczyła brwi, a uważny wzrok omiół mi twarz.

– Zrozum, że byłoby lepiej, gdybym ją stąd zabrała – odparła półgłosem.

A ona znów o tym samym.

Z westchnieniem przechadzałem się po salonie. Odstawiłem pustą literatkę na komodę, po czym zająłem miejsce na skórzanej sofie.

– Dlaczego nawet nie próbujesz mnie zrozumieć? – Odnalazłem ją spojrzeniem.

Objęła się ramionami, rozglądając się niepewnie po pokoju. Oddech wypadł pomiędzy bladoróżowych warg, a ona sama wyglądała na zagubioną.

– Nie wiem – przyznała cicho. – Ja po prostu...

Cisza. Bolesnie przeciągająca się cisza.

– Po prostu co?

Uniosła na mnie oczy. Łuna zapowiadająca łyzy błysnęła w zielonych tęczówkach.

– Boję się – przyznała szeptem.

Każdy mięsień w moim ciele napiął się w odpowiedzi na jej słowa. Poderwałem się z miejsca, by za moment zmniejszyć dystans, który niedawno stworzyłem.

– Czego się boisz? – Mój głos także ucichł.

Zamrugła. Podniosła na mnie wzrok, zwiesiła go na moment, a po chwili znów na mnie spojrzała. Pokręciła głową, jakby dawała mi znać, że nie zamierza udzielić odpowiedzi.

Wzdrygnęła się, gdy wyciągnąłem dłoń do jej policzka. Kobięca skóra w porównaniu z moją była bledsza, miejscami nieco czerwona. Oddech wypadł pomiędzy lekko spierzchniętych warg, gdy mój kciuk wszedł w kontakt z fakturą jej twarzy.

– Czego się boisz? – powtórzyłem wymagająco.

Podtrzymała kontakt wzrokowy. Przesunęła językiem po wardze, ponownie kręcąc głową.

– Boję się, że kiedy się obudzę, ona zniknie – przyznała popękany głosem. – Boję się, że oni wrócą, że ktoś będzie próbował się mścić. Boję się... – Z trudem łapała powietrze, walcząc z chęcią rozplakania się. – Boję się ciebie, Saint.

Po plecach spłynął mi lodowaty sopel, prowokując do nieprzyjemnych dreszczy. Wziąłem głębszy wdech, a moje ramiona się uniosły.

– Nie mogę pozwolić wam odejść.

Zacisnęła drżące wargi. Pokręciła głową w sprzecznię.

– Nie możemy tu zostać, to nie podlega dyskusji – wydusiła ochryple. – Ona tu nie jest bezpieczna, Saint. Oboje o tym wiemy.

Tak właśnie przeczuwałem. Sprawa z Meksykanami wciąż nie została rozwiązana. Obiecałem sobie, że zajmę się tym później i że znajdę na to rozwiązanie.

– Będziecie bezpieczne – zapewniłem ją, a moja dłoń spłynęła po boku jej ciała i zatrzymała się na biodrze. – Obie, zapewniam.

– Nie możemy...

– Daj mi jeszcze trochę czasu. – Drugą rękę oparłem na jej karku, a kciukiem pieściłem zarys kości policzkowej. – Później zrobisz, co będziesz chciała.

Wydawało się, że ciało kobiety rozluźniło się na to zapewnienie. Ani na chwilę nie przestawała patrzeć mi w oczy. Ryzykując, schyliłem się, a nasze czoła oparły się o siebie. Moje usta przywarły do jej, niezachłannie, a z potrzebą i czymś, czego dotąd nie czułem.

Z jakiegoś powodu nie szarpała się ze mną i nie krzyczała jak zawsze, gdy próbowałem się zbliżyć, a to zachęciło mnie do kolejnego kroku. Przesunąłem dłonie na jej lędźwie, przyciskając ją bliżej. Cichy jęk wypadł z różowych ust, gdy na mnie naparła.

– Saint, ja... – Oderwała się, zacisnęła mocno powieki. – Ja nie mogę. Tamte razy... mam wyrzuty sumienia, że ci na to pozwalałam.

– Czy to sprawiało, że czułaś się dobrze? – wychrypiałem z ustami przy jej.

Podniosła na mnie oczy, nieco zarumieniona. Potaknęła niepewnie.

– Więc pozwól mi sprawić, byś znów się tak czuła. – Musnąłem ostrożnie wilgotne wargi kobiety. – Ostatni raz.

– Ostatni? – Zerknęła na mnie spod opuszczonych powiek.

Kiwnąłem głową.

– Nie chcesz mnie kochać, rozumiem to. – Po tym, do czego doprowadziły moje działania, miała prawo tak się czuć. – Nie stworzymy rodziny, to też wiem.

– Nie jesteśmy dla siebie dobrzy – wyznała szeptem.

– Ale moglibyśmy.

– Nie – odcięła natychmiast. – Nie wierzę w twoją przemianę. Nie wiem, kiedy grasz, a kiedy mówisz prawdę.

Miała rację. Byłem podłym manipulatorem i skurwysynem, których pełno chodziło po tym świecie.

Ale dla niej? Dla niej byłem najgorszy.

Z początku chciałem pokazać Asterii, że nigdy nie będzie w stanie zastąpić mojej niedoszłej żony, ale gdy do naszego układu zaczynały zakradać się emocje, czułem się tak, jakbym zdradzał Biancę.

Choć miałem problem z emocjami, szybko dotarło do mnie, że strata rudej okazała się dużo bardziej bolesna. Tym bardziej że dała mi pierwsze dziecko, moją córkę, i nienawidziłem jej za to, że mnie zdradziła, że mi ją odebrała.

Jednak czas, który dzieliliśmy na odzyskanie jej i sprowadzenie bezpiecznie do domu, uświadomił mi, że mogliśmy mieć swoje własne szczęśliwe zakończenie, ale to był zły moment i złe miejsce.

A dla takich jak ja nie było dobrych zakończeń. I może rzeczywiście powinienem pozwolić jej odejść?

– Będziecie bezpieczne. – To zapewnienie nie podlegało dyskusji.  
– Ty i Molly, dopilnuję tego.

Z jakiegoś powodu nie potrafiłem się od niej odsunąć. Moje usta ponownie odnalazły jej. Walczyła ze swoją moralnością, z tym, jakie to było brudne zagranie z jej własnym rozsądkiem.

Zsunąłem dłonie do kobiecych ud, po czym ją podniosłem, a jej nogi automatycznie otoczyły mnie w pasie. Nie przerywając pocałunku, ruszyłem schodami na piętro.

To nie było dzikie, agresywne, nie walczyliśmy ze sobą i po raz kolejny poczułem, że moglibyśmy tworzyć naprawdę zgrany zespół, gdyby nie to, ile różnic oddzielało nas od siebie murem. Pomimo przeciwności znalazłoby się parę rzeczy, w których byliśmy podobni.

Pchnąłem drzwi do mojej sypialni. Zbliżyłem się do masywnego łóżka, po czym nie oddzielając naszych ust, położyłem ją pod sobą.

Czułem zakończenie ostrych paznokci kobiety i to, jak przesuwała nimi pod moją koszulką. Uwielbiałem wrażenie mrowienia, jaką niesło za sobą to działanie. Zawędrowałem ustami na szyję Asterii.

Pełnym językiem przemknąłem przez jej napięte ścięgno, w odpowiedzi otrzymując cichy jęk.

Wyznaczałem sznur pocałunków, sunąc ku dołowi. Gdy tylko moje palce zakręciły się przy zamku jej spodni, ruda oparła mi dłonie na torsie.

– Zaczekaj – nakazała.

Wargi zamarły mi milimetry nad jej skórą. Uniosłem na nią pytające spojrzenie.

– Co?

Uniosła się na łokciach, prowokując mnie do odsunięcia się. Naparła zębami na dolną wargę, a oczami przeskanowała sypialnię.

– Nie możemy robić tego w nieskończoność. – Kiedy przestała zwiedzać spojrzeniem pokój, znów wbiła je we mnie. – To nie jest dla nas dobre.

Podświadomie się z nią zgadzałem. To nie było dobre, ale jeśli miałem pozwolić jej odejść, chciałem po raz ostatni posmakować jej w sposób, którego nigdy więcej z nią nie doświadczę.

– Jeśli to ma być nasz ostatni raz, to więcej tego nie powtórzymy.

Zmrużyła nieufnie oczy, gdy tak przeskakiwała spojrzeniem po mojej twarzy. Spięła się nieco.

– Ty mówisz poważnie – wydobyła szeptem.

Opadłem na miejsce obok niej. Wlepiałem wzrok w sufit z głową pełną różnorodnych myśli. Potrzebowałem chwili, zanim znów spojrzałem na kobietę.

– Naprawdę sądzisz, że nie możemy tego uratować?

– Czego? – Podkulili nogi i objęła je ramionami.

Zacisnąłem szczęki, aż rozboleła mnie żuchwa. Mówienie o uczuciach było dla mnie nowe. Nie do końca miałem pewność, czy wciąż mówię to ja, czy trzecia szklaneczka whisky, którą opróżniłem.

– Nas.

Zacisnęła powieki. Odwróciła głowę w przeciwnym kierunku, jakby zmuszała się do tego, by na mnie nie patrzeć.

– Nie. – Chłód i stanowczość w jej głosie w zupełności mi wystarczyły.

– Moglibyśmy spróbować być... – Zawahałem się. – No wiesz...

– Jacy? – zapytała z pretensją, wracając do mnie spojrzeniem.

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, jakiego słowa właściwie szukałem.

– Normalni.

– Normalni? – parsknęła, a brwi sięgnęły jej fikuśnej grzywki. – My nigdy nie będziemy normalni, a już na pewno nie ty.

– Słuchaj, rozumiem, że wciąż jesteś zła za to, co zrobiłem, ale...

– Zła? – Odsunęła się gwałtownie, tworząc wyraźny dystans między nami. – Ty mnie zrujnowałeś.

Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

Asteria niespodziewanie rozpięła spodnie, zsunęła je, aż te całkowicie opadły na podłogę. Oparła stopę na materacu, ukazując mi łydkę z wyraźną blizną od jej połowy aż pod kolano.

– Wiesz, kiedy będę w stanie cokolwiek do ciebie poczuć? – zaczęła szeptem, głos jej drżał. – Kiedy ta blizna kompletnie zniknie.

Czyli nigdy. Zrozumiałem tę prostą aluzję.

– Mogę spróbować być lepszy – mruknąłem z dozą niepewności.

– Czym tym razem zakończy się twoje próbowanie? – Usiadła na łóżku, wpatrując się we mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Skręcisz mi kark?

– Nie bądź nedorzeczna – prychnąłem, podnosząc się do siadu.

– Nedorzeczna? – zirytowała się. – Prawie mnie zabiłeś!

Schowałem twarz w dłoniach ze zrezygnowanym jękiem. Być może rzeczywiście tak było, ale jeśli miałem odejść, wolałbym, by nie próbowała powiedzieć w przyszłości Molly o tym, do czego doprowadziłem.

– Być może. – Przesunąłem językiem po wardze i odwróciłem oczy w przeciwnym kierunku. – Ale uratowałem ci życie. Trzy razy.

I wkrótce zrobię to po raz czwarty.

Znów usłyszałem jej prychnięcie. Podniosła się, odwróciła tyłem i zaczęła wciągać spodnie. Słyszałem, jak pociągnęła nosem.

– To niczego nie zmienia.

Jej ciało było tak blisko mojego. Dłonie aż mnie świerzbiły, by spróbować ją objąć, dotknąć, przyciągnąć bliżej i pocałować. Drejące refleksje zmusiły mnie do odrzucenia tej myśli.

To się zmieniło, gdy zwróciła się w stronę drzwi. Trzymała już dłoń na klamce, gdy mój głos wprowadził ją w bezruch.



– Asteria...

Zbliżyłem się do niej. Kobięce ramiona drgnęły. Przycisnęła bezwładnie czoło do drewnianej powierzchni, a jej cichy szloch rozbrzmiał we wnętrzu sypialni.

Nie wiedziałem, dlaczego poczułem echo jej żalu we własnym wnętrzu, ale z jakiegoś powodu w żołądku osiadło mi nieprzyjemne uczucie.

Wysunąłem rękę do jej ramienia.

– Nie, przestań – załkała głucho.

Nie chciałem przestawać. Nawet jeśli mnie nienawidziła, wiedziałem, że potrzebowała bliskości.

Pomyliłem się. Nie była tak zepsuta jak ja. W niej tkwiło zdecydowanie więcej dobra. Przynajmniej wiedziałem, skąd u Molly zrodziła się ta dziwna potrzeba świadomości, że potrzebowała drugiej osoby do przeżycia. Ruda nie była typem samotnika. Nie potrafiła nim być na dłuższą metę.

Zsunąłem dłoń w dół jej smukłej talii, zawieszając ją gdzieś w okolicy biodra.

– Nie musisz być silna.

Odwróciła się ku mnie tak, jakby miała zaraz wybuchnąć. Uniosła dłonie w powietrze, co wyglądało jak zapowiedź rozszarpania mnie, ale ręce opadły jej na mój tors. Chwyciła w pięści moją koszulę, czoło wtuliła w klatkę piersiową, a szloch, który rozbrzmiał między nami, był pełen żalu.

Ponieważ nie mogła mnie kochać. Może nawet i żałowała wszystkiego, co niegdyś nas łączyło. Była szaloną burzą emocji, raz wkurwioną do granic możliwości, a raz kompletnie bezradnym obłokiem, którego zmiecenie zależało od jednego podmuchu wiatru.

Potrzebowałem chwili, by moje ramiona mogły ją objąć. Nie protestowała. Nie walczyła ze mną. Jej życie zostało skazane na katastrofę, a ja byłem tego prowodyrem.

Czasem miałem ochotę zniknąć, by ludzie mogli zapomnieć o moim istnieniu, żeby przestali trząść się na wspomnienie mojego nazwiska, a każdy kompletnie wymazałby z pamięci to, kim byłem.

– Nie jestem dla ciebie dobry – mówiłem jej we włosy. – Nie byłem najlepszy dla naszej córki. Jestem okrutną bestią, która

powinna trzymać się z dala od takich osób, jak ty.

Nie odpowiadała. Nie spodziewałem się odpowiedzi. Oddech jej spowolnił, przestała się trząść. Pogładziłem ręką rude włosy kobiety.

– Masz rację – ponownie zabrałem głos. – Powinienem odpuścić.

Uniosła na mnie napuchnięte od łez oczy.

– Co? – Przyglądała mi się smutnym wzrokiem.

Ująłem jej twarz w dłonie, a kciukami przemknąłem po zaróżowionych policzkach. Ta decyzja była trudna i wiedziałem, że będzie mnie wiele kosztować, ale tak było lepiej.

– Pozwolę ci odejść. – Chłonałem oczami jej skonfundowany wyraz twarzy. – Ale daj mi miesiąc. Chcę móc pożegnać się z Molly, zanim ją zabierzesz.

Opuściła bezwładnie ramiona, a w zielonych tęczówkach pojawiło się jeszcze więcej łez. Przyłgnęła do mnie, wtulając policzek w moją pierś. Nie wiedziałem, jak powinienem to odebrać, ale uważałem to za wdzięczność.

Rozdzielił nas krzyk. Wszystkie moje mięśnie napięły się w sekundę.

– Molly...

Asteria szarpnęła drzwiami, rzucając się biegiem w stronę dziecięcej sypialni. Idąc jej śladem, wtargnąłem do środka. Włącznikiem zapaliłem górne światło, posyłając mrok w zapomnienie. Rozejrzałem się dookoła, uważnie skanując każdy centymetr pokoju, jednak nic niepokojącego nie wzbudziło mojej uwagi.

Ruda przysiadła na łóżku, wciągając córkę na swoje kolana. Przytuliła ją mocno, całą rozdygotaną, zlaną potem i we łzach.

– Tatusiu... – załkała, wyciągając do mnie dłonie.

Poruszony tym jednym słowem, zbliżyłem się do nich, po czym usiadłem na przeciwnym brzegu łóżka. Ręką odgarnąłem rude kosmyki włosów z jej twarzy.

– Spokojnie, Molly. Nic ci nie grozi – mówiłem cicho, by jej nie rozbudzić. – Śpij.

Owinęła ramiona wokół szyi Asterii, a policzek oparła na jej barku. Zielone oczy córki wpatrywały się we mnie jeszcze przez chwilę, dopóki zmęczone powieki nie zaczęły opadać.

Patrzyłem na ten obraz rodziny, której wiedziałem, że nigdy nie będę w stanie im dać.

I tylko to utwierdziło mnie w przekonaniu, że to dobra decyzja.

## ROZDZIAŁ 30

### *Saint*

Patrzyłem na trumnę Fábio. Najbliższy przyjaciel zasłużył na godny pochówek. Nakazałem sprowadzenie jego ciała do Rio, by mógł spocząć na swojej ziemi.

Grono żałobników ograniczyło się do jedenastu osób, w tym mnie, Édera i Victora. Co jakiś czas czułem na sobie ich spojrzenia, ale moje oczy nie odrywały się od dębowego pudła, w którym spoczywał nasz człowiek.

Martwa cisza spowiła *velórios*<sup>20</sup>. Wielebny mówił coś o zbawieniu, ale wiedziałem, że ten cwany gnojek na nie nie zasłużył. Pewnie teraz wygrzewa się w piekielnym basenie, popijając ulubiony rum.

Pogodzenie się z jego śmiercią było trudne. Wciąż miałem wrażenie, że gdzieś wyjechał, a w trumnie wcale nie leżą zwłoki egzekutora. A jednak spoczywał tam, a my byliśmy tego świadkami.

Nie byliśmy nawet odświętnie ubrani. W tradycji brazylijskiej nie celebrowało się odejścia zmarłego. Moment zadumy trwał od chwili, w której zmarł mi na rękach.

*Byłem wierny.* Słowa przyjaciela zagłuszały przebieg ceremonii. Fábio stanowił przykład człowieka honoru, lojalny do samego końca, walczący w imię tego, w co wierzył, a za co skłonny był oddać życie. I oddał, za moją córkę.

W chwili, w której trumna została spuszczone do dołu, moje oczy przeskanowały twarze zebranych. Ci ludzie byli mi jak bracia. Przeczynałem, że moja decyzja okaże się dla nich ciężka do przełknięcia, lecz jednak stanowiła jedyne rozwiązanie, które dostrzegalem na horyzoncie.

Moja rodzina musiała pozostać bezpieczna, a cena nie grała żadnej roli. Miałem wystarczająco pieniędzy, by wykupić całe

pieprzone wojsko, jeśli tylko zostałbym do tego zmuszony.

Pierwszy zbliżyłem się do dołu. Zgarnąłem wilgotną ziemię, po czym przyjrzałem się jej w przyływie nostalgii.

*Z prochu powstałeś... i w proch się obrócisz.*

Wypuściłem piach do grobu, a ten załomotał o dębowe wieko. Chłopcy powtórzyli mój ruch. Otrzeptałem ręce, zanim zanurzyłem je w kieszeniach spodni. Éder stał tuż obok. Przyglądał się dziurze w ziemi, dopóki nie przekreślił ku mnie głowy.

– Żadnych więcej pogrzebów, bracie. – Uścisnął moje ramię.

Nawiązałem z nim kontakt wzrokowy. W spojrzeniu mężczyzny odkryłem wyraz prawdziwego przygnębienia. Zapewne wciąż czuł się winny sprowokowania Fábio do działań, wskutek których ten zginął. Nie byłem tu od tego, by klepać go po głowce. Jego czyn to jego odpowiedzialność.

– Może jeszcze jeden – mruknąłem, po raz ostatni zerkając na grób, zanim odwróciłem się w stronę cmentarnych bram.

Miałem gówna do wykonania, a mój plan nie cierpiał zwłoki. Złożyłem obietnicę i zamierzałem jej dotrzymać.

Drogę do domu pokonałem w ciszy. Nie chciałem, by chłopcy kręcili się po nim, więc nakazałem im wrócić do siebie. Podobnie było z Zarią. Nie wydawało się, by śmierć egzekutora ją poruszyła. Jedyne, co ją cieszyło, to powrót do domu. Była wolna.

– Tatusiu! – Okrzyk mojej córki dotarł do mnie, gdy tylko pchnąłem drzwi.

Przyklęknałem na jedno kolano, a następnie przyjąłem ją w ramiona. Zamknąłem oczy, gdy moje usta spoczęły na jej czole. Rozchyliłem powieki, jak tylko ująłem w dłonie alabastrowe policzki. Piękne tęczęwki dziewczynki lśniły, gdy na mnie patrzyła.

Pomyślałem, że tamtego dnia to mogłem być ja. To moje zwłoki spoczęłyby w chłodnym, pustym dole pośrodku absolutnie niczego. Zakopany i zapomniany.

Cóż, prawie zapomniany. Jediną osobą, która kochała mnie w tym pieprzonym świecie, była moja córeczka.

– Kocham cię, Molly.

Brwi jej drgnęły. Niewiele mówiąc, rzuciła mi się w ramiona. Przytuliła mnie mocno, a ten gest wytworzył ciepło w moim skutym

lodem sercu. Przymknąłem powieki, czując się spokojny. Dziewczynka oparła mi głowę na bicepsie.

– Też cię kocham – odszepnęła.

To było zadziwiające, że tak mały promyczek był w stanie pokochać takiego potwora jak ja. My kontra cały świat. Dawała mi poczucie własności, przynależenia do czegoś. Dzięki niej nie byłem sam, a tymczasem musiałem pogodzić się z myślą, że kilka tygodni dzieliło nas od rozstania. Choć pałałem nadzieją, że nie na zawsze.

Coś mi podpowiadało, że ktoś jeszcze się nam przygląda. Moje oczy wyłapały Asterię, która przysiadła na przedostatnim stopniu, bacznie nas obserwując. Zastanawiałem się, o czym myśli, ale rączki córki owinięte wokół mojej szyi wytrąciły mi to z głowy.

Wziąłem ją w ramiona, gdy zbliżałem się do kobiety. Ruda wyciągnęła dłoń do małej, by pogłaskać jej ogniste włosy, a mnie posłała pytające spojrzenie.

– Jak się czujesz? – zapytała.

Pusty. Wyprany. Obcy.

– Nieźle.

Kącik jej ust drgnął w odpowiedzi. Zdziwiłem się, gdy wierzchem ręki pogładziła mój policzek. To było inne, całkiem miłe.

– Będzie dobrze – odparła szeptem.

Patrzyłem w oczy kobiety bez krzty nadziei, zanim zerwała kontakt wzrokowy i uciekła spojrzeniem do córki.

– Chodź, malutka. – Wysunęła do niej dłoń.

Molly jeszcze przez chwilę tuliła się do mojego torsu, dopóki nie owinęła ramion wokół matczynej szyi. Obserwowałem, jak odchodziły, pokonując schody na górę.

Frustracja mieszała się z bólem na myśl o tym, że już ich nie odzyskam. Choć kochałem je obie, nie potrafiłem im tego okazać, a przecież tak bardzo chciałem. Były moim jedynym powodem do przeżycia, który podtrzymywał mnie w woli walki o przetrwanie. W szczególności moja mała dziewczynka.

Z westchnieniem wysunąłem telefon z kieszeni. Przejrzałem kontakty, a mój kciuk zastygł przy jednym nazwisku.

*Vaughn Reeds.*

Wybrałem połączenie, by za moment wsłuchiwać się w sygnały oczekiwania.

Jeden.

Drugi.

Trzeci.

– Na pewno wiesz, do kogo dzwonisz? – Głos zabarwiony kpina wytoczył się ze słuchawki.

Doskonale wiedziałem. Vaughn przed laty dopuścił się porwania Asterii na zlecenie Meksykanów. Był ich egzekutorem albo raczej specem od brudnej roboty. A żeby tego było mało, mieliśmy wspólną matkę.

Ścisnąłem palcami grzbiet nosa, a mój oddech w kilka chwil stał się ciężki. To, co zamierzałem powiedzieć, mogło zaważyć o moim być albo nie być.

– Potrzebuję twojej przysługi. – Podtrzymałem twarde ton.

– Przysługi? – Brzmiał na szczerze zaskoczonego. – Czego oczekujesz?

Przez moją głowę przetoczyło się powątpiewanie. Zamiast rozmyślać, po prostu to powiedziałem:

– Spotkanie z waszym przywódcą. – Zawiesiłem głos. – Podaj cenę.

Cisza. Najwyraźniej on też nad tym debatował.

– Szukasz rozejmu? – dopytywał.

Zacisnąłem szczęki. Moje oczy uciekły na szczyt schodów, gdzie po raz ostatni widziałem córkę i żonę.

– Wręcz przeciwnie – mruknąłem głosem pozbawionym emocji.

Milczał. Być może się namyślał. Usłyszałem przeciągły pomruk.

Chociaż był pierdolonym psycholem, wiedziałem, że tylko on miał jaja, by balansować na linii życia i śmierci.

– Oczekuj wiadomości – skontrolował z nutą zadowolenia. – Dogadamy szczegóły.

# ROZDZIAŁ 31

## *Asteria*

Noc była wyjątkowo chłodna. Rozgwieżdzone niebo pobłyskiwało tak, jakby ktoś przypadkiem wysypał na nie brokat. Stojąc na tarasie, obejmowałam się ramionami z kocem narzuconym na plecy. Być może założenie satynowej halki nie było najlepszym pomysłem, jednak ubrania, w których dotychczas spałam, wylądowały w praniu.

Wzięłam głęboki wdech, gdy zamknęłam oczy. Wszystko się zmieniło. Czas wydawał się gnać bez końca, odkąd córeczka do mnie wróciła.

Molly spała już od godziny. Zauważyłam, że lubiła długie kąpiele w gorącej wodzie. Spała po nich jak wtedy, gdy była malutka. Uwielbiałam śpiewać jej do snu, głaskać jej rubinowe włosy i szeptać po stokroć, jak bardzo ją kocham.

Przez miniony czas, od kiedy byliśmy razem, zdążyła podłapać kilka słówek po angielsku. Musiałam przyznać, że całkiem dobrze jej szło.

Koszmary czasem nawiedzały ją w snach. Budziła się wtedy z krzykiem, płakała z histerią, po czym zasypiała w moich ramionach, a nad ranem niczego już nie pamiętała. Powtarzałam jej, że jest bezpieczna, że nic już jej nigdy nie zagrozi i choć nie była w stanie wszystkiego zrozumieć, zaufanie córki wobec mnie stale rosło.

Od pogrzebu Fábio upłynął równy tydzień. Saint snuł się po domu jak swój własny cień. Coraz częściej bywał zamyślony, prowadził dziwne nocne rozmowy, znikał gdzieś na parę godzin, zostawiając nas z armią swoich żołnierzy, i wracał nad ranem. W ciągu dnia spędzał z Molly większość popołudnia, by powtórzyć wszystko, kiedy nadchodził wieczór.



Chociaż nie czułam do niego przywiązania, martwił mnie jego stan. Miał tajemnice, co nie było niczym nowym, ale nigdy nie był tak... wyalienowany.

Poruszyłam się, gdy usłyszałam dźwięk rozsuwanych drzwi. Napotkałam spojrzenie McCanna. Zaskoczyła mnie jego obecność, a on najwyraźniej był zdziwiony moją.

Bez słowa przysiadł w wiklinowym krześle. Nie patrzył na mnie. Sama nie wiedziałam, gdzie właściwie patrzył. Wyglądał na sfrustrowanego, gdy pocierał brodę ręką.

– Wszystko w porządku? – Nie kryłam zmartwienia.

Odnalazł mnie w ciemności.

– Sam nie wiem – przyznał cicho.

Z trudem przełknęłam ślinę. Zbliżyłam się, niepewna tego, czy nie okrzyczy mnie za okazanie mu współczucia i troski.

– Od jakiegoś czasu chodzisz taki... – Nie potrafiłam znaleźć odpowiedniego słowa. – Sama nie wiem, przygnębiony?

Prychnął, odwracając spojrzenie do ogrodu skąpanego w mroku.

– A jaki mam być, jeśli zamierzacie mnie zostawić? – zapytał z pretensją w głosie. – Każdego dnia odliczam tylko, ile mi zostało do dnia, w którym zabierzesz Molly.

Więc o to chodziło? Całe moje ciało pulsowało żalem. Dlaczego, do cholery, czułam wyrzuty sumienia?

Niepewnym ruchem ręki przebiegłam palcami po jego karku. Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy. Coś zmieniło się w jego chłodnych oczach.

– To może wydawać się dla ciebie dziwne, ale to całe gówno jest dla mnie cholernie trudne. – Ton mężczyzny był zabarwiony przygnębieniem.

Jak na kogoś, kto rzadko kiedy wykazywał jakiegokolwiek emocje poza gniewem, to naprawdę musiał to przeżywać.

– Wiem, że to jest trudne – przyznałam szeptem. – Żyłam tak przez cztery lata.

– Więc to jest kara? – Zmrużył na mnie oczy z uwagą.

– Co? – Wygięłam brwi w zaskoczeniu. – Nie, to nie jest żadna kara. – Odtrąciłam jego osąd. – To dla bezpieczeństwa naszej córki.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, dopóki nie schował twarzy w dłoniach. Napiął ramiona, gdy pochylił głowę, a palcami przebiegł po krótkich włosach.

– Chyba nie potrafię poradzić sobie ze stratą.

Coś ścisnęło mnie w żołądku na to wyznanie. Przysiadłam na podłokietniku krzesła, na którym siedział. Skrzyżował ze mną spojrzenie, gdy pogłaskałam go czułym gestem po głowie.

– Przecież to nie jest koniec, Saint – wyszeptałam. – Będiesz mógł się widywać z Molly.

Wiedziałam, że mimo wszystko był związany z córką. Wywalczyłam sobie możliwość wyjechania z nią do naszego ojczystego kraju, choć nie ukrywałam, że mocno zdziwiła mnie jego zgoda. Być może sam zrozumiał, że Brazylia nie była bezpieczna dla naszej dziewczynki.

Oparł czoło na moim brzuchu. Wyczułam, że oddech mu spowolnił. W takiej pozycji wyglądał na prawdziwie niewinnego i bezwładnego, jakby wcale nie mordował z zimną krwią. To nie mogło uspić mojej czujności. Pomimo tego, że ostatnimi czasy zachowywał się względnie normalnie i bez wybuchów agresji, to wciąż był bestią. Hibernującą, ale bestią.

– O co chodzi? – zapytałam wreszcie. – Co się dzieje? Nigdy się tak nie zachowywałeś.

Pokręcił powoli głową, nie odrywając się od mojego ciała. Najwyraźniej nie zamierzał o tym rozmawiać.

– Saint...

Moja dłoń ponownie gładziła jego głowę, kark i przebiegła mu po plecach. Wciąż milczał. Pod opuszkami palców mogłam wyczuć napięte mięśnie mężczyzny.

Zaczynałam odnosić dziwne wrażenie, że jego zachowanie nie zostało uwarunkowane wyłącznie moim wyjazdem z Molly. Cokolwiek dręczyło myśli tego człowieka, przygniotło go do ziemi jak głaz, którego za nic w świecie nie potrafił z siebie zepchnąć.

Uniósł na mnie oczy. Były jeszcze chłodniejsze, niemal mnie przeraziły. Wypuściłam westchnienie, gdy jego zimna dłoń spoczęła w okolicach moich lędźwi. Przyciągnął mnie bliżej, aż usiadłam mu

bokiem na kolanach. Nasze twarze znalazły się na jednej wysokości. Żadne z nas niczego nie mówiło.

Cisza. Delikatny szelest wiatru. Cykanie świerszczy w tle. Ptaki ćwierkały coś w rodzaju kołysanki, a może tylko dla mnie ten dźwięk wydawał się koić nerwy.

Usta mężczyzny przywarły do moich. Zamknęłam oczy, czując na sobie ich ciepło. Z zachowaną wrażliwością zaczęłam odwzajemniać pocałunek. Był inny niż wszystkie, które dotąd dzieliliśmy. Taki czuły, choć pożądlivy, a jednak mówiący coś, co brzmiało bardziej podobnie do „kocham cię” niż „potrzebuję twojego ciała”.

I chociaż to było złe... przez złudną chwilę tak właśnie chciałam się czuć.

Pozwoliłam kocu opaść, gdy moja dłoń powędrowała na kark męża. Przeciągał muśnięcia, jakby napawał się smakiem moich ust, próbując zachować go w pamięci. Poczułam jego język na wargach, więc rozchyliłam je dla niego. Zahaczył czubkiem języka o mój, zapraszając go do zmysłowego rytuału.

Jak tylko zabrakło nam tchu, przechylił głowę, opuszczając usta na spotkanie mojej szyi. Jęknęłam, czując, z jaką pasją i hołdem muskał wrażliwe miejsca. Zsunął ramiączko mojej halki, odsłaniając przed sobą nagie piersi.

Składał wilgotne pocałunki w dół ramienia, powędrował do biustu, obdarzał uwagą dolinę między piersiami, aż dotarł do prawego sutka. Otoczył go wargami i possał mocno, a drugą pierś ujął w dużą, męską dłoń.

Natłok emocji i przyjemności sprowokował mnie do skomleń tuż przy jego uchu. Przesuwałam paznokciami po delikatnych włosach na karku mężczyzny, poruszając się niespokojnie na jego kroczu. Mogłam przysiąc, że czułam, jak erekcja w jego spodniach dawała o sobie znać.

Jednym zwinnym ruchem posadził mnie na sobie okrakiem. Oparłam kolana po obu stronach jego muskularnych ud. Przyciągnęłam jego głowę jeszcze bliżej, nie chcąc, by zaprzestał pieszczot. Tym razem poświęcił uwagę drugiej piersi.

– *Você é a melhor coisa que já aconteceu em minha vida*<sup>21</sup>... – wychrypiał coś po portugalsku.

Nie miałam pojęcia, co powiedział i dlaczego wypowiedział to takim tonem, jednak te kilka słów odbiło się przyjemną wibracją w moim wnętrzu.

Moje palce same odnalazły drogę do jego rozporoka. Rozpięłam mu go zaraz po tym, jak uporałam się ze skórzanym pasem. Saint zanurzył opuszki palców pod moją halkę, by przesunąć materiał koronkowych stringów na bok.

Złapał za trzon penisa, po czym potarł nim o moje wilgotne wejście. To delikatne tarcie wprawilo mnie w drżenie w każdym calu mojego ciała. Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy, gdy powoli osunęłam się na jego kutasa. Zachłysnęłam się powietrzem, gdy cały mnie wypełnił.

Oparł czoło o moje i nawet gdy zamknęłam oczy, wiedziałam, że na mnie patrzył.

– *Eu preciso de você*<sup>22</sup>. – Gorący oddech owionął mi wargi, zanim je pocałował.

– Angielski – upomniałam, jęcząc mu prosto w usta.

– Kurwa, nie – syknął, wbijając palce w moje pośladki.

Wchodził we mnie powoli, poruszając się w leniwym rytmie naszego pocałunku. Przesunęłam paznokciami po jego silnych ramionach, nawet nie wiedząc, kiedy pozbył się koszulki.

Chciałam, żeby przyspieszył, zaspokoił pragnienia naszych ciał, ale on tego nie robił. To nie przypominało pieprzenia. Rozkoszował się każdym ruchem we mnie. Co rusz wysuwał się i wchodził głęboko.

On... on się ze mną kochał.

Rozchyliłam powieki, przeskakując oczami po jego twarzy w niemaleńczej dezorientacji. Wciąż był blisko. Tak blisko, że nasze nosy dzieliły tylko milimetry.

– Co robisz? – wyszeptałam.

W jego spojrzeniu kryło się zapytanie.

Kołatanie swojego serca słyszałam nawet w głowie. Zatrzymał się, jakby moje słowa wprowadziły go w zawahanie.

- Co? – mruknął ściszone głoŝem.
- Co ty robisz? – ponowiłam pytanie.

Zlustrował mnie, dotarł do miejsca, w którym byliŝmy połączeni, zanim odnalazł moją twarz.

- Nie wiem – zdradził cicho.

Wpatrywałam się w niego w milczeniu. Chłodny wiatr musnął moją nagą skórę, prowokując do dreszczy. Przełknęłam z trudem ślinę, gdy to dziwne uczucie, które rozgrywało się między nami, zaczynało mnie przytłaczać.

- Myślałem, że to jest przyjemne.

Dostałam gęziej skórki na brzmienie jego zachrypniętego głoŝu.

- Bo jest... – przyznałam wbrew sobie – ...ale ty taki nie jesteŝ.
- Jaki? – Wygiął brwi.

Nie wiedziałam, jakich słów powinnam użyć. Przebiegłam palcami po twardych mięśniach jego brzucha, jednak nie zrywałam z nim kontaktu wzrokowego.

- Hmm... – zawahałam się – ...delikatny.

Kącik jego ust drgnął i to pierwszy raz od dwóch tygodni, gdy mogłam zobaczyć, jak się uŝmiecha.

- Nie chcesz, żebym taki był?

Sama juŝ nie wiedziałam, czego tak naprawdę chcę.

Tętno mi przyspieszyło. Zanim do głoŝy zakradłyby się wyrzuty sumienia czy żal związany z tym, co niegdyŝ dzieliliŝmy, złapałam się jego ramion i sama zaczęłam się na nim poruszać.

To tylko nasze ciała. Nic więcej. Cieleŝna przyjemnoŝć nie musiała nieŝć za sobą żadnych uczuć.

Przyparłam czoło do czoła mężczyzny na poczucie rozkosznego tarcia jego penisa we mnie. Jęczałam mu w usta, prowokując go do mocniejszych pchnięć. Warknął nisko, przeciągle, gdy zaczynałam się na nim zaciskać. Tym razem to ja pieprzyłam jego.

Słodkie skamlenia z moich warg doprowadzały go do utraty zmysłów. Nie miałam pojęcia, co się ze mną działo i dlaczego tak bardzo pragnęłam wyprzeć jakakolwiek oznakę jego uczuć w moją stronę.

Emocje, które mną targały, niedługo wybuchną. To niewątpliwie było wyłącznie kwestią czasu.

Podniósł mnie niespodziewanie, po czym położył na potężnym, drewnianym stole. Rozwarł mi nogi, przyciągając do samego brzegu, po czym wszedł na tyle mocno, że wygięłam ciało w łuk. Trzęsącymi się dłońmi odnalazłam wyżłobione krawędzie.

Z trudem łapałam oddech, gdy wymazał resztki czułości na rzecz rżnięcia. Zarzucił sobie moje łydki na ramiona, kołysząc biodrami w mocnym, pewnym rytmie, pod wpływem którego stół pode mną trzeszczał i łomotał.

Było mi zbyt dobrze, by to przerwać. Utracone panowanie nad własnym ciałem i umysłem przekazałam w jego dłonie. Podczas minut, które zamierzał przeznaczyć na pieprzenie, mógł uczynić ze mną to, co tylko chciał.

Dzieliliśmy kropelki potu na skórze, szepty, jęki i rozkosz, za którą goniliśmy. Przyciągnął mnie jeszcze bliżej, pozwolił mojej nodze wolno się zsunąć, a drugą pociągnął wzdłuż swojego biodra.

Wsparłam się na łokciach, gdy Saint wplótł palce w moje włosy, zmniejszając dystans naszych twarzy. Wbiłam mu paznokcie w ramiona, by targające mną emocje odnalazły ujście. Pocałował mnie krótko, przywierając czołem do mojego. Wydobył z siebie jęk, gdy pulsacyjnie zaczęłam zaciskać się wokół jego penisu.

Krzyknęłam, gdy dosięgnęła mnie ekstaza. Mężczyzna przytrzymał mnie hardo za biodra, ujeżdżając resztki mojego orgazmu, by osiągnąć szczyt.

Nie miałam pojęcia, ile minut minęło, gdy moje oczy zamiast rozgwieżdżonego nieba zarejestrowały gołębi sufit. Podniosłam głowę, a na widok Sainta u mojego boku pozwoliłam jej opaść z powrotem na poduszki. Musiał mnie przenieść, gdy odpłynęłam.

– Molly – powiedziałam na głos. – Muszę sprawdzić, czy...

– Byłam u niej przed chwilą – zapewnił, kciukiem dotykając mojego podbródka. – Śpij.

Byłam wyczerpana, a mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa. Odwróciłam się do niego plecami, wtulając policzek w puchowy materiał. Poczułam ruch za sobą, a wilgotne wargi spoczęły mi na barku.

Drgnęłam.

– Nie całuj mnie tak – wymamrotałam śpiąco.

Zastygł za mną.

– Jak?

Przekręciłam głowę, patrząc mu prosto w oczy.

– Jakbyś mnie kochał. – Mój szept rozpadł się między nami.

Wetknął mi kosmyk włosów za ucho, a kciukiem przemknął po policzku. Zamknęłam oczy na ten ruch, jednak rozchyliłam je, gdy poczułam, jak materac ugiął się przy mnie.

– Śpij – powtórzył.

Uparcie walczyłam z chęcią opuszczenia powiek, by obserwować jego poczynania. Saint podniósł się z łóżka. Wyjął spodnie z komody, po czym je założył. To samo uczynił z koszulą. W ciemności byłam w stanie dostrzec, jak mi się przyglądał, choć musiał myśleć, że zasnęłam.

Usłyszałam wibracje. Mężczyzna sięgnął po telefon, a ekran rozjaśnił mu twarz. Odczytał coś. Wyglądał tak, jakby się wahał. Znów na mnie spojrzał. Ukrył telefon w kieszeni, by następnie nachylić się nade mną. Usta męża spoczęły na moim czole.

– Dbaj o nią, proszę – wychrypiał ledwie słyszalnie.

Moje ciało chciało się wzdrygnąć w odpowiedzi. Na usta pchało mi się zapytanie, ale nie chciałam zdradzać tego, że nie śpię. Widziałam tylko, że wyszedł, a drzwi zamknęły się za nim sekundy przed tym, zanim zmęczenie wzięło nade mną górę.

## ROZDZIAŁ 32

### *Asteria*

Rankiem dom nie był już skąpany w ciszy.

To pierwszy dzień, gdy nie byliśmy sami. Zaskoczyła mnie obecność Édera i Margaridy. Wciąż wyglądali na pogrążonych w zadumie. Kobieta nigdy nie pałała do mnie życzliwością, więc nie dziwiło mnie zatem jej zdegustowane spojrzenie, gdy weszłam do kuchni z córką u boku.

Molly była milcząca. Ta noc także nie obyła się bez koszmaru. Spędziłam z nią ten czas aż do poranka. Mój głos ją uspokajał, a obecność wydawała się dodatkowo koić dziecięce nerwy.

– Gdzie jest tata?

Cieszyłam się, że byłam w stanie zrozumieć słowa dziewczynki.

Éder posłał mi zaskoczone spojrzenie, zanim skierował je na moją córkę.

– Nie było go z wami? – zapytał tym razem po angielsku.

– Był tu w nocy, ale później już go nie widziałam. – Wzruszyłam niepewnie ramionami.

Zaniepokoił mnie wyraz twarzy mężczyzny. Zadał pytanie gosposi, jednak nawet ona pokręciła głową.

– Dziwne – mruknął. – Nie mówił, że go nie będzie.

Wyczułam nieprzyjemne napięcie w powietrzu. Przykucnęłam obok córeczki, po czym ucałowałam jej policzek.

– Ty... – Musnęłam opuszką dziewczęcy nosek. – Bajki, tam? – Wyrzuciłam kciuk w stronę salonu.

– *Estou com fome*<sup>23</sup> – powiedziała cichym głosem, obejmując się za brzusek.

Nie wyłapałam ciągu słów, które wyrzuciła z siebie Margarida. Molly potaknęła w odpowiedzi, mruczac nieśmiało:



– *Sim.*

Och, była głodna. Sama zamierzałam przygotować jej śniadanie, tak, jak robiłam to do tej pory, jednak spojrzenie gospodyni nie należało do przychylnych.

Kobieta wyjęła z piekarnika blaszkę wypełnioną małymi kuleczkami, które przypominały ptysie. Przerzuciła część do miseczki, a następnie podała ją mojej córce, zanim ta czmychnęła do salonu.

Milczenie trwało jeszcze przez chwilę, dopóki nie upewniłam się, że mała niczego nie usłyszy.

– Saint często tak znika? – zwróciłam się do rodzinnego sekretarza.

Éder podrapał się z zamyśleniem po brodzie. Ekspres wydał dźwięk. Mężczyzna sięgnął po filizankę z espresso, a mnie posłał beznamiętne spojrzenie.

– Czasami, ale ostatnio mu się to nie zdarzyło. – Upił łyk. – Dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem. – Odełam wargę i objęłam się ramionami. – Dziwnie się zachowywał, w szczególności wczoraj.

W chwili zadumania wlepił spojrzenie w ścianę. Popijał kawę, a z wyrazu twarzy mężczyzny mogłam wywnioskować, że odpłynął na chwilę.

– Od kiedy tylko Molly wróciła do domu, nakazał wszystkim trzymać się z dala od posiadłości na jakiś czas. – Przyszpilił mnie wzrokiem. – I chyba tylko to było dziwne.

– Żaden z was nie zapytał dlaczego?

– Żeby mała nie widziała nas z bronią – odparł ciszej. – Ale i tak rzadko kiedy pokazywaliśmy ją w jej obecności. To się właściwie nie zdarzało, nie licząc chwil, w których zabierał ją na strzelnicę.

Zgarbiłam ramiona, czując ogromny ciężar w dole brzucha. Chciałabym wreszcie móc spakować moją córeczkę i zabrać ją do Stanów, zamiast bezczynnie siedzieć w tych bezosobowych murach.

– Chcesz, żebym do niego zadzwonił? – Miał już sięgnąć ręką do kieszeni, jednak mój głos zniwelował ten pomysł.

– Nie.

Zdecydowanie lepiej się czułam, gdy nie kręcił się w pobliżu. Wczorajszy wieczór był inny, ale z biegiem godzin uważałam go za niezręczny. Ten pokaz czułości był zbędny. Mógł o nas walczyć dużo wcześniej, teraz już na to zdecydowanie za późno.

Odnalazłam Molly w salonie. Siedziała na marmurowej posadzce, tuż przy oszklonych drzwiach z wyjściem na taras.

– Kochanie?

Nie odwracała się.

Zerknęłam na sofę, na której pozostały tłuste ślady palców. Połowa kulek z miseczki zniknęła. To dobry znak, że małej wracał apetyt.

– Kochanie... – spróbowałam raz jeszcze, zbliżając się.

Wzdrygnęła się i głośno wciągnęła powietrze. Odwróciła się ku mnie gwałtownie, wtulając plecy w szklane drzwi. Oddech jej przyspieszył, oczy miała szeroko otwarte, gdy na mnie patrzyła.

– Hej, ciii... – Uniosłam ostrożnie dłonie w poddańczym geście. – Dobrze. Wszystko dobrze.

Mój łamany portugalski z dnia na dzień był coraz lepszy, jednak nie wystarczająco, by posługiwać się płynnie pełnymi zdaniami.

Dostrzegłam w jej zaciśniętej piąstce skórzany pasek z kolcami. Szybko się zorientowałam, że to obroża. Popatrzyłam na córeczkę, na przedmiot i znów na nią. Sama zwiesiła wzrok.

– Vito... – Wysunęła ku mnie dłoń z obrożą. – *Meu cão*<sup>24</sup>...

Potaknęłam głową na znak, że rozumiem. Miała niegdyś psa i z podsłuchanej rozmowy McCanna zrozumiałam, że ten został zamordowany. Gdy przed laty przybyłam do domu Santa, rzeczywiście po posiadłości kręciły się dwa dogi kanaryjskie. Nie miałam pojęcia, co się stało z tym drugim.

– Niedługo – zaczęłam, gestykulując przy tym dłońmi. – Mały pies. Tobie. – Wskazałam na nią.

– Dla mnie? – Wygięła niepewnie brwi.

Jak mogłabym jej odmówić?

– Tak. – Potaknęłam, a uśmiech zadrżał mi na ustach. – Mama, Molly i pies.

Ramiona ostrożnie jej opadły, gdy mi się przyglądała.

– A tatuś?

Potężna gula w gardle była trudna do przełknięcia. Pokłady żalu i wyrzutów sumienia przygniotły mnie do muru.

Nie miałam pojęcia, jak zachowa się Molly, gdy dowie się za dwa tygodnie, że jej ojciec nie wróci z nami do Stanów. Pałałam wobec tego ogromną nadzieją, że nowe otoczenie wytrąci jej z pamięci, że ktoś taki w ogóle istniał.

Zamiast odpowiedzieć, nachyliłam się nad córką i pocałowałam czubek jej głowy.

– Kocham cię – wyznałam, walcząc z drzeniem głosu.

Przesuwała oczami po mojej twarzy, a ja z bólem serca zauważyłam, że drobne usteczka nawet nie drgnęły.

– Bajki? – Wskazałam palcem na telewizor.

Dziewczynka przeniosła spojrzenie w tamtym kierunku, by za moment powrócić nim do mnie.

– Nie. – Pokręciła głową.

Martwiło mnie dziecięce przygnębienie. Zająłam miejsce obok niej, po czym otworzyłam ramiona. Potrzebowała chwili, nim jej kruche rączki mnie objęły. Posadziłam ją bokiem na swoich kolanach, a usta skupiłam na czubku głowy.

– Moja dziewczynka... – szeptałam w zrozumiałym dla niej języku, przesuwając dłonią po ognistych włosach, które rano zaplotłam jej w warkocz.

Oparła się o moją pierś, domagając się bliskości. W oczach stanęły mi łzy. Nie odrywając warg od jej główki, szeptałam słowa prosto z serca.

– Już nikt cię nigdy nie skrzywdzi, kochanie. – Kołysałam się z nią w ramionach. – Nikomu na to nie pozwolę.

Zapewne nie miała pojęcia, o czym mówię, ale dla mnie te słowa znaczyły wiele.

Saint nie zjawił się w domu, dopóki nie wybiło południe. Jego ludzie o niczym mi nie mówili. Nie znałam planów mężczyzny, ale cokolwiek próbował ukryć, zaczynałam się tym niepokoić.

Molly ucieszyła się na jego widok. Rzuciła się biegiem w stronę ojca, a on pogłaskał ją po rudych włosach. Rozmawiali przez chwilę, dopóki spojrzenie mężczyzny nie padło na mnie. Kiedy tylko

przekazał coś dziewczynce, ta skinęła głową i ruszyła schodami na górę.

– Gdzie byłeś? – zapytałam ostrzej, niż było to konieczne.

Wyglądał na zmęczonego. Przebiegł palcami po krótkich włosach, a z piersi wyrwał mu się ciężki oddech.

– Interesy – mruknął zdawkowo.

Bzdura. Owinęłam się ramionami, jakbym próbowała zachować przy sobie ciepło, które odbierało mi chłodne spojrzenie gangstera.

– Kłamiesz – odparłam półgłosem. – Éder nie wiedział nic o twoich planach.

Rozpinał powoli guziki czarnej koszuli, stopniowo odsłaniając prężny tors.

– Éder nie jest moją niańką – skomentował ponuro.

– Molly się o ciebie martwiła. – Powstrzymałam warknięcie. – Co miałam jej odpowiedzieć? Że szlajasz się po mieście, zamiast spędzać czas z córką?

Zacisnął zęby do tego stopnia, że zauważyłam, jak mięśnie w jego szczęce pracowały. Przyszpilił mnie do ściany zarezerwowanym dla siebie beznamiętnym wzrokiem.

– Załatwiam sprawy, które dotyczą waszego bezpieczeństwa.

Ramiona mi opadły. Gniew, który dotąd we mnie narastał, powoli odchodził.

– Co? – wydusiłam szeptem.

– A co myślałaś? – Wygiął oskarżycielsko brwi. – Że morduję czy chodzę na dziwki?

Wpatrywałam się w niego w milczeniu, nie bardzo wiedząc, jak sformułować odpowiedź. Zdecydowałam się zmniejszyć przestrzeń, która nas dzieliła, by się z nim skonfrontować.

– To dlatego znikasz bez słowa?

Zlustrował moją twarz. Wbił zęby w dolną wargę, zanim odwrócił wzrok.

– Powiedz mi... – Jednym muśnięciem palców na policzku mężczyzny zmusiłam go do spojrzenia na mnie. – O co chodzi? Dlaczego zachowujesz się tak tajemniczo?

– Już powiedziałem, dbam o wasze bezpieczeństwo.

Wzięłam głębszy wdech. Buzujące we mnie emocje zapragnęły wziąć górę, a do oczu napłynęły mi łzy, choć nawet nie wiedziałam dlaczego. W każdej chwili mogłam wybuchnąć płaczem, a ten zbierał się we mnie od dłuższego czasu. Nienawidziłam uczucia słabości.

– Czy mogłabym zabrać Molly szybciej do Stanów? – zapytałam, pełna nadziei.

Napiął ramiona na to zapytanie. To wystarczyło, bym poznała odpowiedź.

– Naprawdę nie wytrzymasz jeszcze dwóch tygodni?

– Tu chodzi o małą – wyznałam popękany głosem. – Dziś rano znów odpłynęła. Wzdryga się na dotyk, w nocy zrywa się z histerycznym płaczem. Tak nie powinna zachowywać się pięcioletnia dziewczynka. – Śledziłam spojrzeniem stopniowo ulegający zmianie wyraz twarzy mężczyzny. – Ona jest wrakiem, Saint, potrzebuje pomocy psychologa.

Pokręcił głową we własnym przekonaniu. Zbliżył się, oparł mi dłoń na potylicy, po czym przyparł usta do mojego czoła. Jego nagi tors musnął moje ramię, otaczając je przyjemnym ciepłem.

– Nie chcę, by ktokolwiek spoza tego domu zbliżał się do niej. – Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy, gdy uniosłam głowę. – Nie mam do nich zaufania.

Jak zwykle nic nie potrafiłam odczytać z jego chłodnego oblicza.

– Czy coś nam grozi? – Mój szept rozpląnął się między nami. – Proszę, bądź szczerzy.

Natychmiast potrząsnął głową.

– Nie. Nic wam nie grozi. – Potarł dłońmi moje odsłonięte ramiona. – Chcę mieć pewność, że podtrzymam stan braku zagrożenia, dopóki nie przekroczycie granicy.

A jednak czegoś się obawiał.

– Nie zatajaj przede mną niczego, jeśli chodzi o Molly. – Oczy zaszyły mi łzami, a głos drżał z napięcia. – Jestem już wystarczająco przerażona, Saint.

Sięgnął dłońmi do mojej twarzy, zaczesał mi ogniste włosy za plecy, a palce skupił na moich policzkach. Złączył razem nasze czoła i po raz pierwszy widziałam, że opuścił powieki.

– Muszę się upewnić, że nie zamierzasz zmienić zdania – wychrypiął mi przy ustach.

– W sprawie czego? – Zawahałam się.

– Naszej córki – odpowiedział równie cicho – ...i nas.

Przełknęłam ślinę. Chociaż moje ciało ogarniała przedziwna burza emocji, potrząsnęłam głową.

– Nie. Musimy odejść.

Tym razem nie było w nim złości. Cholera, co się z nim stało? Dlaczego był z tym taki pogodzony?

– W takim razie pozwól tylko, że w ostatnim tygodniu zabiorę was w jedno miejsce, gdzie będziecie bezpieczne.

Emocje znów złapały mnie za gardło.

– Czyli jednak coś nam grozi? – Z trudem przyszło mi powiedzieć to na głos.

Wypuścił westchnienie. Ciało zarejestrowało zerwanie z nim kontaktu, gdy mnie minął i podążył w głąb salonu.

– Powiedziałbym raczej, że to wzmocnienie kwestii bezpieczeństwa.

Objęłam się ramionami, niespiesznie odwracając się ku niemu.

– Kto? – zapytałam.

– Co?

– Kto nam grozi? – Nie zamierzałam odpuścić.

Opadł na sofę. Rozłożył ramiona na oparciu, a głowa opadła mu w tył. Jego oddech zwolnił i choć wyglądał spokojnie, przeczuwałam, że w każdej chwili był gotowy do wybuchu niczym uśpiony wulkan.

– Nikt – zapewnił po chwili milczenia. – Wciąż jesteś moją żoną. Nikt o zdrowych zmysłach nie położy na tobie ręki, w przeciwnym razie skończyłby jak Christian.

Wspomnienie ujrzenia go w obliczu utraty kontroli, dżgającego bezbronne zwłoki przywódcy kartelu zaatakowały mnie w najmniej spodziewanym momencie.

Zbliżyłam się do Santa, przysiadając na sofie metr od niego.

– Obiecuj mi.

Skierował na mnie uważne spojrzenie.

– Co takiego?

– Że naszej córce nic już nie zagrozi. – Wyczułam prośbę we własnym głosie.

Wyprostował się, a męska dłoń spoczęła mi na kolanie. Zwiesiłam tam wzrok, nim powróciłam oczami na jego twarz.

– Nic jej nie zagrozi. – Nie powiedział tego bez przemyślenia, jego słowa były pełne zapewnień. – Tobie także. Obie jesteście bezpieczne.

Nakryłam jego rękę swoją. Musiał to docenić, bo spojrzenie mężczyzny znacznie złagodniało. Poczułam dreszcz, gdy palcem pogłaskał wewnątrz mojej dłoni.

– Molly ma własne konta bankowe w Stanach. – Zaskoczył mnie tym. – Kiedy wyjedziecie, zgłosisz się do odpowiedniego banku, a asystenci udziela ci dostępu do pieniędzy.

– Pieniądzy? – Brwi mi drgnęły.

– Siedemdziesiąt milionów dolarów amerykańskich.

Plecy przywarły mi do oparcia kanapy z nagłego osłabienia. Nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić wizualnie tak ogromnej kwoty.

– C-co? – jąkałam się. – Po co? Dlaczego?

– Przelewałam je tam z różnych miejsc na świecie w ciągu czterech lat. – Przyglądał mi się z uwagą. – Chcę, by Molly miała odpowiedni start w nowym życiu. Dzięki temu kupisz jej dom, zapewnisz odpowiednie warunki, a kto wie... – Urwał na chwilę, a kącik jego ust drgnął. – Może kiedyś postanowi pójść na studia?

Zamrugałam w milczeniu. Dlaczego mówił o niej tak, jakby nie widział siebie w jej przyszłości?

– Dlaczego mam wrażenie, że się z nią żegnasz? – Spowiło mnie uczucie niepokoju.

Oczy mu drgnęły. Zwiesił spojrzenie na naszych dłoniach, dopóki nie odsunął swojej.

– To niesie za sobą pewne ryzyko.

I znów był tak cholernie tajemniczy. Zacisnęłam wargi w wąską linię, w głowie miałam już tylko pustkę.

– Po co ta gra? – Za dotknięciem jego ramienia sprawiłam, że znów na mnie spojrział. – Powiedz mi wprost, co się dzieje, bo naprawdę zaczynasz mnie przerażać.

Posłał mi chłodny uśmiech, a jego wargi spoczęły na mojej skroni. Twarz mężczyzny wykrzywiła się w nieodgadzionym wyrazie. Podniósł się i skierował do wyjścia z salonu.

– Spakujcie się – polecił. – Wyjeżdżamy.

– Co? – Moja dezorientacja sięgnęła zenitu. – Podobno mieliśmy jechać w przyszłym tygodniu.

Zatrzymał się na pierwszym stopniu schodów i zerknął na mnie przez ramię.

– Zmieniłem zdanie.

Co, do cholery? Wpatrywałam się, jak znika na szczycie piętra. Zbyt osłupiała, by chociażby drgnąć, zapadłam się w kanapie.



## ROZDZIAŁ 33

### *Asteria*

Molly była nie bardziej zdziwiona ode mnie, gdy Saint obwieścił wyjazd. Rozmawiali o czymś przez długi czas, dopóki nie zaspokoił jej dziecięcej ciekawości.

Nie wiedziałam, dlaczego Saint naciskał na ucieczkę i nie miałam absolutnie bladego pojęcia, w jakim celu mieliśmy wyjechać dużo wcześniej, niż planował.

Wyświetlacz wbudowany w ścianę prywatnego odrzutowca wskazywał na drugą w nocy. Chociaż zmęczenie brało górę, z wrażenia nie potrafiłam zmrużyć oka. Ciągły strach przed tym, że wydarzy się coś złego, kompletnie zmył mi sen z powiek.

Dziewczynka spoczywała w ramionach ojca. Zasnęła wtulona w jego tors, a on okrył ją kocem, by zachować przy niej ciepło.

Różnicę w zachowaniu mężczyzny zarejestrowałam nie tylko wobec siebie, ale także wobec naszej córki. To zupełnie przeciwieństwo tego, o czym mi opowiadał. Częściej ją przytulał, całował, rozmawiał, a nawet się uśmiechał. Jego obecność w jej życiu niewątpliwie była ważna, bo tylko przy nim zdarzało jej się unieść kąciki ust.

Serce łamało mi się na myśl, że mała znów stanie się swoim własnym cieniem, gdy opuścimy Brazylię. Ale to jednak było nieuniknione. Nieważne, jak bardzo przykładowym ojcem i mężem magicznie by się nie stał, nie mogłam pozwolić, byśmy żyły w strachu. Moja córka zasługiwała na normalne, a przede wszystkim bezpieczne życie.

Napięcie w żołądku narosło, poczułam nadciągające torsje. Pospiesznie odpięłam klamrę pasa, po czym pobiegłam do kabiny

stanowiącej łazienkę. Zwymiotowałam do zlewu. Zapałam się dłońmi o umywalkę, a nagłe osłabienie dało o sobie znać.

Drgnęłam, gdy poczułam za sobą ruch. W odbiciu lustra zawieszzonego na ścianie mogłam dostrzec Santa.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Opłukałam wodą umywalkę, by nie musiał na to patrzeć, chociaż w swoim mafijnym dorobku widział z pewnością gorsze rzeczy.

– Niedobrze mi – wymamrotałam.

Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy w odbiciu.

– Jadłaś coś dzisiaj? – Wpatrywał się we mnie mrocznym spojrzeniem.

Pokręciłam głową, zanim torsje ponownie wstrząsnęły moim ciałem. Saint otworzył strumień wody. Zgarnął moje włosy w pięść, by ułatwić mi zwracanie treści żołądkowej.

Byłam na tyle osłabiona, że z trudem mogłam ustać na nogach. Po trzecim razie wydawało się, że nie miałam już czym wymiotować. Opłukałam usta z nieprzyjemnego posmaku, a gdy uniosłam spojrzenie na lustro, jęknęłam. Byłam prawie tak blada jak kabinowe drzwi.

– Chodź. – Wziął mnie w ramiona. Nie miałam sił, by zaproponować.

– Zaniosę cię do łóżka.

Wtuliłam policzek w jego twardą pierś. Zaprowadził mnie do osobnego pomieszczenia, po czym położył na miękkim materacu. Moje ciało doceniło to, jak wygodny był.

Mężczyzna okrył mnie świeżym kompletem pościeli i przysiadł na brzegu, przyglądając mi się z konsternacją.

– Może złapałaś grypę?

– Tak się czuję – jęknęłam w poduszkę.

Dreszcze przebiegły mi po skórze. Naciągnęłam kołdrę po samą głowę i zwinęłam się w kłębek.

– Albo... – Urwał z namysłem. – Albo jesteś w ciąży.

Wytrzeszczyłam oczy na słowa, które padły z jego ust.

W odpowiedzi cofnęłam się pod samą ściankę.

– Zwariowałaś? – ledwie z siebie wykrztusiłam. – Brałam tabletki.

– Za każdym razem? – Zmrużył podejrzliwie oczy.

Poczułam nagłą chęć przywalenia mu. Odwróciłam się na drugi bok, choć nawet to sprawiło mi ból.

– Idź sobie.

Usłyszałam głębokie westchnienie, a materac ugiął się za mną. Gdy tylko poczułam męską dłoń w tali, odwróciłam głowę.

– Co ty wyprawiasz?

– Jeśli wiesz, nie ukrywaj tego przede mną – odpowiedział surowym tonem. – Nie rób mi tego drugi raz.

Chciałam na niego nakrzyczeć, ale nie miałam sił. Odsunęłam się do samego brzegu łóżka, a czoło oparłam na drewnianym panelu. Przeraziło mnie wyobrażenie o ciąży. Jeśli rzeczywiście do tego doszło... to... to by wszystko skomplikowało.

Nie mogłabym uciec, nie pozwoliłby mi odejść. Zacisnęłam powieki, a żółć znów podeszła mi do gardła. To minęło, gdy poczułam, że wstał.

– Prześpij się. – W jego głosie wyczułam żądanie. – Przed nami jeszcze trzy godziny lotu.

Słyszałam, jak wcisnął przycisk, który rozsunął drzwi, a gdy wyszedł, te zasunęły się za nim.

Obróciłam się na plecy, a spojrzenie wlepiłam w gołębi sufit nad sobą. Historia najwyraźniej zamierzała zatoczyć koło.

Nie miałam pojęcia, która była godzina, gdy ciało zarejestrowało przyjemne ciepło. Rozchyliłam powieki, a na widok wtulonej we mnie Molly, kąciki ust pomaszerowały mi w górę.

– Moja śliczna – wyszeptalam ospałym głosem, otaczając ręką delikatny policzek córeczki.

Saint stał przy wyjściu, zerkając na nas bez wyrazu.

– Jak się czujesz? – W jego głosie kryła się troska.

– Lepiej – przyznałam, a moje palce przeczesywały rude loki dziewczynki. – Sen dobrze mi zrobił.

Nie odpowiedział. Spojrzenie chłodnych oczu skupiło się na naszej perełce. Powiedział do niej coś, co sprawiło, że poderwała się ze mnie i złapała go za rękę.

– Niedługo lądujemy.

– Gdzie dokładnie? – Wygięłam brwi w zapytaniu.

– Fortaleza.

Wsparałam się na łokciach, by na niego spojrzeć. Czy za każdym razem musiał wprowadzać mnie w takie oszołomienie?

– Dlaczego nie mogliśmy zostać w Rio?

Zignorował mnie. Najwyraźniej wyczuł zapowiedź kłótni w powietrzu. Gdy tylko wyszedł z Molly, sięgnęłam po torbę z ubraniami, którą musiał mi przynieść. Wygrzebałam z niej szczoteczkę i pastę do zębów, by nieco się odświeżyć.

Kolory szczęśliwie wróciły mi na twarz, co doceniłam, patrząc w lustro. Opłukałam usta z piany i schowałam rzeczy z powrotem do walizki.

Ostatnie dwa tygodnie w piekle. Gorzej już być nie mogło.

Powietrze w tej części kraju było bardziej duszne niż na południu. Odczułam to tuż po tym, jak opuściliśmy prywatny odrzutowiec. Zostaliśmy eskortowani przez ludzi McCanna, którzy nieustannie towarzyszyli nam w trakcie podróży.

Przez czas przejazdu nie myślałam o niczym innym niż o tym, dlaczego wyjazd był osnuty taką tajemnicą i co wprawiło Santa w taki nastrój. Wiedziałam, że jeśli go o to zapytam, odstraszy mnie swoim gniewem.

A drugą sprawą było moje samopoczucie. Jak tylko dopadał mnie kac egzystencjalny, nie miałam ochoty na nic innego, jak zakopanie się pod kołdrą i ucieczkę w krainę nicości na kolejny tydzień.

Dom, przed którym zatrzymały się samochody, był mniejszy niż ten w Rio, bardziej przytulny, jakby ktoś tchnął w niego życie. Ucieszyłam się, że był umiejscowiony tuż przy plaży. Sam odgłos fal już z daleka napawał mnie spokojem.

Molly szła ze mną za rękę, podczas gdy Saint prowadził nas do środka. Zapach środków czystości wciąż unosił się w powietrzu, a to oznaczało, że wyjazd nie był spontaniczny.

Niewielki korytarz prowadził do dalszej części domu, gdzie mieścił się salon z kuchnią, dwa osobne pokoje i łazienka, a wszystko zostało zachowane w neutralnych kolorach w połączeniu z drewnianymi belami.

Mała wydawała się zachwycona pobytem w nowym miejscu. Od razu podbiegła do okna i wtuliła nos w szybę, za którą rozciągał się widok na ocean.

Zorientowałam się, że zostałyśmy same. McCann ustalał coś z grupą mężczyzn. Przez nieco uchylone drzwi mogłam usłyszeć słowa „bezpieczeństwo” i „strzelać”. W żołądku znów zakotwiczyło mi się nieprzyjemne uczucie.

– Mamo? – Dziecięcy głos wyrwał mnie z zamyślenia.

To jedno określenie zawsze sprawiało, że cały świat przestawał mieć znaczenie. Zwróciłam się do dziewczynki, a jej chłodnawe oczy wreszcie rozbliły odrobiną szczęścia. Nie mogłam powstrzymać się przed pogłaskaniem ognistych włosów.

– Tak? – Przykucnęłam naprzeciwko niej.

Zarzuciła mi ramiona na szyję, wskutek czego moje serce zabiło mocniejszym rytmem.

– *Te amo*<sup>25</sup> – wyszeptała mi przy uchu.

Do tych dwóch słów nie potrzebowałam żadnego tłumaczenia. Łzy zapiekły mnie pod powiekami, a usta rozświetlił perlisty uśmiech.

– *Também te amo*<sup>26</sup>.

I przez te kilka chwil znów byłam najszcześliwszą kobietą na ziemi. Stopniowo budowałyśmy zaufanie, ale fakt, że podzieliła się ze mną swoim odczuciem, napawał mnie dużą dawką nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone.

Obiad zjedliśmy na tarasie w towarzystwie szumu oceanicznych fal. Po raz pierwszy zasiedliśmy do wspólnego posiłku, co dało mi fałszywy obraz rodziny, którą moglibyśmy stworzyć, gdybyśmy byli normalni.

Ale nie byliśmy. Ja byłam agentem federalnym na wygnaniu, Saint głową brazylijskiej mafii, a nasze dziecko owocem nienawiści, choć oboje kochaliśmy ją bezwarunkowo.

Molly zadała ojcu pytanie, z którego wywnioskowałam, że chciałaby pójść na plażę. Mężczyzna przyglądał jej się w zastanowieniu znad okularów przeciwsłonecznych. Wpatrywałam się w niego, a kotłujące się myśli zdominowały mój umysł.

Czy w innych okolicznościach byłby takim samym mężczyzną? Czy może wykazywałby więcej czułości, miłości i rodzinnego ciepła? Bo do tego, kim teraz był, obraz idealnego ojca pasował jak trampolina na pogrzebie.

– Asteria?

Zamrugałam, przytomniejąc. Obie pary oczu były skierowane na mnie.

– Tak? – Wymusiłam uśmiech.

– Mała pyta, czy chcesz iść z nami na plażę.

Na plażę. Ja, on i nasza córeczka. Razem. Gdybyśmy byli normalni, serce zapewne zatrzepotałoby mi w piersi.

Gdybyśmy tylko byli normalni...

– Później do was dołączę – odparłam zmęczona. – Nie czuję się najlepiej.

– Mam wezwać lekarza? – Nawet gdy jego oczy kryły się za ciemnymi okularami, mogłam wyobrazić sobie, z jaką srogością mi się przyglądał.

– Nie. Po prostu muszę odpocząć.

Nie skomentował tego, a jedynie wygiął usta w wyrazie irytacji. Zerknął na Molly, zagadując ją, zanim oboje ruszyli w stronę plaży. Obserwowałam ich jeszcze przez chwilę, obejmując się ramionami.

Saint trzymał rękę dziewczynki, gdy podeszli do brzegu. Małeńka przykucnęła, wyciągając dłoń do wody, a gdy fala zaczęła się zbliżać, podskoczyła z piskiem. Dziecięcy chichot wprowadził moje serce w szaleńcze bicie. To pierwszy raz, kiedy słyszałam jej śmiech.

Tu byliśmy bezpieczni. Nic nie zagrażało naszemu bezpieczeństwu, jakby ten skrawek ziemi stanowił naszą przystań.

Skryłam się w sypialni. Byłam zbyt wyczerpana, by pozbyć się sukienki. Położyłam się w łóżku, nie dbając o nakrycie. Sen nadszedł niebawem.

\*\*\*

Zbudził mnie dźwięk szczęku zamka. Rozchyliłam powieki, a widok Sainta nieco mnie uspokoił. Wsparłam się na łokciach, by móc na niego spojrzeć.

– Która godzina? – zapytałam, tłumiąc ziewnięcie.

– Zbliża się dwudziesta. – Jego oczy przesunęły się po mnie, nie zdradzając niczego.

– Gdzie jest Molly?

– Zasnęła, woda musiała wyciągnąć z niej całą energię. – Zbliżył się, po czym przysiadł na brzegu łóżka.

– Widziałam was dzisiaj razem. – Na samo wspomnienie poczułam przyjemne ciepło w sercu. – Widać, że ten wyjazd był jej potrzebny.

– To pierwszy raz, gdy zobaczyła ocean – zdradził półgłosem.  
Rozwarłam szeroko oczy.

– Jak to? Przecież Rio... – zaczęłam, jednak wszedł mi w słowo.

– Nigdy jej na to nie pozwalałam – przyznał przed samym sobą. – Teraz widzę, że to był błąd.

Podciągnęłam się do siadu. Zauważyłam, że Saint trzymał coś w ręce.

– Co to?

Zerknął na opakowanie, zanim mi je podał.

– Kupiłem ci test. – Twarz mu spoważniała. – Chcę, żebyś go zrobiła.

Przyciągnęłam kolana do piersi, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– Że co? – parsknęłam.

– Muszę mieć pewność. – Wbił we mnie srogie spojrzenie. – To może wszystko zmienić.

Zacisnęłam gniewnie wargi, choć mimo wszystkich chęci, po prostu pękłam.

– Naprawdę myślisz, że ciąża mogłaby cokolwiek zmienić? – Chryste, on naprawdę oszalał.

– Mogłaby. – Zmrużył na mnie oczy.

– Że co, proszę? – Zerwałam z siebie pościel, zanim zwlekłam się z łóżka. – Nawet jeśli, to skąd pewność, że ja tego chcę?

– Czego chcesz? – Wykrzywił brwi.

– Tej ciąży – odparłam rozzłoszczona. – Przeszło ci to w ogóle przez myśl?

Na jego twarzy zakwitło zdenerwowanie. Zadarł podbródek, a jego spojrzenie znacznie stwardniało.

– Chciałbym mieć jeszcze syna.

– To nie jest koncert życzeń! – Wyrzuciłam ramiona w powietrze.

– Coś ty sobie, do cholery, wyobrażał?

– To by wiele zmieniło, ruda – warknął lodowatym tonem, pod wpływem którego moje ciało zastygło.

– Co by zmieniło? – Przebiegłam wzrokiem po jego twarzy. – Myślisz, że pozwoliłabym temu dziecku zostać tutaj? Z tobą? – Gniew narastał we mnie z każdą chwilą. – Chciałbyś, żeby cierpiał tak samo, jak ty cierpiełeś? Żebyś mógł wychować sobie godnego następcę i zniszczyć go do szpiku kości, tak jak zniszczyłeś Molly?

Zacisnęłam gniewnie szczęki. Musiał zrozumieć, że nawiązałam do jego ojca.

– Staram się zmienić dla Molly. – Spróbował podejść mnie na spokojnie. – Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić, by zachować was przy sobie.

Tego było za wiele.

– Naprawdę myślałeś, że to wystarczy? – Nie powstrzymałam się od parsknięcia. – Jak poudajesz supertatusia i dobrego męża po tym, jak zamieniłeś nasze życie w piekło? Jak przez ciebie omal nie straciliśmy córki?

– Kurwa... – Ścisnął palcami nasadę nosa. – Zapłaciłem za te błędy. To minęło, ruda, i nie mogę tego naprawić.

Wzięłam głęboki wdech, próbując odzyskać nad sobą kontrolę.

– No właśnie – zgodziłam się z nim podłamanym głosem. – Nie możesz.

Przyglądał mi się z zaciśniętym gardłem. Widziałam, z jakim trudem przełknął ślinę. Rzucił opakowanie na łóżko, splótł palce na karku i odwrócił się tyłem, w próbie zachowania spokoju.

Mimo wszystko zgodziłam się na ten scenariusz. Chwyciłam za test, poszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Miałam ochotę krzyczeć, ile sił w płucach, ale byłam ich pozbawiona. Wszystko wykonywałam machinalnie, niczym robot, dopóki nie uda mi się zabrać stąd Molly.

Pokierowana wskazówkami z instrukcji wykonałam wszystkie kroki i odstawiłam plastikowy patyczek na półkę. Przesunęłam palcami po włosach, noga nerwowo mi podrygiwała. Odchyliłam głowę w tył, biorąc pod uwagę wszystkie „za” i „przeciw”. Co rusz jedna szala przeciążała tę drugą.



Opuściłam wzrok, a oddech zamarł mi w drodze do płuc. Nagłe uderzenie gorąca i serce, które waliło mi o żebra sprawiły, że musiałam usiąść, żeby nie zemdleć. Przytknęłam dłoń do ust.

Dwie kreski.

– I jak?

Poderwałam głowę na brzmienie męskiego głosu. Nieświadoma łez, przetarłam pospiesznie wilgotną twarz.

Uchyliłam drzwi. Próbowałam pozostać twarda, jednak na widok wyrazu twarzy Sainta moje oczy ponownie się zaszkliły. Podałam mu test.

– To znaczy, że... – Zawiesił głos, posyłając mi pytające spojrzenie.

Pokiwałam głową, chociaż wolałabym zaprzeczyć.

– Jestem w ciąży. – Mój głos rozpadł się w szlochu.

\*\*\*

Ta noc minęła bezsennie. Płakałam bezdźwięcznie do poduszki w sypialni pochłoniętej kompletną ciszą. Saint zniknął gdzieś niedługo po moim oświadczeniu. Czułam niepokój, gdy nie było go w pobliżu, ale w obliczu tej sytuacji lepszym wyjściem okazała się jego nieobecność.

Nie płakałam dlatego, że nie chciałam tego dziecka. Płakałam dlatego, że nie będzie mogło żyć w normalnych warunkach, w zwyczajnej rodzinie, bez mafii, przemocy i brudnych pieniędzy w tle.

Dźwignęłam się z łóżka, gdy zegar na ścianie wskazywał pierwszą. Zajrzałam do Molly. Spała wtulona w pluszowego pieska. Ten widok wyjątkowo mnie rozczulił. Nachyliłam się nad córką, a moje usta spoczęły na jej czole.

– Tak bardzo cię kocham, mój mały aniołku – wyszeptałam, ledwie powstrzymując łzy.

Zanim te zdążyłyby spłynąć mi po twarzy, opuściłam pokój córki i skierowałam się w stronę wyjścia na taras. Po drodze zerwałam koc z kanapy, po czym narzuciłam go sobie na ramiona.

Nocne powietrze musnęło moje wilgotne policzki, gdy przekroczyłam próg domu. Po obu stronach barier stali uzbrojeni ochroniarze. To kolejny punkt, który wykluczał nas ze sfery normalności.

Piasek wciąż był ciepły pod moimi stopami. Stawiałam kroki, dopóki nie zamoczyłam nóg w oceanie. Fala uderzała o brzeg, wydając cichy syk, po czym wracała w głąb wody, by mogła zastąpić ją nowa.

– Chryste, wreszcie cię znalazłem. – Głęboki głos dotarł do mnie zza pleców.

Wzdrygnęłam się, zaskoczona. Saint wyglądał na szczerze zaniepokojonego.

– Myślałem, że coś się stało. – Wypuścił westchnienie pełne ulgi.

Milczałam. Powróciłam do wpatrywania się w taflę, która zlewała się z mrokiem nieba. Dołączył do mnie. Czułam, że nakrył mi plecy swoim prężnym torsem. Czułam ciepło emanujące z jego ciała nawet przez okrycie.

– Jeśli zostanę... – przekręciłam delikatnie głowę – ...musisz mi obiecać, że odejdiesz z mafii.

Zamarł. Nie wyczułam nawet oddechu mężczyzny. Zwróciłam się ku niemu, mierząc się z nim twarzą w twarz. Rozchylił usta, a gdy miałam nadzieję, że coś powie, znów je zacisnął.

– Tak myślałam.

Nawet nie byłam rozczarowana. Próbowałam go minąć, jednak ucisk jego palców na przegubie odwiódł mnie od tego. Z opóźnieniem spojrzałam mu w twarz. Trwałam w milczeniu, podobnie jak on.

– To nie jest takie łatwe – wydobył z siebie.

– Byłoby, gdyby ci zależało. – Łzy sprawiły, że obraz rozmazał mi się przed oczami.

– Nawet jeśli mi zależy – zaczął, ujmując moje policzki w dłonie – ruda, to, że odejdę, niczego nie zmieni. Myślisz, że to zapewni mi nagłą gwarancję przeżycia? Wciąż ja i moi bliscy będziemy na celowniku, bardziej odsłonięci i wystawieni na odstrzał.

Zwiesiłam głowę, płacz wykrzywił mi twarz.

Saint położył palec pod moim podbródkiem i go uniósł. Popatrzyłam mu w oczy.

– To moja rodzina – powiedział z przekonaniem. – Jestem im lojalny.

– A my? – Przyglądałam mu się z ciężkim sercem. – Ja, Molly, nasze drugie dziecko? Kim dla ciebie jesteśmy?

Wyglądał na skonfundowanego, jakby nie wiedział, co powinien powiedzieć. On nie umiał kochać, a nawet jeśli kochał, nie potrafił tego okazywać.

Z drzeniem otoczyłam się szczelniej kocem i wtuliłam czoło w tors mężczyzny.

– Obiecuj, że odejdziesz. Jeśli to ma się udać, musisz odejść. – Próbowałam na niego wpłynąć, zmienić decyzję i inaczej pokierować naszą historię. – Nie dla mnie, dla dzieci.

Zamilkł. Ta cisza mnie zabijała. Oparł mi dłoń na potylicy i przyciągnął bliżej siebie. Silne ramiona otoczyły moją talię, chowając przed całym światem.

Nie zachowywał się jak Saint McCann, którego było mi dane znać. Nie był oschły, bezwzględny, a zamiast tego szukał kontaktu i zrozumienia.

Łkałam mu bezradnie w tors. To, co miało nadejść, wydawało się nieuniknione.

– Będziecie bezpieczniejsi, jeśli pozwolę wam odejść – wychrypiął mi we włosy.

Sama nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy płakać. Nie chciałam po raz drugi przechodzić przez to sama.

– Zadbam o was z daleka – kontynuował. – Zapewnię wam ochronę i wszystko, czego będziecie potrzebować.

– Dzieci potrzebują ojca – wyrwało mi się ze szlochem. – Potrzebują ciebie.

Zacisnął szczęki, gdy mi się przyglądał. Odgarnął mi włosy z twarzy, a wierzchem palca przetarł łzy.

– Wystarczy, że ty jesteś wspaniałą matką. – Oczami skanował moje lico. – Miałaś rację. Jestem diabłem. Jestem okrutną bestią. Przez to, co ci zrobiłem, spierdoliło się wiele spraw. – Dziwnie było wysłuchiwać, jak przyznawał się do błędu.

– Odejdź z mafii. – Tym razem go błagałam, mnąc w pięściach materiał jego koszuli. – Jeszcze nie jest za późno. Nie możesz skończyć jak Fábio, jak twój ojciec.

Coś w spojrzeniu mężczyzny mówiło mi, że on podjął już decyzję. Przyparł usta do mojego czoła, a następnie splótł nasze palce.

– Chodź. – Zignorował moją prośbę. – Spędźmy ten czas najlepiej jak się da.

Kula pełna żalu osiadła mi na żołądku. Tej nocy nie spędziliśmy razem. Nie chciałam, by widział mnie słabą, więc zasnęłam przy córce. Jej obecność była jedyną rzeczą, która dawała mi siłę, by przetrwać.

Nasza historia nie była bajką o pięknej i bestii. Nawet jeżeli jego uczucia wreszcie stały się szczerze, to nie wystarczało, by osiąść u jego boku, jakby przeszłość, którą dzieliliśmy, nie miała żadnego znaczenia.

Nie był moim księciem.

A ta wieczorynka nie mogła być szeptana dzieciom na dobranoc.

# ROZDZIAŁ 34

## *Saint*

Molly pierwsza opuściła sypialnię. Odnalazła mnie siedzącego samotnie na tarasie. Przysiadła obok na szczycie schodów, oparła mi głowę na ramieniu, a ja nie oponowałem przed objęciem jej.

– Wyspana?

– Hmm... – mruzczała markotnie, pocierając wciąż zaspane oczy. – Jeszcze się nie obudziłam.

Uśmiech mimowolnie zakradł mi się na usta, ale gdy dotarła do mnie świadomość, że to ostatnie dni, które miałem spędzić z córką, kąciki ust opadły do linii prostej. Z westchnieniem przesunąłem palcami po ognistych loczkach dziewczynki.

Wiedziałem, że będzie mi brakować jej hałasowania, walających się po podłodze zabawek, promiennych oczu, ślicznego uśmiechu, a przede wszystkim pytań, które niegdyś doprowadzały mnie do irytacji. Teraz przeczuwałem, że będę za tym wszystkim tęsknić.

– Głodna? – Przegoniłem gonitwę myśli. – Stół jest już nakryty.

– Tak, bardzo – jęknęła, obejmując brzuch. – Pójdę obudzić mamę!

Nie uważałem, że to mógł być dobry pomysł, ale jednak Asteria musiała coś zjeść. Mogła być wycieńczona po scenie, która rozegrała się między nami. W nocy docierał do mnie przez ścianę jej stłumiony szloch, dopóki nie padła ze zmęczenia.

Molly pobiegła w głąb domu. W tym czasie wysunąłem telefon z kieszeni i przejrzałem powiadomienia. Żadnych nowych wiadomości z Meksyku. Na moje szczęście Vaughn zgodził się na współpracę, chociaż kwota, której żądał, nie należała do małych.

Jednak bezpieczeństwo mojej żony i córki nie miało żadnej ceny.

Podniosłem się z miejsca, gdy usłyszałem kroki. Ruda jednak nie spała, a ciało otoczone szlafrokiem wskazywało na to, że niedawno skończyła brać prysznic. Była blada, miała podkrążone i nieco opuchnięte oczy, a spierzchnięte usta zmusiła do uśmiechu, gdy patrzyła na córkę.

Na mnie nawet nie spojrzała. Ciasno owinęła ramiona wokół własnej talii i ruszyła z małą w dół stopni, gdzie znajdował się stół zastawiony talerzami. Córka zajęła miejsce w bambusowym krześle obok niej. Matka nałożyła jej wszystkie rzeczy, które ta wskazywała jej palcem, aż wreszcie zaczęła pałaszować bagietkę z dżemem z gravioli.

Przyglądałem się im w całkowitym milczeniu. Były podobne jak dwie krople wody. Odcień ich marchewkowych włosów, sposób, w jaki uśmiechały się do siebie, a nawet nosy, które zabawnie marszczyły.

Przeniosłem spojrzenie na Asterię. W jej łonie rośnie mój syn lub córka i doszczętnie doskwierał mi fakt, że nie będę miał szans, by patrzeć, jak dorasta.

– A ty, tato? – dobiegło mnie ciche zapytanie.

Molly zerknęła na mnie z zapytaniem.

– Nie usłyszałem.

– Dlaczego nic nie jesz? – Zwiesiła wzrok na pustym talerzu przede mną, a później na mnie. – Nie jesteś głodny?

– Zjadłem wcześniej.

Chociaż to kłamstwo, jedzenie nie było teraz moim priorytetem.

Po posiłku mała nie zamierzała opuścić plaży. Tym razem to ruda poświęcała jej czas. Po tym, jak przebrała się w letnią sukienkę, a kwieciste wzory dodały jej kolorów, wyglądała nawet ładniej niż normalnie.

Molly lepila budowle z piasku, których części miały składać się na pałac. Fala czasem niwelowała jej plany, podmywając pewną część fundamentu, przez co kilka wież się zapadło.

Słyszając ich śmiechy, nie potrafiłem stać z boku. Chciałem je takie zapamiętać, radosne i szczęśliwe, zamiast milczących i drżących na mój widok.

Wspomnienia Asterii błagającej mnie o porzucenie mafii nawiedziły mój umysł w chwili, w której na mnie spojrziała, a uśmiech jej zgasł jak zapalka. Nie mogłem tego zrobić. Wiedziałem, ile ludzi na mnie czyha. Nawet jeśli pragnęli mojej śmierci, zdawali sobie sprawę, że większy ból sprawią mi morderstwem tych, na których mi zależało.

Nie mogłem tego zrobić nawet dla naszych dzieci, a właściwie to przede wszystkim ze względu na nie. Ruda miała racje. Nic nie cofnie tego, co zrobiłem, ani tego, jak zachowałem się wobec niej. Dałem jej wystarczająco dużo powodów, by mogła mnie nienawidzić.

Zawiesiłem wzrok na dłoni, gdy poczułem wilgoć. Molly ścisnęła palcami moją rękę i pociągnęła mnie bliżej brzegu.

– Umiesz pływać, tato? – Oczy aż błyszczały jej wesołością.

Nie sądziłem, że ten widok może być tak przyjemny.

– Umiem.

– O! – Podskoczyła z rozwartymi ustami. – Popływamy razem?

Zerknąłem na Asterię. Kiwnęła głową na zgodę. Ona miała w sobie więcej rodzicielskiego rozsądku niż ja. Dopiero po pięciu latach zaczynałem naprawdę stawać się ojcem, choć było na to odrobinę za późno.

Rozebrałem się, zrzucając ubrania na piasek. Pozostając w samych bokserkach, wysunąłem rękę do Molly. Razem przeszliśmy kilka kroków, dopóki nie nadeszła fala. Z piskiem wtuliła się w moje udo.

Mimowolnie się roześmiałem.

– Chodź do mnie. – Wyciągnąłem do niej ramiona.

Wziąłem ją na ręce, a ona objęła moją szyję. Pozwoliłem, by usiadła mi na biodrze, gdy zmierzałem w głąb lazuruwej wody.

– Ojej! – Owinęła nogi wokół mojego pasa. – Co to jest? – Wystawiła palec w kierunku pływającej w wodzie galarety.

– To meduza.

– Meduza? – Posłała mi jednocześnie zachwycone i przerażone spojrzenie. – A co ona robi?

Nie miałem pieprzonego pojęcia, co robiła. Słyszałem, że zdarzało się im parzyć, ale gdybym powiedział to na głos, Molly zwałaby z wody.

– Pływa – rzuciłem coś oczywistego.

– To ona ma pletwy? – zagadywała, gdy pokonywałem kolejne kroki.

– Nie ma.

– To jak pływa?

– A jakoś tak się rusza. – Wzruszyłem ramionami, szczerze rozbawiony.

Oparła policzek o mój bark. Chyba zaspokoilem jej dziecięcą ciekawość. Odwróciłem głowę do Asterii. Patrzyła na nas, kompletnie zagłębiona w myślach. Coś jednak oderwało jej uwagę. Opuściła wzrok na stertę moich ubrań.

Telefon. Zapewne ktoś do mnie dzwonił.

– Musimy wrócić na brzeg – powiedziałem, wracając w zapowiedzianym kierunku.

– Dlaczego? – Molly brzmiała na rozczarowaną. – Nie popływaliliśmy jeszcze.

Nie wiedziałem, kto dzwonił i dlaczego robił to właśnie teraz, ale mój telefon nie robi tego bez przyczyny.

– Później. – Postawiłem córkę na piaszczystej plaży. – Obiecuję.

Wymieniłem spojrzenia z żoną, gdy sięgnąłem po komórkę. To Éder. Niepokój zakotwiczył się w moich trzewiach.

– Co jest? – odebrałem połączenie.

– Na granicy huczy.

Wyczułem zdenerwowanie w jego głosie.

– Nasi mówią, że Meksykanie coś kombinują.

Moje oczy uciekły do dziewczyn. Asteria zaplatała małej warkocz, by wiatr nie rozwiewał jej włosów.

Napięcie rozlewało się w dół moich mięśni. Odwróciłem spojrzenie na horyzont z głębokim westchnieniem.

– Wiadomo coś więcej?

– Dopiero dostałem wstępne informacje – odparował. – Słuchaj, musicie wracać. To nie wygląda dobrze.

Ścisnąłem palcami grzbiet nosa, przelękając siarczyste przekleństwo. Nie chciałem go okłamywać. Poza Fábio to Éder był mi najbardziej lojalny.

– Nic nam nie będzie – zapewniłem go. – Jesteśmy chronieni. Nie przyjeżdżałem tu od dziesięciu lat. Meksykanie nie mają pojęcia, że



tu jestem.

– Znasz ludzi Gallardo – tym razem warknął. – Saint, ja nie żartuję. Zabieraj dziewczyny do Rio, dopóki możecie wrócić.

– Niech przyjdą. Nie boję się.

– Saint, posłuchaj...

Rozłączyłem się. Telefon ponownie rozbrzmiał, ale zignorowałem połączenie i rzuciłem go na stertę ubrań. Niepokój narastał, a jednak musiałem zachować zimną krew.

Wróciłem do dziewczyn. Asteria odnalazła mnie wzrokiem, a ujrawszy wyraz mojej twarzy, zmarszczyła czoło.

– Wszystko w porządku?

Tego nie mógłbym być pewien. Odtrąciłem negatywne myśli.

– Biznes. – Głos nawet mi nie drgnął.

Nie chciałem jej niepokoić. Nie teraz, gdy zabrałem ich z dala od tego gówna. Tutaj mieliśmy swój mały raj, nawet jeśli miał on trwać tylko kilka dni.

Ruda nieufnie zmarszczyła brwi, ale zamarkowała to szybkim przeniesieniem oczu na naszą córkę.

– Poszukasz? – Pokazała małej kilka muszelek na piasku. – Ozdoba. – Wskazała na piaszczystą budowlę.

– O, tak! – pisnęła z ekscytacją.

Odwrócenie uwagi oznaczało, że zamierzała rozmawiać. Potrzebowałem alkoholu, najlepiej rumu albo, kurwa, całej beczki. Zacząłem powoli zakładać ubrania.

– A teraz? – Objęła się ramionami, zerkając na mnie z zapytaniem w oczach. – Powiesz mi prawdę?

Pulsowanie w opuszkach palców dało o sobie znać. Na język cisnęło mi się kilka nieprzyjemnych słów, a wybuch agresji czaił się tuż za rogiem, ale zacisnąłem zęby. Obiecałem sobie zmianę, chociaż było to kurewsko trudne.

Mierzyliśmy się spojrzeniami. Jej wszystko analizujący umysł zawsze doprowadzał mnie do furii. Wypuściłem sfrustrowany wydech.

– Będziemy musieli wracać do Rio.

Zaskoczenie wygięło jej brwi.

– Co? Dlaczego?

– Bo nie jesteśmy tu tak bezpieczni, jak sądziłem, że będziemy. – Przeskanowałem oczami jej twarz. – Nasi informatorzy mówią, że Meksykanie zwiększyli ruch na granicy. Ostatnim razem, gdy tak się działo, prawie rozpętałem największą w dziejach wojnę na Południu.

Przełknęła ślinę. Zerknęła na mnie, na Molly i znów na mnie.

– Znów mamy się bać o jej bezpieczeństwo?

Wyczułem drzenie w kobiecym głosie.

Ze wszystkich sił próbowałem powstrzymać narastający we mnie gniew. Pokręciłem głową.

– Nie. Wszystko załatwię. – Zmniejszyłem dzielący nas dystans. Wyciągnąłem dłoń do jej policzka. – Gdy tylko wrócimy do Rio, zabierzesz najważniejsze rzeczy i opuścicie Brazylię.

Tym razem nie drgnęła na mój dotyk. Faktura alabastrowego policzka była miękka w dotyku. Wiedziałem, że próbowała być silna, ale hormonalna burza emocji zapragnęła wycisnąć z niej wszystkie łzy.

– Wylecimy do Stanów? – upewniała się.

Potaknąłem, chociaż wolałbym zaprzeczyć.

– Wszystkim się zajmę.

Rozluźniła się na samo wspomnienie o powrocie. Wiedziałem, że tego właśnie chciała, odkąd odzyskaliśmy córkę. Teraz bezpieczeństwo Molly było w rękach jej matki.

– Mamy się spakować? – zapytała.

Nie przypuszczałem, że w ogóle zdążyła rozpakować swoje rzeczy. Pokiwałem głową w odpowiedzi.

– Tak, idź.

Znów spojrzała na Molly. Uniosłem dłoń, by dała jej spokój. Miała chwilę, by nacieszyć się beztroską, a ja na to, by na nią patrzeć. Wkrótce na dobre ją stracę.

Złapałem za telefon. W Stanach była tylko jedna osoba, której byłem skłonny zaufać, a która miała wystarczające możliwości, by zapewnić mojej rodzinie najwyższą formę bezpieczeństwa.

W czeluściach telefonu odnalazłem odpowiedni numer. Przeczynałem, że niegdyś mi się przyda. Przystawiłem BlackBerry do ucha, a dźwięk nawiązanego połączenia podsycił moje zdenerwowanie.

– Halo? – Głęboki tembr wydobył się ze słuchawki, przywodząc na myśl stare, dobre czasy.

– Hogan? – upewniłem się.

Cisza. Mogłem sobie wyobrazić zdezorientowanie na męskiej twarzy.

– Kto mówi? – dopytywał.

– Twój dawny kumpel.

Westchnął ciężko, podtrzymując milczenie.

– Rozłączam się. – Chłód jego głosu narastał. – Nigdy więcej do mnie nie dzwoń.

– Nie radzę. – Te słowa wprowadziły odrobinę napięcia między nami. – Wciąż jesteś mi winny przysługę. Pamiętasz, jak załatwiałem brudy twojej pierwszej żony?

Ten argument był mocnym posunięciem, ale wystarczającym, by nieco ocucić kalifornijskiego prokuratora. Zawsze miałem w rękawie asa pod postacią jego żony i małego synka. Moim ludziom wystarczyłoby kilka godzin, by się dowiedzieć, gdzie mieszkają, gdzie posyłają małego i dokąd codziennie udaje się ta jego śliczna brunetka.

– Próbujesz mnie zastraszyć? – zakpił szorstkim tonem. – Wypróbuj mnie, McCann. Z przyjemnością zapewnię ci wystarczająco dużą cełę, by pomieścić twoje ego i milion popierdolonych oblicz.

Kącik moich ust drgnął. Normalnie byłbym zachwycony jego ciętym humorem.

– Dziękuję za propozycję, ale tu nie chodzi o mnie – skontrolowałem. – Sprawa dotyczy mojej żony i córki.

Słyszałem, jak wypuścił ciężki oddech.

– Wiem, że przed laty pomagałeś jej dołączyć do programu ochrony świadków. – Niestety w tym moi ludzie pogrzebali ich plany.

Cisza po drugiej stronie dała mi nadzieję, że się zastanawiał.

– Czego chcesz? – mruknął z nutą irytacji.

Żadnemu z nas nie było to na rękę.

– Chcę, żebyś zapewnił im bezpieczeństwo. Obejmij je programem, zapewnij bezpieczne dotarcie do Stanów – stawiałem

warunki. – Zapłacę, cena nie gra roli.

– Nie chcę twoich brudnych pieniędzy – warknął z obrzydzeniem, jakbym go tym uraził.

Jak zwykle stojący po stronie prawa, przykładowy mąż stanu. Zakpiłbym, gdyby nie to, że mimo wszystko byłem pełen podziwu wobec niego, a on wiedział, by moje ostrzeżenia brać na poważnie.

– Chcę jedynie, by były bezpieczne. – Przesunąłem spojrzeniem po wzburzonych falach oceanu. – Wiem, że możesz im to zapewnić. Nikomu innemu nie powierzyłbym tej sprawy.

Znów milczał. Czasem miałem wrażenie, że po prostu budował napięcie, ale znając jego, zapewne wszystko dokładnie analizował.

– Pomogę twojej żonie i córce – przerwał.

Wiedziałem, że krył się za tym jakiś warunek.

– Ale to ostatni raz, gdy ci pomagam. Nigdy więcej do mnie nie zadzwonisz. Usuń ten numer. – Jego głęboki głos zabrzmiał ostrzeżeniem.

Nie zamierzałem tego ignorować. W grę wchodziła zbyt duża stawka.

Skupiłem oczy na Molly. Naprawdę chciałem, by dożyła wielu lat, może niegdyś poszła na studia i wymazała z pamięci to, że jej ojciec rządził Południem.

– Tak zrobię.

– Dobrze – mruknął spokojnie. – Wydam specjalny wniosek. Twoja żona z dzieckiem musi udać się do amerykańskiej ambasady, gdzie podpiszą wszystkie potrzebne dokumenty związane z programem. Stamtąd zostaną przetransportowane przez specjalne służby – wyjaśnił rzeczowo. – Ile macie czasu?

– Obawiam się, że niewiele – przyznałem wbrew sobie. – Chciałbym, by jutrzejszej nocy wszystko było już gotowe.

– Jeden dzień to za mało.

– Nie dla ciebie. – Wiedziałem, kim był i jakie miał wpływy. – Gdybym chciał, żeby załatwił to jakiś partacz, nie zawracałbym ci dupy, Hogan. – Stłumiłem warknięcie. – Masz znajomości, skorzystaj z nich.

– Na twoim miejscu uważałbym z rozkazami. – Jego tembr znów się ochłodził. – To może zająć czterdzieści osiem godzin, o ile nie

więcej. Prześlę ci wiadomość, gdy wszystko będzie gotowe.

Rozłączył się, zanim zdążyłbym mu podziękować. Może to i lepiej, że nie marnował czas na sentymenty.

Moje spojrzenie padło na córkę. Uzbierała wystarczająco dużo muszelek, by pokryć nimi całą budowlę z piasku.

– Wiesz, że wracamy dziś do domu? – Przykucnąłem obok niej.

Duże oczy skierowały się na mnie, a wyraz rozczarowania wymazywał resztki wesołości.

– Dlaczego? – Zdusiła szept.

Nie chciałem mówić jej prawdy o zagrożeniu, o tym, że niedługo wyjedzie z Brazylii, i o tym, że to prawdopodobnie ostatni raz, kiedy się widzimy.

Wysunąłem rękę do delikatnego policzka dziewczynki, by pogłaskać go kciukiem.

– Bo to jednodniowa wycieczka.

Wygięła brwi w zaskoczeniu.

– Och, naprawdę?

Pokiwałem głową w odpowiedzi.

– Może kiedyś tu wrócisz, kto wie?

– Wrócimy tu razem? – Wtuliła się we mnie z nadzieją.

Nie. Nie będziemy mogli tego powtórzyć. W milczeniu pocałowałem czubek jej głowy.

– Wracaj do środka – ponaglałem ją. – Przypilnuj mamę, czy aby na pewno wszystko spakowała.

Potaknęła. Odprowadziłem córkę spojrzeniem, dopóki nie zniknęła za przesuwными drzwiami.

Wyprostowałem się, a następnie zerknąłem w dół na BlackBerry. Miałem do wykonania jeszcze jeden telefon. Ten był inny i obawiałem się, że mógłby pokrzyżować mi plany.

– Co wy, kurwa, odpierdalacie? – Moje warknięcie padło zaraz po tym, jak połączenie zostało odebrane.

Rozbawiony śmiech rozbrzmiał mi w uszach, prowokując nieprzyjemny dreszcz na ciele.

– Odrobinę nam się pospieszyło, braciszku – mruczał Vaughn.

– Nie tak się umawialiśmy! – Ścisnąłem telefon w dłoni, omal nie zgniatając go w drobny mak. – Kurwa, czy choć raz nie możecie

zrobić czegoś dobrze?

– Nie przypominam sobie, żebym pracował dla ciebie.

– To moje zlecenie, więc tak, kurwa, pracujesz dla mnie – warknąłem wystarczająco wkurwiony. – Miałeś dać mi tydzień.

– Zmiana planów. – Wyczułem, że skurwysyn się uśmiecha. – Macie czterdzieści osiem godzin, inaczej w pakiecie do ciebie dołączy ktoś jeszcze.

– Zbliź się do nich, skurwysynu, a jedyne, co po tobie zostanie, to zapach strachu, zanim cię zajebię.

Znów się roześmiał.

– Tobie też życzę przyjemnej podróży.

# ROZDZIAŁ 35

## *Asteria*

Patrzyłam na Santa, lustrując jego umięśnione, napięte plecy. Mój wzrok padł na pistolet, który wystawał z kabury. Chociaż mąż zazwyczaj nie okazywał emocji, tym razem w powietrzu wisiała zapowiedź czegoś... No właśnie, czego?

Czerwone rysy na łopatkach i łydźwiach mężczyzny przypominały mi o ostatnich wydarzeniach, które wspólnie dzieliliśmy. Tamto zbliżenie rzeczywiście było ostatnie i choć różniło się od pozostałych, ten seks był pełen emocji, jakby się ze mną żegnał.

McCann założył czarną koszulkę, a kiedy się odwrócił, jego oczy przeciągnęły się po mnie, nie zdradzając żadnego wyrazu.

Molly przepelniał zawód na wieść o powrocie. Powiedziałam jej, że zabiorę ją na dłuższe wakacje, choć tym razem bez taty, tłumacząc to tym, że był obłożony pracą. Cieszyłam się, że nabrała do mnie zaufania, a bariera językowa między nami z każdym dniem malała.

– Rozmawiałem z kalifornijskim prokuratorem. Wiem, że niegdyś ci pomagał. – Wyrwał mnie z zamyślenia. – Będziemy musieli ustalić kilka spraw.

– Jakich spraw? – Wygięłam brew w zapytaniu.

Szatyn patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, przez co czułam się odrobinę nieswojo. Skrzyżował ramiona na szerokim torsie i wziął wdech, podgryzając przy tym dolną wargę.

– Musisz jechać do amerykańskiej ambasady, do której wpłynie wniosek, który zapewni wam ochronę. – Powietrze uciekło mu z ust.

– Zostaniecie objęte specjalnym programem, a służby bezpieczeństwa przetransportują was bezpiecznie do Stanów.

Potaknęłam głową na zgodę.

– A co później? – Śledziłam spojrzeniem ostre rysy męskiej twarzy. – Co powiem Molly?

Na to nie miał już żadnej odpowiedzi. Zmarszczył czoło ze zdenerwowaniem.

– Nie wiem, ruda. – Odwrócił wzrok. – Na ten moment najważniejsze jest wasze przeżycie, a resztą będziemy martwić się później.

Cóż, było w tym sporo racji.

Zbliżył się, a ciepło męskiego ciała przyjemnie oddziaływało na mnie.

– Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś wam się stało. – Zostałam przyciągnięta do jego torsu. – Tobie, Molly i dziecku.

To było dziwne, zważywszy na to, że kilka lat temu... zamknęłam oczy na wspomnienie dramatycznych wydarzeń. Powinnam pozwolić im umrzeć, ale z jakiegoś powodu nie potrafiłam.

Oparłam czoło na twardej piersi, a mój oddech spowolnił, gdy Saint zanurzył nos w moich włosach.

– Wiem, że was tracę. Wiem, że nie zdążyłem zrobić wystarczająco, byś mogła zapomnieć o złych rzeczach, które zrobiłem. – W głosie mężczyzny wyczuwalne było coś na kształt cierpienia. – Może proszę o zbyt wiele, ale nie pozwól zapomnieć Molly tego, kim byłem.

Próbowałam kontrolować szybkie kołatanie serca, biorąc głęboki wdech.

– Trudno jest o tobie zapomnieć – wydobyłam szeptem.

I niekoniecznie miałam na myśli dobre znaczenie tych słów. Głos zgubił mi się w gardle, nie byłam w stanie wykrztusić z siebie niczego więcej. Przyjemne mrowienie i szorstkość męskich palców na policzku sprowokowało ciało do drżenia. Moje opuszki odnalazły nagą skórę jego karku.

– Boję się. – Wypowiedzenie tych dwóch słów wymagało ode mnie sporo wysiłku.

– Wiem. – Przesunął ręką po moim ramieniu. – Ale musisz być silna dla naszej córki.

Skinęłam zgodnie głową. Ona była jednym z niewielu powodów, dla którego odnalazłam w sobie wystarczająco dużo pokładów sił, by



przetrwać.

Jego usta bez chwili zawahania odnalazły moje. Ściągając dolną wargę zębami, przygryzł ją delikatnie, przesuwając po niej językiem, zanim ten wślizgnął się w gorące wnętrze.

Mała wbiegła do sypialni, skutecznie rozmywając napiętą atmosferę. Odsunęłam się o kilka kroków, a Molly wtuliła się w nogę swojego ojca, unosząc na niego oczy.

– Czy możemy mieć pieska? – zapytała tak nagle.

Saint zmarszczył brwi.

– Pieska?

– Mama powiedziała, że weźmie nowego. – Mniej więcej zrozumiałam słowa, które padły.

Mężczyzna posłał mi pytające spojrzenie. Wzruszyłam niepewnie ramionami.

– Przygarniemy jakiegoś pieska na wakacjach – zaoferowałam, co Saint natychmiast przetłumaczył.

Mała podskoczyła z zachwytem. Oderwała się od ojca, by rzucić mi się w ramiona. Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu. Schowałam ją w objęciach, a moje wargi pocałowały jej główkę.

– Kocham cię, lisku.

Oparła mi głowę na piersi, nasłuchując bicia serca. Instynktownie głaskałam ogniste włosy dziewczynki. Trzymając ją tak blisko, przypomniałam sobie czasy, kiedy to ja byłam przytulana przez mamę, zanim zmarła. Chciałam być dla mojej córki taka, jak ona była dla mnie. Bez względu na to, jak ciężki nie okazałby się mój dzień, zawsze znajdowałabym czas, by obejmować ją w tak ciepłym uścisku, jakbym chciała przekazać, że wszystko będzie dobrze.

Za kilka dni miałyśmy otworzyć zupełnie nowy rozdział w naszym życiu.

– Pora na nas. – Saint pochylił się, by złapać za nasze bagaże. – Na zewnątrz czekają wozy, eskortują nas na lotnisko.

– Chodź, kochanie. – Wzięłam małą na ręce, pozwalając, by mocno mnie objęła.

Nie sądziłam, że tak uderzy mnie pozostawienie tego miejsca w tyle. Wydawało się, że pobyt tutaj dał nam chociaż namiastkę normalności i spokoju, którego każde z nas bardzo potrzebowało.

Jednak bezpieczeństwo miało swoją cenę. Nie mogliśmy beczynnie wylegiwać się na plaży, jeśli wróg próbował nas namierzyć.

Usiadłam z Molly na tylnej kanapie. Dziewczynka położyła mi głowę na kolanach, a moja dłoń nie przestała jej głaskać. Późna pora zrobiła swoje, mała była wyczerpana.

Nie znałam planów Sainta ani nie wiedziałam, co zamierzał, ale fakt, że posiadał przy sobie broń, wskazywał na to, że najwyraźniej czegoś się spodziewał.

Do czasu dotarcia na lotnisko żadne z nas nie odezwało się słowem. Jedynie podczas wsiadania do prywatnego odrzutowca z jego ust padły tylko dwa słowa:

– Wezmę ją.

A później przejął ode mnie śpiącą córkę. Szłam jego śladem, gdy wchodził w głąb pomieszczenia służącego za sypialnię. Kiedy samolot ustabilizował się w powietrzu, położył małą w łóżku i otulił pościelą. Nie chciałam mu tego zabierać. Wiedziałam, że wkrótce dojdzie do rozstania.

Wróciłam do strefy wypoczynkowej i zajęłam miejsce w fotelu. Zapięłam pasy, a głęboki wdech wydawał się na chwilę ukoić zszargane nerwy.

Obserwowałam mrok za oknem, a w mojej głowie dwoiły i troiły się wyobrażenia wobec tego, co będzie dalej. Czy zdołam sobie poradzić? Czy będziemy miały zapewniony wystarczający poziom bezpieczeństwa?

Saint zajął miejsce naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stolika. Wyglądał na spiętego. Nawet nie spoglądał w moją stronę. Cokolwiek ogarnęło jego myśli, musiało być poważne. Zapewne nie chciał, bym widziała go w stanie bezradności.

Zacisnęłam palce na obiciu fotela, chcąc powstrzymać ich drzenie. Jeśli za moment nie usłyszałabym jego głosu, mogłam przysiąc, że zwariowałabym.

– Wiem, że coś wiesz – powiedziałam tak cicho, że nie byłam pewna, czy mnie usłyszał.

Nasze oczy się spotkały. Zarejestrowałam sposób, w jaki mięśnie jego szczęki drgnęły.

– O czym?

– Co się dzieje? – Czułam, jak gula w gardle narastała. – Nigdy taki nie byłeś. Dlaczego mam wrażenie, że usilnie próbujesz coś przede mną ukryć?

Przewrócił oczami. Wbił wzrok w mrok za oknem i przyparł pięść do ust w kompletnym milczeniu. Ta chłodna i zdystansowana postawa popychała mnie do szaleństwa.

– Boisz się?

Odwrócił gwałtownie głowę w reakcji na moje zapytanie.

– Dlaczego miałbym się bać? – Powstrzymał się od warknięcia.

Wtuliłam plecy w oparcie. Nie zamierzałam się z nim kłócić, bo najzwyczajniej w świecie nie miałam na to sił. Między nami nastąpiła cisza, nie licząc pracujących wirników.

– Jestem po prostu zdenerwowany – sprostował pełnym powagi głosem. – Mam złe przeczucia.

Więc nie tylko ja odnosiłam takie wrażenie...

– Ja też – przyznałam niechętnie, a ukłucie w piersi dało o sobie znać.

Saint pochylił się nad stolikiem, splótł ze sobą palce i wpatrywał się w dłonie, dopóki nie przeniósł oczu na mnie.

– Jeśli na lotnisku dojdzie do ataku...

Serce zabębniło mi o żebra.

– Co? – wtrąciłam, nie czekając, aż dokończy zdanie. – Do ataku? Jakiego ataku?

– Powiedziałem ci o podejrzeniach Édera. – Popatrzył na mnie z nieodgadzionym wyrazem twarzy. – Nie mam stuprocentowej pewności, że do niczego nie dojdzie, ale wzmożony ruch Meksykanów nigdy nie zapowiadał niczego dobrego.

Krew zastygła mi w żyłach.

– Na miejscu będzie czekał na was Victor. Zabierze ciebie i Molly w bezpieczne miejsce.

– A ty? – Przebiegałam oczami po jego twarzy. – Co z tobą?

– Zostanę i upilnuję własnego terytorium – odpowiedział bez mrugnienia. – Nie zamierzam przed nimi uciekać.

– Zwariowałaś? – Podniosłam głos z nerwów. – Masz córkę, dziecko w drodze, nie możesz w nieskończoność bawić się w...

– Wiem, że mam – ukrócił moje uniesienie. – Dlatego zadbałem o wasze bezpieczeństwo.

Ramiona mi opadły, ponownie wtuliłam plecy w fotel. Części układanki powoli zaczęły stanowić jedną spójną myśl.

– Od początku o tym wiedziałeś. – Zrobiłam pauzę, starając się wyszukać odpowiednie słowa. – Dlatego chciałeś, byśmy wróciły szybciej do Stanów.

– Robię to dla waszego dobra.

– Dlaczego nie pomyślisz o własnym? – Wyrzuciłam dłonie w powietrze. – Dlaczego, do cholery, nie porzucisz tego gówna?!

– Nagle się o mnie martwisz? – Poderwał się z miejsca, wyraźnie wkurwiony.

– Jesteś ojcem moich dzieci, oczywiście, że się martwię!

Z nerwów aż dzwoniło mi w uszach. Czułam, że moja emocjonalność weszła na wyższy poziom. Nienawidziłam tego, co robiła mi wzbierająca burza hormonów.

Znów zapadło milczenie. Pokręciłam głową na jego lekkomyślne zachowanie. Saint zamierzał odejść do prywatnej strefy, lecz zanim zdążyłby przekroczyć próg, wybrzmiał mój głos:

– Co ja powiem Molly, gdy jej ojciec umrze? – Patrzyłam ze złością na plecy mężczyzny.

Wziął wdech, przez co jego ramiona znacznie się uniosły. Odwrócił głowę, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale to nie nadeszło. Zamknął się w kabinie.

Podkurczyłam nogi, gdy ogarnęło mnie nagłe uczucie odosobnienia. Nie wiem, co on sobie, do cholery, myślał. Dlaczego zepchnął tak wiele rzeczy na moje barki?

Resztę lotu spędziłam u boku córki. Im bliżej celu byliśmy, tym bardziej stawałam się czujna. Nie zamierzałam płakać, uzalając się nad sobą. Musiałam zebrać wszystkie siły i zrobić wszystko, by nie dopuścić do spełnienia najczarniejszych scenariuszy.

Podniosłam się z łóżka. Musiałam poszukać jakiegokolwiek broni. Na pewno musiały zostać gdzieś ukryte. Przeszukiwałam schowki, półki, aż wreszcie czarna torba pod łóżkiem przykuła moją uwagę. Przyciągnęłam ją, a następnie rozpięłam suwak.

O wilku mowa. Złapałam za poręczny pistolet i sprawdziłam magazynek. Był pełen. Zabezpieczyłam gnata, po czym schowałam go za pas spodni.

– Co ty, do cholery, robisz? – Męskie warknięcie dotarło do mnie zza pleców.

Odwróciłam się, by spotkać się twarzą w twarz z Saintem.

– Zwariowałaś? – warknął nisko i wystawił rękę. – Oddaj mi broń.

– Z tego, co się zorientowałam, masz własną. – Obciągnęłam koszulkę, by zakryć pistolet.

Zbliżył się. Poczułam gęsią skórę na całym ciele.

– Nie zamierzam się powtarzać – syknął z naciskiem. – Oddawaj.

– Jeśli ty zamierzasz walczyć, ja też. – Podniosłam z uporem brodę.

Prychnął z goryczą. Próbował wyrwać mi broń, ale wymusnęłam się pod jego ramieniem i uciekłam do części wypoczynkowej.

– Asteria, nie pogrywaj ze mną. – Pokręcił głową ze złością, idąc prężnym krokiem za mną. – Wsiądziesz z samolotu i pójdziesz z małą prosto do samochodu.

– Nie ma mowy.

Posłał mi zaskoczone spojrzenie.

– Że co? – Zmarszczył brwi, nieco zbity z tropu.

– Powiedziałam: „nie”. – Przeskakiwałam zdesperowanym spojrzeniem po jego twarzy. – Albo pójdziesz ze mną, albo ja z tobą.

Złapał mnie za ramię, przed czym już nie byłam w stanie się uchronić. Próbowałam wyrwać rękę, ale był silniejszy. Patrzyliśmy sobie w oczy.

– Zrobisz to, co ci każę.

Serce pędziło mi w piersi. Mocno zacisnęłam szczęki, choć udzieliła mi się złość mężczyzny.

– Masz jechać z nami – postawiłam mu warunek.

– Nie ma, kurwa, mowy – wychrypiał mrocznie. – Bądź rozsądna, ruda. Nosisz moje dziecko. Molly nie może zostać sama. Jeśli coś wam się stanie...

Szarpnęłam go za koszulkę, by nim potrząsnąć.

– Ty... – dyszałam w złości. – Ty pieprzony egoisto! Jak śmiesz mi to robić?!

Nie protestował, gdy okładałam go pięściami. Gdy ciosy osłabły, przyciągnął mnie do siebie i przytulił. Chciałam się oderwać, ale nie pozwolił mi na to.

– Puszczaj mnie! – wrzasnęłam. – Puść!

– Uspokój się! – Ścisnął moje ramiona, przytrzymując mnie w miejscu.

– Nienawidzę cię! – ryknęłam na całe gardło, ledwie widząc jego twarz przez łzy. – Nienawidzę!

Uścisk mu osłabł, choć uważny wzrok mężczyzny mnie nie opuszczał.

– Mamo? Tato? – Ospały głos córki skutecznie rozdzielił nas od siebie. – Co się dzieje?

Odwrociłam się do niej tyłem, by nie widziała moich łez. Przycisnęłam dłoń do czoła, powstrzymując drżenie ciała. Po krokach, które słyszałam, wiedziałam, że Saint podszedł do małej.

– Nic się nie dzieje. – Mrok w szepcie mężczyzny niemal wyrwał ze mnie kolejną falę łez.

– No dalej. – Odwróciłam się w ich stronę. – Powiedz jej. Powiedz, naszemu dziecku, że jej ojciec może umrzeć, bo bardziej zależy mu na mafii niż na własnej rodzinie. – Głos mi ochrypł z emocji.

– Przestań – wycedził ostrzegawczo.

– Powiedz jej! – Wyrzuciłam rękę w stronę Molly.

Mała skryła się za nogami mężczyzny. Miałam nadzieję, że może dzięki temu Saint oprzytomnieje.

– Dlaczego mama krzyczy? – zapytała po portugalsku.

Spuścił na nią wzrok. Wiedziałam, że omal nie wyprowadziłam go tym z równowagi. Nachylił się nad dziewczynką i wziął ją w ramiona.

– Mama jest na mnie zła – słyszałam, że jej odpowiedział.

Zostawili mnie samą, skrywając się za drzwiami sypialni.

Weszłam do kabiny łazienkowej. Dopadły mnie mdłości. Odkręciłam kran, nabrałam wody w dłoń i chlusnęłam nią sobie w twarz. Odnalazłam własne spojrzenie w lustrze. Głowa pękała mi z natłoku emocji, które mną targały.

Nie było wyjścia. Jeśli zamierzał walczyć, ja też.

Pół godziny później odrzutowiec podchodził do lądowania. Nasza trójka była gotowa do wyjścia. Czulałam na sobie spojrzenie Sainta,

ale nie patrzyłam w jego stronę. Mała siedziała przy mnie. Wybuch mojej hysterii nieco ją przestraszył, ale zdążyłam już ją za to przeprosić.

Odpięliśmy pasy. McCann podniósł się z miejsca, a gdy przeszłam obok niego, ignorując jego obecność, złapał mnie za przegub.

– Nie rób niczego głupiego, ruda.

Skrzyżowałam z nim spojrzenie.

– Nie dotykaj mnie.

– Choć raz w życiu ze mną nie walcz – mruknął cicho, choć wystarczająco wyraźnie.

Blokada została zwolniona, drzwi, do których zostały przymocowane schody, powoli opadały, tworząc nam ścieżkę do opuszczenia pokładu.

Wzięłam małą na ręce i przytuliłam do siebie. Na dole czekał już na nas Éder, Victor i pozostała zgraja uzbrojonych mężczyzn.

– Co się dzieje? – zrozumiałam z zapytania córki.

– Nic, lisku. – Musnęłam jej czołko. – Głowa w dół. Przytul się.

Chciałam ją chronić całą sobą, jeśli tego wymagałaby ode mnie sytuacja. Jedną dłoń trzymałam luźniej przy udach córeczki, by w każdej chwili móc sięgnąć po pistolet. Oddech łomotał mi w piersi, a uważny wzrok skanował otoczenie.

Żołnierz otworzył przed nami drzwi do samochodu. Z ulgą doceniłam spokój, który pozostał niezachwiany.

– Siadaj, kochanie.

Molly wdrapała się na tylną kanapę. Zapięłam jej pasy. Wtedy usłyszałam dziwny, stłumiony dźwięk. Odwróciłam głowę, a na widok mężczyzn sięgających po broń, poczułam żółć bulgoczącą z tyłu gardła.

– Zaraz do ciebie wrócimy – zapewniłam córkę, po czym rzuciłam do kierowcy: – Zabierz ją stąd, natychmiast.

Jak tylko wóz ruszył z piskiem opon, odwróciłam spojrzenie do Santa. Widziałam, że on także sięgnął po pistolet. Zrobiłam to samo. Nasze oczy się spotkały, jednak jego pomaszerowały na coś, co było za mną. Ktoś złapał mnie w pasie i ograniczył możliwość ruchu.

– Nie! – wrzasnęłam, szarpiąc się. – Puszczaj!

– Nie może pani tu zostać – usłyszałam rozkazujący głos.

Ochroniarz próbował wepchnąć mnie do samochodu. Walczyłam z nim do samego końca.

– Puść mnie, do cholery!

Moje ramię wyskoczyło szybciej, niż mógł się tego spodziewać. Wymierzyłam mu cios kolbą pistoletu w szczękę, aż zalał się krwią. Broń wypadła mi z rąk, nie zdążyłam jej podnieść. Goryl mnie puścił, zszokowany nagłym atakiem. Poczułam, jak moje zęby zgrzytają o siebie, a serce biło tak, jakbym przebiegła maraton.

Seria strzałów rozległa się z obu stron. Skuliłam się, oburącz nakrywając głowę. Wydawało się, że wymiana ognia trwała godzinami. Całe życie przebiegło mi przed oczami. Bycie w miejscu takim jak to, w chwili takiej jak ta, uświadamia cię w tym, czego jeszcze nie zdążyłeś zrobić. Widząc śmierć i zniszczenie, powoli godzisz się z sytuacją, w której się znalazłeś.

Przeczołgałam się po ziemi, by znaleźć się za samochodem. Próbowałam odszukać broń, ale ta jakby wyparowała. Z jakiegoś powodu słowa Santa były jedyną myślą, która plątała się w mojej głowie.

*Musisz być silna dla naszej córki.*

Metal błysnął pod kołem samochodu. To pistolet! Złapałam go w dłoń, po czym poderwałam się w górę i próbowałam namierzyć cel. W natłoku zdarzeń i emocji nie wiedziałam, do kogo miałam strzelać.

– Asteria!

Gdy uderzyłam o ziemię z bolesnym łoskotem, wiatr wytrącił mi powietrze z płuc. Poczułam na sobie ciężar, a po rękawach tatuaży mogłam dostrzec, że to Saint. Ochronił mnie. Dotknęłam jego dłoni, a on splótł palce z moimi.

Coś mokrego skapnęło mi na ramię. Zorientowałam się, że to krew. Gromadziła się wokół mnie, gdy leżałam, łapiąc oddech na ciepłym betonie. Głowa pulsowała mi boleśnie wraz z klatką piersiową i nogą. Nie mogłam się skupić nawet na własnym tętnie. Milczałam, a łzy spływały mi z oczu, zarówno z powodu bólu, jak i strachu przed śmiercią.

Mężczyzna opadł na plecy, tuż obok mnie. Pospiesznym ruchem rąk zaczęłam okładać ciało, by znaleźć ranę postrzału. Odwróciłam



głowę. Żelazny wzrok wpatrzony był w moją twarz i to był moment, gdy zorientowałam się, że krew nie należała do mnie.

Kamienny wyraz zwątpienia i czegoś w rodzaju rozpaczki plątało się w minie mojego męża. Im dłużej tak patrzył, tym większy ból rozchodził się w moim wnętrzu.

– Nie... – Oddech z trudem wyrwał mi się z piersi. – Saint?

Dźwignęłam się przed nim na kolana. Podciągnęłam mu koszulkę, a na widok krwi sączącej się z rany, wciągnęłam powietrze, które omal mnie nie udusiło. Zerwałam kawałek swojej bluzki, po czym przycisnęłam ją do miejsca postrzału.

– Nie, nie – powtarzałam zaciekle. – Saint? Saint!

Nie reagował. Nawet nie drgnął.

Uniosłam głowę, a na widok Édera, złość zagotowała się we mnie.

– Pomóż mu! – wrzasnęłam we łzach.

Popatrzył na mnie z zaciśniętymi szczękami. Opadł na kolana po drugiej stronie ciała. Przytknął palce do tętnicy szyjnej mężczyzny.

– Co ty robisz?! – krzyknęłam rozżalona.

Gorący oddech owionął moją szyję. Poczulałam szarpnięcie w pasie i nim zdążyłam zareagować, ktoś poderwał mnie w górę.

– Nie! – Mój głos nawet do nich nie docierał. – Zostawcie mnie!

Walczyłam jak dzikie zwierzę, gdy próbowali mnie wepchnąć do samochodu. Mój histeryczny płacz wreszcie wziął górę. Ramiona drżały mi w szłochu, a krzyk rozrywał gardło w rozpaczki. Oni to wszystko zignorowali.

– To dla twojego dobra – usłyszałam nad sobą.

Drzwi się zatrasnęły.

Wóz ruszył.

Odrętwienie zawładnęło moim ciałem. Surowa pustka powoli opanowała mój umysł.

To był koniec. Nasz koniec.

# EPILOG

## *Molly*

Pani Margarida zawiązała mi kokardę w pasie czarnej sukienki. Przesunęłam palcami po delikatnym materiale. Nie podobał mi się, ale nie chciałam narzekać. Od dwóch dni wszyscy dziwnie się zachowywali. Byli smutni, gdy patrzyli na siebie nawzajem, ale mnie posyłali miłe uśmiechy.

Jęknęłam, gdy staruszka szarpnęła mnie za włosy, gdy je czesała.

– Ach te twoje paskudne kołtuny – narzekała.

Zrobiło mi się smutno. Lubiłam moje włosy. Mama miała takie same. Nikt inny takich nie miał, to było fajne.

Gospościa wpięła mi czarną kokardę na czubku głowy. Nie lubiłam tego koloru.

– Wolę tę czerwoną. – Wskazałam na kuferek z moimi ozdobami.

– Nie możesz jej dzisiaj założyć.

Zmarszczyłam czoło. Widziałam, że Margarida patrzyła na mnie w lusterku.

– Dlaczego? – zapytałam cicho.

Usta wygięły jej się w podkowę.

– Bo zleje ci się z włosami – powiedziała smutno i ucałowała mnie w policzek. – Tak pięknie wyglądasz, moja śliczna.

Stukot butów sprawił, że zeskoczyłam ze stołka. Znałam te kroki. Mama weszła do mojego pokoju. Od dwóch dni była smutna. Ostatnio prawie wcale jej nie widziałam, nie licząc chwil, gdy przychodziła dawać mi buziaka na dobranoc. Gospościa mówiła, że mama jest chora. Miałam nadzieję, że szybko wyzdrowieje.

Nie wiedziałam też, gdzie jest mój tata. Éder powiedział, że wyjechał. Chciałam, by szybko wrócił.

Mama była tak samo ubrana jak ja, przez co poczułam się lepiej. Podbiegłam do niej i wtuliłam się w nią.

– Już jesteś zdrowa, mamusiu? – zapytałam.

Nie odpowiedziała, ale jej uśmiech mi wystarczył. Przykucnęła i mocno mnie objęła. Uwielbiałam jej pocałunki, bo po nich czułam, że wszystko jest dobrze.

– Gotowa? – Przesunęła po mnie spojrzeniem.

Pokiwałam głową w odpowiedzi.

– Gotowa.

Podniosła się i złapała za moją rękę. Nie chciałam biec, tatuś nie lubił, gdy to robiłam.

Zeszliśmy po schodach. Na dole zebrało się trochę ludzi. Niektórych znałam, byli kolegami taty, inni byli obcy. Rozmawiali cichymi głosami, jakby mieli tajemnice, i wszyscy byli ubrani na czarno. To taki brzydki kolor.

Rozejrzałam się, szukając taty. Tata lubił ten kolor. Może to dla niego się tak ubraliśmy, żeby zrobić mu niespodziankę?

– Tata wrócił? – Zerknęłam na mamę.

Posmutniała. Popatrzyła na mnie, a jej usta nieco się rozciągnęły. Pokręciła głową.

Opuściłam ramiona. Było mi przykro, że tego nie zobaczy. Może wróci później?

Wszyscy wyszliśmy na zewnątrz, na parkingu stało dużo samochodów. Poszłam za mamą do tego, przy którym stał Victor. Uśmiechnął się do mnie i pogłaskał kciukiem mój policzek.

– Jaka ty piękna.

Skryłam się za ramieniem mamusi. Policzki mnie zapiekły.

Usiadłyśmy na tylnej kanapie. Sama zapięłam pasy i przytuliłam się do ramienia mamy, która pocałowała mnie w głowę.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam.

– Do parku – odpowiedziała.

– Wszyscy? – Obróciłam się do szyby, za nami jechały inne samochody.

– Tak.

– Po co? – Spojrzałam na mamę.

W zielonych oczach pojawił się dziwny błysk. Nic nie mówiła. Pocałowała mnie w czoło cztery razy. Nie powtórzyłam pytania, nie chciałam jej denerwować. Wlepiłam nos w szybę po mojej... chyba lewej stronie. Wszędzie był las i duuużo drzew.

– Kiedy będziemy mieć psa, to będziemy z nim tu chodzić? – Odwróciłam się do mamy.

– Jutro jedziemy – powiedziała.

Jedziemy? Aha, na wakacje! Prawie zapomniałam.

Mama czasem śmiesznie gadała. Chwilami musiałam myśleć nad tym, o co jej chodzi. Nie mówiła po naszemu, nawet z tatą rozmawiała w dziwnym języku. To było dziwne, że ją rozumiał. Może dorośli mieli inny język niż dzieci?

Samochód się zatrzymał i Victor otworzył drzwi po stronie mamusi. Wysiadłam zaraz po niej i rozejrzałam się dookoła. Ten park był dziwny. Dużo w nim kamieni z jakimiś napisami. Pośrodku znajdował się budynek. Przy dziurze wykopanej w ziemi zebrała się już spora grupa osób. Obok na stole stała duża drewniana skrzynia.

Zerknęłam na mamę. Nie podobało mi się tu, ale nie narzekałam. Złapała mnie za rączkę i poprowadziła za sobą. Co jakiś czas rozglądałam się wokół.

Smutni panowie uklonili się przed mamusią. Popatrzyłam na nią, ona też była smutna. Rozglądałam się za tatą. Było za dużo ludzi. Dlaczego do nas nie podszedł? A może się schował?

– A tata przyjdzie? – zapytałam.

Oczy mamy padły na mnie. Uśmiechnęła się delikatnie, a ręką pogłaskała mój policzek.

– Nie, kochanie – powiedziała dziwnym głosem. – Nie przyjdzie.

Wypuściłam powietrze z ust. Szkoda.

Dookoła zbierało się więcej ludzi. Przytulali mamę, mówili, że im przykro. Nie wiedziałam dlaczego. Niektórzy głaskali mnie po głowie, inni po ramieniu. Tylko Éder ukucnął naprzeciwko.

– To dla ciebie. – Zawiesił mi coś na szyi.

Spojrzałam w dół. To łańcuszek! Należał do tatusia. Ścisnęłam go w piąstce. Nie chciałam się z nim rozstawać.

Jakiś pan zaczął mówić, nie słuchałam. Gadał dużo i nudno. Cały czas zerkiałam na wielką skrzynię. Dlaczego tu stała? Czy coś tam

schowano? A może skarby? Widziałam to w bajkach. Chciałam do niej zajrzeć.

Ciocia Michelle głośno płakała, gdy przytulała skrzynię. Theo stał obok niej ze spuszczoną głową. Ciocia jest siostrą mojego taty. Nie zawsze byli dla siebie mili, ale tata bardzo ją kocha. Zrobiło mi się przykro. Wtuliłam się w nogę mamusi.

Wszyscy zaczęli iść do budynku. Mama wyciągnęła do mnie dłoń.

– Chodź ze mną.

Popatrzyłam na budynek i ludzi, którzy płakali. Posmutniałam.

– Nie chcę.

– W porządku, poczekam tu z nią – powiedział Victor.

Mamusia popatrzyła na niego, na mnie i znów na niego. Pokiwała głową. Cały czas miałam ją na oku, gdy zaczęła iść za innymi. Éder coś do niej mówił, ale nie słyszałam co. Mamie musiało zrobić się przykro, bo zaczęła płakać.

– Dlaczego mama płacze? – Zerknęłam na Victora.

Zacisnął usta. Tata czasem tak robił, gdy nie wiedział, co powiedzieć.

– Bo źle się czuje.

– Mama nadal jest chora? – Spochmurniałam.

Pokiwał głową. Jego telefon zadzwonił, więc wyciągnął go z kieszeni i schował się za budynkiem.

Rozejrzałam się dookoła. Nikt na mnie nie patrzył. Podeszłam do skrzyni i jeszcze raz obejrzałam się tu i tam. Chciałam zobaczyć, jaki skarb trzymają w środku. Złapałam za złotą rączkę i pchnęłam ją do góry. Była strasznie ciężka. Udało mi się odrobinę uchylić, zanim upuściłam wieko.

Wciągnęłam powietrze i cofnęłam się o krok.

Victor do mnie podbiegł. Wziął mnie na rękę, żeby podejść bliżej budynku. Przez jego ramię patrzyłam na skrzynię. Ale dziwne.

– Gdzie są skarby? – zapytałam.

Pan popatrzył na mnie z uniesionymi brwiami.

– Jakie skarby?

A może to gra? Tata czasem mówił, że dorośli ukrywają niektóre rzeczy przed dziećmi, żeby źli ludzie tego nie odkryli. Uśmiechnęłam

się. Tatuś sprytnie wymyślił tę zabawę. Ukrył skarby przed wszystkimi. To dlatego ciocia była smutna?

\*\*\*

Nie mogłam przestać myśleć o pustej skrzyni i dlaczego smutni panowie zakopali ją w ziemi. Przecież w środku niczego nie było, to bez sensu. Dorośli są tacy dziwni.

Mamusia zabrała mnie na wakacje. Byłam daleko od domu. Lubiłam wakacje i nowe miejsca. Ludzie mówili tu w śmiesznym języku dla dorosłych, nawet dzieci. Cały czas chodzili za nami obca pani i pan. Mama powiedziała mi, że będziemy się z nimi bawić w to, żeby nas nie zgubili. Dziwna zabawa.

Jakiś pan otworzył nam drzwi. Był duży jak mój tatuś. Miał garnitur jak smutni panowie, ale uśmiechał się do nas. Nie rozumiałam tego, co mówił. Schowałam się za mamą, zbyt nieśmiała, żeby na niego patrzeć.

W środku była jeszcze jakaś pani. Miała duży brzuch, jakby połknęła balon. Wyglądała śmiesznie. Jej włosy były ciemne, inne niż mamusi. Uśmiechała się szeroko, gdy się uściskały. Obie popatrzyły na mnie. Pani ukucnęła ostrożnie, jakby piłka jej przeszkadzała.

– *Olá* – powiedziała i pogłaskała mnie po policzku.

Spuściłam wzrok na bučki.

– Jestem Isabella – dodała, wyciągając do mnie rękę. – A ty jak masz na imię?

– Molly – wydukałam, patrząc w dół.

– Molly – powtórzyła. – Pięknie.

Uśmiechnęłam się delikatnie. Fajnie, że umiała nasz język, ale mówiła podobnie jak mamusia.

– Ares! – Pan głośno zawołał.

Podskoczyłam i uciekłam za mamę. Przytuliłam się do jej nogi. Pan miał taki dorosły głos, bardzo głośny i niski.

Mamusia pogłaskała mnie po włosach. Rozmawiała o czymś z nieznanymi. Pani podsunęła mi talerzyk z babeczkami, wzięłam

jedną i popatrzyłam na nią. Była ozdobiona czymś niebieskim. Ale ładnie.

Ktoś zeskoczył ze schodów. Znów podskoczyłam. Chłopak z burzą włosów wbiegł do środka. Pan coś do niego powiedział, a oczy chłopca padły na mnie. Wyszczrzył się szeroko.

– Siema!

Popatrzyłam na mamę.

– Co on mówi? – zapytałam szeptem.

– Wita się z tobą – odpowiedziała. – Mówi ci *olá*.

Odwróciłam się do chłopaka. Podszedł do mnie z wyciągniętą pięścią. Odsunęłam się.

– Nie bij mnie, nic ci nie zrobiłam – poskarżyłam się.

Myślałam, że będzie miły.

– On cię nie bije, kochanie. – Mamusia przykucnęła przy mnie. – Dalej się wita.

– To dlaczego wyciąga do mnie pięść? – Wydęłam wargę. – To niemiłe.

– Chłopcy tutaj tak robią.

Skrzywiłam się. Jeszcze nigdy w życiu nie poznałam żadnego chłopca poza Theo. On też był dziwny, cały czas tylko kopał tę głupią piłkę.

– Dlaczego ona tak dziwnie mówi? – Ciemnowłosy skrzywił się, gdy na mnie patrzył. – Seplenisz?

Nie rozumiałam, co mówił. Pokręciłam głową.

Pani coś mu powiedziała, przez co ten rozchylił usta. Znów się zbliżył. Tym razem wyciągnął do mnie pełną rękę.

– Ares. – Błysnął szerokim uśmiechem.

– Przedstaw się, lisku. – Dłoń mamy przesunęła się po moich włosach.

– To jego imię? – zapytałam zaskoczona. – Jakie dziwne. – Uścisnęłam chłopięcą dłoń. – Mam na imię Molly.

– Molly. – Wyraźnie się odprężył. – Chodź.

Ruchem ręki kazał mi iść za sobą. Zerknęłam na mamusię, a ona zachęcała mnie do tego skinieniem głowy. Odłożyłam babeczkę na stoliku.

Niepewnie poszłam w ślady Aresa. Wbiegał co drugi stopień, aż znalazł się na piętrze. Ja pokonywałam swoje bez pośpiechu. Otuliłam się ramionami, gdy zauważyłam, że chłopiec gdzieś zniknął.

Przełknęłam ślinę, idąc powoli naprzód. Drzwi na lewo... nie, jednak to prawa strona... były otwarte. Tam było ciemno. Nie lubiłam, gdy pokój nie miał światła. Brzuszek rozbolał mnie z nerwów. Musiałam zawołać chłopca, nie chciałam być sama.

– Ar...

– Buu! – Wyskoczył przede mną z krzykiem.

Odskoczyłam, potknęłam się i upadłam na podłogę z tak głośnym piskiem, że zabolalo mnie gardło. Łzy wypełniły moje oczy.

Dorośli wbiegli na górę. Mama przykucnęła obok. Rzuciłam się jej w ramiona, zanosząc się przerażonym szlochem. Słyszałam, jak pan uniósł głos na chłopca.

Bałam się. Nie chciałam tu być.

### *Rok później – Molly lat 6.*

To mój pierwszy dzień w szkole. Czułam ekscytację. To nowe słowo, którego ostatnio nauczyłam się po angielsku. Ekscytacja. To oznaczało, że bardzo się na coś cieszysz i nie możesz się tego doczekać.

Mama uczesała mi włosy w wysoką kitkę. Teraz zrozumiałam, dlaczego tatuś mówił na mnie „lisku”. Moje kosmyki przypominały lisi ogon. Na myśl o tacie poczułam głęboki smutek. Bardzo za nim tęskniłam.

– Co się stało, perełko? – Zielone oczy patrzyły na mnie w odbiciu lustra.

Westchnęłam. Nie chciałam, by mama była przeze mnie smutna.

– Tęsknię za tatą. – Ciężar opadł mi w dół brzucha.

Nagle zrobiło mi się dziwnie przykro, zabolalo mnie gardło. Mama uściskała mnie mocno i obsypała moją głowę pocałunkami.

– Twój tata zawsze jest blisko ciebie – zdradziła szeptem, oczy jej błyszczały.

Odwróciłam się w jej stronę, nagle pobudzona.



– Naprawdę? Gdzie?

Poczułam jej palec na lewej piersi. Zwiesiłam tam wzrok.

– Tutaj – wyjaśniła. – W twoim serduszku.

Rozczarowanie zgarbiło mi ramiona, a łzy zapiekły mnie w oczy, lecz zamiast coś powiedzieć, wstałam ze stołka.

Cichy płacz dobiegał z sąsiedniego pokoju. To mój braciszek, Raven. Miał dopiero trzy miesiące, dużo jadł, spał, a gdy tego nie robił, to płakał. Mamusia w ciąży miała taki sam brzuch co ciocia Isabella, zanim urodziła siostrę Aresa.

Mama mówiła, że mamy tylko siebie i musimy trzymać się razem. Mnie jednak wciąż brakowało taty. Z westchnieniem usiadłam na parapecie. Miałam nadzieję, że kiedyś do nas wróci. Jeszcze nie widział Ravena. Dzidzius nie miał rudych włosów jak my, ale ciemne jak tatuś.

Pan ochroniarz zabrał nas samochodem do szkoły. Nie wiedziałam, dlaczego często przebywali przy nas inni ludzie. Mamusia powiedziała mi kiedyś, że muszą pilnować spokoju. Budynek był ogromny i miał duży, zielony ogródek. Podobał mi się. Wzdrygnęłam się, gdy usłyszałam głośny dźwięk. Przycisnęłam dłoń do uszu.

– Spokojnie, Molly. To tylko dzwonek.

Dzwonek... taki na lekcję. Był bardzo hałaśliwy. Bałam się, gdy coś było głośne. Pani, do której przychodziłam na rozmowy, powiedziała mi, że w strachu nie ma nic złego. Trzeba stawić mu czoła.

Widziałam, że wszyscy żegnali się z rodzicami. Popatrzyłam na mamę, a moje gardło boleśnie się ścisnęło. Nie chciałam iść sama, ale musiałam być odważna jak mój tata.

Wzięłam głęboki wdech. Mama pocałowała mnie w czubek głowy.

– Poradzisz sobie, lisku.

Te kilka słów sprawiło, że się uśmiechnęłam.

– Molly! – rozległ się chłopięcy głos.

Odwróciłam się. To Ares. Właśnie wybiegł z samochodu swojego taty. Podbiegł do nas i złapał mnie za rękę.

– Chodź!

Zerknęłam przez ramię na mamę, a ona uniosła kąciki ust w odpowiedzi. Nie zdążyłam pożegnać się z moim braciszkiem, ale

to nic.

Ares przedstawił mnie swoim kolegom: to Rhys, Vaiana, Keiran i Ace. Rhys i Vai byli bliźniakami, chociaż nie byli do siebie podobni. Ucieszyłam się, że nie byłam jedyną dziewczynką w towarzystwie.

Miałam nowych przyjaciół.

*3 lata później – Molly lat 9.*

Siódmy czerwca. Dziś były moje urodziny. Nasz dom był pełen gości, ale nikt nie przyjechał z Brazylii. Brakowało mi nawet Theo, chociaż nigdy go nie lubiłam.

Moi przyjaciele ze szkoły ucieszyli się na zaproszenie. Uwielbiali torty tak samo jak ja.

– Dlaczego nie masz balonów? – Rhys wykrzywił wargi, jakby nie podobało mu się, że ich nie było.

– Bo balony są głośne – odparłam. – Boję się ich.

– Boisz się? – Parsknął śmiechem. – Jak to?

Zgarbiłam ramiona. Nie pamiętałam, od kiedy dokładnie się ich bałam. To, że mogły wybuchnąć, przyprawiało mnie o strach, a hałas był okropny. Był jak strzał. Nie odpowiadałam.

– Molly? – Vaiana dotknęła moich pleców. – Odleciałaś?

Zerknęłam na nią. O nie. Znów to zrobiłam. Na kilka chwil stawałam się nieobecna, wpatrując się w jeden punkt.

– Co? – Popatrzyłam na nich, moje oczy przeskakiwały między nimi.

– Dlaczego boisz się balonów? – Rhys skrzyżował ręce na piersi. – Ja się ich w ogóle nie boję.

Zwiesiłam wzrok na łańcuszek na mojej szyi. Nie chciałam o tym rozmawiać.

– Daj jej spokój – mruknął Ares.

Podniosłam głowę, chłopak już na mnie patrzył. Oparł mi dłoń na ramieniu i uśmiechnął się szeroko.

– W porządku?

Potaknęłam. Usta drgnęły mi w delikatnym uśmiechu.

– Ja się boję klaunów – skomentowała cicho Vai.

– A ja boję się mojej cioci Avy. – Ace wzdrygnął się na samo wspomnienie. – Ma takie wielkie usta i używa szminki, która później nie chce zejść ze skóry. Tata mówi, że to chodzący stempel.

Wszyscy poza mną parsknęli śmiechem.

Mama przyniosła do salonu tort ze świeczkami wbitymi w ozdobioną górę, był biały w czerwone róże. Każdy śpiewał mi „wszystkiego najlepszego”, nawet Raven, chociaż robił to niezbyt wyraźnie.

– Pomyśl życzenie, skarbie, i zdmuchnij świece.

Wzięłam głęboki wdech. Miałam tylko jedno życzenie.

*Chciałabym, żeby tata wrócił.*

Wypuściłam powietrze, a płomyki zgasły. Rozległy się brawa.

Byłam zasypywana prezentami. Uwielbiałam je dostawać. Mój ulubiony zawsze był od mamy i mojego braciszka – tym razem dostałam sztalugę i zestaw do malowania. Aż podskoczyłam z ekscytacji.

– O rany! – pisnęłam. – Dziękuję!

Uwielbiałam malować, odkąd odkryłam, jakie to przyjemne.

Zabrałam rzeczy i pobiegłam na górę do swojego pokoju.

Zamknęłam za sobą drzwi, bo nie lubiłam, gdy zostawały otwarte. Odłożyłam zestaw na biurko. Miałam już otworzyć folię, gdy poczułam powiew wiatru na skórze.

Okno było uchylone. Podeszłam do niego i zmarszczyłam czoło. Byłam pewna, że je zamykałam. Gdy już miałam to zrobić, zauważyłam, że coś leżało na parapecie. To jakaś paczka.

Chwyciłam za pakunek i przysiadłam z nim na łóżku. Rozerwałam zabezpieczenia, dopóki nie dostałam się do papieru prezentowego. Jak tylko go porwałam, moim oczom ukazało się drewniane pudełeczko. Otworzyłam je, a w pokoju rozbrzmiały dźwięki wygrywane z pozytywki.

Zajął mi chwilę, by rozpoznać, co to za piosenka. *Part Of Your World* z *Małej Syrenki*. Och, uwielbiałam oglądać tę bajkę, gdy byłam mała!

Z papieru wystawała jakaś kartka. Chwyciłam za nią, a następnie odczytałam:

*Wszystkiego najlepszego, mój dzielny lisku.*

Serce mocno zadrżało mi w piersi. Porzuciłam wszystko i podbiegłam do okna.

– Tata? – wyszeptałam.

**KONIEC ?**

- 
- <sup>1</sup> *Padrinho* (z port.) – ojciec chrzestny (przyp. aut.).
- <sup>2</sup> *Bolo formigueiro* (z port.) – dosł. ciasto z mrowiska. Puszyste ciasto z drobkami czekolady, które dają złudzenie mrówek uciekających z wypieku (przyp. aut.).
- <sup>3</sup> *Quadrado* (z port.) – plac. W slangu przestępców to dopuszczanie przez władze działalności organizacji przestępczych w zamian za otrzymywanie dochodów na rzecz państwa (przyp. aut.).
- <sup>4</sup> *Os falcões* (z port.) – jastrzębie. W slangu narkotykowym stosuje się to określenie wobec osób, które zostały ustawione na czatach w celu raportowania sytuacji na ulicach, ostrzegania o działaniach konkurencyjnych organizacji czy o ruchach służb bezpieczeństwa (przyp. aut.).
- <sup>5</sup> *Palácio do Planalto* (z port.) – oficjalne miejsce pracy prezydenta oraz wysokich rangą urzędników Brazylii (przyp. aut.).
- <sup>6</sup> *Palácio da Alvorada* (z port.) – oficjalna rezydencja prezydenta Brazylii (przyp. aut.).
- <sup>7</sup> *Sicário* (z port.) – sykariusz, egzekutor. W kartelowym slangu oznacza płatnego mordercę, zabójcę (przyp. aut.).
- <sup>8</sup> Srebro albo ołów – osławione powiedzenie w kryminalnym świecie, które daje wybór między przyjęciem łapówki i wykonywania rozkazów od przestępczej organizacji a śmiercią (przyp. aut.).
- <sup>9</sup> *Querida* (z port.) – skarbie (przyp. aut.).
- <sup>10</sup> *Fawela* – dzielnice nędzy w Brazylii (przyp. aut.).
- <sup>11</sup> *Batalhão de Operações Policiais Especiais* (z port.) – Batalion Policyjnych Operacji Specjalnych, elitarna jednostka specjalna policji w Brazylii (przyp. aut.).
- <sup>12</sup> *TMP* (niem. *Tactische Maschinen Pistole*) – kompaktowy pistolet maszynowy (przyp. aut.).
- <sup>13</sup> *Papá* (z port.) – tata (przyp. aut.).
- <sup>14</sup> *Irmão* (z port.) – bracie.
- <sup>15</sup> *Abraços* (z port.) – pozdrawiam serdecznie (przyp. aut.).
- <sup>16</sup> *Guantánamo* – miejscowość na Kubie, w której znajduje się więzienie słynące brutalności i bezwzględności strażników wobec więźniów oskarżonych o terroryzm (przyp. aut.).
- <sup>17</sup> *Está tudo bem. Essa é sua mãe* (z port.) – W porządku. To jest twoja mama (przyp. aut.).
- <sup>18</sup> *Mãe* (z port.) – mama (przyp. aut.).
- <sup>19</sup> *Sim* (z port.) – tak (przyp. aut.).
- <sup>20</sup> *Velórios* (z port.) – Budynek, w którym odbywa się pożegnanie ze zmarłym w godzinach następujących po jego śmierci i przed pogrzebem (przyp. aut.).
- <sup>21</sup> *Você é a melhor coisa que já aconteceu em minha vida* (z port.) – Jesteś najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w moim życiu (przyp. aut.).
- <sup>22</sup> *Eu preciso de você* (z port.) – Potrzebuję cię (przyp. aut.).
- <sup>23</sup> *Estou com fome* (z port.) – Jestem głodna (przyp. aut.).
- <sup>24</sup> *Meu cão* – (z port.) – mój pies (przyp. aut.).
- <sup>25</sup> *Te amo* (z port.) – Kocham cię (przyp. aut.).
- <sup>26</sup> *Também te amo* (z port.) – Ja ciebie też kocham (przyp. aut.).